

Raphaël  
**CARDETTI**

100 000 sprzedanych egzemplarzy we Francji!



**Krew z jej krwi**

100 000 sprzedanych egzemplarzy we Francji!

# Krew z jej krwi

Paryż 2003 r. Aleks Cantor, młody właściciel modnej galerii, inauguruje nową wystawę. Porzucony niedawno przez top modelkę Natalię Veit, nie ma ochoty na zabawę. Nawet natarczywe zaloty Loli, współniczki o gorącym temperamencie, pozostawiają go obojętnym.

Życie Aleksa zamienia się w prawdziwy koszmar, gdy Natalia zostaje znaleziona martwa w swoim apartamencie. Prowadząca śledztwo kapitan Sara Novac jest przekonana o jego winie. Kiedy Aleks sam o mały włos nie pada ofiarą zabójstwa, sytuacja staje się jeszcze bardziej niepokojąca: powraca sprawa jego matki, włoskiej aktywistki skrajnej lewicy, która zginęła tragicznie w 1978 r.

Idąc tym samym tropem, Aleks i Sara udają się do Rzymu, tam, gdzie wszystko zaczęło się dwadzieścia pięć lat wcześniej. Razem odkrywają przerażające tajemnice ukryte w najmroczniejszych zakamarkach Watykanu.

ISBN 83-60283-31-1



cena: 29,00 zł

Raphaël Cardetti

# KREW Z JEJ KRWI

Przełożyła  
Anna Wojdanowska



Warszawa 2006

Tytuł oryginału

DU PLOMB DANS LES VEINES

Copyright © Belfond, un département de Place des Editeurs, 2005.

Published by arrangement with Literary Agency „Agence de l'Est”.

Copyright © for the Polish edition by VIZJA PRESS&IT Ltd.,

Warszawa 2006

Redaktor prowadzący Wojciech Żyłko

Redakcja i korekta Aneta Zdunek

Opracowanie graficzne okładki

Mariusz Stelażowski

Zdjęcie na okładce

© Corbis

Wydanie I

ISBN 83-60283-31-1

VIZJA PRESS&IT

ul. Dzielna 60, 01-029 Warszawa

tel./fax536 54 68

e-mail: [vizja@vizja.pl](mailto:vizja@vizja.pl)

[www.vizja.net.pl](http://www.vizja.net.pl)

Skład i łamanie Mariusz Maćkowski

*Dla Liny i Alfredo Palma*

„A potem umarł Jerry Nolan. Bardzo płakałem. Jeszcze jedna osoba w moim życiu, która stała się wspomnieniem. Cholera jasna. Ale afera...”

Dee Dee Ramone,  
*POISON HEART, Surviving the Ramones*

„Dawno temu była sobie Republika, państwo bez problemów, posiadające jednak dziwną i skomplikowaną strukturę. W owej Republice dominująca siła była zarazem populistyczna i kapitalistyczna, klerykalna i mafijna, biurokratyczna i proatlantycka. Od czasu do czasu różne podmioty społeczne buntowały się przeciwko tej ugodowej i spokojnej Republice. Za każdym razem przegrywały i stawały się przedmiotem surowego ostracyzmu”.

Toni Negri,  
*Włochy, rok zero*

*Krew z jej krwi*

Oryginalna ścieżka dźwiękowa

Beastie Boys - *Sure Shot*

David Bowie - *Andy Warhol*

The Chemical Brothers - *Out of Control*

The Clash - *Train in Vain*

The Dandy Warhols - *Gett Off*

Johnny Cash - *Personal Jesus*

Outkast - *Roses*

Fat Boy Slim - *Weapon of Choice*

Iggy Pop - *No Fun*

Maceo & All the King's Men - *I Want to Sing*

Robbie Williams - *Kids*

Kid Loco - *A Little Bit of Soul*

Jean Knight - *Mr Big Stuff*

DJ Medhi - *Be Blessed, Be Back*

Blur - *Song 2*

## 1

Lola trzymała pistolet w lewej ręce. Choć na co dzień była praworęczna, druga dłoń służyła jej do wszelkich zadań technicznych lub szczególnie trudnych. Różnica była często subtelna. Na przykład, kiedy chodziliśmy ze sobą, pieściła moją twarz prawą ręką, ale do policzkowania używała lewej.

Lola była kobietą niezwykłą i pasjonującą. Pokochałem ją za to, gdy byłem młodszy. Opuściłem ją z tego samego powodu.

Zadziwiła mnie każdego dnia. Mieliliśmy nawet taką grę: rzucałem jej jakieś niewykonalne zadanie, jak złożenie bez instrukcji mebla z Ikei w ciągu niecałej godziny, któremu musiała sprostać. Udawało się jej za każdym razem. Lola umiała się dostosować. Posiadała ów rodzaj zmysłu praktycznego, którego byłem całkowicie pozbawiony.

Lola ze spokojem celowała z broni w pierś mężczyzny. Jak na osobę, która nigdy dotąd nie miała w dłoni pistoletu, wykazywała niesamowite opanowanie.

Na tę okazję ubrała się w spodnie khaki i obcisłą bluzeczkę na ramiączkach włożoną na gołe ciało bez biustonosza. Cięż jej małych piersi zdawał się pulsować pod zielonobrunatną tkaniną. Trochę niżej, na końcu dłoni, różowy lakier na paznokciach kontrastował z ciemną kolbą Magnum .357.

Brutalność i kobiecość. Kontrast był bardzo podniecający. Lola nigdy nie pozostawiała niczego przypadkowi.

Tuż przed naciśnięciem na spust, rzuciła na mnie ostatnie spojrzenie. Nie był to rodzaj rozmarzonego spojrzenia, które rozpala samca. Zasługiwałem na więcej, i ona dobrze o tym wiedziała. Było to tylko szybkie porozumiewawcze spojrzenie, zbyt ulotne, aby mógł je dostrzec ktoś inny oprócz mnie.

Dobrze znałem jej zamiary. Chciała, abym poczuł się zażenowany i doskonale się jej to udawało.



Dookoła mnie siedemdziesięciu gości śledziło moją reakcję. Wydawali się zawiedzeni moją biernością. Ściśnięci w pomieszczeniu przewidzianym na połowę osób mniej, patrzyli na mnie z ciekawością, a wielu z pogardą, jakby moja bezsilność czyniła ze mnie potwora.

Bezsilny... Ten przymiotnik wydawał się skrojony dla mnie na miarę. Zawsze zadowolalem się obserwacją wydarzeń z daleka, nie próbując nigdy tak naprawdę przeciwstawić się biegowi rzeczy. Na pewno ta postawa uratowała mnie przed totalnym upadkiem w latach młodości. Ostatecznie przeszkodziła w tym, abym stał się odpowiedzialnym człowiekiem.

Na swoją obronę powiem, iż nikomu nie przyszło do głowy, by interweniować. Wszyscy widzowie wstrzymali oddech. Stali w swoich blokach startowych, gotowi rzucić się po kawałek mózgu lub odłamek szczęki.

Wieczorem, po powrocie do swojego pięknego, luksusowego mieszkania, oprawią je w ładne pozłacane ramki i powieszą nad kominkiem między dyplomem uniwersyteckim a okropnymi gryzmołami najmłodszego dziecka narysowanymi z okazji dnia matki. Następnie zwołają całą rodzinę, by podziwiała nową dekorację salonu.

Brzydziłem się nimi, ale nie byłem od nich lepszy. Zaprosiłem ich, bo potrzebowalem ich pieniędzy. W pewnym sensie płacili, by zobaczyć strzał Loli. Nie mogłem odmówić im tej przyjemności. Nie mogłem się już wycofać.

Burten, stojący zaledwie o pięć metrów od Loli, wyglądał na spokojnego. Z obojętnością przyglądał się lufie magnum. Już był w podobnej sytuacji i wyszedł z niej cało.

Uśmiechnął się, jakby wszystko było zabawą, wziął głęboki wdech i, jak na dobrego komedianta przystało, puścił ostatni raz oko do kobiety, której diamentowy naszyjnik błyszczał najbardziej.

Lola nacisnęła na spust.

Wśród wielkiej ciszy wypełniającej salę, rozległ się huk wystrzału, który wydawał się odbijać od ścian. Efekt *surround* gwarantowany, dużo lepszy niż w kinie. Siła odrzutu magnum odepchnęła Lolę o ponad metr do tyłu.

Gdy nabój trafił Burtena w sam środek piersi, na jego ustach zarysował się grymas. Lekko krzyknął z bólu, ale stał dalej z głową

pochylną do przodu i rękami rozłożonymi niczym u świętego z obrazu El Greco.

Widok był raczej piękny. W tym poświęceniu była pewna szlachetność. Burten ofiarował swoją osobę, swoją krew, swe wnętrze i kilka swoich neuronów uniwersalnemu ideałowi piękna. Ztracał się całkowicie jako jednostka. Liczyły się jedynie piękno gestu i znaczenie, które później każdy nada mu w swoich myślach.

Przez moment, o mało co nie uwierzyłem w szczerłość jego postępowania i byłem tym niemal wzruszony. Przekonałem się o oszustwie, kiedy podniósł głowę i wypiął tors. Każdy mógł wtedy zauważyć małą plamę niebieskiej farby na koszuli w miejscu, gdzie przeszła kula. Po początkowym zdumieniu, nastąpiła chwila niepewności.

Burten oszukiwał, nadal żył.

Jego triumfalny uśmiech wzbudził mimo wszystko burzę oklasków. Pozdrowił tłum dłońmi złączonymi ponad swoją przerzedzoną czupryną niczym gwiazda rocka. Wspaniałomyślnym gestem zaprosił następnie widzów na poczęstunek. Dla przykładu sam udał się pospiesznie w stronę bufetu.

Wściekły, spojrzałem groźnym wzrokiem na swoją współniczkę. W odpowiedzi, Lola uczepiła się mego boku i otarła się o mnie.

- Naprawdę sądziłeś, że go zabiję, tak?
- Oczywiście. Jak udało ci się odwieść tego idiotę od jego pomysłu?

Lola wspięła się na czubkach palców i zbliżyła swoje usta do mego ucha. Przez mój kark przebiegł dreszcz, gdy jej język musnął płatek mego ucha. Odkąd rozstałem się niedawno z moją dziewczyną, Lola znów pozwalała sobie na większą poufałość.

- To nie moja zasługa. Chociaż miałam ochotę spróbować z prawdziwymi kulami... Wiesz, jak bardzo lubię nowe doświadczenia. Burten zmiękł godzinę temu. Pewnie z braku *cojones*.

- To po co było mnie tak straszyć?

Lola wzruszyła ramionami. Jej rozczarowanie budziło niemalże litość, ale znałem ją na tyle, by wiedzieć, że jeszcze będzie miała okazję poćwiczyć strzelanie do żywego celu. Wiedząc wszystko o jej

zręczności, miałem nadzieję, że nigdy nie będę musiał uciekać przed nią zyzgakiem.

Burten podszedł do nas, trzymając w rękę talerz pełen ciasteczek. Na jego jasnej koszuli widać było wyraźną plamę w kształcie gwiazdy. Można by ją wziąć za dekorację, rodzaj odznaki wojskowej. A tak naprawdę była to Legia Honorowa głupoty obnoszona z próżnością godną weterana wojny wietnamskiej. Lola ulotniła się przezornie w chwili, gdy do mnie podszedł.

Samuel Burten był Amerykaninem. Pytany o zawód, odpowiadał, że jest „artystą”. Mówił to jak dziecko przekonane o tym, że pewnego dnia zostanie strażakiem.

Nie umiał jednak rysować, a jeszcze mniej malować czy rzeźbić. Jak wielu ludzi pozbawionych najmniejszego talentu, rekompensował swoje wrodzone ograniczenia wybujałą i często katastrofalną w skutkach wyobraźnią.

Jako pierwszy uczynił z własnego ciała dzieło sztuki. Z czasem stało się to banalną techniką. W latach osiemdziesiątych Orlan wzięła się za modelowanie swego ciała za pomocą wszystkich możliwych środków, które oferowała chirurgia plastyczna. Jeff Koons pokazał się w trakcie igraszek miłosnych ze swoją żoną, byłą aktorką porno. Ciało stało się materiałem jak każde inne, a może nawet najbanalniejszym z nich, bo każdy je posiadał.

Trzydzieści lat wcześniej, 10 października 1973 roku, kiedy asystentka Burtena strzeliła do niego z broni na naboje .22 Long Rifle w modnej galerii SoHo, nikt jeszcze na coś podobnego się nie odważył.

W rzeczywistości, niczego nie zaplanował. Dziewczynę spotkał kilka dni wcześniej w jednym z podrzędnych pubów na East Side. Wszystko ich łączyło: on sprzedawał prochy, a ona ich potrzebowała, on nienawidził jazzu, ona uwielbiała płyty Pink Floyd, on mógł cytować z pamięci całe strony z Tolkiena, ona przeczytała w liceum kilka fragmentów z Kerouaca.

Natychmiast nawiązała się między nimi duchowa łączność, zbudowana na solidnych podstawach. Połączenie ich ciał szybko przekształciło się w komunie umysłów. Nikt nie mógł zaprzeczyć pięknu tej porywającej historii miłosnej.

Wbrew jego zaprzeczeniom artystyczne objawienie Burtena było przede wszystkim połączonym efektem heroiny złej jakości i

nadmiernej aktywności łóżkowej poprzedniej nocy. Na przesłuchaniu dziewczyna wyznała, iż celowo mierzyła w serce, pragnąc zaoszczędzić światu przykrego doświadczenia, którego właśnie doznała.

Mimo ewidentnych dowodów poczytalności, zastosowano wobec niej kilkugodzinny areszt i przeprowadzono specjalistyczne badanie psychiatryczne. Burten nie chciał jej już więcej widzieć.

Poważnie ranny, ledwie uniknął śmierci. Kula utkwiała zaledwie pięć centymetrów od serca. Przez cały następny tydzień przebywał na oddziale intensywnej terapii w New York Hospital.

Nie mogłem w tym wszystkim nie zauważyć dowodu na to, że kretyńsi są uprzywilejowanym celem sprawiedliwości bożej. Jeszcze dwa lub trzy takie przykłady i, być może, doznałbym mistycznego objawienia.

Patrząc wstecz, był to jednak genialny pomysł. Wszystkie poczytne magazyny miesiącami komentowały to „bezsensowne przedstawienie”, ów „rodzaj nowego happeningu” (*Vanity Fair*, 5 listopada 1973 r.). Krytyka jednogłośnie powitała narodziny „artysty nowego typu, sytuującego się pomiędzy florenckim geniuszem a popową innowacyjnością” (*New York Times*, 15 grudnia 1973 r.).

Zdjęcia ze zdarzenia, powielone w niewielkiej liczbie i opatrzone zamaszystym podpisem Burtena wykonanym srebrnym flamastrzem, sprzedawały się w ciągu paru godzin.

Następnego dnia po wyjściu ze szpitala, w drzwiach Factory witał go osobiście Andy Warhol. Burten usiadł przy stoliku Lou Reeda, który, wierny krążącej o nim opinii, przez cały wieczór nie odezwał się ani słowem, ale na dowód przyjaźni podarował mu działkę koki.

Tego samego tygodnia Burten dostąpił zaszczytnego honoru towarzyszenia Davidowi Bowieemu w cotygodniowej wizycie u Iggy'ego Popa w zakładzie psychiatrycznym. Skorzystał z okazji, aby pomigdać się z Angelą na tylnym siedzeniu samochodu, kiedy Duke wyszedł kupić na drogę papierosy i butelkę „Johnny'ego Walkera”.

Sam Burten miał swoje piętnaście minut sławy. Dobrał się do niej zachłannie i rozkoszował się każdym jej okruczem. Zgodnie z logiką, sława przeminęła z taką samą szybkością, z jaką przyszła.

Rok później znów był strażnikiem nocnym na jednym z parkingów na Manhattanie i Warhol rzucił mu kluczyki do swojego mercedesa 300 SL coupé z 1954 roku, nawet go nie rozpoznając. Zdarzenie stało się przedmiotem szyderstw artystycznych sfer SoHo, a główny zainteresowany pogrążył się w długotrwałej depresji.

Poznałem go przed dwoma miesiącami przez zaprzyjaźnioną właścicielkę galerii, której Burten usiłował sprzedać swój artystyczny comeback. Pomysł był prosty: uczcić trzydziestolecie swojego happeningu, odtwarzając wiernie zdarzenie, lecz tym razem w Paryżu, czyli tam, gdzie kolekcjonerzy najchętniej wypiszą czek na sporą sumkę, aby nabyć jedno z jego dzieł.

Burten znał się na marketingu. Wiedział, że żaden klient nie odwiedzi wystawy tylko dla jego nazwiska, proponował więc widowisko, wielki show w amerykańskim stylu ze sporą dawką dreszczyku i adrenaliny. Pewnego rodzaju *snuff* na żywo.

Zachowywał się jak błazen trzęsący swoimi dzwoneczkami u stóp książąt. Zabawiał ich mając nadzieję, iż raczą wyciągnąć swoje książeczki czekowe. Mój zdrowy rozsądek widział w tym śmieszna komedię graniczącą z oszustwem. Mój cynizm podpowiadał mi, że to prawdopodobnie wypali.

Na początku wzdygnąłem się jednak, kiedy pokazał mi kilka swoich prac. W większości były to okropne rzeźby z wosku przedstawiające płody ludzkie ze skrzydłami lub powykrzywiane madonny. Całość uzupełniało kilka nieudolnych kompresji, z lekka zainspirowanych ostatnimi pracami Armana. Ogólna charakterystyka dzieł Sama brzmiała następująco: wszystkie były brzydkie, wulgarne i nie nadawały się do sprzedania.

Jedynie perspektywa zamknięcia mojej galerii z braku nowej gotówki, przekonała mnie do podjęcia ryzyka. W sumie, gdyby dzieła Sama zbryzgała jego krew, może nabrałyby wartości?

Zorganizowałem więc pokaz strzelania, na który zaprosiłem odpowiednio dobraną mieszankę znanych osobistości oraz stałych bywalców wszystkich przyjęć, nie zapominając o potencjalnych nabywcach. Wysłałem sześćdziesiąt zaproszeń i ani jednego więcej. W każdym razie posiadacze sporych kont bankowych byli mile widziani.

Ciasteczka były od Fauchon, szampan z dobrego rocznika od Moët & Chandon dostarczono w ogromnej ilości, zaś armada

zatrudnionych z tej okazji kelnerki liczyła w swym gronie więcej wspaniałych dziewczyn niż roczna reprezentacja konkursu Elite.

Słowem, w razie porażki byłem zrujnowany.

Oczywiście żaden ubezpieczyciel nie zgodził się pokryć występu z prawdziwym strzałem. Po usilnych namowach, przekonałem Burtena do użycia ślepych naboju. Opierał się pod pretekstem, że jego zabieg artystyczny może zostać wypaczony, w końcu ustąpił pod groźbą odesłania go do Nowego Jorku pierwszym samolotem z jedną ze swoich wstrętnych rzeźb wbity w najtłustszą część jego ciała.

Wszystko układałoby się doskonale, gdyby w przeddzień imprezy Lola nie przysłała poinformować mnie z dumą, że Burten wybrał ją na strzelca. Pokazała mi pistolet magnum i amunicję. Prawdziwe kule, długie jak dwa paliczki Mike'a Tysona. 22 LR sprzed trzydziestu lat wyglądał przy tym jak pistolet na wodę.

Było już za późno, by wszystko odwołać. Znałem zbyt dobrze Lolę, i byłem pewien, że się nie wycofa. Co do Sama, to był zbyt głupi, aby właściwie ocenić ryzyko.

Ostatnie dwadzieścia cztery godziny przeżyłem w strasznym stresie. Dodam tylko, że podczas bezsennej nocy trafiłem na film dokumentalny o walkach między gangami w Los Angeles. Miałem okazję dowiedzieć się, że pocisk magnum robi w głowie człowieka dziurę wielkości melona.

To wszystko nie wróżyło nic dobrego. Widziałem już, jak wsadzają mnie do obskurnego więzienia, gdzie będę musiał zaspokajać popęd płciowy bandy wielokrotnych recydywistów psychopatów. Moim przeznaczeniem będzie więc zostać żywym gadżetem seksualnym od pierwszej wizyty pod prysznicem. Przy odrobinie szczęścia znajdę opiekuna nieskorego do dzielenia się mną.

W takich warunkach dwadzieścia lat przewidzianych prawem za współudział w zabójstwie będzie ciągnęło się w nieskończoność.

Dlatego właśnie o mało co nie przywaliłem Burtenowi z pięści, kiedy do mnie podszedł z ustami pełnymi tostów z foie gras.

- Odpręż się, Aleks - powiedział łagodnie, pozostawiając przy tym kilka okruchów na mojej marynarce. Jak widzisz, to nie było takie straszne.

- Sam, ostrzegam cię, jak jeszcze wywiniesz mi taki numer, to sam ci pošlę kulkę. I to prawdziwą - nie omieszkałem dodać.

Musiałem wyglądać poważnie, bo zbłądził i o mało co nie zadławił się swoją horrendalnie drogą kanapką. Zakaszłał, żeby jakaś dobra dusza przyniosła mu kieliszek szampana.

- Jesteś niesprawiedliwy wobec mnie. Spójrz, jak ci dzielni ludzie są szczęśliwi. Podarowałem im widowisko, które nieprędko zapomną. Przeszli przez wszystkie stadia emocji i strachu. W zamian za fatygę zapłacą mi kilka tysięcy euro.

- Minus czterdzieści procent mojej prowizji...

- Zdążyłem już zapomnieć do jakiego stopnia jesteś twardy w interesach. A powinieneś mi dziękować. To chyba bardziej ekscytujące, niż skoczyć z mostu na bungee czy posłuchać całej płyty Céline Dion, nie? Spójrz na siebie: wyglądasz niczym *przeciętny* dyrektor w *przeciętnej* firmie, taki który prowadzi spokojny i nudny żywot. Aleks, musisz nauczyć się żyć od nowa!

- Dzięki za dobre rady. A teraz oddaj mi spluwę i naboje. Mógłbyś mieć kłopoty z powrotem do domu, jakby cię z tym złapali na lotnisku. A bardzo zależy mi na tym, żebyś nie kręcił się tu zbyt długo.

Sam wyciągnął broń spod koszuli i podał mi ją z żalem.

- Kule są w twoim biurze. Lola zostawiła je tam przed chwilą.

- Dziękuję.

Pozostawiłem go jego fanom i skierowałem się w stronę swojej kryjówki, znajdującej się w głębi galerii. Wcisnąłem czterocyfrowy kod zamka cyfrowego na drzwiach z pleksiglasu (niełukujących się i kuloodpornych, jak zapewniał mnie sprzedawca, kiedy kupowałem je rok temu, płacąc za nie słono) i wszedłem do biura.

Burten nie kłamał, pociski leżały w widocznym miejscu na stole, poukładane równo w pudełku. Wziąłem je i włożyłem razem z pistoletem do pierwszej szuflady. Miałem jeszcze czas, aby schować je w sejfie, jak już wszyscy sobie pójdą. Najtrudniej będzie dyskretnie się ich pozbyć.

Dimitri, mój główny dostawca niedozwolonych substancji, a poza tym najlepszy przyjaciel, na pewno zamieniłby go na próbkę świeżej dostawy prosto z Afganistanu. Pierwszy zbiór konopi pod amerykańskim protektoratem, pierwszego gatunku - jak zapewniał. Żołnierze amerykańscy przebywający na misji w górach na północy Kabulu, uwielbiali je. Pod ich wpływem wszędzie widzieli Talibów jeżdżących na różowych słońcach.

W głębi serca podziękowałem Burtenowi za jego wkład do moich najbliższych nocy pełnych ekscesów.

Nie miałem więcej czasu na medytację nad dobrodziejstwami afgańskiego narkotyku. Lola dawała mi dyskretne znaki z sali wystawowej. Była w trakcie poważnej rozmowy z parą pięćdziesięciolatków. Kobieta miała na sobie suknię wieczorową koloru porto przetykaną złotą nitką, zaprojektowaną przez Paco-Rabanne pod koniec lat siedemdziesiątych. Jej mąż, były minister z ramienia partii socjalistycznej, zajmujący się obecnie doradztwem dla przedsiębiorstw, wskazywał palcem na jedną z rzeźb Burtena, okropną kompozycję z drewna i szarego papieru. Lola potrzebowała mnie do zawarcia transakcji.

Wyszedłem z biura bez wielkiego przekonania. Westchnąłem i dołączyłem do swojej współpracownicy. W kilku susach znów stałem się bezwzględny sprzedawcą, na jakiego mnie wyuczono. Poprawiając węzeł krawata, powstrzymałem się jak tylko mogłem od drażniącego uśmiechu.

Sam odegrał swój show, a ja nie byłem w stanie mu w tym przeszkodzić. W końcu co w tym złego, że to wykorzystam?



## 2

Potok basów walił nieustannie w moją głowę, a z żołądka podchodził mi do gardła wypity wcześniej szampan. Oszolomiony gwałtownością tego zmasowanego ataku, z trudem usiłowałem utrzymać się na nogach na środku parkietu. Dziesiątki ciał o nieokreślonej płci, otępienie zmęczeniem i ecstazy, wirowały wokół mnie w rytm BPM. Ciemność przesywały ostre stroboskopowe błyski.

Nie odróżniałem już nikogo. Byłem sam pośrodku tłumu. Pomimo zmęczenia, tego właśnie potrzebowałem. Pogrążyć się w tłumie, zapomnieć o sobie.

A przede wszystkim zapomnieć o *niej*.

Zostałem Lolę w ramionach dziennikarza o blond włosach, którego spotkała w trakcie wernisażu. Udawała dla zasady, że mu się opiera. Jednak widziała wcześniej, jak zdjął obrączkę i wsunął do kieszeni džinsów. Zresztą nie przeszkadzało jej to. Pojęcie monogamii było jej zupełnie obce.

Z góry wiadomo było, że wylądują u niej, w jej dwupokojowym mieszkaniu w dzielnicy Marais. Jak tylko się nim nasyci, odeśle go do żony i dzieci. Lola miała duszę wampira. Jak na idealną przedstawicielkę społeczeństwa konsumpcyjnego przystało, nie wahała się porzucić swoich kochanków po użyciu.

Burten też kręcił się w kącie w poszukiwaniu zdobyczy na noc. Od żonatyh dziennikarzy wołał młode dziewczyny z piercingiem i tatuażami, w miarę możliwości pełnoletnie, choć nie upierał się przy tym ostatnim kryterium. Świeżych ciał było tu pod dostatkiem. On też nie wróci więc sam tej nocy.

Mimo że nie miałem na to ochoty, Samowi udało się namówić mnie, abym poszedł uczcić sukces jego wystawy. Wernisaż zakończył się około pierwszej w nocy. Sprzedałem dwanaście jego dzieł na łączną sumę trzydziestu siedmiu tysięcy euro. Sam minister wydał

ponad osiem tysięcy, aby udekorować swoje mieszkanie rzeźbami Burtena. Rzeczywiście było co świętować.

Nie wiedziałem jednak, że przyprowadzą mnie tutaj. Nie wiedziałem, że Sam tu przychodzi. Podejrzywałem, że za wyborem miejsca stała Lola. Jeszcze jeden wpis do długiej listy jej stukniętych pomysłów.

Inferno... prawie przez dwa lata spędzałem tutaj większość wieczorów. Znałem tu wszystkich, od barmana po szefa. Bramkarz zwracał się do mnie po imieniu i poklepywał mnie po plecach, opowiadając świńskie kawały. Kelnerki podawały mi martini z ginem, zanim zdążyłem o nie poprosić. Mógłbym niemalże mieć tu własną muszlę klozetową w toaletach dla VIP-ów.

Od pewnego czasu unikałem tego miejsca jak dżumy. Za bardzo obawiałem się spotkania z *niq*.

Tłum stawał się coraz większy. Ostatnie eleganckie restauracje wypluwały z siebie hordy imprezowiczów. Młoda, osiemnasto- lub co najwyżej dziewiętnastoletnia dziewczyna uczepiła się mego ramienia i posłała mi powalające spojrzenie. Objęła mnie w pasie i przycisnęła do siebie. Podjąłem tę grę, aby nie robić jej przykrości i lekko skinałem głową w jej stronę.

Krzyknęła coś, ale nic nie usłyszałem. Zbliżyłem do niej swoją twarz.

- Co?

- Już cię kiedyś widziałam! Byłeś z *niq* na zdjęciu. Jesteś...

Tego właśnie nie chciałem usłyszeć. Zrobiłem mały krok do tyłu, żeby ją do siebie przyciągnąć. Jakiś tancerz z zielonymi włosami wsunął się między dziewczynę a mnie. Jej minispódniczka w lamparcie cętki została wkrótce pochłonięta przez masę ludzką. Znow byłam sam.

Od razu dostrzegłem ją pośród mieszaniny ciał w transie.

Zresztą, nie było w tym mojej zasługi. Wszyscy, we wszystkich krajach świata, byli w stanie ją rozpoznać. Natalia Velit była sławna nie tylko ze względu na wymarzone metr osiemdziesiąt wzrostu. Odebrała również swoim rywalkom niezliczoną liczbę kontraktów reklamowych dzięki wspaniałej słowiańskiej urodzie o idealnych rysach twarzy, a przede wszystkim dzięki swojemu naturalnie kształtnemu biustowi w rozmiarze 90 C.

Natalia była prawdziwą seksbombą. Przez dwa lata była *moją* seksbombą.

Ale od miesiąca już nią nie była. Nie widziałem jej od naszego rozstania. I oto po raz pierwszy była tutaj, w zasięgu ręki. Cztery długie tygodnie czekałem na tę chwilę, dwadzieścia osiem najgorszych dni w moim życiu. A ja stałem przed nią jak porażony. Niezdolny, by rzucić się w jej kierunku i wykrzyknąć swoją potrzebę zrozumienia przyczyny naszego rozstania. Niezdolny nawet do tego, aby oderwać stopy od podłogi. Nagle źle się poczułem.

Wokół Natalii zrobiło się pusto. Jak Charlton Heston przed Morzem Martwym, tak ona rozdzieliła tłum swoją naturalną nonszalancją. Gdy przechodziła, tańczący zatrzymywali się jeden po drugim, aby móc podziwiać tę niezmierną istotę.

Gdziekolwiek była, moja dziewczyna robiła takie samo wrażenie. We wszystkim była zbyt: zbyt piękna, zbyt wyniosła, zbyt doskonała. Natalia była wzorcem, modelem. Była symbolem, których każdy wiek posiada pięć lub sześć.

O Boże, spałem z jednym z symboli.

Rzym, 15 maja 1978 r.

Lagodny promyk słońca właśnie spoczął na jej ramieniu. Gładząc pieszczotliwie jej skórę, ciepły powiew płynie wzdłuż jej ramion, przesuwa się po delikatnej linii szyi i dosięga jej twarzy. Francesca przymyka na wpeł powieki i delektuje się świeżym, wilgotnym powietrzem.

Już dawno nie czuła się tak dobrze. Przez zabrudzoną szybę autobusu można dostrzec na nagich gałęziach platanów kilka rachitycznych jeszcze pąków.

Kierowca korzysta z prostego odcinka drogi, by przyspieszyć. Nieświadomie wjeżdża na źle umocowaną w asfalcie płytę ściętkową.

Wstrząs jest nagły i gwałtowny. Stłoczeni pasażerowie wydają niespodziewany okrzyk zdziwienia. Na zmęczonych twarzach widać najpierw strach, a następnie rodzaj dziecięcej radości, ów dreszcz podniecenia, który przeszywa was, gdy wagonik kolejki górskiej zaczyna zjeżdżać w dół.

Pod wpływem wstrząsu Francesca traci równowagę i wpada na sąsiedniego pasażera, mężczyznę około trzydziestki, który nie przestawał ją obserwować, od kiedy weszła do autobusu.

Dobrze widziała jego sztuczkę. Udało mu się podejść powoli do niej, tak że znalazł się tuż obok. Ma na sobie zamszową, lekko splewiała marynarkę, a pod spodem szarą koszulę. To typ chłopaka, któremu oprze się mało która dziewczyna. Z tych chłopców, którzy budzą w was dreszcze samym spojrzeniem swych pięknych, roześmianych oczu.

Francesca udaje, że łapie się metalowej poręczy przymocowanej do podłogi i sufitu, ale w rzeczywistości osuwa się na niego w taki sposób, aby chwycił ją w biodrach, ratując przed upadkiem. Palce mężczyzny zatrzymują się trochę za długo na jej plisowanej spódnicy, następnie przesuwiają się wzdłuż jej rękawa, by znaleźć się na grzbiecie jej ręki.

*Francesca belkocze kilka słów podziękowania. Mężczyzna kiwa głową i szeroko się uśmiecha. Przygotowuje się do ataku, myśli Francesca, zastanawiając się, jak mężczyzna się do tego zabierze. Z góry wie, że nic z tego nie wyjdzie, ale to nie jest najważniejsze.*

*Lubi przelotne, krótkotrwałe spotkania. Wystarczy jej jedno spojrzenie, kilka nawet niezręcznych słów. Wtedy, w jednej chwili, znika cały świat, a ona czuje, że żyje.*

*Gdy huk eksplozji rozbrzmiewa w powietrzu przesyconym wilgocią, przyjemna letnia bryza zamienia się w jednej chwili w burzę płomieni. Francesca trafia nagle w sam środek piekła.*

### 3

Natalia skierowała się prosto w stronę schodów prowadzących do części przeznaczony dla VIP-ów. Serge, ochroniarz lokalu, obdarował ją w przejściu pochlebny spojrzeniem i odsunął się, aby ją przepuścić. Właśnie miał zagrozić wejście czerwonym welurowym sznurem, gdy poczuł na swoim ramieniu silny uścisk. Zatrzymał się, rozpoznając rękę Thomasa Kempa, agenta Natalii.

Z wielkim trudem udało mi się przedostać w pobliże schodów. Oczywiście, posuwałem się do przodu dużo wolniej niż Natalia, bo nikt nie uznał za stosowne, aby się przede mną usunąć. Musiałem torować sobie drogę łokciami i przepychać się między tańczącymi. Wszystko jest trudne dla zwykłych śmiertelników, takich, którzy nie mają w sobie dość siły.

Kiedy znalazłem się kilka metrów od Natalii, zawołałem ją po imieniu. Musiałem się dowiedzieć, dlaczego mnie rzuciła lub przynajmniej pomówić z nią. Była mi winna parę wyjaśnień.

Rycząca fala dźwięków Chemical Brothers pochłonęła mój głos. Natalia nie usłyszała mnie i dalej wchodziła po schodach. Na górze czekał na nią gruby facet w dwurzędowej marynarce w kolorze antracytu. Przyjął kieliszek szampana, który jej podał, i śmiejąc się, usiadła przy jego stoliku.

Nigdy wcześniej nie widziałem tego mężczyzny. Ze swoją łysiną i gigantycznym hawańskim cygarem posiadał wszystkie archetypowe cechy bankowca lub przemysłowca. Natalia nie traciła czasu. Z moich ust wyrwał się nowy okrzyk, tym razem złości.

Kemp odwrócił się i spostrzegł mnie. Nieczuły na ludzkie uczucia, pochylał się w stronę Serge'a i wsunął coś do kieszeni jego marynarki. Stałem za daleko, by zobaczyć co, ale z pewnością były to banknoty. Kemp umiał być przekonujący.

Podszedłem do bramkarza z szerokim uśmiechem i jak zawsze podałem mu rękę.

- Cześć Serge! Jak leci?

- Przykro mi Aleks - powiedział lekceważąc moje powitanie - dziś nie możesz tam wejść.

Jego pięść zacisnęła się na haku podtrzymującym sznur, blokując mi w ten sposób przejście. Oszłupiały, stanąłem przed nim z ręką w powietrzu. Po kilku sekundach zrozumiałem komiczność sytuacji i zareagowałem.

Pierwsza zasada dobrego sprzedawcy: nie dać się wyprowadzić z równowagi. Umieć przyjąć cios, a następnie jak najszybciej go oddać. Przez trzy lata uczono mnie, jak kontratakować każdego przeciwnika. Stałem się prawdziwą machiną bojową.

- Mogę wiedzieć dlaczego? - zapytałem spokojnie. Jakiś wyjątkowy powód? Dlaczego dziś, a nie tydzień temu?

- Ci ludzie chcą być sami. Wpuszczano cię, bo byłeś z Natalią. Sytuacja się zmieniła, nie jesteś już tu mile widziany.

- Splawiła mnie i teraz nie jestem godzien usiąść na waszych kurewskich fotelach ze skóry i zamówić pieprzonej butelki whisky za sto pięćdziesiąt euro, tak?

Byłem bardzo dumny ze swojej ostatniej repliki. Została starannie przemyślana, z odpowiednią dozą wulgarności, by pokazać, że nie żartuję. Ukryta w niej groźba strasznych represji ekonomicznych w razie ponownej odmowy, nie zdawała się jednak wyrzucić na Serge'u większego wrażenia.

- Zgadza się, dobrze zrozumiałeś. Jak chcesz, to potrafisz być bystry. A teraz spadaj.

Serge chciał mnie zdenerwować i pozbawić jasności umysłu, aby zaatakować przy linach. Postanowiłem uderzyć w żebra, zadać jeden mocny, bolesny cios.

- Ile dostałeś od Kempa za to, żeby mnie nie wpuścić? Twój szef wie, że pozwalasz na tego typu machlojki?

- Nie komplikuj spraw, Aleks. Nie wejdiesz i kropka. Zjeżdżaj, zanim się wkurzę.

Serge również potrafił przyjmować ciosy. Półtora kwintala mięśni decydowało oczywiście o jego przewadze, nie mówiąc już o kascie, który miał w kieszeni, ani o kiju schowanym za pierwszymi

stopniami schodów. Oprócz tego był z tych, którzy trzymają w kowbojkach nóż sprężynowy.

To wszystko sprawiało, że byłem zmuszony zachować jak największą ostrożność, dlatego wycofałem się do swojego rogu. Mój ruch nie oznaczał jednak kapitulacji, był co najwyżej strategicznym odwrotem.

- Dobra, już sobie idę.
- Doskonale. I nie próbuj już tu wracać.
- Pomyślę o tym.

Coś w moim wnętrzu, być może resztki ambicji, sprzeciwiało się triumfowi bezprawia.

- Jeszcze jedno, Serge... - dodałem, stając w odpowiedniej odległości. Prawdziwy z ciebie skurwysyn.

Opuściłem Inferno wściekły.

Ten drań, Kemp, nie pozwolił mi porozmawiać z Natalią. Kontrolowanie jej prywatnego życia nie wchodziło jednak w zakres jego kompetencji. Nie wyobrażałem sobie nawet, aby taka inicjatywa mogła wyjść od samej Natalii. Zastanawiałem się, co się za tym kryło.

Przed lokalem rozpoznałem fotografa, który przez kilka tygodni próbował złapać nas razem, mnie i Natalię, na samym początku naszej znajomości. Natalia o mało co nie opuściła mnie z tego powodu. Nie mogła znieść, że była śledzona w dzień i w nocy, i że ciągle musiała mieć się na baczności. W końcu powiedziała o tym Kempowi, który podniósł słuchawkę i zadzwonił do kilku przyjaciół.

Nazajutrz paparazzi miał tajemniczy wypadek, gdy wychodził od siebie z domu. Spędził miesiąc z ręką w gipsie, a dwa następne na rehabilitacji. Nie spotkaliśmy go już nigdy więcej.

Fotograf, z teleobiektywem w ręku, polował na sensację tygodnia. Jednak nawet nie raczył na mnie spojrzeć. Niesłusznie, bo moja historia była doskonała.

Weźcie trochę glamour, dodajcie odrobinę mieszanki społecznej i dopełnijcie to wszystko złe przeżywanym rozstaniem, a otrzymacie fascynujący koktajl zdrady i rozczarowania. Moje cierpienie nie wydawało się jednak wzruszać go ponad miarę. Oczywiście nie z przyczyn osobistych. Jak zwykle, była to kwestia pieniędzy.



Magazyny płaciły słono, aby jako pierwsze opublikować największe skandale, zwłaszcza te z udziałem gwiazd o nieposzlakowanej opinii. Raz lub dwa razy do roku można było pokazać kilka niewyraźnych zdjęć gwiazdki filmowej przyłapanej na miłosnych igraszkach z jednym z bohaterów real-TV w ogrodzie willi w Saint-Tropez. Ceny podwajały się, gdy dziewczyna krzyczała, że to spisek i zapewniała o swej wielkiej miłości do podstarzałego producenta poślubionego w ubiegłym roku. Ceny wzrastały pięciokrotnie, jeśli na zdjęciu widać było wyraźnie jej piersi wypełnione silikonem i nabrzmiałe chęcią przyciągania uwagi.

Przeciętny czytelnik kpił sobie z nieszczęśliwego właściciela galerii porzuconego przez swoją top modelkę. Nie istniałem już w bezlitosnym świecie cekinów i strasu. Mój ból był wręcz nieprzyzwoity wobec tragicznych skutków inflacji czy wielkich epidemii w Afryce.

Przeszedłem więc przed fotografem, nie powodując najmniejszego naciśnięcia na wyzwalacz. Trochę dalej, na ulicy z tyłu lokalu, rozpoznałem jego samochód, czarne BMW z napędem na cztery koła. Skorzystałem z ciemności, aby wyryć kluczem na karoserii kilka brzydkich słów.

Nie uspokoiło mnie to. Gdy jednak adrenalina spadła, zacząłem myśleć nad najlepszym sposobem zmycia zniewagi, której doznałem od Kempa.

Rozwiązanie narzuciło się samo. Dużymi krokami skierowałem się do najbliższego baru.

## 4

Wróciłem do domu około wpół do siódmej rano, po reszcie nocy spędzonej na piciu z nieznanymi. Czułem zmęczenie i lekki niesmak po tym, co wydarzyło się tej nocy.

Przechodząc koło kiosku z gazetami, zauważyłem reklamę magazynu kobiecego z Natalią na okładce. Miała na sobie T-shirt z napisem *F\*\*\* me I'm famous*, którą podarowałem jej kilka dni przed naszym rozstaniem. A raczej przed *jej* rozstaniem.

Nic nie wróżyło, że mnie opuści. Nic nie zapowiadało jej decyzji. Pewnego wieczoru powiedziała mi, że powinniśmy się rozstać. Oczywiście dla naszego wspólnego dobra. Aby banalność codziennego życia nie zagasiła w nas żaru namiętności. Mieliliśmy się nadal spotykać, a nawet zostać przyjaciółmi. Łączyło nas piękne, trwałe i mocne uczucie. Może kiedyś, pewnego dnia, kto wie, jak potoczy się życie...

Miałem wrażenie, że znalazłem się w samym środku brazylijskiej opery mydlanej, do tego stopnia jej argumenty brzmiały fałszywie. Wrzuciła do torby kilka nielicznych ubrań, które trzymała u mnie, i wyszła. Nazajutrz, kierowca przyjechał po resztę jej rzeczy.

Nie miałem nawet prawa do romantycznego melodramatu w starym stylu. Od tamtej pory już jej nie widziałem. W ekspresowym tempie powróciłem do kawalerskiego stanu.

Kupiłem magazyn i poszedłem w pośpiechu do domu, by jak najszybciej zakończyć tę żalną noc. Cienka zaporą zasłon nie przepuszczała jeszcze pierwszego blasku świtu i byłem z tego bardzo zadowolony. Mrok dobrze pasował do mojej samotności.

Zielony neon apteki z naprzeciwka rzucił nagle blade światło na ścianę salonu. Przyjrzałem się swojemu wycieńczonemu odbiciu w lustrze przy wejściu. Zdałem sobie sprawę, jak bardzo odmieniła mnie nieobecność Natalii.

Każdy centymetr skóry zdradzał moje cierpienie. Małeńka zmarszczka, która niegdyś rozciągała się leniwie na moim czole, wydłużyła się i pogłębiła. Okropne cienie z czarnymi plamami zakrywały połowę twarzy.

Wyglądałem nie najlepiej. Przy takim tempie starzenia powinienem wkrótce zacząć myśleć o zabiegach z botoksu niczym ostatnia amerykańska kura domowa. Myślałem z przerażeniem o swoim nowym życiu upływającym pomiędzy kolejnymi wizytami u chirurga, tabletkami DHEA i wstrzykiwaniem toksyn.

Burten miał rację. Musiałem nauczyć się żyć bez Natalii.

Było za późno, żeby się położyć. Zaparzyłem kawę, rozsiadłem się wygodnie we fotelu i z roztargnieniem przeglądałem czasopismo. Natalia była wszędzie.

Na pierwszych stronach zdradzała czytelniczkom sekrety pielęgnacji urody, przepisy na swoje ulubione dania oraz podawała listę książek do poduszki. Środkowa część magazynu była poświęcona jej codziennemu życiu.

Fotograf towarzyszył Natalii w jej „typowym dniu”. Można więc było zobaczyć ją na bieżni w sali sportowej, w towarzystwie przyjaciółek zajętą sączeniem energetycznego napoju, którego zalety zachwalała w reklamach telewizyjnych lub w objęciach Kempa w jego apartamencie.

Najbardziej udane były zdjęcia z przymiarek. Jean-Paul Gaultier, pochylony nad jej ramieniem, udawał, że poprawia szpilkę. W rzeczywistości nawet zgrzebna sukienka wydawałaby się wspaniale skrojona na doskonałym ciele Natalii.

W końcu doszedłem do ostatniego zdjęcia. Zostało zrobione w galerii. Natalia, sfotografowana z daleka, nie patrzyła w obiektyw, lecz utkwiała wzrok w punkcie znajdującym się z boku, poza kadrem. W tle widać było wyraźnie mały portret rzymskiego arystokraty maskujący drzwi do mojego sejfu.

Jej twarz rozpromieniał beztroski uśmiech. Choć raz nie kłamała. Fotografowi udało się uchwycić ją taką, jaka była naprawdę, taką jaką ją znałem. Symbol ustąpił miejsca kobiecie, w której byłem zakochany.

To zdjęcie, tak bardzo wyróżniające się spośród innych, zaintrygowało mnie. Podpis pod nim mówił tylko, że Natalia kolekcjonowała dzieła sztuki i uwielbiała spacerować po galeriach Saint-Germain

des Prés. Tak naprawdę, zdjęcie mogło zostać zrobione gdziekolwiek. Nigdzie nie pojawiło się moje nazwisko.

Prawda poraziła mnie jak grom z jasnego nieba i była równie bolesna jak cios zadany w szczękę. Znałem to zdjęcie. Jak mogłem nie zauważyć tego od razu?

Pobiegnęłam do sypialni. Obok łóżka, na stoliku nocnym, leżała duża koperta z grubego papieru. W środku znajdowało się około dziesięciu odbitek. Natalia podarowała mi je niedługo po sesji zdjęciowej w galerii. Rzuciłem wtedy na nie okiem i już więcej do nich nie wracałem. Były to czasy, kiedy co rano budziłem się obok oryginału. Nie potrzebowałem tych nieudolnych imitacji na błyszczącym papierze.

Wybrałem zdjęcie, które mnie interesowało, a resztę rzuciłem na podłogę. Wróciłem do salonu, położyłem je na sąsiedniej stronie magazynu i od razu potwierdziły się moje przeczucia. Na oryginale kadr był dużo szerszy i oczy Natalii nie patrzyły w próżnię.

Obserwowała mnie.

Nagle powróciły wszystkie wspomnienia. Natalia wyglądała imponująco w perłowej sukience z głębokim wycięciem z przodu. Kochaliśmy się kilka minut wcześniej, tuż przed wyjściem z jej apartamentu. Uśmiechnięta i odprężona, nalegała, by fotograf ujął nas na zdjęciu razem, jako parę, w celu ujawnienia publicznie naszego związku.

Sesja zdjęciowa nie trwała długo, prawdę mówiąc najkrócej, jak to było możliwe. Bardzo szybko wróciliśmy do niej i znów kochaliśmy się na dywanie w salonie.

Zdjęcie zostało wykadrowane tylko po to, by mnie z niego usunąć. Było jednak bardzo udane i kupiło je wiele magazynów. Natalia powiedziała mi o tym, z dumą wręczając odbitki. O tej godzinie czytelniczki z blisko dwudziestu krajów patrzą pewnie na owo świadectwo mojej miłosnej porażki.

To smutne stwierdzenie złamało w końcu moją dumę. Chwyliłem za telefon i wystukałem gorączkowo jej numer. Metaliczny głos znów poinformował mnie, że wybrany numer już nie istnieje. Natalia zmieniła go dzień po naszym rozstaniu.

Przypuszczałem, że zrobiła to samo z zamkiem w drzwiach swojego apartamentu, więc mój klucz też do niczego się już nie przyda. To wszystko przypominało kiepski film telewizyjny.

Rozłączyłem się i postanowiłem zadzwonić do Kempa. Po siedmiu czy ośmiu sygnałach odpowiedział mi w końcu zaspany głos.

- Mmm...
- Kemp?
- Kto tam?
- Aleks Cantor.
- Przeginasz Aleks. Wiesz, która jest godzina?
- Po siódmej. Zawsze sądziłem, że jesteś rannym ptaszkiem, stary.

- Harowałem wczoraj do późna w nocy. I nie mów do mnie „stary”. Wiesz, że nienawidzę tego rodzaju poufałości.

Kemp był marnym kłamcą. Za to jego złość nie budziła żadnej wątpliwości. Pod wpływem zmęczenia jego niemiecki akcent był jeszcze bardziej wyraźny.

- Czego chcesz?
- Porozmawiać z Natalią. Daj mi jej nowy numer.
- Nie ma mowy. Natalia nie chce mieć z tobą nic do czynienia, nawet przez telefon. Odczep się od niej. Nie jesteście już razem, przypominam ci, w razie gdybyś o tym zapomniał.
- Bądź miły, Kemp, powiedz mi przynajmniej, gdzie ona jest.
- Na sesji zdjęciowej w Nowym Jorku. Wraca dopiero w przyszłym tygodniu.
- Widziałem ją tej nocy w Inferno - westchnąłem ze złości, że Kemp ma mnie za takiego kretyna.
- Musiałeś się pomylić. Natalii nie ma w tej chwili w Paryżu.
- Mogę więc do niej wpaść i to sprawdzić? - zapytałem prowokująco.

Nie miałem najmniejszej ochoty zmierzyć się z cyfrowym zamkiem Natalii, ale Kemp nie mógł o tym wiedzieć. Moje pytanie jeszcze bardziej go rozdrażniło. Jego oburzenie zamieniło się w prawdziwą złość.

- Jesteś niemożliwy Aleks. Kiedy wreszcie przestaniesz zachowywać się jak dziecko? Natalia uznała, że chodzenie z tobą szkodziło jej karierze. Ma lepsze rzeczy do robienia niż spędzanie życia z taką miernotą, jak ty. Między wami wszystko skończone.

- Lepiej żeby chodziła z bogatymi facetami, takimi jak ten z cygarem, co? Ile milionów ma na koncie ten typ? Bierzesz przynajmniej jakiś procent od wypożyczania jej na wieczór?

Kemp wydawał się zbity z tropu. Przez kilka sekund nic nie mówił. Słyszałem jego oddech po drugiej stronie słuchawki. Trafiłem w jego czuły punkt.

- No i jak, Kemp, nawet się nie bronisz? Chyba nie powiesz mi, że...

Moje słowa zawisły w próżni. Agent rozłączył się, nie mówiąc nic więcej. W słuchawce rozległ się piszczący dźwięk.

Niewiele zyskałem, oprócz pewności, że Kemp miał swój udział w moim nieszczęściu. No i był jeszcze ten mężczyzna w antracytowej marynarce. Jakoś jednak nie mogłem sobie wyobrazić, że Natalia opuściła mnie dla niego.

Nagle salon zaczął wirować wokół mnie. Ledwie zdążyłem dobiec do muszli klozetowej. Zwróciłem nie tylko nadmiar alkoholu w moim żołądku. Pozbyłem się również wstrętu, który budziła we mnie cała ta historia.

Kiedy znalazłem w końcu siły, żeby się podnieść, moje skronie przeszły tępy ból. Rzuciłem się na łóżko i zasnąłem kamiennym snem, pragnąc obudzić się jak najpóźniej.

## 5

Sara Novac przybyła na miejsce zbrodni około jedenastej rano. Zaparkowała na chodniku przed budynkiem, w którym dokonano zabójstwa. Pozwoliła, by niebieska lampa na dachu samochodu migiała dłużej, niż było to konieczne. Zazwyczaj lubiła też powiadomić o swoim przybyciu piskiem opon.

Jednak tym razem powstrzymała się. Sprawa była poważna. Policja musiała zachowywać dyskrecję w eleganckich dzielnicach. Sara zadowolona była więc tym, jak na nią, skromnym wejściem.

Za kordonem bezpieczeństwa, policjant wyznaczony przez komisarza okręgowego do pilnowania miejsca zbrodni usiłował powstrzymać natarcie pierwszych gapiów, którzy ściągnęli tu niczym hieny zwabione zapachem krwi. Tak było zawsze, gdy rozchodziła się wiadomość o śmierci jakiejś znanej osoby. Każda plotkarka chciała zdobyć jakąś informację, żeby zaimponować swojej sąsiadce. W niezwykłym świecie staruszków panowała ostra rywalizacja o nagrodę za najlepszą plotkę tygodnia.

Sara wysiadła z lekkością z samochodu i oparła pośladki w trochę zbyt opiętych Levisach o drzwi pojazdu. Zapaliła papierosa, mocno zaciągnęła się dymem i poczuła przyjemny napływ nikotyny do krwi. Przed przystąpieniem do śledztwa próbowała najpierw przesiąknąć atmosferą miejsca. Z doświadczenia wiedziała, jak bardzo otoczenie wpływa na scenariusz zbrodni. Nie uczono tego w szkole policyjnej. Sara przekonała się o tym przez wszystkie lata spędzone na oglądaniu ciał ofiar.

Zawsze było tak samo: miernoty pozostawiały po sobie widoczne ślady i były natychmiast zatrzymywane. Udawało się jedynie najsprytniejszym. Świat przestępczy powielał nierówności społeczne, przy czym potęgował je jeszcze bardziej.

Sara została wybrana przez państwo republikańskie i egalitarne, aby sprzeciwić się logice tej selekcji naturalnej. Była ziarenkiem piasku w doskonałej maszynie ewolucji.

Słono płaciła za ów przywilej. Dziesięć lat pracy w policji kryminalnej przypłaciła kilkoma konkubentami, utratą sporej liczby przyjaciół oraz rezygnacją z macierzyństwa. Mając prawie trzydzieści siedem lat, przyzwyczała się w końcu do przelotnych związków, znużenia kochanków budzącymi ich telefonami i pustego łóżka, kiedy wracała nocą do domu.

Jednak za bardzo ceniła swoją pracę, aby oglądać się za siebie i oplakiwać stracony czas. Kochała migoczące światło syreny w nocy oraz zimny dotyk .38 Special na swojej skórze. Kochała szukać tygodniami śladów i przekształcać każdy drobny szczegół w niezbity dowód. I ponad wszystko uwielbiała suchy szcęk kajdanek zatrzaśkiwanych na nadgarstkach przestępcy.

Jedyna wątpliwość dotyczyła sposobu, w jaki ułożyły się różne elementy jej życia. Czy od początku praca stała się centrum jej życia ze względu na zamiłowanie lub powołanie, czy też wręcz przeciwnie - owa zawodowa obsesja zrodziła się z ponurych wieczorów i weekendów.

W sumie kolejność była bez znaczenia. Sara była dobrym gliną i wiedziała o tym. Lopez często jej powtarzał, że ma wycucie, cechę, którą posiadają najlepsi w tym zawodzie. Według niej, jej zawodowy sukces miał związek z zupełnie innym faktem, bardziej wstydlwym: od najmłodszych lat nienawidziła przegrywać.

Ofiara mieszkała w domu z obrobionego kamienia, stojącym z dala od ulicy. Za oszklonymi drzwiami holu zaczynały się szerokie marmurowe schody pokryte czerwonym dywanem. Na chodniku przed budynkiem stało kilka luksusowych samochodów, wyłącznie niemieckich i angielskich. W pobliżu budynku było pusto, jedynie za oknami trzeciego piętra widać było kilka sylwetek w mundurach.

W krótkiej rozmowie telefonicznej komisarz Lopez poinformował ją, że nie było śladów włamania. Ofiara знаła więc mordercę, inaczej nie wpuściłaby go. W takich dzielnicach mieszkańcy łatwo popadali w paranoję.

Zadowolona z oględzin miejsca, rzuciła niedopałek papierosa na ziemię i rozgniotła go końcem buta. Podniosła głowę, słysząc pisk



opon. Czerwone alfa romeo zaparkowało tuż obok jej samochodu. Nie musiała czekać, aż kierowca wysiądzie z pojazdu z przyciemnionymi szybami, żeby wiedzieć, że jest to Eric Copley, dziennikarz free lancer specjalizujący się w skandalach politycznych.

Z pozoru poczciwy, Copley był prawdziwym psem myśliwskim, upartym i z niezawodnym wyczuciem. Kiedy zwęszył interesującą aferę, doprowadzał swe dochodzenia do końca. Nigdy ich nie porzucał i miesiącami mógł podążać za jakimś śladem.

Był dobry w tym, co robił. Przypisywano mu nawet ujawnienie istnienia nieślubnej córki byłego prezydenta. Facet miał tupet i cholerny zmysł przetrwania. Nawet jeśli wybrali inne drogi, Copley i Sara byli do siebie bardzo podobni.

Sara zastanawiała się, w jaki sposób udało mu się przybyć tak szybko, podczas gdy ona sama dopiero co dowiedziała się o sprawie. Obiecała sobie, że powie o tym dwa słowa dozorczyni.

Ponieważ domyślała się, o co zapyta ją dziennikarz, zrobiła się spięta, jak tylko odezwał się do niej.

- Witaj, ślicznotko, masz minutkę?

- Copley, wiesz dobrze, że na razie nic nie mogę ci powiedzieć. Lopez jest zdolny zamknąć mnie w biurze do samej emerytury, jak się dowie, że z tobą rozmawiałam.

- Nie martw się o to. Jesteś zbyt potrzebna, by marnować twoje talenty na wypełnianie papierów. A gdyby nawet zobaczył nas razem, twój szef nie będzie w stanie dostrzec powiązania z tym śledztwem. Jego mózg nie jest dostosowany do wyciągania aż tak skomplikowanych wniosków.

Sara natychmiast rozluźniła się po tej uwadze. Słuchanie złych opinii o swoim przełożonym dostarczało jej niemal tyle samo radości, co wygłaszanie ich.

Copley wykorzystał to.

- Lopez wybacza ci twoją niewyparzoną gębę i paskudny charakter, bo cię ceni. Nigdy nie pójdziesz w odstawkę. Nic ci nie grozi, jeśli tylko potwierdzisz plotkę. W takim razie, *ona* naprawdę nie żyje?

- W jaki sposób tak szybko się o tym dowiedziałeś?

- Mam dobrych informatorów. I w przeciwieństwie do tego, co sądzisz, dozorczyni nic mi nie powiedziała.

- Czyli to ktoś od nas...  
- Daj spokój Sara, nie miałbym żadnej przyszłości w tym zawodzie, gdyby twoi koledzy byli tak małowówni jak ty. Nie ma to jak mała rekompensata pieniężna, aby rozwiązać języki. A w dodatku wliczam to sobie w koszty. Jak to się w życiu dobrze układa!

Wesoły śmiech Coplera przerwał nienaturalną ciszę panującą na ulicy. Zapalił papierosa i zaproponował jednego Sarze, która odmówiła skinieniem głowy.

- Mam wielką ochotę zabrać cię na komisariat i zadać parę pytań na temat twoich informatorów... - zażartowała. Muszę już iść. Przykro mi, że nie mogłam powiedzieć ci nic więcej na ten temat.

Copler podjął ostatnią próbę.

- Nie podam twojego nazwiska, obiecuję. Zostaniesz tradycyjnym „źródłem bliskim śledztwu”. Nie zbywaj mnie, Saro... W jaki sposób zaspokoję ciekawość swoich czytelników, jeśli osoba prowadząca dochodzenie odmawia mi wyjaśnień?

- Tylko nie zaczynaj swojego popisowego numeru na temat wolności informacji. A zresztą sprawa nie jest z twojej działki. Zazwyczaj nie siedzisz w show biznesie. Czego więc tu szukasz?

- Każdy ma swoje tajemnice. Na razie przyjmijmy, że mój instynkt podpowiedział mi, żeby przyjechać rozejrzeć się tutaj dziś rano. I kogo spotykam? Królową zbrodni, seks bombę policji kryminalnej, Sarę Novac we własnej osobie. Z moim ponadprzeciętnym intelektem wydedukowałem, że dzieje się coś ciekawego w okolicy. Odpowiada ci moje wyjaśnienie?

- Oszczędź mi tych bzdur... - westchnęła Sara. Dlaczego tu jesteś?

Copler zawahał się przez moment, zanim podjął decyzję. Wiedział, że nie spodoba się ona prowadzącej śledztwo.

- Na razie nie mogę ci nic powiedzieć. Muszę to sobie trochę uporządkować. Obiecuję, że opowiem ci o tym za jakiś czas.

Spojrzał na zegarek i wrzucił do ścieku wypalonego do połowy papierosa.

- No dobrze, leczę. Mam jeszcze parę rzeczy do sprawdzenia. Do zobaczenia ślicznotko. Zdzwonimy się.

Zasiadł za kierownicą swojej alfy, zapalił silnik i wyjechał na ulicę wrzucając szybko bieg wsteczny. Gdy mijał Sarę, posłał jej

poprzez przyciemnioną szybę mały znak ręką i nacisnął na pedał gazu.

Sara patrzyła za znikającą za rogiem ulicy alfą. Pośpiech dziennikarza, aby zakończyć jak najszybciej rozmowę, można było porównać do ucieczki. Copley nigdy nie uchylał się przed zadaniem pytaniem w tak widoczny sposób. Przeciwnie, ich relacje były zawsze szczere, na tyle, na ile pozwalała im na to tajemnica zawodowa. Osobiście informowała go o wynikach swoich śledztw. W zamian dostawała od niego poufne informacje uzyskane w półświatku, czyli tam, gdzie legitymacja dziennikarska otwierała drzwi, które legitymacja policyjna zamykała.

Starając się nie ujawniać swojego poruszenia, Sara pozdrowiła lekkim ruchem ręki policjanta, który pilnował wejścia do budynku. Ten spojrział przelotnie na odznakę, którą Sara wysunęła z kieszeni kurtki.

Zdjęcie wykonane w czasie, gdy zaczynała pracę w policji, przedstawiało delikatną kobietę o ładnych rysach. Od tamtej pory bardzo się zmieniła. Ledwie można było ją rozpoznać. Była bardziej umięśniona i obcięła włosy. Zahartowała się. Ciało i umysł przystosowały się do codziennego piekła, w którym żyła. Nie uznała jednak za konieczne, aby wymienić zdjęcie na bardziej aktualne. Wręcz przeciwnie, zależało jej, by zachować to świadectwo jej wcześniejszego życia.

Wstąpienie do policji, pod koniec lat osiemdziesiątych, było aktem politycznym. Odrzucała bierność swoich przyjaciół, którzy patrzyli na pogłębianie się nierówności i niesprawiedliwości społecznej, nie decydując się na żadne działanie. Sara pragnęła być jak najbliżej nieszczęść ludzkich, tam, gdzie rozgrywała się przyszłość.

Z biegiem czasu zrozumiała, że to wszystko było na nic. Każdy trup oddalał ją coraz bardziej od tamtej uśmiechniętej kobiety o zielonych oczach pełnych nadziei. Zrezygnowała z zawracania potoku rozpacz i pogodziła się w końcu ze swoją bezsilnością wobec biegu wydarzeń. Poddawała mu się i to wystarczało.

W czasie, w którym zostało zrobione zdjęcie, z pewnością nie nawidziłaby osoby, którą się stała.

## 6

Poczuła ten zapach już od holu budynku. Zapach wypastowanego parkietu i polerowanej codziennie miedzi. W ustach nie czuła już dymu papierosowego tylko delikatny smak luksusu. Weszła do starej, ciasnej windy, zamknęła kratę z kutego żelaza i nacisnęła przycisk trzeciego piętra.

Koledzy z laboratorium kryminalistycznego wykonali już swoją pracę i zabierali się za składanie sprzętu. Sara pozdrowiła kilka znajomych osób i uściśniła w pośpiechu parę rąk.

Nie chciała się rozpraszać. Wszystko rozgrywało się w pierwszych minutach śledztwa, kiedy umysł był jeszcze wystarczająco świeży, by zauważyć każdy szczegół. Zagłębianie się w intymny świat ofiary wymagało intensywnego wysiłku. Koncentracja słabła bardzo szybko. Oko przyzwyczajało się do nowego otoczenia i traciło zdolność do ustalania hierarchii informacji.

Sara zapytała o komisarza Lopeza. Młody porucznik wskazał na pomieszczenie na końcu długiego korytarza, oświetlone ostrymi reflektorami.

Szła powoli, obserwując wiszące na ścianach fotografie. Wszystkie przedstawiały tę samą modelkę, wyniosłą kobietę o słowiańskiej urodzie i długich blond włosach. Na żadnej z odbitek nie uśmiechała się, ani nie patrzyła w obiektyw. Wpatrywała się w ziemię lub w punkt znajdujący się gdzieś daleko za fotografem.

Na końcu korytarza, jedno zdjęcie oddzielone pustą przestrzenią, wyraźnie różniło się od pozostałych fotografii. Sara zatrzymała się przed aktem Helmuta Newtona, który widziała już w jednym z magazynów.

Dziewczyna siedząca na fotelu z ciemnej skóry, miała na sobie jedynie parę czarnych czólenek. Skrzyżowane wysoko nogi ledwie zasłaniały początek wzgórka łonowego. Silnie wygięty tułów

uwydlatniał linię kształtnych piersi. Sara przystanąła i z podziwem patrzyła na to doskonale ciało, pełne i jędrne zarazem.

Po chwili ruszyła dalej. Skrzywienie jej sportowych butów Pumpy na parkiecie w jodelkę przypominało jej, jak obcy był dla niej ten bogaty i pełen wygody świat.

Komisarz Lopez wyszedł jej na spotkanie. Jak zwykle wydawał się być w podłym humorze. Pod prążkowaną marynarką, na odwiecznej szarej koszuli widać było dwie ciemne obwódki.

- Wreszcie jesteście! Najwyższa pora. Już mieliśmy zabrać zwłoki i nałożyć plomby. Następnym razem masz się pospieszyć. Nie możemy czekać, aż raczysz przyjść.

- Rozejrzałam się na zewnątrz, odpowiedziała Sara, nie przejmując się upomnieniami szefa. To się stało w tamtym pokoju?

- Tak, to sypialnia. Morderca nie próbował przynieść ofiary. Wszystko jest jeszcze na swoim miejscu.

Lopez wszedł pierwszy do sypialni i podniósł prześcieradło, którym było nakryte łóżko. Całun odsłonił ciało młodej kobiety o blond włosach, tej samej, która była na zdjęciach. Leżała na plecach, cała naga. Jej szeroko otwarte oczy wydawały się wpatrywać w nieskończoność, znajdującą się gdzieś wysoko ponad sufitem. Ręce były przykute kajdankami do ram łóżka. Całość tworzyła skromną, wręcz surową scenę.

- Nieźle... - wyszeptła Sara. Zmarła w trakcie stosunku. Jakże są pierwsze ustalenia lekarza sądowego?

- Wstępny raport ograniczy się z pewnością do kilku zaprzeczeń: brak urazów, zadrapań, nie znaleziono niczego pod paznokciami, żadnych śladów oporu czy walki. Wymaz z pochwy wykazał obecność nasienia. Zakładamy, że ofiara nie broniła się. Jeśli zabójcą był mężczyzna, z którym się pieprzyła, to mamy wystarczająco dużo DNA, aby go zdemaskować. Oprócz nasienia, pozostawił na łóżku kilka włosów.

- Przyczyna zgonu?

- Trudno powiedzieć... Lekarz sądowy zakłada, że może chodzić o przedawkowanie.

- Skąd to przypuszczenie?

Lopez zbliżył się do trupa i uniół lekko jego rękę. Wskazał Sarze maluteńki ślad po ukłuciu.

- Coś jej wstrzyknięto.  
- Dlaczego „wstrzyknięto”? - zaprotestowała Sara. Mogła równie dobrze sama coś sobie wstrzyknąć.

- W tym sęku. Nie znaleziono strzykawki ani opaski. Przeszliśmy cały apartament, opróżniliśmy kosze na śmieci. Żadnego śladu.

- Mogła to zrobić gdzie indziej, u przyjaciół. Zanim wróciła do domu...

- Według lekarza sądowego zastrzyk został zrobiony na kilka minut przed śmiercią. Nie pytaj mnie, skąd to wie, napisze to w swoim raporcie. Facet, który to zrobił, przyszedł ze swoim sprzętem i z nim wyszedł.

- Dopóki nie dowiemy się, co jej wstrzyknął, nie będzie można stwierdzić na sto procent, że celowo ją zabił. Być może śmierć nastąpiła przypadkowo.

- Poleciałem przekazać lekarzowi sądowemu, żeby niezwłocznie wykonał sekcję. Jeśli to możliwe, jutro rano. Ze względu na popularność tej panny, trzeba będzie działać jak najszybciej. Za kilka godzin media będą siedzieć nam na karku i molestować nas, dopóki nie damy im czegoś na odczepne. Natychmiast bierzesz się za śledztwo. Masz pracować cały czas, nie będziesz spała ani jadła, zanim nie zatrzymasz winnego, rozumiano? Daję ci na to dwa dni.

Sara przytaknęła. Była przyzwyczajona do jego wybuchów aurytatywności. Już dawno przestała zwracać na nie uwagę.

Komisarz mógł być czasem stanowczy, ale znał się na robocie i dobrze zarządzał wydziałem. Poza tym, miał zwyczaj bronić swoich podwładnych w razie kłopotów.

Kiedy śledztwo nie posuwało się do przodu, większość wyższych oficerów robiła, co mogła, aby zwalić winę na swoich ludzi. Ambitny glina musiał być sprytny i przyjmować na siebie odpowiedzialność jedynie w razie sukcesu.

Lopez był wyjątkową postacią w tym środowisku, gdzie rozdawanie pochwał czy nagan miało niewiele wspólnego z zasługami poszczególnych osób. Wolał wziąć wszystko na siebie w trudnych chwilach i pracować u siebie później, kiedy gryzpiórki z ministerstwa odłożą słuchawkę i powrócą do redagowania uspokajających komunikatów dla prasy.

Nie przeszkadzało mu to jednak porządnie nakrzyczeć na winowajcę i odesłać go na tydzień lub dwa do zbierania martwych kłoszardów. W kwestii zasad Lopez mógł rywalizować z jansenista, który opuścił właśnie mury Port-Royal.

- Chłopcy z laboratorium zauważyli coś? - zapytała Sara.

- Odciski w całym apartamencie, oprócz kajdanek i ram łóżka. Nie zabrano pieniędzy ani wartościowych przedmiotów. Nie włamano się również do sejfu. W sumie, najmniejszego śladu. Mnóstwo roboty przed tobą.

- Wspaniale. Kto znalazł ciało?

- Jej agent, niejaki... Zaczekaj, sprawdzę, zanotowałem sobie...

Komisarz wyciągnął notes z wewnętrznej kieszeni marynarki i kartkował go przez kilka sekund zanim odnalazł właściwą stronę. Od czasu jak, dwadzieścia lat temu, zapomniał spotkać się ze swoją żoną w restauracji i ta odeszła od niego, zapisywał wszystko w swoim cennym czarnym notatniku, z którym nigdy się nie rozstawał.

W dobie informatyki i cyfrowych urządzeń Lopez uchodził za zacofanego w tej dziedzinie. Rozszyfrowywanie kodu DNA i przeszukiwanie baz danych interesowały go tyle, co prywatne życie jakiejś modnej gwiazdeczki.

Zmuszać świadków do mówienia, grzebać w życiu innych, badać pozostawione przez przestępców ślady... Oto co potrafił.

Jednak od połowy lat dziewięćdziesiątych czuł, że sprawy zaczynają mu się wymykać spod kontroli. Komisariaty zamieniały się powoli w najnowocześniejsze laboratoria. Technicy w kombinizonach astronautów czerpali niezdrową przyjemność z identyfikowania najmniejszej odrobiny kurzu. Jedyne trud, jaki jeszcze sobie zadawano, to przesłuchanie świadka.

Wkrótce obecność oficera śledczego na miejscu zbrodni będzie wydawała się równie dziwna, jak obecność krytyka kulinarnego w podmiejskim fast foodzie.

Choć mogło się to wydawać zaskakujące, komisarz Lopez gromadził sukcesy od ponad ćwierć wieku. Sekret tego powodzenia zawierał się w dwóch słowach: porządek i dokładność. Każdy centymetr kwadratowy jego biura potwierdzał tę filozofię. Żaden filmowy glina nie czułby się pewnie pośród równo poukładanych kartonów z aktami i raportów ułożonych w stos z mistrzowską precyzją.

Choć nigdy u niego nie była, Sara wyobrażała sobie, jak mieszka w jednym z tych małych, ciemnych mieszkań na poddaszu, z widokiem na podwórko, które zamieszkiwali starzy kawalerowie.

Jedyną karykaturalną rysą na jego wizerunku była garderoba. W okularach w rogowej oprawie, w przyciasnych trzyczęściowych garniturach oraz z włosami na żelu zaczesanymi starannie do tyłu, nie wyglądał na niestrudzonego tropiciela przestępców. Przypominał raczej piosenkarza u schyłku kariery, takiego podstarzałego Buddiego Holly, który z braku dobrego gustu nie uznał za stosowne umrzeć w odpowiednim czasie.

- Mam - powiedział, odkładając notatnik na miejsce. Agent nazywa się Kemp, Thomas Kemp. Ofiara nie pojawiła się dziś rano na sesji zdjęciowej, więc przyszedł sprawdzić, co się stało. Miał klucz.

- Gdzie on jest? Przypuszczam, że nie pozwolił mu pan odejść.

- Pewnie, że nie. Zostawiłem ci go. Czeka w salonie. Wiesz już wszystko, teraz twoja kolej.

Nie przedłużając rozmowy, Lopez opuścił sypialnię swoim przyćmionym krokiem. Tuż przed swoim wyjściem, Sara odwróciła się i spojrzała ostatni raz na ciało Natalii Velit.

Nigdy nie spotkała tej kobiety, a jednak oglądając ją często w magazynach lub w telewizji, miała wrażenie, że zna ją prywatnie. Poczula ogromny smutek, widząc ją nagą i przykutą do stalowych prętów łóżka.

Obraz po obrazie, wszystkie ciała ofiar, z którymi miała do czynienia, stały jej przed oczami i utworzyły kalejdoskop cierpień i okropieństw. Sara poczuła mdłości.

Jeszcze raz zrobi to, co do niej należy. Morderca z pewnością sądził, że nie pozostawił po sobie żadnych śladów, ale Sara wiedziała dobrze, że najmniejszy szczegół, może zepsuć każdy mechanizm pomyślany jako doskonały. Obiecała sobie, że będzie ścigać tego drania bez wytchnienia. Nie pozwoli, by zabijał inne kobiety.

Stanowczo nie lubiła osoby, którą się stała.



Sara nigdy nie przyzwyczaiła się do widoku śmierci. Nie przypominała w niczym bohaterów kiepskich filmów grozy rozkoszujących się przebywaniem wśród nieboszczyków. Jej trupy nie były ociekającym ketchupem połączeniem stali i silikonu, budzącymi się po to, by wyjść człowiekowi mózg i wyruszyć na podbój świata.

Były jak najbardziej realne i leżały grzecznie w komorze chłodniczej, owinięte w plastikowe worki nadające się do recyklingu. Łzy ich bliskich miały gorzki smak nieszczęścia i tragedii.

W świecie Sary każde odejście było ostateczne.

Tak naprawdę nie walczyła dla zmarłych. Dużo czasu zajęło jej uświadomienie sobie tej prawdy. Na początku godzinami siedziała ze łzami w oczach nad rozłożonymi na biurku zdjęciami zwłok ofiar. Jej biuro, zamienione w salon pogrzebowy, wydawało się najlepszym schronieniem przed brutalnością świata zewnętrznego.

Przez pierwsze dwa miesiące pracy w policji kryminalnej bardzo rzadko opuszczała biuro, całkowicie sparaliżowana myślą, że mijający ją przechodnie mogą pewnego dnia znaleźć się w jej ponurej kolekcji zdjęć. Każdy kontakt z ludźmi, nawet najbardziej powierzchowny, wydawał się jej daremny i niebezpieczny dla innych, ale przede wszystkim dla niej samej.

Pomimo ewidentnego braku skuteczności, Lopez nie czynił jej najmniejszych wyrzutów. Pozwolił jej zmagać się z samą sobą tygodniami, dopóki nie zrozumiała, iż nie do niej należy oplakiwanie każdej ofiary. Zadanie to spoczywało na dzieciach, małżonkach i rodzicach zmarłych, na tych, którzy ich znali i kochali. Nie miała prawa pozbawiać ich tego.

Uświadomiła to sobie w dniu, w którym Lopez kazał jej iść do kostnicy z młodą kobietą około trzydziestki. Jej czteroletni syn

został właśnie odnaleziony w krzakach kilkaset metrów od domu. Zgwałcono go i uduszono. Na jego delikatnej szyi było jeszcze widać ślady dłoni, które pozbawiły go powietrza.

Trzy piętra wyżej, te same smukłe i delikatne dłonie solisty o międzynarodowej sławie spoczywały przykute do prętów krzesła.

Kiedy Sara rozsunęła zamek błyskawiczny worka, matka odgarnęła włosy przyklejone przez deszcz do czoła dziecka i na długo przyłożyła swe usta do skóry pobrudzonej błotem. Następnie dał się słyszeć jęk, ciche łkanie, które wzbierało na sile, by zamienić się w przerażający krzyk bóleści.

Niesiony niezwykłą siłą, krzyk przeszył ściany i stropy i dotarł aż do biura, w którym przesłuchiowano muzyka. Jego rysy napięły się. Zrozumiał natychmiast. Jego niewzruszona pewność siebie znikła w jednej chwili. Przyznał się nie tylko do zabójstwa dziecka, ale i do zabójstwa dziewczynki, popełnionego rok wcześniej.

Ten krzyk był dla niego największą karą, o wiele bardziej dotkliwą niż dożywocie, na które skazano go w trakcie procesu. Noc w noc słyszał go w swojej głowie i po roku powiesił się w celi na ręczniku.

Dla Sary ów krzyk był wielce znamienity. Rozpacz tamtej matki zrodziła w niej nową siłę. Od tamtego dnia Sara pracowała tylko dla niej. Aby nadać sens jej cierpieniu i już nigdy nie być świadkiem podobnej sceny.

Setkom godzin pracy przyświecał jedyny cel - by nad potencjalnymi mordercami ciążyła nieuchronność kary. Jeżeli choć jeden z nich, w ostatniej chwili, powstrzymał swe mordercze skłonności ze strachu przed karą, odnosiła zwycięstwo.

Sara walczyła dla żywych, to była jej siła.

## 8

Thomas Kemp czekał, aż ktoś wreszcie się nim zainteresuje. Poproszono go dwie godziny temu, aby zaczekał na kanapie w salonie i czas zaczynał mu się dłużyć. Po telefonie do policji miał najpierw do czynienia z funkcjonariuszem patrolu, miłym, choć trochę tępy, który o mało nie zemdlął na widok ciała Natalii.

Potem przybył komisarz, z ciekawską miną i nieudolnie skrywaną podejrzliwością w oczach. Kemp musiał się wylegitymować i usprawiedliwić swoją obecność w mieszkaniu.

Następnie specjalistka z wydziału kryminalistyki pobrała od niego odciski palców i kazała mu stawić się nazajutrz w wydziale do spraw karnych. Pobranie materiału potrzebnego do analizy jego DNA nie mogło być wykonane tu, na miejscu, ale nie powinno trwać więcej niż kilka minut, tyle ile potrzeba na pobranie kilku kropel śliny na duży wacik na patyczku - zapewniła go. Badanie jest szybkie i bezbolesne, a wyniki będą w ciągu zaledwie czterdziestu ośmiu godzin, po czym mógł być definitywnie uniewinniony, jeśli jego kod genetyczny nie będzie odpowiadał kodowi pobranemu z ciała ofiary. Mimo niemiłego wrażenia, iż jest traktowany jako potencjalny podejrzany, Kemp zgodził się wykonać test następnego dnia.

Na widok wchodzącej do salonu inspektor o promiennym spojrzeniu, pomyślał, że może przezorniej byłoby skontaktować się ze swoim adwokatem, zanim zacznie rozmawiać z policją.

Wstał i podał jej dłoń. W uścisku policjantki wyczuł siłę, której trudno było spodziewać się po filigranowej sylwetce. Ta kobieta była niebezpieczna. Trzeba będzie mieć się na baczności.

- Kapitan Novac - przedstawiła się. Jestem odpowiedzialna za śledztwo.

- Thomas Kemp. Jestem... byłem agentem Natalii.

Nie spuszczał jej z oczu ani na moment, kiedy siadała naprzeciw niego. Sara dostrzegła jedynie lekkie drzenie w jego głosie, ledwie wyczuwalne w jego niemieckim akcencie. Pomimo tragedii, uśmiechał się grzecznie.

- Przybył pan na miejsce pierwszy, zgadza się?

- Tak. Natalia miała sesję zdjęciową dziś rano. Czekaliśmy na nią godzinę, a ponieważ nie odbierała telefonu, przyjechałem sprawdzić, co się dzieje.

- Często się spóźniała?

- Nie, nie często. Zdarzyło się jej raz czy dwa zapomnieć o spotkaniu, ale nic więcej... Nie zaniepokoiło mnie to. Pomyślałem, że nie usłyszała budzika i pewnie jeszcze spała.

- Co pan zrobił po przyjeździe na miejsce?

- Nic szczególnego. Nacisnąłem na dzwonek, ale ponieważ nikt nie odpowiadał, otworzyłem drzwi i wszedłem do środka.

- Pewien fakt nie daje mi spokoju, panie Kemp. Morderca wszedł do mieszkania, nie włamując się. To oznacza, że Natalia wpuściła go lub, że miał klucz. Wie pan, kto posiadał klucz do jej mieszkania?

- Nikt inny oprócz mnie. Jestem tego całkowicie pewien. Natalia wymieniła zamek w drzwiach niecały miesiąc temu. Zachowała dwa komplety kluczy, ja otrzymałem trzeci.

- Przypuszczam, że byliście ze sobą blisko?

- Zawód agenta to bardzo specyficzny rodzaj pracy. Większość czasu spędzam na negocjowaniu kontraktów modelek i ustalaniu ich rozkładu dnia. Dbam również o to, aby nie martwiły się o sprawy materialne. Robię im zakupy, jeśli czegoś potrzebują, zajmuję się nimi... W pewnym sensie jestem ich niańką. Wie pani, te kobiety są bardzo wrażliwe. Mają osiemnaście lub dwadzieścia lat, większość z nich pochodzi z Europy Wschodniej i jest daleko od rodziny. Nie mówiąc już o presji, której są poddawane.

- Sypiał pan z nią?

Brutalność pytania zaskoczyła Kempa. Milczał przez kilka sekund zanim zareagował.

- Ja... nie jestem pewien, czy to...

- Proszę odpowiedzieć. Muszę wiedzieć o najbardziej intymnych szczegółach.

- Poza faktem, że nie pociągają mnie kobiety - pod względem seksualnym oczywiście - Natalia dochodziła do siebie po bolesnym rozstaniu. Była sama i to jej zupełnie odpowiadało.

- Jeszcze jedno pytanie dotyczące drzwi: jeśli dobrze rozumiem, to ma pan klucze do mieszkań wszystkich dziewczyn, których jest pan agentem, zgadza się?

Na twarzy Kempa pojawił się lekki grymas. Wyglądał na zażenowanego.

- Jeśli mam być szczery, to przez ostatnie tygodnie zajmowałem się tylko Natalią. Od roku był nawał kontraktów. Nie miałem już czasu dla innych dziewczyn i wolałem się z nimi rozstać. A poza tym Natalia była dla mnie kimś wyjątkowym. Miała zaledwie szesnaście lat, kiedy odkryłem ją w Budapeszcie. Łączyła nas prawdziwa, bardzo silna przyjaźń.

- Mówiąc jasno, była dla pana jedynym źródłem dochodu.

Sara podchwyciła jego słowa bez zastanowienia. Chciała dowiedzieć się, jakie są jego tajemnice, co ukrywał pod strojem idealnego biznesmena - garniturem uszytym na miarę i drogim zegarkiem od Hermesa.

Twarz Kempa nabrała purpurowego koloru. Z ust zniknął udawany uśmiech. Spuścił głowę i wpatrywał się w swoje wypolerowane buty.

- Mogła to pani powiedzieć w bardziej elegancki sposób, ale tak właśnie jest.

- Ogólnie rzecz biorąc, jej śmierć jest dla pana katastrofą finansową, tak?

- Ponieważ wydaje się pani traktować mnie jako podejrzanego, proszę się zastanowić, jaki interes mógłbym mieć w podcinaniu gałęzi, na której siedziałem. Natalia była efektem lat pracy i wysiłku. Sukces nie spadł z nieba. Zajęło mi pięć lat zanim zrobiłem z niej gwiazdę. Nie...

- Ile zarobił pan na Natalii w tym roku? - przerwała mu Sara.

- Mam dość tych pytań, pani kapitan. Natalia nie żyje. Strata pieniędzy jest w tej chwili ostatnią rzeczą, o którą się martwię. Przekracza pani granice przyzwoitości. Proszę przestać.

Kemp nie miał zamiaru pozwolić, by się nad nim znęcano. Nie podobały mu się metody tej aroganckiej policjantki. Rysy jego twarzy wyostrzyły się. Wstał i wziął leżący koło niego na kanapie płaszcz.

Sara również zdała sobie sprawę, że posunęła się za daleko. Posłużyła się starą metodą, którą nauczył ją Lopez. Natychmiast przyprzeć podejrzanego do muru. Wyprowadzić go z równowagi pierwszymi pytaniami, aby stracił pewność siebie i pogubił się w swoich zeznaniach. To wymagało niezwykłego wyczucia. Należało dozować intensywność pytań, a przede wszystkim umieć zatrzymać się w odpowiednim momencie.

Posunęła się do granic możliwości. Jeśli dalej będzie kontynuować w takim tonie, Kemp nie powie jej nic więcej. I żaden adwokat nie będzie tolerował takiej agresji. Należało spuścić z tonu. Agent nie pozwalał sobą manipulować. Jego niepokój nie trwał dłużej niż minutę. Sarze udało się w kilka sekund zbić go z tropu, ale nie wyprowadzić z równowagi.

- Ma pan rację - przyznała. Proszę wybaczyć mi mój nietakt.

- Jeśli ma pani jakieś pytania dotyczące zabójstwa Natalii, chętnie na nie odpowiem. Jeśli nie, proszę skontaktować się z moim adwokatem.

- Dobrze, zmienimy temat. Niech pan usiądzie.

Kemp przytaknął w milczeniu i usiadł z powrotem.

- Zaczniemy od początku - zaproponowała Sara, starając się złagodzić panujące napięcie. Powiedział mi pan, że Natalia dochodziła do siebie po miłosnym rozstaniu, prawda?

Sara z góry знаła odpowiedź. Widziała w magazynach zdjęcia modelki w objęciach młodego mężczyzny. Antykwariusza lub artysty, nie była już tego pewna. Chciała jednak usłyszeć to z ust Kempa. Wskazywała mu drogę ewakuacyjną.

Widząc, że temat rozmowy schodzi na kogoś innego, agent odczuł wyraźną ulgę. Zrozumiał jednak, że policjantka złapała go w pułapkę. Jej pytania stały się mniej agresywne. W zamian musiał dostarczyć jej kilku cennych informacji.

- Natalia była z kimś przez długi czas. To Aleks Cantor. Jest właścicielem małej galerii w trzeciej dzielnicy, niedaleko Beaubourg.

- Jak długo byli ze sobą?

- Ze dwa lata. Rozstali się kilka tygodni temu.

- Która strona zerwała?

- Natalia. Miała już tego dość. Aleks bardzo się zmienił od czasu, jak go poznała. Stał się zazdrosny. Nie mógł już znieść oglądania jej półnagiej na zdjęciach w czasopismach czy na wybiegu.

- Jak daleko posuwała się ta zazdrość?  
- Słucham?  
- Był agresywny czy brutalny? Zachowywał się nieodpowiednio wobec niej... Czy ja wiem... Proszę podać konkretne przykłady.

- Z coraz większą niechęcią zgadzał się na jej wyjazdy. Ze względu na swoją pracę Natalia spędzała trzy lub cztery miesiące w roku z dala od domu. Jej rozkład zajęć z pewnością nie ułatwiał życia we dwoje, ale nie mogła nic na to poradzić. To nie był odpowiedni moment, aby się wycofać. Ograniczenie tempa oznaczałoby koniec kariery. W tym zawodzie, jeśli nie jest się na samym szczycie, szybko idzie się na dno. Nie ma punktu równowagi, albo wszystko, albo nic.

- Nie widzę w tym nic nienormalnego, panie Kemp. Próbował tylko uratować związek.

- Nie myśląc o Natalii. Ani o tym, co udało się jej osiągnąć przez tyle lat!

- Nie wydaje się, żeby go pan lubił.

- Tak, ten facet to wyzyskiwacz. Bardzo zadowolony, że może chodzić ze wspaniałą dziewczyną, ale niezdolny do tego, by pozwolić się jej rozwijać. Nawet po rozstaniu nie przestał jej dręczyć. Prawdziwa zaraza.

Sprawy stawały się wreszcie interesujące. Kemp powoli się zapominał. Powoli znikła jego chłodna uprzejmość.

- W jaki sposób ją dręczył?

- Chciał za wszelką cenę z nią porozmawiać. Proszę, oto przykład: wczoraj wieczorem byliśmy z Natalią i z paroma przyjaciółmi w Inferno, i jakby przypadkiem Aleks też tam był. Musiał ją śledzić.

- Rozmawiali ze sobą?

- Na szczęście nie. Bramkarz z piętra dla VIP-ów zabronił mu wejść. Natalia nawet go nie widziała. Nie przeszkodziło mu to jednak wydzwaniać do mnie przez całą noc i żądać ode mnie jej nowego numeru telefonu.

- Spędził pan z Natalią całą noc?

- Nie, wyszedłem około pierwszej. Natalia miała ochotę się zabawić. Kiedy ją zostawiłem, tańczyła na parkiecie z kilkoma przyjaciółmi.

- Wie pan, jak wróciła do domu?

- Powiedziała mi, że weźmie taksówkę. Nie wiem, czy tak zrobiła.

- Sprawdzimy to. O której godzinie zadzwonił do pana Cantor?

- Między szóstą a siódmą, nie wiem dokładnie. Sprawiał wrażenie pijanego. Wygadywał dziwne rzeczy. Żeby się go pozbyć, powiedziałem mu, że Natalii nie ma już w Paryżu. Zagroził, że pojedzie do niej, żeby sprawdzić. Jak teraz o tym myślę, to wydawał się agresywny, bardzo podekscytowany w każdym razie.

- Tak agresywny, żeby chcieć ją skrzywdzić?

- Nie mam pojęcia. W każdym razie nie był taki jak zwykle.

Sara zanotowała w myślach godzinę, o której zadzwonił Cantor. Kemp dobrze sobie radził, kierując podejrzenia na tego, którego uważał za swojego rywala. Z całą pewnością Kemp i Cantor nie lubili się. Natalia była ich jedynym punktem wspólnym. Zapowiadała się krwawa konfrontacja między dwoma mężczyznami.

- Czy teraz mogę już iść? Powiedziałem pani wszystko, co wiedziałem.

- I co chciałam usłyszeć... - dodała Sara. - Panie Kemp, nie mam czasu do stracenia. Oczekuję od pana większej pomocy. Może zdecyduje się pan powiedzieć mi to, co i tak odkryję?

Agent pozostał na swoim miejscu z wyprostowanymi plecami. Tylko przelotny skurcz ręki zdradził jego zdenerwowanie.

Policjantka bawiła się nim jak kot jaszczurką. Wbiła swoje pazury w ogon ofiary, licząc na to, że poświęci go, aby ujść cało. W takich sytuacjach lepiej było udawać nieżywego i czekać na błąd przeciwnika.

Kemp wygładził swobodnym ruchem ręki swój krawat. Czuł na sobie przesywające spojrzenie Sary Novac. Policjantka uważnie śledziła jego najdrobniejszy ruch czy drżenie.

Postarał się zachować spokój i skupienie do samego końca. Przez cały czas patrzył w oczy swojej rozmówczyni.

- Niczego nie ukrywam, kapitanie. Powinna pani zacząć od spotkania z Alekssem. Szukał Natalii tej nocy, to wszystko. Jeśli mi pani nie wierzy, proszę to sprawdzić. Nie powinno być trudności ze zdobyciem wykazu moich rozmów telefonicznych. Co do reszty, to nie wiem, czy udało mu się zobaczyć z Natalią i czy to on jest winny jej śmierci.



Kemp podniósł się, włożył płaszcz i zaczął czekać, aż wstanie policjantka.

- I jeszcze jedno. Nie podałem nazwiska Aleksa, aby odwrócić pani podejrzenia od mojej skromnej osoby. W młodości byłem ofiarą oszczerczych pomówień. I jak nikt inny wiem, jak bardzo są niebezpieczne.

W chwili gdy opuszczał apartament swojej protegowanej, Kemp pomyślał o sąsiedzie, który doniósł na niego do Stasi kilka miesięcy przed obaleniem muru berlińskiego. W tamtych czasach, po złej stronie Berlina, jeden telefon mógł zadecydować o czyimś losie.

Aby usprawiedliwić swoje istnienie, tajne służby rozpowszechniły pogląd, że nikt tak do końca nie jest niewinny. Nikogo już nie dziwiła wizyta patrolu o świcie. Taki był niemalże porządek rzeczy. Od zwykłego robotnika po szefa partii, każdy mógł znaleźć się w kręgu podejrzeń Stasi.

Każdy coś ukrywał, było więc tyle tajemnic do odkrycia.

Kemp oczywiście miał swoje. Ale z wyjątkiem upodobania do mężczyzn i francuskich pisarzy, przeklętych przedstawicieli zachodniej dekadencji, nie można było mu zarzucić nic poważniejszego. Więc w końcu go wypuszczono.

Po pięciu dniach spędzonych w wilgotnych piwnicach Stasi, Thomas Kemp powrócił do domu załamany, z obolałym ciałem i jeszcze bardziej obolałą duszą. Donosiela już nie było. Dzień wcześniej przyszło po niego dwóch mężczyzn, z pewnością po to, by zapłacił za ich stracony czas.

Następnego tygodnia, pewnej nocy, o bardzo późnej porze, przed małym blokiem spółdzielczym, w którym mieszkał Kemp, zatrzymała się wojskowa ciężarówka. Nie gasząc nawet silnika, kierowca poszedł do tyłu pojazdu i uniósł róg plandeki. Ukazały się dwie nogi obute w zniszczone robotnicze trzewiki. Żołnierz pociągnął za nie jak za kawał mięsa, zrzucił ciało na ziemię, a następnie wsiadł do ciężarówki i odjechał.

Zaalarmowany warkotem silnika, Thomas Kemp był świadkiem tej sceny. Nie potrzebował dużo czasu, aby zrozumieć.

Stał w oknie aż do świtu, wpatrując się w skulone ciało człowieka, który na niego doniósł. Nie czuł ani przyjemności, ani radości, jedynie rodzaj ulgi. Potem zasnął w fotelu przy oknie.

Nazajutrz krzyki sąsiadki wyrwały go ze stanu otępienia. Leżące po drugiej stronie zaparowanej szyby zwłoki donosiciela, przybrały zamazany kształt. Kilka godzin wystarczyło, by utracił swoją realność.

Kemp przyłożył dłoń do szyby zaparowanej od jego oddechu. Jego palce narysowały coś na wilgotnym szkle, przez rysunek wpadł delikatny promień porannego słońca.

Thomas Kemp nie poczuł jednak żadnego ciepła na swej dłoni. Oddychał jeszcze, ale jego też nie było już wśród żywych.

## 9

Nic nie wprawia w równie zły humor, jak dzwonek u drzwi zrywający z łóżka na równe nogi. Nie jestem rannym ptaszkiem, ani z tych, co śpią do południa. Jestem prawdziwą nocną bestią, okrutną i bezwzględną wobec swoich wrogów, oddaną i lojalną wobec swoich przyjaciół. Grasuję do świtu po najgorszych jaskiniach rozpusty w poszukiwaniu okrucich człowieczeństwa. Alkohol i narkotyki pomagają mi osiągnąć nieznane stany świadomości.

Przeżyłem kilka żyć w tym piekielnym tempie. Mogę oddawać się najgorszym ekscesom i ciągnąć tak latami bez potrzeby odpoczynku.

No tak, to wszystko, to była teoria... W praktyce zaczynałem mieć coraz więcej trudności z dochodzeniem do siebie po nieprzespanej nocy, takiej właśnie jak ta. Dzwonek do drzwi rozbrzmiewał długo tego dnia. Pieprzona Lola. Pieprzona kukaracza.

Jednym z największych marzeń Natalii było posiadanie dzwonka, który potrafiłby zagrać kukaraczę w wykonaniu mariachis, z dźwiękiem trąbek i rozstrojonych gitar. Pragnąc spełnić to marzenie, ale bez konieczności odbywania ekspresowej podróży do Meksyku, grasowałem po wszystkich sklepach z egzotycznymi artykułami w poszukiwaniu tej niezwyklej rzeczy. Wypytywałem wszystkich: począwszy od Latynosów, poprzez Chińczyków i Hiszpanów, na Hindusach kończąc. Nawet peruwiańscy muzycanci z Halles nie byli w stanie mi pomóc.

Po miesiącach poszukiwań trafiłem przypadkiem na maleńki butik z importowanymi podróbkami azteckiej ceramiki. Kiedy zamknęły się za mną drzwi, z radością usłyszałem, jak rozlega się ów upragniony dźwięk.

Właściciel przystał na demontaż dzwonka w zamian za zakup sześciu „autentycznych, z certyfikatem gwarancji” okropnych rzeźb,

które dopiero co opuściły tajwańskie piece. Jej kaprys kosztował mnie małą fortunę. W zamian ożywił mój związek, przynajmniej na kilka tygodni.

Wzruszona go głębi, Natalia uparła się, aby dzwonek został u mnie. Lepiej bym zrobił, gdybym kazał zainstalować go w jej mieszkaniu. Ale wtedy nie mogłem odmówić jej niczego. Zgodziłem się więc, by dźwięk tej okropnej melodii witał moich przyjaciół. Musiałem być piekielnie zakochany. Zresztą, nie zmieniłem dzwonka po naszym rozstaniu. Z pewnością oznaczało to, że moja miłość do Natalii nie wygasła jeszcze zupełnie.

Budząc się, poczułem mdłości. Słowem, miałem wrażenie, że mariachis stali przy moim łóżku i podłączyli swoje gitary do najmocniejszych głośników. To była nadal kukaracza, ale w najlepszym wykonaniu grupy Clash. Z otępienia wyprowadził mnie w końcu obraz opasłego Joego Strummera, potrzęsającego frenetycznie marakasami przy moim uchu.

Kiedy otworzyłem oczy, Joe Strummer powrócił do swojego pozłacanego grobowca w Rock'n'roll Hall of Fame. Na dywanie wokół łóżka leżało tylko kilka porzucanych fotografii, filiżanka z zimną kawą i wypełniona petami popielniczka.

Jedynie kukaracza nie ucichła. W tym samym przyplwywie nieważności przekląłem Natalię za jej głupie muzyczne gusta i Lolę za jej poranną wizytę. Tylko ona jedna była zdolna wybrać taką chwilę, aby zakłócić mój spokój.

Odwróciłem się w stronę budzika, gotów wykorzystać go jako dowód winy w ostrej mowie oskarżycielskiej przeciwko takim rannym ptaszkom jak ona.

Ciełkokrystaliczny wyświetlacz wskazywał trzynastą dwadzieścia dwie.

Wybacz Lola.

Też mi się tak wydawało... Biorąc pod uwagę najkrótszy czas, jakiego potrzebowała na wrzucenie swojego dziennikarza do łóżka, wykorzystanie go i odesłanie do domu, na pewno nie położyła się spać przed piątą. Lola była młoda i pełna wigoru. Ale żeby po takiej nocy zerwać się z łóżka przed południem, potrzeba było jednak kilka godzin snu więcej.

Aby oczyścić się ze swoich grzesznych myśli, pomyślałem, że mogła równie dobrze do mnie zadzwonić, jeśli miała mi coś pilnego

do przekazania. Na próżno obmacywałem wszystko wokół siebie w poszukiwaniu słuchawki telefonu. Leżała na podłodze w kącie pokoju.

Znów wszystko przez Kempa. Zdenerwował mnie i zemściłem się na moim nieszczęsnym telefonie, który nie zniósł najlepiej uderzenia o ścianę. Z nadejściem lat dziewięćdziesiątych skończyła się era starych, dobrych telefonów w szarym kolorze i z dużymi przyciskami, na których można było wyżywać się do woli. Pieprzona nowa technologia.

Natalia nie przestawała drwić z moich źle przetrawionych, młodzieńczych wspomnień. Kiedy byliśmy razem, wyśmiewała się z mojego upodobania do japońskich mang i starych tasiemcowych seriali. Uwielbiała wytykać mi moją niedojrzałość, zwłaszcza kiedy spędzałem cały weekend ze wzrokiem utkwionym w telewizorze na oglądaniu niezwykłych przygód bohaterów mojej młodości.

Nie mogłem odmówić jej racji. Chyba rzeczywiście będę musiał wybrać się kiedyś do psychiatry.

Dołączyłem ten pomysł do reszty dobrych postanowień, których nigdy nie zdołałem zrealizować i zrobiłem pierwsze podsumowanie dnia. Już zapowiadał się żałośnie. Nie miałem telefonu, a kukaracza zaczynała poważnie działać mi na nerwy. Miałem nadzieję, że Lola znuży się czekaniem pod drzwiami, aż jej otworzę, jednak ona upierała się, żeby wejść do mojego mieszkania.

Wyskoczyłem z łóżka zdecydowany położyć kres temu hałasowi, wyrwijąc mechanizm dzwonka.

Chyba miałem zbyt wygórowane ambicje. Jak tylko postawiłem nogę na ziemię, ściany zaczęły kręcić mi się przed oczami. Wykładzina wzniosła się i opadła jakby była niesiona ogromną falą. Chwyciłem się zasłony, aby nie upaść i pogrążyłem się nagle w strumieniu światła. Oślepiony blaskiem, zatoczyłem się i znalazłem na podłodze w pozycji embrionalnej.

Nie było najmniejszej wątpliwości: byłem ofiarą przerażającego zjawiska zniekształcenia czasu. Widziałem coś takiego w jednym ze starych odcinków *Star Treka*. Po zasięgnięciu porady u doktora Spocka, kapitan Kirk wybrnął z tego, majsterkując przy swoim kieszonkowym teleporterze schowanym w zakamarkach obcisłego kombinezonu.

Nie mając niczego takiego pod ręką, doczołgałem się do nocnego stolika, otworzyłem szufladę i sięgnąłem po jednego z jointów skręconych wprawną ręką Dimitria.

Szczęśliwym trafem w szufladzie leżała również zapalniczka. Kosztem wyężonego wysiłku, uniosłem ją na wysokość ust i naciśnąłem na kółeczko. Papier zaszeleścił w kontakcie z płomieniem, a po chwili kojąca woń konopi wypełniła sypialnię. Zaciągnąłem się głęboko i szybko poczułem się lepiej.

Gwałtowne wtargnięcie narkotyku do mózgu przywróciło połączenia między sfatygowanymi alkoholem synapsami i rozjaśniło mi nieco umysł. Ściany przestały wirować. Światło nie raziło już tak mocno, ale ból głowy nie ustąpił. Byłem jednak gotów wyjść wrogowi na spotkanie.

Przemierzyłem salon drobnymi krokami, z kciukiem i palcem wskazującym zaciśniętymi na swoim niezwykłym papierosie. W połowie drogi zaciągnąłem się jeszcze raz dla kurażu, i drugi raz dla przyjemności. Zebrałem resztkę sił i rzuciłem się na drzwi wejściowe, pochylony do przodu niczym sprinter wpadający na linię mety.

Bardzo dumny z pokonania zjawiska zniekształcenia czasu, otworzyłem drzwi ze swoim najbardziej czarującym uśmiechem na ustach. Dzwonek natychmiast przestał wygrywać kukaraczę.

W tej samej chwili zrozumiałem swój błąd.

- O kurwa! - wyrwało mi się z ust, w kąciku których znajdował się skręt.

Nie znałem stojącej przede mną kobiety. Z szybkością błyskawicy przywołałem w pamięci wszystkie dziewczyny, które poderwałem od czasu rozstania z Natalią, następnie te, z którymi byłem związany w czasie mojej marnej kariery uwodziciela i wreszcie te, z którymi się przespałem, nie poznając nawet ich imienia.

Ale tej jeszcze nigdy nie widziałem. Albo, co gorsza, nie pamiętałem.

- Dzień dobry, pan Aleks Cantor? - zapytała, wpatrując się w mojego skręta.

Jej wzrok przesunął się powoli po owalu mojej twarzy, przebiegł po moim torsie w dół i zatrzymał się na bardziej intymnych częściach mojej anatomii. Wtedy zorientowałem się, że byłem tylko w

spodenkach. Nie miałem potrzeby spoglądać w lustro, żeby wyobrazić sobie moje opuchnięte oczy i tłuste od żelu włosy, nie wspominając już o przetrawionych wyziewach alkoholowych wydobywających się z żołądka. Wielka klasa, jak na pierwsze spotkanie.

- Tak...

Pieprzony Aleks, kiedy trzeba, zawsze znajdzie błyskotliwą odpowiedź.

- Jestem z policji kryminalnej. Chciałabym z panem porozmawiać.

Kobieta miała dar informowania w prowokujący sposób o sprawach, którymi się zajmowała. Dyskretnie schowałem jointa za plecami. Przy okazji usiłowałem sobie przypomnieć, co mogłem zrobić w ciągu ubiegłej nocy, aby zasłużyć sobie na taką wizytę.

Oprócz rys na karoserii samochodu fotografa i nic nieznaczącej kłótni z jednym pijaczną, nic innego nie przychodziło mi do głowy. Prawdę mówiąc, moja pamięć zawodziła mnie trochę, zwłaszcza w kwestii tego, co się wydarzyło między trzecią a szóstą rano.

- Co do rys na BMW, to zaraz pani wytłumaczę. Ten kretyn zasłużył sobie na to.

- Nie o tym chciałam z panem porozmawiać, panie Cantor. Mogę wejść?

Sprawy nie układały się po mojej myśli. Postanowiłem grać na zwłokę, zanim nie odzyskam choć grama godności. Stał mi przed oczami Mohammed Ali, jak wraca z trudem do swojego rogu prawie nieprzytomny po tęgim laniu, jakie sprawił mu przez cztery i pół rundy George Foreman w Kinszasie, by odnieść zwycięstwo na samym początku piątego starcia. Jeśli jemu się to udało (co prawda w warunkach mniej ryzykownych niż te, w których się teraz znajdowałem), to ja też powinienem sobie dać radę.

Szybka toaleta, dobrze dobrane perfumy, czyste dżinsy i będę mógł stawić czoła wszelkim przeciwnościom.

- Da mi pani chwilę czasu? - zapytałem. Proszę spocząć na kanapie. Zaraz wracam.

- Oczywiście. Proszę się nie spieszyć.

Wróciłem dziesięć minut później, wykąpany i w kompletnym ubraniu. Owocowe nuty najnowszych perfum Dolce & Gabbana dodały mi wigoru. Byłem jak nowy, gotów stanąć do walki.

Policjantka czekała na mnie, siedząc grzecznie na kanapie. Przeglądała czasopismo poświęcone Natalii. Kiedy wszedłem do pokoju, odłożyła je na stolik, udając, że nie widzi moich gotowych do użycia jointów, których nie usiłowałem nawet ukryć.

Oprócz tego, że był usłużny i nie zdierał dużo od przyjaciół, Dimitri był dealerem lubującym się w złośliwościach. Jedną z jego największych przyjemności było wkładanie skrętów do pudełek po papierosach, na których znajdowały się jeszcze różne napisy wymagane prawem. Jak miał dobry tydzień, miałem prawo do klasycznego „Palenie zabija”. Przez pozostałą część czasu Dimitri obdarzał mnie, w zależności od humoru, paczką z „Palenie poważnie szkodzi osobom w twoim otoczeniu” lub krótkim „Palenie przyczyną impotencji”.

W każdym razie, od kiedy porzuciła mnie Natalia, moje otoczenie raptownie się ograniczyło i perspektywa utraty męskości nie była już dla mnie tak straszna.

Podąłem policjantce filiżankę kawy, a następnie wziąłem krzesło i usiadłem naprzeciw niej.

- W czym mogę pani pomóc?

- Przykro mi, że przeszkodziłam panu w sjeście - powiedziała tonem pozbawionym najmniejszej ironii. Przybyłam do pana ze smutną wiadomością, panie Cantor.

- Burten dał się zastrzelić? - zapytałem, śmiejąc się dumny ze swojego pomysłu.

Oczywiście, nigdy nie słyszała o Samuelu Burtenie, więc mój żart wcale jej nie rozbawił. Próbowałem się usprawiedliwić.

- Nie może pani tego rozumieć. To była tylko aluzja do pewnego trochę masochistycznego przyjaciela.

- To pana sprawa, z kim się pan zadaje. Nie chodzi mi o niego. Jestem tutaj, by powiadomić pana o śmierci Natalii Velit.

Siedziałem przez chwilę z szeroko otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami. Kiedy przyszedł czas na reakcję, nic inteligentnego nie przyszło mi do głowy.

- Natalia nie żyje? To jakiś kawał?



Policjantka nie wydawała się żartować. Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Niestety nie. Przykro mi poinformować pana, że dziś rano panna Velit została znaleziona martwa w swoim apartamencie.

Poczułem się jak rażony piorunem. Resztki zamroczenia alkoholem i kokainą ustąpiły w jednej chwili.

Nigdy, ani przez chwilę, nie pomyślałem, że Natalia mogła umrzeć. Już sam fakt, iż była utrwalana co tydzień na błyszczącym papierze, czyniło ją w moim wyobrażeniu nieśmiertelną. Była jak bohaterowie Marvela - niezmienna i niezniszczalna.

Natalia nie mogła umrzeć. Kategorycznie odrzuciłem tę myśl.

- To chyba jakaś pomyłka. Widziałem ją tej nocy, wydawała się być w dobrej formie. Znaleźliście w jej mieszkaniu jakieś zwłoki i *pomyśleliście*, że to ona. Dobrze ją znam. Czasem lubi robić takie kawały. Pojawi się za chwilę, jak za dotknięciem czarującej różdżki, udając niewiniątko. To niezwykła kobieta. Natalia...

- Panie Cantor - powiedziała policjantka, odstawiając filiżankę z kawą na stoliku, wiem, że trudno jest panu przyjąć to do wiadomości, ale pańska była dziewczyna naprawdę nie żyje. Jej agent zidentyfikował zwłoki. Nie ma żadnych wątpliwości, że to ona.

Poczułem jak po moich policzkach płyną łzy. Szok był zbyt gwałtowny. Ostatni raz płakałem, gdy miałem pięć lat, potem zdecydowałem, że nic już nie będzie tak przykre jak to, co wtedy właśnie przeżywałem. Wykluczyłem więc płacz z zestawu moich emocji. Nawet kiedy porzuciła mnie Natalia, nie zdołałem okazać najmniejszych oznak smutku. Zresztą często mi to wypominała. Mówiła, że byłem zimny i nieczuły i że nic nie było w stanie zmienić mojego egoizmu.

Nie miałem jej tego za złe. Nic nie wiedziała o moim dzieciństwie.

Sądziłem, że dwadzieścia pięć lat bez jednej łzy doprowadziło do wysuszenia moich gruczołów łzowych: Tak się nie stało. Wręcz przeciwnie - można by sądzić, że nadmiar tłumionych przez wszystkie lata emocji, znalazł nagle swe ujście. Odczułem nawet pewną przyjemność z tego, że się tak rozplakałem.

Policjantka wyglądała na skrzępowaną. Odwróciła swój wzrok i cierpliwie zaczekała, aż się uspokoję.

- W jaki sposób zmarła? - zapytałem między dwoma pociąg-  
nięciami nosem.

- Nie jesteśmy jeszcze tego pewni, ale wydaje się, że została  
zamordowana.

Nie zareagowałem natychmiast. Przeanalizowałem dokładnie  
wszystkie wyrazy w jej ostatnim zdaniu i odnalazłem w końcu in-  
truza. Termin „zamordowana” wypisany wielkimi literami zamigo-  
tał w mojej głowie niczym neon.

- Ktoś ją zabił? - zapytałem, aby się upewnić, że dobrze zrozu-  
miałem.

Policjantka przytaknęła głową. Zaczynałem rozumieć powód jej  
wizyty. Nie przybyła tu jedynie po to, by poinformować mnie o  
śmierci Natalii. Moje bogate doświadczenie zdobyte na oglądaniu w  
telewizji filmów policyjnych, podpowiadało mi co innego.

Inspektor Colombo nie traci czasu na picie herbaty z rodziną  
ofiary. Nie robi niczego, co zbędne. Jest adeptem dobrze zorgani-  
zowanego czasu i wydajnego zarządzania personelem.

Jeśli inspektor raczy gdzieś się ruszyć, to tylko po to, by przesłu-  
chać potencjalnego podejrzanego i zmusić go podstępem do przy-  
znania się do winy. Jego dobrośliwy wygląd jest zdradliwy, tak sa-  
mo jak niebieskie oczy tej policjantki.

Sprawy zaczynały mieć się nie najlepiej.

- Aresztowaliście mordercę?

- Nie. Jeszcze nie. Mamy kilka śladów, ale nie konkretnego.

- To pewnie jakiś włóczęga. Coś skradziono?

- Nic. Zabójca wszedł drzwiami. Albo miał klucz, albo Natalia  
sama mu je otworzyła.

- Co oznacza, że go znała - dokończyłem sam. - Mam więc  
wnioskować, że podejrzewacie wszystkich jej znajomych?

- Na razie tak. Niczego nie wykluczamy.

- Proszę zatem nie owijać w bawełnę, tylko zadać mi pytania.

- Dobrze, panie Cantor.

- Aleks, proszę mówić do mnie Aleks.

- Doskonale, panie Cantor. Gdzie był pan wczoraj wieczorem i  
co pan robił w nocy?

Jej początkowa uprzejmość zamieniła się w ledwie skrywaną  
wrogość. Nie mogłem mieć jej tego za złe. Taka była jej praca.

Nawet jeśli wydawałem się jej sympatyczny, w co zaczynałem wątpić, musiała zachować obiektywność. Postawiłem na współpracę i szczerść w nadziei, że te pozytywne cechy będą przemawiać w aktach na moją korzyść.

- Zainaugurowaliśmy nową wystawę w galerii, którą się zajmuję, a potem poszliśmy to uczcić w Inferno. Natalia też tam była, ale nie udało mi się z nią porozmawiać. Wyszedłem stamtąd koło drugiej.

- A później? Wrócił pan do domu?

- Można tak powiedzieć. Po drodze zatrzymałem się w jednym czy dwóch barach i trochę wypilem. Dotarłem tutaj około szóstej trzydzieści.

- Czy ktoś może to potwierdzić?

- Moja współpracownica, Lola, była ze mną w Inferno. Wyszedłem stamtąd przed nią. Co do reszty nocy, to obawiam się, że nie mam nikogo, kto mógłby udzielić pani takiej informacji. Nie mam w zwyczaju pytania o numer telefonu wszystkich, którym stawiam kolejkę.

- To bardzo niedobrze... A co pan zrobił po powrocie do domu?

- Byłem wykończony. Poszedłem spać.

- Jednak wykonał pan najpierw jeden telefon, nie?

Natychmiast pojąłem, dlaczego policjantka tak szybko do mnie dotarła. „Ktoś” podpowiedział jej moje nazwisko. Kemp, ten pieprzony drań.

- Zadzwoił pan do Thomasa Kempa, zgadza się?

- Tak, to prawda. Właśnie wróciłem do domu i zobaczyłem to zdjęcie Natalii - powiedziałem, wskazując na magazyn. Byłem zdenerwowany, a wcześniej za dużo wypilem. To było nierozsądne z mojej strony.

- Z tego, co wiem, nie układało się najlepiej między panem a Natalią. Pan Kemp powiedział mi, że chciał pan za wszelką cenę wydobyć od niego jej nowy numer telefonu.

- Chciałem tylko z nią porozmawiać. Nie miałem od niej żadnych wieści, odkąd się rozstaliśmy. Kemp odmówił mi podania jej numeru.

- Czy pojechał pan do niej, panie Cantor?

- Oczywiście, że nie!

- Jest pan tego pewien? Sam pan powiedział, że był pijany. Nie wiedział pan, co robi. Pojechał pan się z nią zobaczyć, sprawy wymknęły się spod kontroli. W takiej sytuacji może pan liczyć na okoliczności łagodzące. Ale musi mi pan o wszystkim opowiedzieć.

- Ależ to czysta paranoja! Co pani jeszcze wymyśli?

- Niczego nie wymyślam. Usiłuję jedynie ustalić, co wydarzyło się tej nocy. Pan Kemp twierdzi, że zagroził pan udaniem się do domu ofiary.

- To były czcze pogrożki. Minęły już dwa miesiące odkąd mnie opuściła. Gdybym chciał wyważyć jej drzwi, zrobiłbym to już dawno.

Moje spostrzeżenie wydawało się przekonujące. Wyraziłem je z bezwzględną szczerością, w każdym razie taką miałem nadzieję. A poza tym nie pasowałem do profilu przestępcy. Skończyłem studia, znałem na pamięć numer seryjny (jakby nie było - trzynaście cyfr) wersji *Nocy* Jacquesa Monory'ego wystawionej na sprzedaż w galerii i nie można było mnie zagiąć na historii boksu.

Po chwili zastanowienia, zamieniłem ostatni argument na inny: mordercy nie używają perfum Dolce & Gabbana, bo natychmiast by ich wykryto. Argument skuteczny i niepodważalny.

Miałem podzielić się tymi osobistymi przemyśleniami, ale policjantka wstała.

- Muszę już iść, panie Cantor. Dziękuję za pomoc.

- Przypuszczam, że mam się z panią skontaktować, jeśli o czymś sobie przypomnę?

- Ogląda pan za dużo filmów amerykańskich. U nas nie odbywa się to w taki sposób. Powiedzmy, że *ja* do pana zadzwonię, jeśli będę chciała sprawdzić jakieś informacje. OK?

Co miałem jej odpowiedzieć? Ucisnąłem jej w milczeniu dłoń i patrzyłem, jak schodzi po schodach. Miała pewną klasę. Trochę zbyt opięte dzinsy doskonale podkreślały jej cudowne pośladki.

Wtedy zorientowałem się, że nie wiedziałem nawet, jak się nazywa.

## 10

Po wyjściu policjantki stałem jeszcze jakiś czas na klatce schodowej. Dopiero teraz zaczynało docierać do mnie, że Natalia nie żyje.

Kiedy mnie opuściła, spędzałem większą część swojego czasu w łóżku, ze skrzytem pod ręką, zastanawiając się nad więzią, która mnie z nią łączyła.

Zasadnicze pytanie było proste: czy rzeczywiście kochałem Natalię, czy też byłem jedynie więźniem przyzwyczajenia, zwykłego uzależnienia od jej zapachu lub dotyku jej ciała? W pierwszym przypadku powinienem coś zrobić i próbować ją odzyskać, w drugim - zapomnieć o niej.

Niezdolny do decyzji, przygotowałem długą listę pytań pomocniczych, w większości wyszukanych w magazynach kobiecych. Pytania były rozmaite, począwszy od: „Z czym kojarzy ci się jej imię”: z zachodem słońca na plaży w Deauville, z obrazem Leonor Fini, z sukienką Johna Galliano z koronkami i piórkami, a skończywszy na: „Kiedy mijasz podobną do niej kobietę, myślisz sobie”:

- a. Byłaby nawet ładna, gdyby nie ta czapka i workowate spodnie (natychmiast wysłać ją do Zary).
- b. Dlaczego marnować taką okazję? Powiem jej, że jest czarująca, a może z czasem połączy nas coś więcej (zdecydowanie nie).
- c. Ta kreatura daremnie stara się naśladować styl mojej ukochanej, nie dorasta jej nawet do pięt (zła odpowiedź: tak jest w przypadku większości kobiet, kiedy chodzi się z top modelką).
- d. Nawet na nią nie patrzę, wszystkie moje myśli krążą wokół obiektu mojej miłości (moja ulubiona odpowiedź).

Ponieważ lista pytań wydawała się nie mieć końca, luźne kartki zastąpiłem zeszytem szkolnym w twardej okładce. Zapiisałem

nerwowym pismem każdą kartkę aż po margines. Następnie z pomocą Loli, zawsze chętnej dowodzić zgubnych skutków miłości, opracowałem zmyślną tabelę odpowiedzi. Każda z nich otrzymała odpowiednią ilość punktów, których suma powinna pokazać szczerść mojego uczucia do Natalii.

Co pół godziny chwytalem za zeszyt i rozpoczynałem rozwiązywanie testu od nowa. Na próżno oszukiwałem, zmniejszałem stopień mojego przywiązania do niej lub zmieniałem skalę punktów - wynik testu był zawsze taki sam: byłem w niej bardzo zakochany.

Kwestionariusz nie pomógł mi oczywiście rozwiązać dylematu, ani nawet ukoić bólu rozstania, ale przynajmniej miałem czymś zajętą głowę. Ta domowa terapia okazała się o tyle skuteczna, że udało mi się przeżyć rozłąkę. Natalia nie miała tej szansy.

Nagle dotarł do mnie sens tego banalnego stwierdzenia. Już nigdy nie ujrzę miłości mojego życia. Nie poczuje już zapachu jej podniecenia, ani nie będę rozkoszował się jej wilgotnymi od potu plecami, kiedy skończymy się kochać. Moja dłoń nie będzie pieścić jej delikatnej skóry.

Znów przeszył mnie ogromny ból, tak silny, że powalił mnie na podłogę przy kanapie. Leżałem tak przez długi czas, z twarzą na zdjęciu Natalii, zanosząc się płaczem. Nie miałem już najmniejszych wątpliwości co do prawidłowego funkcjonowania moich gruczołów łzowych.

Po fali przygnębienia nadszedł czas buntu. Ogarnęła mnie prze-rażająca chęć zemsty. Dobrze znałem to uczucie. W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat nie opuszczało mnie ani na moment.

Każdego dnia żyłem z tą zakorzenioną we mnie nienawiścią, potrafiłem więc nad nią zapanować. Wiedziałem, jak należy ją powściągać, by w odpowiedniej chwili wybuchła ze zdwojoną siłą. Wtedy nie będę potrzebował całej serii ciosów do powalenia przeciwnika, wystarczy jeden hak.

Teraz należało się zastanowić. Zrobiłem kilka głębokich wdechów i powoli się uspokoiłem. Wyrwałem okładkę magazynu poświęconego Natalii, złożyłem ją we czworo i wsunąłem do kieszeni dzinsów.

Jak znajdę tego bydlaka, który jej to zrobił, pokażę mu to zdjęcie, zanim zmasakruję go za pomocą kija baseballowego. Oszczędzę

mu jedynie oczy, żeby umierał, patrząc na doskonale rysy kobiety, którą tak bardzo kochałem.

Postanowiłem przejść się dla odprężenia. Wziąłem marynarkę i skierowałem się w stronę galerii. Musiałem porozmawiać z Lolą. Była ekspertem w kwestii zemsty. Doświadczylem tego na własnej skórze w czasie naszego krótkiego związku, i wciąż boleśnie to wspominałem.

Lola była sprytna i kreatywna. I w dodatku kochała zadawać cierpienie swoim bliskim. Pod tym względem przewyższała wszystkie osoby, które znałem.

Tak, ona będzie wiedziała, od czego zacząć.

Kiedy otworzyłem drzwi galerii, Lola przedstawiała właśnie klientowi jakieś dzieło. Posłała mi dyskretny znak, któremu towarzyszyło pytające spojrzenie. Nie wiedziała, co wydarzyło się w nocy i zastanawiała się, dlaczego przyszedłem tak późno. Minąłem ją, nie zatrzymując się i poszedłem prosto do biura. Mimo że moje finanse były w opłakanym stanie, nie miałem ochoty pracować.

Miałem nadzieję, że klient wykaże się odrobiną dobrego gustu i pójdzie sobie, niczego nie kupując. Rzeźby Burtena okażą się prawdopodobnie marną inwestycją. Ja sam za nic w świecie nie chciałbym ich mieć w swoim mieszkaniu.

W przypiływie litości o mało nie rzuciłem się w jego stronę, by ostrzec go przed przykrą pomyłką, którą miał zaraz popełnić. Lenistwo wzięło jednak górę nad uczciwością. Nie będąc w stanie podnieść się z mojego wygodnego skórzanego fotela, pozostałem w nim.

Błądzący po pomieszczeniu wzrok, spoczął na portrecie młodego włoskiego arystokraty, wiszącym na bocznej ścianie. Nagle przypomniałem sobie o magnum zamkniętym w stojącym przede mną biurku. Otworzyłem szufladę i wziąłem go do ręki. Po drugiej stronie przezroczystej przegrody, Lola i klient byli pochłonięci kontemplacją jednej z rzeźb. Nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi. Mogłem więc pobawić się swoją nową zabawką, nie wywołując żadnego poruszenia.

Przez kilka chwil ważyłem w ręku rewolwer, a potem, nie zastanawiając się długo, wsunąłem go za pasek u spodni i ukryłem pod koszulą. Zawsze o tym marzyłem. Lodowaty dotyk stali na skórze obudził we mnie dawne wspomnienia kinomana.

Miałem broń, ale brakowało mi najważniejszego: odpowiedniej pozy. Wahąłem się między ponurą miną Mela Gibsona a dzikim



spojrzeniem inspektora Harry'ego. Wybrałem w końcu pozę Takesiego Kitano z filmu *Battle Royale*, w którym sam objadając się ciastkami, zmusił klasę japońskich licealistów do wzajemnego mordowania się.

Nie mając w swoim najbliższym otoczeniu ciastek ani licealistów, musiałem wyteńczyć wyobraźnię, aby w pełni utożsamić się ze swoim bohaterem. Zamknąłem oczy i wziąłem głęboki wdech. Kiedy je otworzyłem, moje usta wykrzywił sarkastyczny uśmiech Kitano. Zblazowany i bezwzględny, byłem gotów pozabijać swoich wrogów z zimną krwią.

Wiedziony instynktem, wyjąłem z pudełka z amunicją kilka kul i naładowałem rewolwer. Było to dziecinnie proste. Odblokowałem bezpiecznik i wsadziłem nabój do bębena.

Burten miał genialny pomysł zostawiając mi swoją broń. W stosownej chwili zrobię z niej dobry użytek.

Teraz należało przede wszystkim ukryć rewolwer. Podeszedłem do obrazu i obróciłem go wokół własnej osi. Ukrycie sejfów za obrazem nie było wynalazkiem stulecia, ale miałem nadzieję, że opancerzone drzwi z pleksiglasu odstraszą potencjalnych włamywaczy. A poza tym, podobał mi się pomysł wykorzystania jedynej pamiątki, jaką pozostawiła mi matka do ukrywania wartościowych przedmiotów.

Wystukałem kod na cyfrowej klawiaturze, uchyliłem drzwi sejfów i wsunąłem do niego broń, a następnie ustawiłem wszystko na swoim miejscu. Znowu spoglądał na mnie młody arystokrata o delikatnych i szlachetnych rysach twarzy. Nic nie wiedziałem o tym obrazie, oprócz tego, że matka kupiła go tuż przed swoją śmiercią. Kochałem ten portret, z którego emanowała niezwykła energia. Upiękniające lata nie zostawiły na młodzieńcu widocznych śladów. Wędrownica przez wieki nie pozbawiła go wigoru. Choć został namalowany ponad czterysta lat temu, wciąż obnosił się z dumą godną swojego szlacheckiego stanu.

Poderwałem się, słysząc nagle pukanie do drzwi z pleksiglasu.

- Aleks, mogę wejść? - zapytała Lola.
- Oczywiście, proszę.

Lola dała znak klientowi, mężczyźnie około sześćdziesiątki, by wszedł pierwszy. Wskazała mu najbliższe krzesło. Podziękował jej uśmiechem i usiadł naprzeciw mnie. Spojrzał w jej stronę, czekając, aż dokona prezentacji.

- Aleks Cantor, dyrektor galerii - powiedziała, wskazując na mnie. Pan D'Isola jest zainteresowany kilkoma pracami Samuela Burtena. Chciałby poznać ich ceny.

- I trochę się potargować, oczywiście... Udziela pan rabatu przy zakupie kilku dzieł, prawda?

Mężczyzna posługiwał się nienaganną francuszczyzną, na tyle stylizowaną, że trudno było rozpoznać jego akcent. Prawdopodobnie kształcił się w Szwajcarii, w prywatnej szkole dla dzieci z bogatych rodzin. Miał starannie wypiełgnowane dłonie, włosy opadające jedwabistą falą i dobrze wypchany portfel, przynajmniej miałem taką nadzieję. Z pewnością pochodził z Hiszpanii lub Włoch, nie mogłem się jednak zdecydować, z którego z tych krajów konkretnie.

Doskonały krój jego garnituru skłonił mnie ku drugiej hipotezie. Ubranie skrojono tak, by zatuszować kilka zbędnych kilogramów, nie upodabniając człowieka do białej w gorset bohaterki powieści elżbietańskiej.

- Moją największą troską jest zadowolić znajdujących się na sztuce amatorów. Nie ma większej radości dla właściciela galerii, niż móc podzielić się swoimi emocjami i odkryciami. Co do prac Sama, to może mieć pan pewność, że jeszcze wszystko może się wydarzyć. Jego dzieła posiadają już najwięksi kolekcjonerzy. A to dopiero początek. Ta pierwsza wielka retrospektywa pozwoli mu wznieść się na nowe wyżyny sztuki. Za pięć lat jego rzeźby będą kosztować pięć razy więcej niż dziś.

Wyrecytowałem mechanicznie stałą tyradę. Mimo dobrej woli, rzut oka na wystawione prace wystarczył, bym stracił całą swoją siłę przekonywania. Moje słowa brzmiały tak fałszywie, że prawie się ich wstydzilem.

Burten też powinien się wstydzić wystawiać na sprzedaż swoje ordynarne karykatury. Każdy, kto miał choć odrobinę rozsądku, mógł stwierdzić, że brak mu talentu. Nie miał nic z kreatywnego artysty. Z czystej życzliwości można było uznać go za kontynuatora. Jeśli chodzi o mnie, to wolałem określenie „miernota”.

Podsumowując, Burten był mistrzem świata w dziedzinie mieszania stylów artystycznych. Nie straszne mu było żadne połączenie. Tu coś w Warhola, tam z Rauschenberga, trochę z modnego Basquiata, odrobinę Sophie Calle, by nadać teoretycznego tonu

swoim pracom. Sam chłonał bezczelnie nazwiska pojawiające się najczęściej w czasopiśmie poświęconych sztuce. Ale nawet plagiat zdradzał kompletny brak talentu. Zie przetrwał pop art, nic nie zrozumiał z figuracji narracyjnej, a ostatnio zaczął kaleczyć z zapalem arte povera.

Ten typ był chodzącą katastrofą. Najgorszą, jaka przydarzyła się sztuce od czasu, jak jeden z naszych byłych prezydentów zapalał niedorzeczną pasją do niejakiego Vasarely. Zaczęłam żałować, że przeszkodziłam Loli w podziurawieniu go prawdziwymi kulami. Mógłbym skremować jego zwłoki wraz z tymi wszystkimi śmieciami nienadającymi się na sprzedaż.

Stojąca za klientem Lola, uniosła wzrok ku górze, gotowa odprowadzić klienta do drzwi. Mężczyzna zdawał się nie wyczuwać ironii w moim głosie i wskazał na gigantyczny totem, będący kompresją starych puszek Campbella. Praca mierzyła około dwóch metrów i stała na stalowym cokole ważącym blisko tonę. Do jej instalacji potrzeba było pięcioosobowej ekipy i wózka dźwigowego.

Ponieważ zajmowała cały róg galerii, tym bardziej zależało mi, by pozbyć się jej jak najszybciej. Kiedy siedziałem w biurze, moje pole widzenia zmniejszyło się o połowę za sprawą tej obrzydliwej kupy zardzewiałego żelastwa. Przyprawiała mnie niemal o koszmary senne. Byłem gotów na wszystko, żeby ją stąd usunąć, nawet na to, by własnoręcznie rozwalić ją siekierą. Stąd też pytanie mojego rozmówcy zabrzmiało przyjemnie dla moich uszu.

- Ile kosztuje ta rzeźba?

- Pozwoli pan, że sprawdzę w katalogu - odpowiedziałem, kartkując fascykul, w którym każda strona była okropniejsza od poprzedniej.

Klient Loli wykazywał zupełny brak gustu. Wybrane dzieło znajdowało się na przedostatniej stronie. Prawdopodobnie nie nadarzy się już taka okazja, żeby je sprzedać. Podałem jednak cenę wyższą o jedną czwartą niż ta, która widniała w katalogu.

W końcu należy być konsekwentnym: jeśli ktoś jest aż tak ślepy, żeby kupić rzeźbę Burtana, to można wyciągnąć od niego najwięcej, jak się da.

- Doskonale, biorę ją - powiedział ku mojemu wielkiemu zdziwieniu. Spodziewam się, że nie będzie pan miał nic przeciwko, jeśli

dorzucę do mojej prywatnej kolekcji ten mały drobiazg stojący na stole w głębi galerii, o tam. Jak się nazywa?

- Matki ognisk katodowych łączcie się!

- Proszę?

- To tytuł dzieła: „Matki ognisk katodowych łączcie się!”. Burten stworzył ją z resztek starego telewizora zrzuconego z budynku CNN w Nowym Jorku. Dodam jeszcze, że ten wyczyn kosztował go dwa dni aresztu. W cenę dzieła wliczono kaucję, którą musiał zapłacić za zwolnienie. Oczywiście, jeśli je pan kupi, będzie pan mógł zmienić nazwę. Sam jest bardzo ugodowy w kwestii tytułów.

- Dwadzieścia tysięcy euro za dwie, odpowiada panu?

- Doskonale - wybełkotałem zdumiony, że mierny talent artystyczny Burtena może doprowadzić do takiego marnotrawstwa finansowego.

- Czy można liczyć na dostawę w ciągu miesiąca? Mieszkam w Rzymie.

- Nie ma najmniejszego problemu. Osobiście zajmę się demontażem totemu. Zapewniam pana, że uczynię to z prawdziwą radością.

- Moja asystentka skontaktuje się z panem jutro. Pieniądze będą na koncie pod koniec tygodnia.

Mężczyzna wstał i włożył płaszcz. Podał mi swoją wizytówkę, którą wsunąłem prosto do kieszeni marynarki, nawet na nią nie spoglądając. Starąłem się nie ścisnąć za mocno ręki, która będzie podpisywać polecenie przelewu.

- Jeszcze jedno, panie Cantor. Pragnąłbym, żeby osobiście dokonał pan dostawy. Doradzi mi pan przy składaniu części. Korzystając z okazji, będę mógł pokazać panu swoją kolekcję.

- Z wielką przyjemnością. Od dawna marzyłem o małym wypadzie do Rzymu. Nie byłem tam od dzieciństwa. Bardzo dobrze mi to zrobi.

- Świetnie. Do widzenia.

- Mam nadzieję, że już wkrótce. Proszę nas odwiedzić, kiedy będzie pan w Paryżu. Przepadamy za takimi klientami jak pan.

Lola zbladła słysząc mój ostatni dowcip. Przesunęła palec wskazujący po swojej tętnicy szyjnej, ostrzegając przed tym, co mnie czeka, jeśli z powodu moich niekończących się prowokacji sprzedaż nie dojdzie do skutku.

Lola żartowała z wszystkiego oprócz pieniędzy. Na ogół była hazardzistką i lekkoduchem, ale dzięki temu klientowi galeria mogła być czynna przez kilka kolejnych miesięcy. Już kilka razy o mało co nie zaniknęliśmy jej z powodu mojego niedbałego zarządzania. Czulem, że Lola była bliska ataku nerwowego.

To było jednak silniejsze ode mnie: Burten wyzwał we mnie cały mój sarkazm.

Na szczęście dla mojego gardła, mężczyzna skinął jedynie głową i poprawił kołnierz swojego płaszcza. Już miał opuścić biuro, kiedy nagle zmienił zdanie i podszedł do portretu młodego arystokraty.

- Szkoła rzymska, początek XVII wieku. Pracownia Gentileschiego, być może Caravaggia, kto wie? Bardzo dobrze zachowany, przenikliwa analiza psychologiczna. Wybitne dzieło. Ile?

- Proszę?

- To też biorę. Ile? Potrząsnąłem głową.

- Przykro mi. Nie jest na sprzedaż.

- Piętnaście tysięcy.

- Powtarzam panu, ten obraz jest moją własnością. Nie mam ochoty się go pozbywać. To rodzinna pamiątka.

- Trzydzieści tysięcy euro. Nikt nie zaoferuje panu więcej.

- Wydaje mi się, że pan mnie nie zrozumiał. Nie próbuję się licytować. Nie sprzedam panu tego portretu. Jestem do niego bardzo przywiązany.

Na twarzy mężczyzny pojawił się smutek. Moja odmowa wyrażnie go zmartwiła.

- Ma pan moją wizytówkę. Proszę jeszcze przemyśleć moją propozycję. Zbieram dzieła włoskiego Seicento. Jeśli pan zechce, pokażę panu mój mały gabinet cudów, kiedy dostarczy mi pan prace Samuela Burtena. Przekona się pan o szczerości moich intencji. Być może wtedy zmieni pan zdanie?

- Z przyjemnością je obejrzę, ale wątpię, bym zmienił zdanie.

Tym razem kupiec opuścił biuro. Ledwie zamknęły się drzwi, Lola rzuciła się na mnie.

- Ty kretynie! O mało co wszystkiego nie spartoliłeś. Jesteś miernotą. Co mi strzeliło do głowy brać na współnika takiego idiotę...

- Ale kupił, nie?

- Sprawdź najpierw, czy rzeczywiście zrobi przelew. Musiałam nawijać przez czterdzieści pięć minut, zanim raczyłeś się pojawić. Przez całe rano usiłowałam się do ciebie dodzwonić. Nie możesz trochę poważniej traktować swojej roboty? Gdzie byłeś?

- Natalia nie żyje.

- Aleks, mam dość twojego debilnego poczucia humoru.

- Została zamordowana. Po południu miałem wizytę policjantki z wydziału kryminalnego. Wypytywała mnie o to, co robiłem ubiegłej nocy. Wygląda na to, że moje nazwisko znajduje się na pierwszym miejscu listy podejrzanych.

Lola wyglądała na zbitą z tropu. Albo byłem królem łgarzy, albo miałem wystarczająco mocne nerwy, by zrobić z Ivana Lendla największego żartownisia w historii tenisa.

- W Inferno sprawiała wrażenie bardzo żywej, z tym typem, który nie przestawał jej obmacywać.

- A dziś rano Kemp znalazł ją zupełnie martwą w jej apartamencie. Dzięki jego życzliwej współpracy, policja podejrzewa mnie, że zemściłem się na niej za nasze zerwanie.

- Dlaczego im to zasugerował?

Wolałem nie ujawniać szczegółów. Wzruszyłem więc ramionami i zacząłem bładzić wzrokiem po suficie.

- Aleks, masz minę dziecka, które porządnie nabroilo. Nie mówisz mi wszystkiego. Mam rację?

- Być może pominąłem jakiś szczegół, to prawda...

- Aleks! - wrzasnęła Lola.

Nie mogłem dłużej ukrywać przed nią prawdy. Głupota, jaką był mój poranny telefon do Kempa, ukazała mi się w całej okazałości.

- Kiedy wróciłem do domu o świcie, zadzwoniłem do Kempa, żeby mi dał numer telefonu do Natalii. Oczywiście odmówił. Zagroziłem, że złożę jej małą wizytę, żeby z nią porozmawiać. Nie mówiłem tego na poważnie, tylko po to, żeby mu napędzić stracha. Zresztą byłem zbyt zalany, żeby ruszyć się z wyrka.

Lola miała przygnębioną minę.

- Nie mogłeś siedzieć spokojnie? Nawet gdybyś wyciągnął od niego numer Natalii, to co? Sądzisz, że zechciałaby z tobą porozmawiać? Aleks, zejdź choć trochę na ziemię: porzuciła cię jak gówno. Nawet ja nie odważyłabym się potraktować cię w taki sposób.

Barwny język Loli wywoływał zazwyczaj mój uśmiech. Jednak bycie porównanym do zwykłego gówna było małą przyjemnością. Niewiele brakowało, a znów bym się rozplakał.

Rzeczywiście, żaden psycholog nie mógł równać się z Lolą. Zawsze można było na nią liczyć, kiedy trzeba było przekonać osobę cierpiącą na depresję do skoku z wieży Eiffla.

- Nie sądzisz, że już i tak czuję się wystarczająco poniżony?

- Wybacz, posunęłam się trochę za daleko - przyznała. Po prostu nie rozumiem, dlaczego ta dziewczyna tak cię opętała. Chuda twarz na nogach długich na metr piętnaście, całość przyozdobiona dwoma dużymi, obwisłymi piersiami i wypłowiałymi włosami. Na dodatek blondynka! Nie jesteś zbyt wymagający! Nie licz na mnie, że będę płakać po tej dziwce.

Domyślałem się, że żałoba Loli nie będzie trwać bardzo długo. Nigdy nie znosiła Natalii. Przy każdym spotkaniu nie omieszkaly powiedzieć sobie wszystkich złych rzeczy, które o sobie myślały.

Zdaniem Loli, Natalia była dziwką o ptasim mózdzku, nadającą się jedynie do maszerowania po wybiegu i bezmyślnego stania bez ruchu podczas sesji zdjęciowych.

Według Natalii, moja współniczka miała dwie główne wady: była nieprzewidywalna (to była prawda) i nie przestawała mnie podniecać swymi głęboko wyciętymi bluzeczkami i spodniami o bardzo niskiej talii (to też było prawdą, tyle że jeśli o mnie chodziło, to nie widziałem w tym nic złego).

Słowem, Natalia i Lola były zazdrosne, a ja, niczym emir zarządzający swoim harem z wysokości swojej wspaniałej męskości, poprzestawałem na liczeniu punktów, nie wdając się w ich kłótnie. Jednak na dłuższą metę moja pozycja obserwatora była uciążliwa, zabroniłem więc Natalii, by przychodziła do galerii, kiedy była tam Lola.

W dniu słynnej sesji zdjęciowej Lola spędzała wakacje na Ibizie w towarzystwie maklera spotkanego w dziale mrożonek w supermarkecie. O ile mnie pamięć nie myli, porzuciła go następnego dnia po powrocie do Francji. Przemiła Lola.

- Lola, nie chcę byś odgrywała płaczki na jej grobie. Próbuję ci tylko wytłumaczyć, iż policja sądzi, że jestem mordercą, i że ta inspektor mnie tak łatwo nie wypuści. Muszę jej udowodnić, że jestem niewinny.

- Z drugiej strony, komu Natalia mogła się tak narazić, że postanowił ją zabić? Jeśli wykluczy się dziesiątki dziewczyn, którym sprzątnęła kontrakty sprzed nosa i tysiące mężczyzn, których awanse odrzuciła, pozostaje tylko jej były chłopak. Wiesz, ten, którego pozbyła się z dnia na dzień, nie dając mu już później znaku życia. Gdybym była na jego miejscu, cholernie miałabym jej to za złe, a ty nie?

- Lola, potrzebuję twojej pomocy - powiedziałem błagalnym tonem.

- Jeśli chcesz, mogę dostarczyć ci alibi. Możesz powiedzieć, że spędziliśmy noc razem. Mój dziennikarz nic nie powie. Nie sądzę, by miał ochotę, żeby jego żona dowiedziała się o jego wyczynach.

- Daj spokój, wszyscy wczoraj widzieli, jak się całowaliście. Naprawdę nie pozostawiliście wątpliwości co do waszych zamiarów. Ale dzięki.

Co mogę zatem dla ciebie zrobić?

- Chcę się dowiedzieć czegoś więcej na temat tego gościa, który był z nią w Inferno.

- Ta gruba świnia, która ją obmacywała? Był obleśny.

- Możesz pójść i zadać kilka pytań Serge'owi? Mnie nic nie powie, ale jak ty włożysz krótką spódniczkę i bluzkę z dużym dekoltem, nie oprze ci się.

- Któż by mi się oparł? Oprócz ciebie, oczywiście... No ale może teraz będę miała szansę, kiedy *ona* ostatecznie opuściła scenę?

- Zachowuj się tak dalej, a zacznę podejrzewać cię o morderstwo - powiedziałem posępnym tonem.

- Słabo mnie znasz, Aleks. Gdybym to ja zrobiła, nie rozpoznałaby jej własna matka.

Bez wątpienia najgorsze było to, że Lola wcale nie żartowała.



## 12

Aleks Cantor opuścił galerię o dwudziestej trzydzięci. Sara zanotowała odruchowo na swoim palmtopie dokładną godzinę. Patrzyła, jak oddała się w kierunku Sekwany i modliła się, by tylko nie wszedł do metra.

W przeciwieństwie do komisarza Lopeza, nie lubowała się w wyrefinowanej i misternej sztuce śledzenia podejrzanego. W zamkniętej przestrzeni wagonów metra, ten sport stawał się niemal torturą. Tym bardziej, że podejrzaną ją znał i nie miałby najmniejszych trudności w rozpoznaniu jej. Słowem, jeśli wybierze schody prowadzące do podziemia, to koniec. Cały wieczór na nic.

Sara pracowała zawsze sama, nie miała więc nikogo, kto mógłby ją zmienić w razie trudności. Z ostatnim współpracownikiem, którego przydzielił jej Lopez, wytrzymała dwa tygodnie.

Oprócz kilku głupich uwag dotyczących mistrzostw świata w piłce nożnej lub podwyżki cen papierosów, jego rozmowa ograniczała się do plotek na temat członków wydziału. Od czasu do czasu, w nagłym przebłysku świadomości, wspominał z nostalgią swoje marne dzieje i zamęczał ją swymi humorami.

Niestety, cierpliwość Sary była tak samo ograniczona jak intelekt jej kolegi. Ona nie zanudzała nikogo swoimi prywatnymi problemami i nie cierpiała, gdy wyplakiwano się na jej ramieniu.

Nerwy puściły jej w trakcie śledzenia gangu dokonującego napałów z bronią, kiedy nagle jej kolega zaczął roztrzasać marne wyniki szkolne swoich dzieci. Ponieważ poznała przypadkiem jego rodzinę i odkryła przy tej okazji parę zalet eugeniki, nie wahała się ani sekundy.

Zatrzymała samochód gdzieś w samym środku zatęchłego przedmieścia i wysadziła swojego pasażera, grożąc mu .38 Special.

Kiedy dwie godziny później dotarł na Quai des Orfèvres, wpadł do biura komisarza i z płaczem rzucił mu się w ramiona.

Wierny swojej własnej logice, Lopez bez wahania podjął konieczne decyzje.

Nie chcąc, by Sara doprowadziła do depresji kolejnych członków wydziału, komisarz wołał nie podsuwać jej nowych ofiar. Od tej pory pracowała sama.

Z drugiej strony, idiota, który dał się wywalić z samochodu patrolowego w czasie wykonywania zadania, zasługiwał w pełni na przeniesienie do biura mieszczącego się na poddaszu, gdzie latem temperatura przekraczała czterdzieści stopni. W każdym razie do prowadzenia śledztw, które od tej pory Lopez zamierzał mu powierzać, w zupełności wystarczył kawałek stołu i dobrze zaostrzony ołówek. Tak oto biedak wyspecjalizował się w zbrodniach w afekcie popełnianych w domach starców.

Od tego czasu Lopez zostawił Sarę w zupełnym spokoju. Ale za to nie mogła już liczyć na niczyją pomoc.

Na szczęście Aleks Cantor postanowił wskoczyć na skuter. Sara, uspokojona tym faktem, zapaliła silnik samochodu i włączyła się do ruchu. Udało się jej jako tako śledzić dwuślad do końca trasy, w dzielnicy położonej na samym południu przy peryferiach Paryża.

Z daleka widziała, jak Cantor wchodzi na wewnętrzne podwórko budynku o szarej fasadzie. Zaparkowała na miejscu przeznaczonym dla zaopatrzeniowców, dwadzieścia metrów od wejścia i wyłączyła silnik. Na ulicy panował całkowity spokój i cisza. Jedynie jakaś para barszkowała w czterodrzwiowym sedanie zaparkowanym trochę dalej na chodniku po drugiej stronie drogi.

Ze swojego miejsca Sara nie widziała pasażerów, ale latarnia uliczna stojąca tuż przed ich wozem, pozwalała jej dostrzec każdy najmniejszy ich ruch dzięki odbijającym się chińskim cieniem.

Bawiło ją podglądanie ich. Zapaliła papierosa i przypatrywała się im przez parę chwil, do czasu, aż kierowca odwrócił się i spostrzegł tłący się niedopałek. Powiedział kilka słów do swojej pasażerki, która również zaczęła obserwować ciemną ulicę.

Sara poczuła się trochę winna za zakłócenie im spokoju. Najwyraźniej im przeszkadzała. Z żalem porzuciła oglądanie widowiska i zagłębiła się w lekturze starej gazety leżącej na tylnym siedzeniu.

Zawarte w niej informacje już dawno były nieaktualne, ale to jej nie przeszkadzało.

Po dziesięciu minutach nie miała już żadnych artykułów, które mogłyby ją zainteresować. Przyjrzała się kamienicy, do której wszedł Cantor. Był to budynek jakich wiele w tej dzielnicy - zupełnie anonimowy i wielofunkcyjny. Z pewnością zamieszkiwali go przedstawiciele klasy średniej, których nie stać było na mieszkanie w centrum miasta.

Na parterze, w pomieszczeniu dozorczy od strony ulicy panowała ciemność. W kilku oknach od frontu paliło się światło, ale nikt nie wchodził do budynku, ani z niego nie wychodził. O tej godzinie mieszkańcy odpoczywali po całym dniu pracy w kręgu rodziny. Tylko przestępcy i osoby samotne pracują, gdy uczciwi ludzie śpią.

Sara westchnęła, pozbywając się w ten sposób smutnej refleksji o braku życia osobistego. Jej wzrok błędził jeszcze przez chwilę po kamienicy, później przeniósł się na parę zakochanych.

Trochę się uspokoili. Kierowca rozmawiał przez telefon, od czasu do czasu komentując z pasażerką słowa swojego rozmówcy.

Kiedy odłożył telefon, kobieta włączyła na moment górne światło i zaczęła szukać czegoś w schowku. Sara zdążyła zobaczyć profil mężczyzny siedzącego za kierownicą. Wyglądał całkiem dobrze na swoje czterdzieści lat, miał rozwichrzone włosy oraz dżinsową marynarkę włożoną na golf. Kobieta miała dobry gust.

Sara byłaby usatysfakcjonowana takim egzemplarzem, nawet dla przelotnej znajomości. Spotykamy się w samochodzie, mówimy tylko to, co konieczne, robimy, co trzeba, i wszyscy wychodzą na swoje, razem ze ślubną małżonką, której niewierny mąż kupuje kwiaty częściej niż przedtem. Bez straty czasu i niepotrzebnych ceregieli. Uroki małżeńskiego życia bez żadnych zobowiązań.

Jedno było pewne: Sara nie potrzebowała towarzysza ani w życiu prywatnym, ani w pracy.

Mężczyzna wykonał nerwowy gest w stronę siedzącej obok niego kobiety, która zgasila szybko światelko. To, co zamierzali robić, nie nadawało się do pokazywania przy świetle. Nic tylko wymalować na drzwiach „cudzołożnicy”.

Sara otworzyła do połowy szybę. Mroźny powiew odświeżył powietrze w samochodzie. Sięgnęła po nowego papierosa, którego

zapaliła z roztargnieniem wpatrując się w horyzont przecięty tablicą reklamową stojącą sto metrów dalej, a potem wyrzuciła niedopałek na ulicę. Lekkie wibracje w tylnej kieszeni jej Levisów oznajmiały, że ktoś próbował się z nią skontaktować.

Kiedy odebrała połączenie, w słuchawce rozległ się przeraźliwy głos komisarza Lopeza.

- Sara, wracaj do siebie.
- Słucham?
- Chcę, żebyś zjeżdżała stamtąd, gdzie się teraz znajdujesz. Idź odpocząć, jutro będziesz miała dużo roboty.
- Ale jestem...
- Doskonale wiem, gdzie jesteś - przerwał jej Lopez. Nie możesz zostać przed domem Cantora, bo przeszkadzasz.
- Jestem w piętnastej dzielnicy, Aleks Cantor mieszka o pół godziny drogi stąd.
- Nie mówię o Aleksie Cantorze, ale o jego ojcu Luigim. Adres: Rue des Morillons 34. Zgadza się?
- Zataił pan przede mną swój dar jasnowidzenia? Skąd pan wie, gdzie jestem?
- Nie mogę ci tego wyjaśnić. Zabieraj stamtąd swoją dupę i kropka. Wracaj do siebie, porozmawiamy jutro. To nie jest prośba, tylko rozkaz. I choć raz bądź posłuszna.

Lopez rozłączył się, zanim Sara zdążyła zaprotestować. Nic z tego nie rozumiała. Jej szef nie mógł w żaden sposób wiedzieć, gdzie była. Nawet nie powiadomiła go, że będzie śledzić Cantora. Zorganizowała ten nocny wypad na szybko, kiedy wychodziła z biura.

To wszystko wydawało się bardzo tajemnicze. Była sama na końcu świata, na opustoszałej ulicy, po dziewiątej wieczór.

Po chwili refleksji stwierdziła, że nie była całkiem sama. A ulica nie była tak opustoszała, jak się jej wydawało.

## 13

- Widziałeś ich?
- Byłoby dziwne, gdybym ich nie zobaczył. Robią wszystko, żeby zostać zauważeni. To mnie martwi najbardziej. Chcą pokazać, że są tutaj, że czuwają, jak złowróżbne ptaki. Muszę spodziewać się najgorszego.
- Kiedy się pojawili?
- Trzy godziny temu. Niewiele brakowało, a przybyliby na syrenie. Są pewni siebie. To zły znak.

Nie mogłem oderwać oczu od ojca, choć ostatnimi czasy widok jego ciała wywoływał u mnie uczucie bólu. Miał bladą i wychudzoną twarz. Duże, sine cienie pod oczami sprawiały wrażenie, jakby miał gorączkę.

Jego niedokładnie ogolone policzki zapadły się pod wpływem choroby. Kości policzkowe uwydatniły się jeszcze bardziej, a napięta na nich skóra wyglądała, jakby za chwilę miała pęknąć. Niegdyś bardzo ciemne włosy, teraz opadały przerzedzone na skronie i kark.

Usadowił się przede mną na kanapie. Kiedy siadał, jego szlafrok rozchylił się i odkrył aksamitną piżamę, w której gubiło się wychudzone ciało. Zawstydzony tym, że zobaczyłem jego wyniszczony organizm, zacisnął nerwowo pasek i poprawił poły szlafroka na wychudzonych udach.

Nie mogłem przekonać samego siebie, że ten stary, schorowany człowiek był moim ojcem, tym, który przeżył utratę żony, a następnie ból wygnania. Jak długo jeszcze będę musiał znosić widok tego wycieńczonego ciała i niekończącego się orszaku upiorów, które za sobą ciągnął?

Rzeczywiście, owo fizyczne przeobrażenie miało pewną logikę. Ojciec stawał się widmem, tak jak wcześniej moja matka i wszyscy inni. Dostał ćwierć wieku w zawieszeniu, nie mógł prosić o więcej.

Mój ojciec umierał, a ja nie mogłem nic zrobić. Kobieta mego życia zmarła, a ja nie mogłem jej ocalić. Gdyby moja chroniczna bezsilność nie była tak dramatyczna, można by ją uznać za komiczną.

Ojciec, który zdawał się czytać w moich myślach, zabrał głos. Jego słowa były pełne goryczy.

- Sądziłem, że to wszystko już dawno się skończyło. Ale najwidoczniej to za mało. Jeszcze nie dość oboje wycierpieliśmy.

Byłem zadowolony, że mogłem uczestniczyć w jego bólu. Jak nikt inny słono zapłaciłem za jego błędy, a mimo to nie miałem mu tego za złe, bowiem w zamian byłem zdolny stawić czoła światu.

Zamieniał mnie stopniowo w oschłą i egoistyczną istotę, niezdolną do oplakiwania miłości swojego życia dużej niż przez dzieśnięć minut. Od razu zrozumiał, że inaczej nie uda mi się przetrwać.

Mój ojciec nienawidził sentymentalizmu. Był historykiem, człowiekiem rzeczowym i oszczędnym w słowach. Zawsze zresztą ostrzegał mnie przed niewyczerpanym słowotokiem lingwistów. Nauczył mnie, że kiedy chcemy coś wyrazić, lepiej jest od razu przejść do faktów, niż gubić się w zbędnych szczegółach.

Fakty streszczały się w trzech słowach: Natalia nie żyła.

Nagle wszystko wydało mi się dobrym żartem. Brutalne zerwanie, brak wiadomości, cisza i śmierć: owa logika była zbyt doskonała, zbyt niewzruszona... Natalia przygotowała swoje własne zniknięcie, by pokazać mi, jak bardzo się dla mnie liczyła. Uważała, że nasz związek stawał się nudny. Chciała, żebym się ocknął.

W tej chwili stała za drzwiami, gotowa wyskoczyć i rzucić mi się w ramiona, śmiejąc się z mojej naiwności. A w pokoju obok byli wszyscy moi przyjaciele, Lola, Dimitri, Kemp, a nawet ta śliczna aktoreczka, grająca rolę policjantki. W ciemności wstrzymywali swoje oddechy, już ubawieni z mojej miny, kiedy zobaczą Natalię rzucającą mi się na szyję.

Nie byłem taki głupi. Podbiegłem do drzwi i otworzyłem je gwałtownie.

Sypialnia ojca była pusta. Na podłodze leżało kilka książek, poukładanych nierówno przy ścianie. Na stoliku przy łóżku leżały

porozrzucane pudełka z lekarami. Stos ubrań, wyprasowanych i złożonych przez pomoc domową, piętrzył się na stojącym w kącie krześle.

Zobaczyłem niespokojne spojrzenie ojca. To nie był żart.

Zamknąłem drzwi i zażenowany z powrotem usiadłem naprzeciw niego. Nadszedł czas, by wyjaśnić mu powód mojej wizyty.

Nigdy nie byłem dobry w zwierzeniach. Nie byłem w stanie wyrazić Natalii ogromu emocji, których doznawałem na jej widok. Wolałem więc milczeć, niż zapomnieć o nich w trakcie mówienia.

Ojciec oczekiwał czegoś innego niż kłępującej ciszy. Tak naprawdę nie wiedziałem od czego zacząć. Może od końca? Tak byłoby najlepiej.

- Muszę ci coś powiedzieć... Ci policjanci są tam z mojego powodu. Twoja przeszłość nie ma z tym nic wspólnego.

- W coś ty się wpakował? Chyba nie w jakąś aferę polityczną? Tysiące razy ci powtarzałem, żebyś uważał.

Głos ojca stał się trochę silniejszy. Nic tak dobrze nie robi, jak łajanie swojego syna.

Potrząsnąłem lekko głową.

- Nie, nie... Natalia zmarła tej nocy. Została zamordowana. Policja sądzi, że jestem w to zamieszany.

- Natalia... - wyszeptał ojciec. *Dio Santo...*

Przez chwilę obawiałem się, czy szok nie nadweręży resztek jego sił. Lekarz ostrzegwał mnie, że jego stan pogarsza się z tygodnia na tydzień. Nie dawał mu więcej niż kilka miesięcy życia, zanim przerzuty uszkodzą jego główne ogramy.

Ojciec wiedział, że umiera. Wolałbym zaoszczędzić mu tego końcowego cierpienia. Nie zasługiwał na ten ogrom nieszczęść, które na niego spadły.

Prawdę mówiąc, ja też nie.

## 14

W jaki sposób nie popatrzyłaby na tę sprawę, Sara dochodziła do tego samego wniosku. Para siedząca przed nią w samochodzie, nie bała się zostać przyłapana przez zazdrosnego męża. Tak naprawdę mężczyzna i kobieta obawiali się, że zostaną rozpracowani. Zadzwonili do wydziału identyfikacji numerów rejestracyjnych i dowiedzieli się, że Sara była gliną, tak samo jak oni.

Policja kryminalna znosiła gorzej wewnętrzną konkurencję niż jakiegokolwiek przedsiębiorstwo. Pasażerowie samochodu pracowali dla tej samej instytucji, ale należeli do wystarczająco wpływowego wydziału, żeby Lopez natychmiast zareagował na ich skargę. A komisarz nie dawał się łatwo zastraszyć. Jego poczucie hierarchii było znikome, żeby nie powiedzieć, że w ogóle nie istniało. Polecenie musiało więc wyjść z samej góry, na przykład od dyrekcji policji kryminalnej, albo nawet z gabinetu ministra.

Tylko jeden wydział mógł pozwolić sobie na to, by zbudzić w środku nocy szefową kryminalnych lub bliskiego współpracownika ministra spraw wewnętrznych. Sara nie miała już żadnej wątpliwości: w stojącym przed nią samochodzie znajdowali się dwaj agenci Służby Bezpieczeństwa.

Powód ich obecności nie był jasny. Natalia Velit z pewnością była sławna, ale jej śmierć nie mogła mieć wpływu na sprawy państwa. Tysiące pięknych dziewczyn umiera co miesiąc w Paryżu, nie wzbudzając podobnego poruszenia. Jak na zwyczajne zabójstwo, sprawy posuwały się za daleko.

Sara nie cierpiała, gdy ją do czegoś zmuszano. Nie było mowy, żeby opuściła teren tak łatwo. Po pierwsze dlatego, że pewna kobieta była martwa, a ona musiała odnaleźć mordercę. A po drugie, nie będą jej pouczać dwaj kretyni, którzy nie potrafią ukryć się w taki sposób, by nie zauważył ich pierwszy lepszy przechodzień.



Sara potrafiła wykorzystać to, czego nauczył ją Lopez. Znała kilka starych dobrych sztuczek. Miała zamiar pokazać im, czego można spodziewać się od zwykłych glin, którym wchodzi się w drogę.

Lopez lubił dobrze przemyślane i sprawnie zrealizowane akcje. Plan Sary był prosty i skuteczny i miał duże szanse się powieść. Komisarz będzie musiał dla zasady dać jej ostrą reprimendę, ale w duchu będzie zadowolony.

Pierwszy etap planu przewidywał wykonanie rozkazu. Przełożony kazał jej się oddalić, więc Sara musiała stąd spadać.

Zapaliła silnik i odjechała z miejsca, w którym stała. Przejechała około stu metrów i skrzyła przed tablicą reklamową. Zamiast wybrać ulicę prowadzącą do centrum stolicy, wjechała w boczną uliczkę, którą zauważyła przyjeżdżając tutaj i zaparkowała na niej samochód.

Resztę drogi przebyła pieszo. Kompleks zabudowań mieszkalnych przecinał park miejski. Sara przeskoczyła przez niską bramę z kutego żelaza i znikła w ciemności. Wyjście z parku znajdowało się kilkadziesiąt metrów dalej.

Pokonana drugą bramę z taką samą łatwością jak pierwszą i przycupnęła przy wzmocnieniu muru. Samochód Służby Bezpieczeństwa znajdował się dziesięć metrów przed nią, na tym samym chodniku.

Sara spojrzała na zegarek. Opuściła swoją kryjówkę dwadzieścia minut temu. Agenci Służby Bezpieczeństwa musieli sądzić, że była już po drugiej stronie Paryża.

Co do dalszej części planu, Sara liczyła na odrobinę szczęścia. Upłynęło pięć minut i otworzyły się drzwi budynku, przed którym stał samochód. Wyszła z niego starsza kobieta ze smyczą, do której doczepiony był psiak ubrany w tweedowe ubranko. Kierowca zsunął się z siedzenia, a za nim jego pasażerka.

Pies podreptał do tylnego koła samochodu i długo je obwąchiwał. Rozczarowany brakiem seksualnej reaktywności opony, obsikał ją dla zasady cienką stróżką moczu i skierował się w stronę najbliższej latarni. Kilka sekund później był już na końcu ulicy.

Sara skorzystała z chwili zamieszania, by znaleźć się przy samochodzie. Dwaj agenci nadal ukrywali się za tablicą rozdzielczą.

Pozycja, w jakiej się znajdowali, nie pozwalała im widzieć, co działo się na zewnątrz.

Kierowca nie miał czasu na reakcję. Sara otworzyła tylne drzwi, usiadła za nim i wycelowała w jego kark swoją .38. Mężczyzna chciał sięgnąć do kabury, ale powstrzymał się, gdy Sara przycisnęła mocniej swoją broń do jego głowy. Dziewczyna również nie zareagowała. Jej wzrok spoczął na rewolwerze, ale nie zdobyła się na nic więcej. Wcisnęła się w siedzenie, jakby tych kilka centymetrów mogło uchronić ją od znajdującej się za nią ciemnej sylwetki.

Sara zbliżyła swoje usta do ucha kierowcy.

- Tylko cichutko, uspokój się. Nie chcę rozwalić twojej ładnej główki.

- O co do cholery chodzi? - wykrztusił mężczyzna. Koniec tych wygłupów, jesteście z policji.

- Wiem. Dlatego wam nie ufam i będę trzymać swoją spluwę tak długo na twojej głowie, dopóki nie wyciągniesz legitymacji. Potem pogadamy.

Mężczyzna wsunął delikatnie rękę do wewnętrznej kieszeni dzinsowej bluzy i podał jej małe skórzane etui.

- Porucznik Lartigue, Służba Bezpieczeństwa... - przeczytała z lekką ironią w głosie.

- Gdybym była złą dziewczynką, sprzątnęłabym cię, zanim byś się zorientował. Masz szczęście, że ostatnio jestem w dość dobrym humorze.

- Kim pani jest? I proszę zabrać tę broń. Jeszcze zrobi pani jakieś głupstwo.

- Zamknij się. Interesuje mnie młody człowiek, który wszedł jakiś czas temu do budynku. Zauważyłam, że was też. A ja nie lubię, jak się ktoś kręci po moim terenie. Czego od niego chcecie?

- Jaki młody człowiek? Musiała się pani pomylić.

Agent wydawał się faktycznie zaskoczony. Jak na glinę był dobrym aktorem, ale Sara nie miała czasu do stracenia. Jęknął lekko, kiedy kolbą rewolweru zadała mu cios w tył głowy i nieprzytomny osunął się na kierownicę.

- Cholerny dupek... I po co było zgrywać bohatera?

Sara wycelowała broń w pasażerkę.

- Wolisz sprawdzić, jak to jest dostać kulkę, czy powiesz mi, dlaczego tu jesteście?

- Proszę nie strzelać - jęknęła dziewczyna, wciskając się coraz bardziej w drzwi samochodu.

- No więc? Nie będziemy tu tak siedzieć cały wieczór.

- Luigi Cantor. Mamy pilnować jego mieszkania.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Otrzymaliśmy rozkaz, żeby ustawić się pod jego domem, tak, żeby wiedział, że tu jesteśmy. Miał nas widzieć.

- I nie wydawało ci się dziwne, że macie się ujawnić?

- Oczywiście, ale rozkazy pochodziły z samej góry. Nie mogliśmy ich kwestionować.

- Kogo jeszcze mieliście pilnować oprócz Cantora?

- Instrukcje dotyczyły tylko jego.

- Od samego początku masz mnie za kretynkę! - krzyknęła Sara. Jeszcze chwila i cię zabiję. Tego chcesz?

Przyłożyła koniec lufy do karku dziewczyny i odblokowała bezpiecznik. W samochodzie rozległ się głuchy szcęk. Drobne ciało dziewczyny wcisnięte w drzwi zaczęło drżeć ze zdwojoną siłą.

- Koniec tych wygłupów. Albo powiesz mi wszystko, albo rozwalę ci mózg. Nawet pieprzony Karcher nie doczyści siedzeń twojej bryki.

Sarze podobała się ta kwestia. Usłyszała ją niedawno w jakimś filmie w telewizji. Gość, który ją wypowiadał, był wysokim Murzynem z tlenionymi włosami. Miał naprawdę groźną minę mieszkańca przedmieść naszprycowanego crackiem. Zresztą strzelił do ofiary.

Co do Sary, to nie miała zamiaru strzelać do swojej koleżanki, lecz tylko przekonać ją, że jej życie przybierało zły obrót. Sądząc po minie dziewczyny, groźba wydawała się być skuteczna.

- Zapewniam panią... - wybełkotała dziewczyna. Nic więcej nam nie powiedziano. Proszę mnie nie zabijać.

Ostatnie zdanie przeszło w szloch. Sara odsunęła swoją broń o kilka centymetrów. Nie przestając grozić dziewczynie rewolwerem, włożyła rękę za dzinsową kurtkę Lartigue'a i wyciągnęła jego służbową broń.

- Masz spluwę? - zapytała.

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy. Sara pogrzebała w kieszeni Lartigue'a i wyciągnęła kajdanki.

- Daj rękę - rozkazała.

Kobieta wyciągnęła nadgarstek, na którym Sara zacisnęła stalową obręcz. Drugą przełożyła przez kierownicę i założyła na rękę Lartigue'a. Kluczyk i rewolwer położyła na półce przy tylnej szybie samochodu. Będą musieli trochę się pogimnastykować, ale powinni sobie poradzić. Zanim Lartigue odzyska przytomność i się uwolni, Sara będzie już daleko.

Sara wysiadła z samochodu i pobiegła w stronę parku miejskiego. Ani przez chwilę agentom Służby Bezpieczeństwa nie udało się zobaczyć jej twarzy. Nawet gdyby ją skojarzyli z policyjnym samochodem, była gotowa się założyć, że nie będą się chwalić swoją niechlubną przygodą.

Mimo to Sara była daleka od satysfakcji. Nic nie trzymało się kupy w całej tej sprawie. Było za dużo graczy na tym samym terenie. A teren robił się śliski.

Sara wracała do domu obwodnicą. Do odtwarzacza samochodowego włożyła kasetę Johnny'ego Casha. Rozległ się łagodny i zmęczony głos człowieka w czerni.

Szybko odczuła kojący efekt muzyki. Powoli opadał z niej stres po ataku na agentów Służby Bezpieczeństwa. Jej ostatni chłopak był prawdziwą kompilacją wszystkich męskich wad, ale przynajmniej potrafił wybrać odpowiednie płyty do poduszki. Sara nastawiła głośno muzykę, by zagłuszyć wszystkie odgłosy z zewnątrz. Wyłączyła komórkę i wreszcie się odprężyła.

O tej porze obwodnica była pusta, więc nie musiała skupiać się na prowadzeniu samochodu. Jej myśli zaczęły błądzić wokół śledztwa.

Ledwie rozpoczęła dochodzenie w sprawie zabójstwa Natalii Velit, a już miała na karku Służbę Bezpieczeństwa. Jak tak dalej pójdzie, wkrótce zostanie odsunięta od sprawy. Jej mały popis z Lartigue'em połechnął trochę jej ego, ale Sara nie miała złudzeń: mimo uporu i protekcji Lopeza, jej czas był policzony. Miała co najwyżej jeden lub dwa dni, potem będzie musiała zrezygnować z prowadzenia sprawy.

Nie wróżyło to nic dobrego. I na dodatek Johnny Cash zmarł w zeszłym miesiącu.

Kiedy dotarła do domu, opadła nagle z sił. Ogromny van sąsiada wystawał jak zwykle poza swoje miejsce parkingowe, więc zanim dobrze zaparkowała, musiała powtórzyć manewr dwa razy. Skopałaby chętnie drzwi samochodu, ale była zbyt słaba. Udała się prosto do swojego mieszkania i otworzyła puszkę piwa.

Migające światelko na telefonie informowało o nieodebranych połączeniach. Rozpoznała numer Lopeza. Przełożony próbował skontaktować się z nią cztery razy w ciągu godziny, ale nie pozostawił

żadnej wiadomości. Prawdopodobnie chciał sprawdzić, czy posłuchała jego rozkazu i wróciła grzecznie do domu.

Miał pecha. Nie słuchała swoich rodziców jeszcze zanim zaczęła chodzić. Urodziła się już ze swoim paskudnym charakterem. A zresztą, za to ją Lopez lubił. Zazwyczaj bawiło go, jak pyskowała.

Miała zamiar oddzwonić, ale szybko zrezygnowała z tego pomysłu. Zobaczy się z nim jutro rano. Miała mu wiele do powiedzenia, i nie będą to same miłe rzeczy. Nie sądziła jednak, że tym razem uda się jej go rozśmieszyć.

Otworzyła drugie piwo. Włączyła komputer i wpisała nazwisko Cantor w okienko wyszukiwarki. Wyświetliło się piętnaście stron linków. Wszystkie dotyczyły Luigiego, ojca Aleksa. Facet był znaną osobistością, nic dziwnego, że Służba Bezpieczeństwa tak się nim interesowała.

Kliknęła na pierwszy link, który zaprowadził ją na stronę tajnej partii lewicowej. Kilka artykułów odwoływało się do działalności politycznej Luigiego Cantora, ale były to jedynie same wzmianki, zbyt lakoniczne, żeby można było je wykorzystać. Sara przeszła do drugiego linku.

Przeglądała tak kolejne strony przez ponad godzinę. Z tego co rozumiała, Cantor był przez długie lata jedną z czołowych postaci włoskiej skrajnej lewicy. Na początku lat siedemdziesiątych, jeszcze przed nagłym rozkwitem ruchu kontestacyjnego, założył małe ugrupowanie polityczne Lotta Rossa, kierowane przez cztery czy pięć osób.

W niecałe dziesięć lat napisał tyle prac, esejów teoretycznych i artykułów, że można by wytapetować nimi sporą ścianę. Kilka z nich było opublikowanych w Internecie. Sara przejrzała te, które przetłumaczono na francuski.

Cantor zawarł w nich przenikliwą i dość trafną analizę niebezpieczeństw zagrażających zachodnim społeczeństwom zrodzonym na dymiących jeszcze gruzach powojennych czasów. Traktował tam o wszystkim: i o pogłębianiu się nierówności społecznych, i o kryzysie klas średnich. Szczególny nacisk położył na zagrożenie, jakie stanowił prawdopodobny upadek komunizmu.

Był pewien, że demokracje ludowe przeżywały swoje ostatnie lata. Kiedy upadną, a w ślad za nimi ich rosyjska rodzicielka, cała

Europa Wschodnia pogrąży się w totalnym chaosie. Demokracje europejskie, niczym kostki domina, ugną się pod straszną falą przemocy. Pod tym względem Cantor wykazał się niezwykle przeczuciem.

Przez całe dziesięciolecie Lotta Rossa stanowiła punkt odniesienia dla wielu aktywistów. W połowie lat ołowiu, we Włoszech nękanych atakami terrorystycznymi organizowanymi zarówno przez lewicę, jak i prawicę, organizacja wyróżniała się swoją dzielną postawą. Opowiadała się bowiem za pacyfistycznym ideałem, który w odpowiednim czasie miał zastąpić zawodne utopie marksistowskie. Luigi Cantor był przekonany o konieczności ukierunkowania ogromnego rozczarowania, które zrodzi niechybnie porażka modelu komunistycznego.

Jego idea było opracowanie szeregu projektów, które wypełniłyby wielką pustkę już zarysowującą się na horyzoncie. Jego plan przewidywał dość proste rozwiązania gospodarcze i społeczne, które na papierze przedstawiały się dość obiecująco. We wszystkich tekstach starał się pokazać, że istniała alternatywa dla fali przemocy.

Jednak pewnego dnia wszystko się skończyło. Cantor dosłownie zniknął z obiegu. Porzucił swoją Katedrę Historii Współczesnej w Rzymskim Instytucie Nauk Politycznych i wyemigrował do Paryża, gdzie przyjął posadę na mało znanym wydziale na przedmieściach. Od tamtej pory niczego już nie opublikował. Dwadzieścia pięć lat zupełnego milczenia. Stał się anonimowy, w chwili gdy jego sława i wpływy sięgały zenitu. Pozostali członkowie organizacji rozwiązali ją w dniu jego wyjazdu.

Najdziwniejsze było to, że nikt nie mówił jasno o przyczynach tego nagłego zwrotu. Było pełno aluzji do jakiejś tajemniczej tragedii. Cantor miałby zdradzić swoich najbliższych towarzyszy walki i zdradzić z własnych ideałów? Sara nie mogła zrozumieć, na czym polegała ta zdrada. Miała całkowite zaćmienie umysłu. We wszystkich tekstach, które przeczytała, wyczuwało się jednak wielką urazę do Luigiego Cantora.

Sara musiała dowiedzieć się czegoś więcej. Mogła zaczekać do następnego dnia i ze swojego biura przeszukać cyfrowe zbiory archiwalne policji kryminalnej, ale była zbyt niecierpliwa. Z natury źle znosiła oczekiwanie. Chwyliła za słuchawkę i wykrciła numer Coplera.

- Dziennikarz odebrał po pierwszym sygnale.
- Taak?
  - Obudziłam cię?
  - Ale skądże. Na ESPN Classic jest powtórka starego pojedynku między Navratilova a Chris Evert.
  - Oglądałeś to już z dziesięć razy.
  - Ale to silniejsze ode mnie, nie mogę się oprzeć. Nic na to nie poradzę, że kręcą mnie laski w białych spódniczkach.
  - Zboczeniec.
  - Jeśli dzwonisz tylko po to, by dyskutować na temat moich seksualnych upodobań, to spadaj.
  - Nie po to dzwonię. Potrzebuję pewnej informacji.
  - W związku z zabójstwem twojej modelki?
  - Być może...
  - Więc jestem zainteresowany. Wal śmiało!
  - Luigi Cantor - czy to coś ci mówi?
- Po drugiej stronie słuchawki Eric Copley zagwizdał z podziwu.
- Nie sądziłem, że dotrzesz do niego tak szybko.
  - Jak to?
  - Wygląda na to, że obecnie interesuje się nim wiele osób.
  - Dostałeś jakieś informacje na jego temat?
  - No można tak powiedzieć. Wcześniej rano miałem anonimowy telefon. Podano mi tylko jeden adres i datę. Był to adres Natalii Velit.
  - A data?
  - 15 maja 1978.
  - No i?
  - Naprawdę nic ci to nie mówi? - zdziwił się Copley.
  - Zupełnie nic.
  - To, co ty robiłaś przez ostatnie dwadzieścia pięć lat? Żyłaś w próżni, czy co?
  - Copley, w 1978 roku miałam dwanaście lat. Wtedy interesował mnie przede wszystkim mój trądzik i kolor moich pierwszych bikini.
  - OK, to streszczę ci to w paru słowach. Masz pod ręką coś do pisania?
  - Oczywiście.
- Zanim zaczął mówić, dziennikarz wziął głęboki wdech.



- Tego dnia, w autobusie na peryferiach Rzymu eksplodowała bomba. Autobus był przepelniony. Bilans zamachu: dwanaście zabitych i dziewięciu rannych, z których nikt nie przeżył dłużej niż pół roku. Nie będę ci opowiadał, co to była za rzeź. Ładunek mógłby rozsadzić Bazylikę św. Piotra.

- A jaki to ma związek z Cantorem?

- Włoska policja odnalazła wśród ofiar ciało osoby, która podłożyła bombę. Nie było bardzo zmasakrowane, więc szybko je zidentyfikowano. Osoba ta nazywała się Francesca Pozzi i była blisko związana z Cantorem.

- Matka Aleksa... - domyśliła się Sara.

- Właśnie. Jej syn mógł mieć wtedy cztery czy pięć lat.

- Myślałam, że podkładanie bomb przez kamikadze jest dość nową tradycją w terroryzmie międzynarodowym. Chyba, że się mylę.

- Masz całkowitą rację. Taki modus operandi nie przystaje do ówczesnych zwyczajów. Prowadzący śledztwo wysunęli hipotezę, że bomba eksplodowała za wcześnie. Francesca miała prawdopodobnie zostawić bombę w autobusie i z niego wysiąść. Ale ładunki domowej roboty były bardzo zawodne. Mogły wybuchnąć przy najslabszym wstrząsie. Według świadków pojazd jechał za szybko po drodze, która była w fatalnym stanie. Wypadek czy nie, uznano, że za zamach jest odpowiedzialna Lotta Rossa, organizacja, w której działała Francesca.

- Z tego co wiem, to Lotta Rossa zawsze odrzucała walkę zbrojną...

- Widocznie nikt z grupy nie znał jej zamiarów. Sęk w tym, że nie mogła dokonać tego zamachu sama. Nie mogła sama zdobyć materiału wybuchowego, zapalnika i całej reszty. Jest więc jasne, że miała współników. Wywiadowcy obserwowali od jakiegoś czasu to środowisko, ale niczego nie zauważyli. Uniewinniono wszystkich członków Lotta Rossa, za wyjątkiem Cantora. W sumie nie dysponowali rzeczowymi dowodami przeciw niemu, więc go wyeliminowali.

- Sądzisz, że jest winny?

- Nie mam pojęcia. W każdym razie w dniu, w którym wybuchła bomba, przebywał we Francji z cyklem wykładów. Odmówił powrotu do Włoch na śledztwo. Nie pomogło to w jego obronie.

- Odbył się proces?
- Dość szybko go osądzono. Taka była specyfika ówczesnego włoskiego wymiaru sprawiedliwości. Został uznany za winnego dokonania aktu terrorystycznego i zaocznie skazany na karę dożywotniego więzienia. Wszyscy byli zaskoczeni, że mógł zorganizować zamach. W tamtych czasach był bardzo szanowaną osobą.
- Wiem, czytałam.
- W każdym razie ta afera podcięła mu skrzydła. Kiedy dał nogę, jego projekty rozwiały się. Już nikt nie chciał o nim słyszeć. Jeszcze dziś jego dawni kumple nie chcą wymówić jego nazwiska. Traktują go gorzej niż zadżumionego. Z drugiej strony można to zrozumieć. Jeżeli gość, w którego wierzysz, zachowuje się jak skończony dureń, to daje to do myślenia, nie?
- Dlaczego rząd nie odesłał go do Włoch, żeby tam odsiedział karę?
- We Francji nie przeprowadza się ekstradycji dawnych goszytów. To taka stara tradycja. Wszyscy schronili się tu na początku lat osiemdziesiątych. Nasz były prezydent miał do nich słabość. Kazał zostawić ich w spokoju pod warunkiem, że będą siedzieć cicho i zrezygnują z wszelkiej formy przemocy. Większość z nich porzuciła swoje dawne przekonania i żyje sobie spokojnie. Jedni zostali profesorami uniwersyteckimi, inni dozorcami. Do tej pory mieli święty spokój, ale już niedługo się to zmieni. Od kilku miesięcy rząd włoski naciska na Ministerstwo Sprawiedliwości. Niektórzy prawnicy przywódcy chętnie zmusiliby kilku z nich do odbycia kary. Chcą ukarać ich dla przykładu i zakończyć definitywnie lata ołowiu. Może to oznaczać, że Cantor znajdzie się w pierwszej grupie odesłanych. A propos, jak do niego dotarłaś?
- A będziesz umiał trzymać język za zębami przez kilka dni?
- Obrażasz mnie - zaprotestował dziennikarz.
- Jego syn, Aleks, jest głównym podejrzanym o zabójstwo Natalii Velit. Chodzili ze sobą przez jakiś czas. Zostawiła go na krótko przed śmiercią. Siedząc Aleksa, zauważyłam, że ludzie ze Służby Bezpieczeństwa obserwują mieszkanie jego ojca.
- A czego oni tam szukają?
- Nie wiem. Możesz to sprawdzić?

- Oczywiście, ale dlaczego sama się tym nie zajmiesz? Wystarczy jeden lub dwa telefony Lopeza i wszystko pójdzie szybciej.

Sara uśmiechnęła się do słuchawki.

- W tej chwili mam trochę na pieńku ze Służbami Bezpieczeństwa. Wolałabym wybrać bardziej dyskretny sposób działania.

- Zgoda. Daj mi dzień lub dwa.

- Bardzo ci dziękuję. W rewanżu zaproszę cię na obiad.

- A włożysz białą spódniczkę?

- Świntuch.

Sara odłożyła słuchawkę. Nurtowało ją mnóstwo pytań. Ktoś naprowadził Coplea na sprawę, jakby cała sytuacja nie była już i tak wystarczająco skomplikowana.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej wybór dziennikarza wydawał się jej oczywisty. Dla nikogo nie było tajemnicą, że lubi sensacyjne materiały. Jeśli naprawdę kryje się za tym coś interesującego, Copleer z pewnością do tego dotrze.

Rozmowa z ojcem o Natalii dobrze mi zrobiła. Rozumieli się doskonale już od pierwszego spotkania rok temu. Pamiętam je w najdrobniejszych szczegółach, bez wątpienia dlatego, że planując ten wieczór, przez cały tydzień obgryzałem paznokcie do krwi.

Dla pewności, że nikt nam nie będzie przeszkadzał, zaprosiłem ich do Hissy, najlepszego japońskiego mistrza kuchni w mieście. Hissa jest czarującym chłopakiem, choć bywa kapryśny. Obsługuje tylko miłych ludzi, czyli takich, którzy jemu się podobają, niezależnie od stopnia popularności czy zasobności portfela. Uznałem, że jego restauracja będzie najlepszym miejscem na oficjalną prezentację.

Podczas gdy Hissa przygotowywał nam wyrefinowane sushi z mango, Natalia opowiadała o swojej młodości w robotniczej dzielnicy Budapesztu, o niezwykłym spotkaniu z Kempem, kiedy spacerowała ze swoją matką po galerii handlowej, o wyjeździe do Francji, gdy miała zaledwie szesnaście lat. A potem o sukcesie, który przyszedł nagle wraz ze wszystkimi honorami i obowiązkami po dwóch latach biegania na castingi.

Nigdy nie wróciła na Węgry. Zaproponowałem jej kiedyś kilkudniowy wyjazd do rodzinnego kraju, aby przypomniła sobie dzieciństwo, ale odmówiła. Ten rozdział swojego życia uważała za zamknięty. Jej przeszłość nie zasługiwała na to, by poświęcić jej najmniejszą choćby uwagę.

Nie miała również ochoty zobaczyć się ze swoją rodziną, za którą, jak oznajmiła mi pewnego dnia stanowczym tonem, wcale nie tęskniła. Temat został zamknięty raz na zawsze. Nie wracaliśmy już do niego.

Natalia i ojciec, obydwójce żyjący na wygnaniu, doskonale się rozumieli. Chociaż z różnych przyczyn, tak samo porzucili wszystko, nie oglądając się za siebie i nie myśląc o powrocie.

Na Natalię czekała tu sława, luksusowy apartament i astronomiczne sumy na koncie. Na mojego ojca jedynie bezbarwne życie pełne żalu i niezrozumienia. Mimo wszystko, tego dnia w ich oczach było widać tę samą nostalgię.

Spędziliśmy wspaniały wieczór. Było lepiej niż to sobie mogłem wymarzyć. Zjedliśmy niezmiernie smaczną kolację i dyskutowaliśmy, dopóki nie przepędził nas Hissa.

Ojciec i Natalia postanowili wtedy, że się jeszcze spotkają. Nie było tygodnia, żeby do siebie nie telefonowali, czy nie jedli razem obiadu. Jeśli chodzi o mnie, ciężko to znośiłem. Prawdę mówiąc, ich intymna więź budziła we mnie zazdrość, więc powiedziałem Natalii, jak bardzo mnie to drażni. Odpowiedziała mi, że mój ojciec był wyjątkowo czarującą osobą, o niespotykanej wrażliwości.

Oczywiście uwielbiała moje nieokrzesanie, ale nadmiar męskich hormonów uniemożliwiał mi rozumienie kobiet. Za to ojcu udawało się to doskonale. Umiał słuchać, poprowadzić rozmowę, a jego lekturą do poduszki nie był zbiór najlepszych ripost Mohammeda Ali. Na szczeblu drabiny relacji ludzkich znajdowałem się jeszcze w epoce neolitu, podczas gdy on opanował już syntezę jądrową.

Wyszedłem powoli z kamienicy, w której mieszkał ojciec i poszukałem wzrokiem samochodu glin. Miejsce, na którym stał jeszcze przed piętnastoma minutami, teraz było puste.

Minęła północ. Miałem spotkanie z Lolą w La Coupole, jedynej piwiarni na Montparnassie, do której raczyła wejść. Utrzymywała, że to ostatni bastion autentycznego ducha bohemy. Od bardzo dawna nie przyglądała się chyba cenom. Od czasu, gdy ostatni raz Picasso uhonorował jeden z foteli swoim szacownym tyłkiem, kawa kosztowała pięćdziesiąt razy drożej.

Wieczór rozpoczął się pół godziny wcześniej w Inferno. Lola miała udać się tam tuż po otwarciu, a potem zobaczyć się ze mną w La Coupole. Poprosiłem ją, żeby ubrała się sexy, kiedy pójdzie wypytować bramkarza. Nie zawiodła mnie.

Lola wyszła daleko poza moje instrukcje. Mówiąc krótko: oprócz elastycznego pasa do wyszczuplenia talii, nie znalazłaby lepszego stroju, który odsłaniałby lepiej jej kształty.

Od razu rzuciła się w oczy, że nie miała nic pod skąpą bluzeczką opinającą jej ciało. Tkanina, której główną cechą nie była bynajmniej nieprzezroczystość, słabo zasłaniała jej piersi. Dodatkowo do stroju były kozaczki na płaskim obcasie i minispódniczka ze skóry, która ledwo co zakrywała górną część ud. Kiedy usiadła naprzeciw mnie, przez rozcięcie w spódniczce widać było koronkowy rąbek pończoch.

Serge na pewno nie opierał się zbyt długo. Na myśl o bramkarzu zacisnąłem pięści. Nie mogłem się doczekać, kiedy trafi na większego, silniejszego i przede wszystkim głupszego od siebie. Chciałbym być wtedy w pobliżu, żeby na koniec obić mu mordę.

Trzeba było przyznać, że moja współniczka posiadała wycucie szczegółu. Jej miedziane włosy były zebrane w dwa kucyki spięte różowymi gumkami z pomponami. Podejrzywałem, że przypomniała sobie o mojej słabości do uczennic z japońskich mang. Przez chwilę bałem się, że poda mi swoje majtki, a obecni na sali fetyszyści rzucą się na mnie, by wyrwać mi z rąk ów cenny przedmiot. Na szczęście nie zrobiła tego.

Widząc jej uwodzicielski uśmiech domyśliłem się, co mnie czeka. Przejechała językiem po przednich zębach, a na jej ustach pojawił się pełen perwersji grymas. O mało co nie spadłem z ławki. Paru starców siedzących w pobliżu było bliskich apopleksji.

Mimo elektryzującej atmosfery, Lola zrobiła nawiną minę nie-dojrzałej dziewczicy, która nie wie, o co chodzi.

- Chcesz wiedzieć, co powiedział mi Serge, czy idziemy od razu do mnie? Wybieraj.

- Lola... - wybełkotałem, nie mogąc wymówić nic więcej oprócz jej imienia.

Próbowałem z całych sił uspokoić się. Przypomniałem sobie lekcje jogi nadawane w niedzielę rano na Paris Première. Oddychałem głęboko, przenieść się do świata wolnego od stresu, otworzyć swój umysł na astralną nieskończoność.

Wziąłem głęboki wdech i powoli wypuściłem powietrze z płuc. Powinienem jeszcze założyć nogi za głowę. Nie zrobiłem jednak tego ze względów praktycznych. Zamknąłem oczy i usiłowałem skoncentrować się na przestrzeni międzygwiazdnej. Tylko że zamiast gwiazd, wszędzie widziałem tętniące życiem piersi Loli.

- Wolałbym najpierw usłyszeć, co powiedział ci Serge - wyartykułowałem w końcu. - Udało ci się coś od niego wyciągnąć?

Lola uniosła brew i pokazała na siebie ręką.

- A jak sądzisz?

Oczywiście, że Serge coś jej powiedział. Ja też wyznałbym jej wszystko, nawet to, czego nie wiedziałem, byle zdobyć jej względy.

- Był gotów jeść mi z ręki - przyznała. - Niczego się nie domyślił.

- No więc?

- Zna tego gościa, który towarzyszył Natalii tamtego wieczoru. Był już tam wcześniej raz czy dwa.

- Jak udało mu się dostać tak szybko na piętro dla VIP-ów? Ktoś musiał go tam wprowadzić?

- Cierpliwości, młody człowieku, zaczekaj na najlepsze. Zgadnij, kto jest jego dobrą wróżką?

- Czy przypadkiem nie jest to Kemp?

- Doskonale. A wiesz, skąd ten gość zna Kempa?

- Chodzili razem do liceum?

- Jeszcze lepiej. Serge mówi, że to jego adwokat.

- Cholera! - krzyknąłem. Tylko tego brakowało.

- A co to zmienia?

- Jeśli zaczniemy zamęczać go naszymi pytaniami, naśle na nas gliny. A jeśli zadzwonię do inspektora, która odwiedziła mnie dziś po południu, to oskarży nas o nękanie go. On jest nietykalny.

- W każdym razie nie ma żadnych dowodów na to, że to on jest mordercą.

- Oczywiście, że nie, ale może dostarczy nam ciekawych informacji. Czego jeszcze dowiedziałaś się od Serge'a?

- Zaczynał robić się jak dla mnie zbyt przedsiębiorczy. Musiałam przedwcześnie zakończyć naszą rozmowę.

- Przypuszczam, że szybko go uspokoiłaś?

Na twarzy Loli pojawił się drapieżny uśmiech.

- Zapytałam, jak się mają jego żona i dzieci. Wiesz, jak bardzo Serge jest przywiązany do swojej rodziny. Zrobił się trupio błądy i nagle znalazł coś do roboty na piętrze.

- Lola, jesteś bezlitosna. Ostry z ciebie zawodnik.

- Tak, podoba mi się to określenie - zawyla dziko.

Lola była również doskonałą aktorką, nadającą się do gry w stylu: „manipuluję tobą, ale jesteś za głupi, żeby to dostrzec”. Jak za dotknięciem czarującej różdżki jej rysy złagodniały. Ujęła moją twarz w swoją dłoń i zbliżyła się tak blisko, że jej usta otarły się o moje.

- Tylko z tobą jestem inna, kochanie. Znów jesteś gotów na wielką przygodę?

O mało co nie uległem swoim żądom. W zasadzie nie miałem nic przeciwko temu, żeby ktoś dał mi choć odrobinę uczucia. Ale dziewczyna, którą miałem przed sobą nazywała się Lola. Nagle powróciło wspomnienie naszego dawnego krótkiego związku.

Dla Loli miłość była podobna do ścierania się dwóch sił, do walki, w której przez cały czas musiała mieć przewagę. Nie zgadzała się na żadne zwolnienie tempa. To, co było bardzo przyjemne pod względem seksualnym, stawało się po prostu męczące w życiu codziennym.

Z Lolą kłopoty zaczynały się po wyjściu z łóżka. Już raz spróbowałem i nie byłem pewien, czy chcę powtórzyć to doświadczenie.

- Jeszcze chyba trochę za wcześnie dla mnie - odpowiedziałem.  
- Daj mi kilka dni.

Loli udało się dość dobrze ukryć swoje rozczarowanie. Znałem ją wystarczająco, by wiedzieć, że miała w tym momencie ogromną ochotę mnie zamordować, ale nie dała po sobie nic poznać.

- Doskonale. Daj mi znać, kiedy będziesz gotów. Mam nadzieję, że ja też jeszcze będę miała ochotę.

- Lola...

- Zaniknij się. Wiesz, masz dar do marnowania dobrych okazji.

Lola była obrażona na całą resztę wieczoru. Na szczęście zobaczyłem Dimitria na drugim końcu sali. Dyskutował głośno z grupą przyjaciół, wśród których rozpoznałem dobrze znaną, wystającą brodę modnego pisarza.

Zacząłem rozpaczliwie do niego machać.

W końcu mnie zobaczył i skierował się chwiejnym krokiem w stronę naszego stolika. W dłoni trzymał kieliszek wódki. Widząc jego błogi uśmiech, mogłem spodziewać się najgorszego. Kiedy przesadził ze środkami pobudzającymi, stawał się nieobliczalny.



W końcu pożałowałem swojej decyzji. Myślałem, że uratuję sytuację, ale mogłem ją jeszcze bardziej pogorszyć. Jak na wybawcę, Dimitri poruszał się zbyt niepewnym krokiem.

Usiadł blisko Loli. Bez najmniejszego zażenowania obrzucił swoją sąsiadkę z góry na dół taksującym spojrzeniem. Mnie zdawał się prawie nie zauważać.

- Cześć Lola, co słytać? Nie miałabyś ochoty zobaczyć mojej nowej wieży hi-fi? Podbiłem basy, po prostu prawdziwe cacko! Nie wspomnę już o kanapie: totalny komfort, cała ze skóry, idealna na małe pieszcoty

- Zamknij mordę - odpaliła mu Lola pokazując mu gest, który przyprawił o rumienie grupę siedzących obok nas damulek. - Odwal się, nie jestem w humorze.

Dimitri wyglądał jak po serii prawych sierpowych prosto w twarz.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, siedząc bezpiecznie po drugiej stronie szerokiego marmurowego stołu. Dimitri spojrział na mnie piorunującym wzrokiem, podczas gdy Lola zachowywała się tak, jakby mnie nie było.

Z racji wieku czułem się odpowiedzialny za harmonię wzajemnych stosunków, więc spróbowałem ocieplić panującą atmosferę.

- Dzieci, uspokójcie się. Lola, nasz przyjaciel Dimitri nie będzie próbował już zaciągnąć cię do siebie, a ty przestań stroić fochy, OK?

Zamiast odpowiedzi dostałem od Loli kopniaka w udo. Do zapisania w notesie poświęconym zrozumieniu płci przeciwnej: każdy przedmiot może stać się śmiertelną bronią w rękach (w danym przypadku - w nogach) kobiety, zwłaszcza jeśli ma na imię Lola.

Pozwoliłem swojej uroczej współniczce dąsać się w samotności i zwróciłem się w stronę Dimitria. Tego wieczoru wybrał styl total look gangsta rap. Jego futro o grubości godnej ministerialnego dywanu wzbudzało jawną zazdrość sąsiadki z prawej, której norki wyglądały przy nim, jakby pochodziły z H & M. Na szyi miał gruby łańcuch ze swoim imieniem wygrawerowanym złotymi literami. Co do okularów w kształcie gwiazd ozdobionych strasem, to nawet Elton John nie posiadał równie kiczowatych w swojej kolekcji.

Można było stwierdzić obiektywnie, że Dimitri wyglądał, jak chodząca choinka. Do całości brakowało mu już tylko łańcucha migających światełek.

- Nie wiedziałem, że tak bardzo lubisz rap - zauważyłem.

- Ach to? - odpowiedział, chwytając za diament na obudowie swojej komórki. To tylko tak, dla zabawy. Nienawidzę tej wieśniackiej muzyki. Jestem raczej za klasyką. Rozumiesz, Mozart, Bach, goście, którzy potrafili komponować...

- Chyba żartujesz? Nie uwierzę, że porzuciłeś Maceo Parkera.

Bardzo dumny ze swojego kawału, Dimitri kiwnął głową, żeby potwierdzić moje słowa. Jego ogromny wisior zaczął poruszać się w przód i w tył w rytm jego śmiechu.

- Miałbym słuchać tego gówna z fortepianem i skrzypcami! Chłopie, uwierzyłbyś w byle co! To jakiś kretynizm.

Oczywiście, moja naiwność wszystkich ostatnio bawiła. Zaśłużyłem nie tylko na szyderstwa Dimitria, ale i na złośliwy błysk w lewym oku Loli. Ona też zastanawiała się, w jaki sposób wjechać mi na ambicję. Jeśli tych dwoje połączy swoje siły rażenia, to czeka mnie ciężka terapia przywracania wiary w siebie u trenera rozwoju osobowego.

Dimitri postanowił zaoszczędzić mi wydatków na psychiatrę. Chwilowo zakończył swoją kampanię zmasowanego oczerniania mnie i poczuł się w obowiązku usprawiedliwienia swojego dziwaczного stroju.

- Miałem dziś wizytę na przedmieściach, chciałem dostosować się do otoczenia.

- Skąd wytrzasnąłeś te łachy? Buchnąłeś je Snoopiemu Doggy Doggowi?

- Jeden z moich klientów zalegał mi z kasą. Wiesz, jeden z tych kretynów z show-biznesu. Gościu ma ładną laskę, zaprasza ją dla szpanu do drogich restauracji, jara cały dzień, a potem nie płaci dostawcom. Dorwałem go z paroma kumplami. Nie miał nic przy sobie, więc puściliśmy go nagusieńkiego, biedaka.

Dimitri posiadał dar dopasowywania sposobu wyrażania się do swojego stroju. Kiedy wkładał garnitur od Saint-Laurenta (czasem mu się to zdarzało, kiedy zabierał do eleganckiej restauracji młodą dystyngowaną osobę - miał bowiem słabość do panienek z dobrych rodzin), wysławiał się z elokwencją godną angielskiego lorda.

Nie było to zabawne, ale podobało się rodzicom, do chwili, gdy pytali o jego zawód. Mogło jeszcze ujść, że ich oczko w głowie zakochało się w chłopcu bez spadku, ale żeby skończyło w łóżku jakiegoś dealera? Tak się nie robi. Przynajmniej nie w Neuilly.

W tym momencie Dimitri żył jak raper, myślał jak raper i śmiał się jak raper, to znaczy z szeroko otwartymi ustami i kołysząc się na krześle. Rechotał tak jeszcze przez dobrą minutę.

Kiedy zrobił się poważny, połączane litery przestały nagle podskakiwać na jego futrzanym płaszczu.

- Dowiedziałem się o smutnej nowinie, stary. Naprawdę bardzo mi cię żal.

- Dziękuję.

Nie mając szczególnej ochoty, aby poruszać ten temat, poprzestałem na wpatrywaniu się w kostkę lodu topniejącego na powierzchni mojego martini. Dimitri nie opanował zbyt dobrze przekazu podprogowego, więc uznał moje milczenie za zachętę do zadawania pytań.

- Wiesz, kto ją sprzątnął?

- Nie, jeszcze nie.

- Jak znajdziesz tego sukinsyna, daj mi znać.

Nastąpiło krótkie milczenie.

- Bardzo lubiłem Natalię - westchnął. - Taka urocza dziewczyna. Naprawdę wielka szkoda... Obiecay mi: jak złapiesz tego gnoja, skontaktuj się ze mną.

- To miło z twojej strony, ale zajęła się już tym policja.

Dimitri spojrzał mi prosto w oczy. Wypowiedziałem zakazane słowo. Na samo wspomnienie sił porządkowych wpadał w zły nastrój.

- Słuchaj Aleks, znam dobrze gliny. Nie ma wśród nich ani jednego, który byłby w stanie odnaleźć swoją matkę w domu starców. Ledwie potrafią pisać dwoma palcami na komputerze, jak na filmach. Więc jeśli chodzi o wykrywanie przestępczości, to nie ma o czym gadać... Sami nieudacznicy! Dowód: nigdy nie udało im się mnie przyskrzynić. Żyjemy w dziwnych czasach. Nie sposób już ufać służbom publicznym, to jest jakieś chore.

Wyglądał na naprawdę oburzonego tym stwierdzeniem. Jego zdaniem sam fakt, że nigdy nie był niepokojony przez policję, potwierdzało zupełny brak skuteczności wymiaru sprawiedliwości.

O mało co nie udowodniłem mu, jak bardzo jego rozumowanie było niedorzeczne, ale się powstrzymałem.

Mimo ogromnej sympatii, którą go darzyłem, zawstydziała mnie logika jego rozumowania. Czasem miałem wrażenie, że jego mózg był odłączony od otaczającej rzeczywistości, jakby nigdy nie doszedł do siebie po ciężkim kwasowym tripie.

Ryzyko zakończenia życia w pace za handel narkotykami nie martwiło go bardziej, niż nagła ulewa. Jego żywot był wolny od jakiegokolwiek stresu. Codzienne troski sływały po nim, nie zakłócając jego spokoju.

Przynajmniej nie groził mu zawał serca. Jeśli jakimś wyjątkowym trafem uda mu się dożyć trzydziestki, będzie pięknym starcem.

Dimitri nie zauważył mojego skrepowania i kontynuował z tym samym zapalem.

- Jeśli chcesz dopaść gościa, który sprzątnął twoją dziewczynę, zrób to sam. Mogę przedzwonić w parę miejsc. Moi kumple są hiperskuteczni, jeśli trzeba kogoś odnaleźć. Zabić jakiegoś sukinsyna czy połamać nogi opieszalemu płatnikowi - to dla nich bez różnicy, byle tylko dostali na końcu swój procent.

Propozycja była kusząca. W ciągu kilku lat Dimitri rozbudował imponującą sieć znajomości. Z racji swojego biznesu znalazł się w samym centrum rozległej mgławicy, w której grawitowali prezenty telewizyjni, gwiazdy rocka oraz politycy - wszyscy nafaszerowani koką i amfetaminą dla utrzymania tempa. Bez żadnych skrupułów utrzymywał zażyłe stosunki z paroma przedstawicielami paryskiego świata przestępczego.

- Najpierw zobaczę, jak potoczą się sprawy. Niedługo powiem ci, czy twoi kumple będą mogli nam pomóc.

- OK stary, ale uważaj. Z tego, co słyszałem, gliny mają cię na oku.

To ostatnie zdanie przybiło mnie do fotela. Skąd mógł to wiedzieć? Oderwałem na moment wzrok od kołyszających się na jego piersi złotych liter i spróbowałem dojrzeć jego oczy za ciemnymi szklami jego gwiazdzistych okularów.

- Twoja słynna siatka wywiadowcza?

- Zgadza się. Jeden z moich klientów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wpadł dziś po południu do biura po mały towar. Trochę pogadaliśmy.

- Powinieneś wypisać na swojej wizytówce „oficjalny dostawca królów i ministrów”. Teraz rozumiem, dlaczego masz święty spokój.

Twarz Dimitria rozpromienił szeroki uśmiech.

- Przyjemnie jest brać kasę, od kogo by nie była. A poza tym wobec gości z ministerstwa stosuję specjalną dopłatę, tak żeby im w pięty poszło. Najlepsze jest to, że nie mają odwagi nic na to powiedzieć. W każdym razie gość był dość dobrze poinformowany. Wie, że ty i ja jesteśmy kumplami. Powiedział mi, że jesteś na czele listy kandydatów do spędzenia w pace dwudziestu najbliższych lat swojego życia. Jak na razie brakuje ci poważnego rywala do tego tytułu. Oprócz ciebie nie mają innego podejrzanego. Nawet ten kretyń, Kemp, jest poza podejrzeniami.

- Chciałbym się upewnić - westchnąłem cicho. - Problem w tym, że nie ma wielu możliwości, żeby to sprawdzić...

- Coś ci chodzi po głowie, tak?

Dzięki częstym kontaktom, Dimitri znał mnie doskonale. Plan, który właśnie zakiełkował w moim umyśle był kompletnie szalony. Istniała jedna szansa na milion, że się powiedzie. Rodzaj prawdopodobieństwa, który go podnieca.

- Będzie trochę akcji, he? - zapytał.

Przytaknąłem skinieniem głowy. Wiedziałem, że Dimitri nie był w stanie oprzeć się solidnej dawce adrenaliny. Zareagował tak, jak się tego spodziewałem.

- Cool... Wreszcie się zabawimy!

Cały szczęśliwy, sięgnął do wewnętrznej kieszeni swojej pelisy i wyjął z niej cygaro grube jak kostka chińskiej gimnastyczki. Zapalił go z zadowoleniem i objął ramieniem talię Loli.

- Pójdziemy do mnie uczcić dobre wieści, ślicznotko?

Kiedy ręka Loli znalazła się na jego twarzy, Dimitri zobaczył, jak jego gwiazdziste okulary rozpryskują się deszczem migoczących przepięknie kawałków.

Problem z Kempem polegał na tym, że był nieufny. Jeśli miałem nakłonić go do mówienia, musiałem ściągnąć go na swój teren, a do tego potrzebna była przynęta. Z zasady robotę tego typu powierzałem Loli. Z jej urodą i sprytem zawsze się udawało.

W przypadku Kempa, jej zgrabne uda i uśmiech zepsutej dziewczynki na nic się nie zdadzą. Jego życie upływało w towarzystwie półnagich pięknych kobiet, więc był uodporniony na piękno. Zresztą jego orientacja seksualna zdecydowanie wykluczała zainteresowanie płcią noszącą spódniczki i gorset.

Oto dlaczego sprawdzał się w roli stręczyciela: wybory, których musiał dokonywać w swoim zawodzie, wykluczały jakiegokolwiek uczucia. Swoje modelki traktował jak zwykle narzędzia pracy: kapitał finansowy otoczony paroma mięśniami, odrobiną ciała i jak najmniejszą ilością tłuszczu. Nawet Natalia nigdy go nie pociągała. Oddać Lolę w jego ręce to tak, jak podarować pudełko czekoladek cukrzykowi.

Analiza jego osobowości doprowadziła mnie do wniosku, że podniecała go tylko jedna rzecz: pieniądze. Tylko że ja ich nie miałem. Cały mój majątek stanowiły prostokąty z kolorowych płócien oprawione w ramy. Lepsze to niż nic, pod warunkiem, że umie się to wykorzystać.

Oprócz paranoi, Kempa cechowała również pamiętliwość. Ledwie Natalia nas sobie przedstawiła, a już dał mi do zrozumienia, jak bardzo gardził ludźmi mojego pokroju. Według niego zasługiwałem na nie większą uwagę niż karaluch.

Prawdę mówiąc wady, które we mnie widział, nie wydawały mi się bardzo poważne. Zarzucał mi brak ambicji, pociąg do korzystania z uciech życia oraz, jak mówił, niestabilność emocjonalną.

No i moje wątpliwe poczucie humoru. Kemp nie śmiał się nigdy z moich kawałów, a każdy z moich udanych dowcipów kwitował uniesieniem brwi i zblazowaną miną.

Szukał zaczepki, więc ją miał. Nie wahając się przed żadnym ciosem poniżej pasa, korzystałem z każdej sposobności, żeby się zemścić. Przez rok nękałem go więc bez przyczyny i o każdej porze dnia, a zwłaszcza nocy, dla samej tylko przyjemności usłyszenia mojego imienia kaleczonego jego gardłowym głosem.

Nie zdarzyło się, żeby przy okazji wspólnego wyjścia do restauracji mój kieliszek z winem nie wylał się nieszczęśliwym trafem na jego marynarkę od Paula Smitha za pięćset euro. W towarzystwie nie omieszkalem nigdy skierować rozmowy na jego kolekcję butów uszytych specjalnie dla jego delikatnych stóp. Słowem, zachowywałem się jak rozpuszczony dzieciak wobec starego, zrządzającego wujka i sprawiało mi to wielką przyjemność, zwłaszcza że obecność Natalii powstrzymywała go od jakiegokolwiek odwetu na mojej osobie.

Teraz żałowałem swojej małoduszności, bowiem Kemp miał dobrą pamięć. Nie dość, że podsunął moje nazwisko policji, to jeszcze nie chciał o mnie słyszeć. Zostawiłem mu dwanaście wiadomości, w których informowałem go, że chcę mu przekazać coś ważnego. Odebrał w końcu za trzynastym razem.

- Czego jeszcze chcesz? - warknął.

- Ja również się cieszę, że cię słyszę - odparłem, udając grzecznego chłopca. - Myślałem, że popsuła ci się komórka. Mam kumpla, który może odpalić ci telefon po przystępnej cenie. Daj znać, jak będziesz potrzebował.

- Przestań się ze mnie nabijać, Aleks. Posuwasz się za daleko. Jak nie przestaniesz, wezwę gliny.

- Wiem, że ostatnio jesteś z nimi w dobrych stosunkach, ale mam ci coś do powiedzenia. Na temat Natalii...

Ostatnie zdanie pozostawiłem w zawieszeniu. Głos Kempa zdradzał jego irytację.

- Aleks, mam dużo pracy. Mów szybko, o co chodzi.

Bingo. Ryba połknęła haczyk. Teraz wystarczyło wyciągnąć ją z wody. Przy odrobinie zręczności, będzie to bardzo proste.

- Dziś rano przeglądałem rzeczy, które zostawiła u mnie Natalia - skłamałem beczelnie.

- Nic u ciebie nie zostawiła - zaprzeczył szybko Kemp. Powiedziała mi, że odchodząc zabrała wszystko.

- Nie, nie wszystko. Zapomniała o torbie z ciuchami, która była pod łóżkiem, nic ważnego. No i obraz.

- Jaki obraz?

- Jak to? Nie powiedziała ci?

- Nie, co to znowu za historia?

- Natalia kupiła mały obraz niedługo przed tym, jak mnie opuściła. Sądziłem, że wpadnie po niego, ale widocznie nie miała okazji. Pomyślałem sobie, że notariusz zauważy to przy podziale spadku. Moja nowa reputacja zabójcy już mi wystarczy. Nie mam najmniejszej ochoty zostać uznanym za oszusta. Przypuszczam, że będziesz wykonawcą testamentu Natalii. Chciałem tylko cię uprzedzić. Możesz po niego przyjść, jak będziesz miał czas.

Staralem się zachować obojętny ton. Kemp był bystry. Najmniejszy cień podekscytowania w moim głosie niechybnie by mnie zdradził.

- Obraz znanego artysty?

- Tak, dość znanego.

W tym miejscu miałem już puścić farbę. Nie mogłem się jednak powstrzymać od przytrzymania go jeszcze w niepewności przez parę chwil. Spokojnie zaczekałem, aż puszcza mu nerwy.

- Nazwisko! - rozkazał.

Teraz mógł rozpocząć się show. Teraz dostanie za swoje. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, Kemp pójdzie na całość.

- Giacometti - powiedziałem powoli.

Wymówiłem wyraźnie każdą sylabę, żeby nie było żadnej niejasności. Po drugiej stronie słuchawki zaległa dziesięciosekundowa cisza. Mogłem niemal usłyszeć Kempa, jak zastanawia się, czy z niego nie drwie.

*Oczywiście, że się z ciebie nabijam, kretynie. Gdybym faktycznie bez niczyjej wiedzy upchnął jakiś obraz Giacomettiego zmarłej osobie, nie sądzisz, że pospieszyłbym się ze spaleniem faktury? Jestem handlarzem dzieł sztuki, moja praca polega na sprzedawaniu obrazów. Jeśli bym to zrobił raz czy drugi, któż by się zorientował oprócz mojego bankiera?*



Dobrze mierzyłem, stawiając na chciwość Kempa. Taki rekin jak on nie mógł przepuścić podobnej okazji. Natychmiast stracił swoją przytomność umysłu.

- Rysunek?

- Obraz. Nieduży, ale bardzo ładny. Portret matki. Mniej więcej tej samej wielkości, co ten z Beaubourg. Mój ma jedynie trochę mniej wyblakłe kolory.

Kemp o mało co się nie udławił. Znałem jego tryb funkcjonowania. Jego neurony pracowały na najwyższych obrotach. Oszacowywał spadek, który właśnie cudem dostał się w jego ręce. Trzy, cztery miliony euro, być może pięć u dobrego licytatora. A cała kwota wolna od podatku, bowiem nie przemknęło mu nawet przez myśl, by złożyć stosowną deklarację w urzędzie skarbowym.

Za taką sumkę można sobie sprawić śliczną garsonierę na Wybrzeżu Amalfi z odpowiednio dobranymi meblami. Wystarczy również na kabriolet, jak i lalusiów o umiejętnym torsie i ptasim mózdzku.

Kemp kochał mężczyzn pięknych i głupich, niewątpliwie dlatego, że sam nie posiadał tych cech. A przede wszystkim kochał ich krótko. To nawet dobrze się składało: takie pieniądze pozwalały na stałe odnawianie zapasów przez dobre sto lat.

Ani przez myśl mu nie przeszło, że Natalia nie mogła ukryć przed nim takiego zakupu. Mój plan był tak prosty, że wydawał się wręcz wiarygodny.

Jak mawiał jeden z moich profesorów od marketingu, im bardziej stromy brzeg, tym więcej imbecyli doznaje rozkoszy, wpadając w przepaść. Ta jedna myśl była warta chesnego za szkołę i teraz miałem świetną okazję, aby przekonać się o jej prawdziwości.

Mój profesor miał rację. Aż miło było popatrzeć z jakim zapalem Kemp zbliżał się do przepaści.

- Faktycznie, dość szybko po niego przyjdę. Pojutrze umówiłem się z notariuszem, aby przekazać mu dokumenty Natalii. Musi sporządzić wykaz całego majątku. Przekażę mu obraz.

*Oczywiście, bierz mnie za idiotę. No dalej, masz, nadstawię ci drugi policzek, spryciarzu.*

- Nie ma sprawy - odpowiedziałem słodkim tonem. - Możesz nawet wpaść dziś wieczór.

- O której godzinie?
- Mam całą masę spotkań w ciągu dnia, później kolację z klientem. Zobaczmy... Około dwudziestej drugiej trzydzieści. Może być?
- Doskonale. Do zobaczenia.
- Cześć.

Obydwaj odłożyliśmy słuchawki z szerokim uśmiechem na ustach. On myślał, że stanął u progu bogactwa. Ja, ponieważ miałem ukarać Kempa za jego arogancję i z góry się na to cieszyłem.

Miałem w sam raz tyle czasu, żeby wszystko przygotować. Jutro o tej porze będzie gotów lizać podeszwy moich New Balance, bylebym zechciał tylko wyciągnąć go z bagna, w które się wpakował.

- Fatalnie dziś pani wygląda, kapitanie Novac.

Sara podskoczyła, słysząc swoje nazwisko. Źle spała ostatniej nocy i była w podłym humorze. Połowę nocy spędziła na rozmyślaniu o tym, co powiedział jej Copley.

Robiło się jej niedobrze od tych historii o nawróconych terrorystach. Była w stanie zrozumieć, że ktoś walczy w imię idei, a nawet że się dla niej poświęca, ale nie mogła pojąć, jak można zabijać niewinnych ludzi i osierocić własnego syna. Aleks Cantor nie miał nic wspólnego z morderczym szaleństwem swojej matki. Odczuł na sobie bezpośrednio konsekwencje zamachu dokonanego przez Lotta Rossa. W Pentagonie nazywano to szkodami ubocznymi.

Na obraz rozerwanego ciała Franceski Pozzi nałożył się obraz martwej Natalii Velit. Niezależnie od tego, czy była to szkoda uboczna, czy nie, jeśli to Aleks ją zamordował, Sara liczyła na to, że słono za to zapłaci.

Zgniotła papierosa w stojącej przed nią na ladzie popielniczce i powoli odwróciła się w stronę swojego rozmówcy.

- Dziękuję za komplement - odpowiedziała, rozpoznając głos Stephana Barbé, lekarza z zakładu medycyny sądowej przy komendzie policji. - Pan też nieźle wygląda. Można by powiedzieć, że w ciągu ostatnich miesięcy postarzał się pan o dziesięć lat. A przecież nie jest pan w wieku emerytalnym?

Lekarz wybuchnął śmiechem i usiadł na taborecie obok Sary. Położył na ladzie grubą teczkę z dokumentami.

- Wysyła mi pani za dużo pracy. Gdybyście nie pozwolili tylu psychopatom biegać po tym świecie, nie robiłbym sekcji za sekcją. Jak tak dalej pójdzie, to będę musiał pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Dał znak barmanowi, wysokiemu, chudemu mężczyźnie z wygoloną głową, który podszedł do nich bez zbytecznego pośpiechu.

- Czym mogę panu służyć?

Jego powolny głos był pozbawiony najmniejszych oznak dynamizmu.

- Poproszę kawę. Zamawia pani coś jeszcze? - Barbé zwrócił się do Sary.

- Kawę.

- Dobrze - powiedział barman, zanim oddalił się powoli w stronę drugiego końca lady.

Sara przysunęła swój stół do stołka Barbé. Znała go, od kiedy zaczęła pracować w policji kryminalnej. W ciągu ostatnich dziesięciu lat prawie wcale się nie zmienił. Jego włosy były przyprószone siwizną, ale jak na mężczyznę po czterdziestce zachował zgrabną sylwetkę i niezaprzeczalny urok. Był to jeden z powodów, dla których cieszyła się, że to właśnie jemu powierzono sekcję zwłok Natalii Velit.

Drugi powód był taki, że Barbé szanował ciała ofiar. Nie traktował ich jak kawałka rozkładającego się mięsa. Starał się nie kroić ich bardziej, niż to było konieczne, a przed wydaniem zwłok rodzinom nadawał im odpowiedni wygląd. Natalia Velit zakończyła swój ziemski żywot w dobrym towarzystwie.

- Dlaczego ten bar? - zapytał. - Mogliśmy się zobaczyć w kostnicy.

- Wie pan, że nie przepadam za pańską kwaterą główną. Czuję się już źle, gdy wchodzę do sklepu mięsnego koło mojego domu. No a poza tym, nie można u pana palić. Trochę kofeiny i dobry papieros, niewiele potrzeba mi do szczęścia.

- Widzę, że ma pani argumenty nie do odparcia. Proszę uważać jednak na tętnice.

- Proszę się nie martwić. Starannie unikam wszystkiego, co im służy.

- No tak, trudno fasolce szparagowej wygrać z hamburgerem ociekającym tłuszczami nasyconymi - stwierdził Barbé.

Sara była mu wdzięczna, że dłużej nie nalegał. Widok zwłok, nawet poranionych, oglądanych na miejscu zbrodni, nie wywierał na niej większego wrażenia. Ale czym innym było oglądać je krojone na kawałki piłą tarczową na metalowym stole.

Poza tym nie mogła przyzwyczać się do kostnicy. Nienawidziła tego miejsca, zwłaszcza długiego korytarza zakładu medycyny

sądowej. Wszystko było tam jednostajnie białe, od ścian po płytki na podłodze. Naturalne oświetlenie zostało zastąpione mocnymi neonami, których oślepiające światło rozjaśniało każdy centymetr przejścia.

Jedynym sposobem na to, by uciec przed tym rażącym blaskiem, było wejście przez drzwi w głębi korytarza prowadzące do prosektorium. Wystarczyło kilka kroków, żeby przekroczyć granicę między życiem a śmiercią. Owa metafora była prostacka, wręcz ordynarna.

To wszystko sprawiało, że bar znajdujący się naprzeciw zakładu medycyny sądowej był doskonałym miejscem na spotkanie.

Sara zaczęła, aż barman przyniesie kawę, zanim przeszła do sedna sprawy.

- Odkrył pan coś interesującego? - zapytała.

- Jeśli przez „coś interesującego” rozumie pani przyczynę zgonu, moja odpowiedź brzmi tak.

Upewnił się, czy barman jest zajęty przy ekspresie do kawy i czy żaden klient nie siedzi zbyt blisko, by usłyszeć ich rozmowę, i dopiero wtedy podał Sarze opasłą teczkę.

- Oto mój raport z sekcji i różne analizy patomorfologiczne. Podkreśliłem najważniejsze rzeczy.

Barbé znał doskonale każde akta. Praca z nim była prawdziwą przyjemnością. Jego wyjaśnienia były wyjątkowo klarowne.

- Przejdę szybko do wstępnych ustaleń - powiedział. - Część z nich już pani zna. Na ciele nie było widocznych ran czy śladów zadanych ciosów. Nie stwierdzono również śladów walki czy stłuczeń, nie znaleziono niczego pod paznokciami. Niedługo przed śmiercią ofiara miała stosunek pochwowy, na który wyraziła zgodę. Jeśli pani chce, mogę porównać DNA mężczyzny z bazą danych państwowej kartoteki odcisków genetycznych.

- Ile czasu upłynęło między stosunkiem a zgonem?

- Trudno powiedzieć. Moim zdaniem od trzydziestu minut do godziny. Przy czym opowiedziałbym się raczej za tym krótszym czasem.

- Co ją zabiło?

- Zmarła z przedawkowania.

- Narkotyków czy leków?

- Obydwu. Wyniki analiz toksykologicznych są zadziwiające. Kobieta przyjęła dwie różne substancje. To dość wyjątkowa mieszanka. Nigdy się z taką nie spotkałem.

- Co to było?

- Myślę, że najpierw GHB.

- Pigułka gwałtu, tak? - zapytała Sara.

- Dokładnie. Co pani wie na ten temat?

- To, o czym piszą w gazetach, czyli niewiele.

- Dobrze, zrobię pani mały wykład. Gamma-hydroksymaślan należy do syntetycznych narkotyków. Pojawił się na rynku około trzydzieści lat temu. Na początku używano go jako miejscowego środka znieczulającego. Na początku lat dziewięćdziesiątych GHB pojawił się w siłowniach. Przypisywano mu właściwości pobudzające hormon wzrostu oraz rzekome zdolności spalania tłuszczu. Oczywiście, badania naukowe niczego nie potwierdziły. Dzisiaj spotyka się go w klubach nocnych. Klubowicze cenią go bardzo za jego właściwości euforyzujące i halucynogenne.

- Stał się więc narkotykiem stosowanym w celach rekreacyjnych.

- Zgadza się. Problem z GHB jest taki, że spożyty w dużej ilości, powoduje całkowitą utratę woli. Ofiara jest świadoma, ale nie może reagować. Prawdziwa lalka, pozbawiona wszelkich zahamowań. Można z nią robić, co się chce, nazajutrz nie będzie nic pamiętać. Marzenie gwałcieli, stąd zresztą jej nazwa. W dodatku jest bezbarwna i bezwonna. Konia z rzędem temu, kto wyczuje ją w koktajlu czy kieliszku szampana. To tłumaczy zapewne brak śladów agresji.

- To świństwo ją zabiło?

- Nie. W jej krwi wykryliśmy drugą substancję i tu, nie będę ukrywał, mam pewne wątpliwości.

- O jaką substancję chodzi?

- O kokainę podaną drogą domięśniową. Zastrzyk został zrobiony po wewnętrznej stronie łokcia. Przy takim sposobie podania, substancja przedostaje się do krwi niemal natychmiast.

- Co pana niepokoi? Natalia mogła wstrzyknąć to sobie sama w ciągu wieczoru.

- Wątpię. Po pierwsze, gdyby wzięła dobrowolnie kokę, wciągnęłaby ją nosem, jak wszyscy. Zrobienie sobie zastrzyku jest dość

kłopotliwe i wymaga sprzętu. A w raporcie śledczym odnotowano, że nie znaleziono żadnej strzykawki w jej torebce czy w mieszkaniu. Nie była narkomanką. To wszystko wskazuje na obecność osoby trzeciej.

- Z tego co pan mówi, GHB było wzięte przed kokainą.

- Nie sposób tego udowodnić, ale wiele faktów wskazuje na to, że tak było. Wyszedłem z założenia, że nie zgadzała się na wstrzyknięcie narkotyku. Jednak ślad po ukłuciu jest bardzo czysty, co oznacza, że nie bronila się. Musiała już być zamroczona GHB. Narkotyk spowodował gwałtowne przyspieszenie rytmu serca. Jego działanie zostało wzmocnione obecnością GHB i serce nie wytrzymało. Nie mogę wytłumaczyć w inny sposób zatrzymania pracy serca u osoby w tak młodym wieku.

- Sądzi pan, że to wypadek? - zapytała Sara.

- Jest pewne, że taka dawka kokainy nie mogła spowodować śmierci. Zastrzyk miał prawdopodobnie wyciągnąć ją z ośpienia. Ale nawet jeśli to był wypadek, wstrzyknięcie kokainy spowodowało śmierć. Z technicznego punktu widzenia chodzi więc o morderstwo. Ale morderstwo z premedytacją wydaje się wykluczone.

- Dziękuję za wyjaśnienia. Były bardzo klarowne. Chciałabym zadać jeszcze kilka pytań, zanim pan wyjdzie. Pewnie się pan spieszy?

Barbé spojrział na zegarek.

- Mam jeszcze kilka minut do następnej sekcji. Wystarczy tylko przejść przez ulicę, więc nie ma sprawy.

- Ta cała sterta papierów nie mówi wszystkiego - zauważyła Sara, wskazując na teczkę. - Odłóżmy na bok aspekt techniczny. Proszę zapomnieć, że jest pan lekarzem medycyny sądowej, a ja gliną. Chcę poznać pana osobiste zdanie.

Lekarz milczał przez długą chwilę. Jego wzrok błądził po ścianach obwieszonych reklamami różnych marek piwa.

To, o co prosiła go Sara, było sprzeczne z podstawowymi zasadami jego zawodu. Wyrażanie osobistych opinii nie wchodziło w zakres jego obowiązków. Jego praca polegała na wyjaśnianiu przyczyn dysfunkcji organizmu i kropka. Nie chciał niczego wiedzieć o zwłokach, którymi się zajmował. Zdawał sobie sprawę, jak wielkim

niebezpieczeństwem był dla lekarza medycyny sądowej brak dystansu do spraw, którymi się zajmował.

Jednak szczerze pragnienie odnalezienia mordercy, które wyczytał z twarzy Sary, przekonało go ostatecznie.

- To tylko przecucie... Kobieta posiadała subtelną urodę, była ucieleśnieniem idealnego piękna. A jednak, w trakcie sekcji zwłok, miałem wrażenie, że owa doskonałość była oszustwem. Trudno to wyjaśnić.

- Co kazało panu tak sądzić?

- Jej narządy wewnętrzne wyglądały jak u czterdziestoletniej kobiety. Wydawało się, że starzała się od środka, jakby przeżyła w przyspieszonym tempie wszystkie etapy ludzkiego życia. Nie wiem, co przeszła w młodości, ale wiele przecierpiała. Proszę spojrzeć na te odblaski.

Barbé wyciągnął z teczki dwa zdjęcia. Pierwsze przedstawiało podbrzusze Natalii Velit. Na poziomie miednicy widać było wyraźnie starą bliznę.

- Wycięto jej wyrostek i co z tego? - zapytała Sara.

Lekarz uśmiechnął się. Wskazał palcem na bliznę.

- Jak na glinę nie jest pani zbyt spostrzegawcza. Całe szczęście, że nie została pani lekarzem. Kapitanie Novac, ta rana znajduje się po lewej stronie, a nie po prawej. W żadnym razie nie może być mowy o wycięciu wyrostka robaczkowego. Proszę spojrzeć na drugie zdjęcie.

Na odblasku widać było tę samą część ciała ofiary, ale tym razem z otwartą powłoką brzuszną. Bo bokach zwłok zwiślały skóra i tkanki zewnętrzne.

Sara nie spodziewała się tak drastycznego widoku. Podskoczyła na stolku, ale natychmiast się uspokoiła. Nie chciała okazywać przy Barbé swojej wrażliwości.

- Kiedy zobaczyłem tę bliznę - powiedział - przystąpiłem do badania wnętrza jamy miednicy. Przeszła zabieg salpingotomii. Innymi słowy, wycięto jej jajowód.

- Nie nadążam za panem - wyznała Sara.

- Najprawdopodobniej miała zapalenie jajowodu, chorobę przenoszoną drogą płciową, na którą zapadają przede wszystkim kobiety mające wielu partnerów. Jeśli nie wyleczy się jej na czas, prowadzi do bezpłodności. Miała szczęście, bo była nadal płodna.



- Skąd pan to wie?
- Spojrzałem na macicę. Niedawno zaszła w ciążę i usunęła ją. Na jej macicy widać jeszcze ślady po skrobance. Kiedy mówiłem pani, że wiele przeszła w swoim życiu...

Barbé wstał gwałtownie. Sara nie widziała go jeszcze w takim stanie. Jego rysy były napięte do granic możliwości. Opróżnił filiżankę jednym haustem i wykrzywił się.

- Nie ma nic gorszego niż zimna kawa... Muszę już iść. Przykro mi, że nie mogłem powiedzieć pani więcej.

- Świetnie się pan spisał, jak zawsze.

- Dziękuję. Cokolwiek odkryje pani na temat tej dziewczyny, proszę nie oceniać jej zbyt ostro. Miała ciężkie życie. A na koniec jakiś drań ją zgwałcił i zabił, kiedy była nieprzytomna. Nikt nie powinien tak umierać.

Uściskał dłoń Sary i skierował się ku wyjściu. Zanim porzucił świat żywych dla świata zmarłych, zatrzymał się. Jego słowa z trudem przedostały się przez zaciśnięte z emocji gardło.

- Nikt nie powinien umierać, nie wiedząc dlaczego, kapitanie Novac. Jak widzę coś takiego, to mam ochotę zmienić zawód.

Kiedy za lekarzem zamknęły się drzwi i została sama, Sara spojrzała jeszcze raz na ciało Natalii Velit. Zamknęła wściekłym ruchem teczkę, nie próbując nawet wytrzeć łez, które popłynęły na zdjęcie.

## 19

Powietrze było ciężkie, przesiąknięte oparami cygar. Raport z sekcji zwłok Natalii Velit zawisł w kłębach mdlącego dymu na jedną dziesiątą sekundy, która zdawała się trwać wieczność. Zanim opadł z przerażającym hukiem na biurko komisarza, wykonał zgrabną spiralę.

Schowany za stertą teczek, komisarz Lopez zupełnie się tym nie przejął. To za mało, by wyprowadzić go z równowagi. O jego irytacji świadczyła jedynie zmarszczona brew pod nażelowanym pasmem włosów.

Przyzwyczajony do wybryków swojej współpracownicy, nie raczył nawet spojrzeć w jej stronę. Wcisnął lekko głowę w ramiona i przygotował się na atak. Pomyślał o seminarium na temat „Zarządzania zasobami ludzkimi w policji”, w którym musiał uczestniczyć kilka tygodni wcześniej. Prowadzący niemal zirytował go swoją teorią na temat rozwiązywania konfliktowych sytuacji za pomocą dialogu. On nigdy nie musiał mieć do czynienia z Sarą Novac.

Sara uderzyła dłonią w biurko, jakby chciała potwierdzić myśli swojego przełożonego. Lopez uznał, że wyrzuciła z siebie wystarczającą ilość negatywnych emocji i że raczej nie przyjdzie jej już ochota wyciągnąć swojego .38 Special. Teraz można było przystąpić do dialogu.

- Siadaj, Saro. I przestań pokazywać na mnie palcem. Nikt ci jeszcze nie wytłumaczył, że to niegrzecznie?

Uwaga Lopeza rozeszła się w zadymionej atmosferze panującej w pomieszczeniu. Sara poderwała się i twardo stanęła przed komisarzem. Jej uparta mina nie wróżyła nic dobrego. Dalej wymachiwała palcem wskazującym przed nosem przełożonego.

- Co to wszystko ma znaczyć!? - krzyknęła.
- Domyślam się, że chodzi ci o mój wieczorny telefon.

- Komisarzu, wie pan, w jaki sposób pracuję. Jestem duża i samodzielna. Nie życzę sobie, żeby wydzwaniał pan do mnie co pięć minut i mówił, co mam robić. Albo pozwoli mi pan pracować spokojnie, albo odda sprawę komu innemu.

- Posłuchaj Saro, nigdy nie mieszałem się do twoich śledztw. Co do tamtego telefonu, to nie mogłem postąpić inaczej. Sam szef gabinetu ministra zadał sobie trud, by zadzwonić do mnie do domu. Powiedział, że policjant, którego wysłałem przed dom Luigiego Cantora, nie ma tam nic do roboty i ma natychmiast stamtąd spadać. Byłem zupełnie zaskoczony. Nie wiedziałem nawet, o czym on mówi. Jak zwykle nie poinformowałaś mnie o szczegółach swoich planów na wieczór. Z drugiej strony, nic mnie u ciebie już nie zdziwi. Twoja zdolność do pakowania się w gówniane sytuacje przechodzi wszelkie pojęcie.

- Śledziłam Aleksa. Nic na to nie poradzę, że pojechał odwiedzić ojca i że pilnują go ludzie ze Służby Bezpieczeństwa.

Ledwie dokończyła swe zdanie, a już zrozumiała, że powiedziała za dużo. Lopez otworzył oczy ze zdumienia.

- Zaraz... A kto ci powiedział o służbach? W każdym razie nie ja. W co ty się jeszcze wpakowałaś?

- Odbyłam tylko krótką rozmowę z agentami, którzy obserwowali mieszkanie Cantora. Nic poważnego.

- Mówiłem ci, żebyś stamtąd spadała.

- Tym razem posłuchałam pana rozkazu. Odjechałam natychmiast po pańskim telefonie. Ale potem pomyślałam sobie, że to nierozsądnie tak sobie pójść, nie wiedząc dlaczego, więc zawróciłam na małą pogawędkę.

Sara zagryzła usta. Lopez zbladł. W wyobraźni widział już, jak przenoszą go do podmiejskiego komisariatu, gdzie ulubioną zabawą gówniarzy jest zrzucanie na policjantów pralek z okien bloków.

Głośno westchnął, ściągnął okulary i rozmasował skronie końcami palców. Cóż innego mógł zrobić, jak tylko oszacować szkody, i czekać na zawiadomienie o przeniesieniu.

- Kurwa, czy ty zawsze musisz mieć głupie pomysły? Nie możesz wykonywać rozkazów jak każdy inny policjant?

- Jak nie odpowiada panu mój styl pracy, to proszę mnie wylać.

- Świetny pomysł. Chętnie zobaczę cię na środku skrzyżowania z gwizdkiem w dziobie. Przynajmniej przestaniesz popełniać wreszcie głupstwa. No dobra... opowiadaj - rozkazał.

Sara zdała mu szczegółową relację ze swojego wieczoru. Informację o jej efektownym wzięciu zakładników skwitował sztucznym uśmiechem.

- Więc ci kretyni obserwują jego ojca. Zazwyczaj kpią sobie z pospolitych przestępstw.

- Ja też tak pomyślałam - odpowiedziała Sara. Poszukałam trochę informacji o Luigim Cantorze. Był podejrzany o terroryzm w latach siedemdziesiątych. Według włoskiej policji wysłał swoją dziewczynę, by podłożyła bombę w autobusie. Zginęła na skutek wybuchu. Cantor schronił się we Francji w 1978 roku.

- To trochę lepiej tłumaczy obecność służb. Postaram się wybać, o co im chodzi. Zostawili go w spokoju przez dwadzieścia pięć lat. Musi być jakiś powód tego nagłego zainteresowania jego osobą.

- Wątpię, czy to dobry pomysł - przerwała mu Sara. Jak będzie tylko jakiś przeciek, to mogą pomyśleć, że chcemy mieszać się w ich śledztwo. Będą naciskać na ministerstwo, aby umorzono śledztwo w sprawie Velit.

- Zobaczmy... A przy okazji, masz coś nowego na ten temat? - zapytał Lopez.

- Barbé wykonał kawał dobrej roboty. Tak jak pan sądził, Natalia została zamordowana, ale najprawdopodobniej to był wypadek. Przez przypadek spowodowano przedawkowanie narkotyku. Przeczyta pan o tym w raporcie.

Lopez spojrział na teczkę rzuconą na jego biurko.

- Co teraz masz zamiar zrobić? Nawet jeśli zachowałam wszelkie środki ostrożności, twój nocny wypad wyjdzie niedługo na jaw. Nie marnuj ani sekundy.

- Zrozumiano - skinęła głową Sara. Zacznę od przesłuchania osób, które były z Natalią w Inferno. Myślę, że zajmie mi to sporą część dnia.

- Potrzebujesz pomocy?

- Panie komisarzu... - mruknęła z niezadowolaniem Sara.

- OK. Radź sobie sama. Nie zapominaj, że oczekuję szybkich rezultatów. I wychodząc, zamknij drzwi.

Lopez zagłębił się w lekturze raportu z sekcji zwłok Natalii. Sara postarała się cicho zamknąć drzwi. Na przestraszony uśmiech sekretarki odpowiedziała uśmiechem miłej, grzecznej dziewczynki, która nie zrobiła nikomu nic złego.

## 20

Większość ludzi uważa, że w boksie wszystko sprowadza się do siły fizycznej. Mylą się. Wprawdzie stu pięćdziesięciokilowy goryl o przesadnie długim ramieniu, stosując się do rad dobrego promotora, może zdobyć tytuł mistrza świata i zachować go przez wiele lat. Wystarczy tylko zrobić listę najlepszych obecnie zawodników wagi ciężkiej, aby się o tym przekonać.

Jednak zdaniem znawców, prawdziwy mistrz nie jest buldożerem, który niszczy wszystko, co spotka na swej drodze i nie odróżnia swojego przeciwnika od worka treningowego. Jeśli jego siła służy do równoważenia źle funkcjonującego mózdzka czy nerwów, które zawiodą go w trakcie szczególnie trudnej rundy, nigdy nie przejdzie do legendy.

Mało jest dobrych bokserów, którzy czekają cierpliwie, aż przeciwnik odsłoni się, żeby uderzyć z haka. Większość męczy się, niepotrzebnie zadając ciosy w próżnię. Wmawiają sobie, że na tyle ciosów, jeden lub dwa powinny okazać się celne.

Nigdy nie byłem dobry w rachunku prawdopodobieństwa, więc pewnie dlatego nie cierpię takiego stylu walki. Nie mam szacunku dla tych, którzy stosują półśrodki. Kocham zawodników, którzy są zdolni zachować przez kilka rund całą swoją energię i wyładować ją z prędkością błyskawicy na podbródku przeciwnika.

Trzeba być idiotą, żeby boksować w taki sposób. Istnieje stale ryzyko, że zaliczy się niespodziewanie cios nie do odparcia. Oprócz gry w rosyjską ruletkę z pięcioma kulami w bębenku, nie ma chyba nic bardziej emocjonującego.

W moim osobistym panteonie znajdują się tylko sami szurnięci goście.

Ja też byłem chyba szalony, chcąc złapać Kempa w pułapkę. Jeśli choć na krótką chwilę stracę czujność, otrzymam błyskawiczną

kontre. Gliny, adwokat, komornik sądowy, Kemp zwali mi na kark cały arsenał broni masowego rażenia. Będę wtedy jak zapalka w ogromnych łapach Iron Mike'a. Zniszczy mnie, zmiażdży, spali, zetrze na proch, nie mówiąc już o hańbie, którą okryje się mój ród po wieczne czasy.

Pragnąc uchronić się przed tą porażką, spędziłem z Lolą i Dimitrim całe popołudnie na dopracowywaniu szczegółów planu. Lola służyła nam swoją pomysłowością, Dimitri doskonałą znajomością wszystkich w stolicy oszustów i dostawców kradzionego sprzętu.

Dimitri jest Mozartem kombinowania, prawdziwym geniuszem sprytu. Można go poprosić o cokolwiek, a załatwi to w mgnieniu oka. Wynajdzie najbardziej nieprawdopodobne rzeczy po najbardziej konkurencyjnych cenach. Pod tym względem nie ma sobie równego w całym Paryżu.

Kiedy zażądałem jednak dwóch miniaturowych kamer cyfrowych, kabli pod kolor turkusowych ścian galerii oraz złącza, aby móc podłączyć je do swojego komputera, spojrział na mnie dziwnym wzrokiem.

- Masz na to dwie godziny - dodałem. - Potem trzeba będzie mi to wszystko zainstalować.

- Upadłeś na głowę, Aleks - odpowiedział. - Skąd ja ci to wytrzasnę w tak krótkim czasie? Myślisz, że gdzie to znajdę?

- Rozczarowujesz mnie Dimitri. Widziałem jak MacGyver robił dużo więcej w krótszym czasie. I do tego był przywiązany do krzesła.

- Tylko że MacGyver miał miłego szefa, który nie wybrzydzał co do koloru sprzętu.

To prawda. Z uczciwości nie odezwałem się ani słowem. Wzruszyłem tylko ramionami. Dimitri opuścił galerię z przygnębioną miną i z telefonem przyklejonym do ucha.

Wrócił za godzinę i pięćdziesiąt pięć minut z całym sprzętem. Kabel był o jedną czwartą tonu za ciemny, ale powstrzymałem się od komentarza. Moje absolutne mistrzostwo w kierowaniu zasobami ludzkimi napawało mnie radością.

Plan, będący w przeważającej części wytworem przebiegłego umysłu Loli, przewidywał zamknięcie Kempa w galerii i postraszenie go magnum, które trzymałem w sejfie.

Nie mieliśmy najmniejszej wątpliwości co do jego udziału, w takiej czy innej formie, w tragicznych wydarzeniach, które zaszły przedwcześnie. Spodziewaliśmy się, że przyparty do muru Kemp, opowie nam dokładnie o roli, jaką odegrał w morderstwie Natalii, a dodatkowo wyjawí nam nazwisko jej zabójcy. Wszystko zostanie zarejestrowane na cyfrowym sprzęcie, nagrane na DVD i wysłane nazajutrz do inspektora policji kryminalnej, która mnie przesłuchiwała.

Plan powiedzie się tylko wtedy, gdy Kemp niczego się nie domyśli i wyzna wszystko szczerze. Dlatego sprzęt nagrywający powinien być zreżcznie ukryty. Rozkład galerii był bardzo prosty. Było to prostokątne pomieszczenie, zamknięte w głębi ścianą z pleksiglasu, za którą znajdowało się moje biuro.

Jedną kamerę umieściliśmy nad drzwiami wejściowymi, a drugą we wnęce gzymsu nad sejfem, po przeciwnej stronie pomieszczenia. W ten sposób obejmowały swoim zasięgiem całą galerię. Kontrolowały każdy centymetr jej powierzchni. Kemp nie będzie miał gdzie się ukryć. Choć raz będzie uczestniczył w pokazie bez możliwości pozostania za kulisami.

Kable poprowadzone szczelinami listew były niemal niewidoczne. Łączyły się przy małej metalowej skrzynce podłączonej do komputera stojącego na moim biurku. Wszystko, co wydarzy się w pomieszczeniu, będzie nagrane na żywo na twardym dysku.

Do rejestracji dźwięku posłużyć miał, przyniesiony przez Dimitria, mały, szpiegowski mikrofon bezprzewodowy działający z cyfrowym urządzeniem nagrywającym ukrytym w mojej kieszeni. Dodatkowo udało mu się zdobyć system elektroniczny, który uruchamiał automatycznie nagrywanie, gdy kąt otwarcia drzwi galerii przekroczy dwanaście stopni.

Teraz wystarczyło już tylko przygotować mały show w amerykańskim stylu. Od zawsze pragnąłem wcielić się w historycznego bandytę, a przynajmniej od kiedy zobaczyłem Ala Pacino ze spluwą w każdej dłoni wciągającego góry koki, zanim dał sobie wpakować w klatkę piersiową całą setkę kul w końcówce filmu *Człowiek z blizną*. W moim przypadku zamierzałem jednak zatrzymać się przed sceną końcową.

Wyciągnąłem magnum z sejfu i wsunąłem je do dużej koperty z grubego papieru, którą położyłem na biurku na wprost krzesła.



Przećwiczyłem kilka razy wyciąganie go płynnym ruchem z ko-perty. Wyjmowanie rewolweru było dziecinnie proste. Wystarczyło mi pięć sekund, żeby przybrać pozycję do strzału. Kemp nie będzie miał czasu, by spostrzec, co się dzieje.

Nie sądziłem, że tak łatwo zamienię się w drapieżcę. W zasadzie jestem rozsądnym i dobrze ułożonym chłopcem. Wkurzam się jak wszyscy, gdy ktoś źle mnie traktuje. Widząc nieuczciwe zagrywki paru moich konkurentów, nie mogę się czasem powstrzymać przed wytknięciem im braku wychowania. Czułem wiele razy, jak wzbiera we mnie nieodparta ochota, by wydłubać im oczy i zgładzić ich ród.

Na szczęście, z powodu mojego wrodzonego tchórzostwa, chęć zemsty pozostawała wyłącznie w sferze marzeń. W najgorszym wypadku rozpuszczałem parę plotek na ich temat lub sprzątałem im spod nosa jakiś intratny interes. Mimo nikłego oddźwięku medialnego tych lokalnych wendet, moje ego było jak dotąd w pełni usatysfakcjonowane.

Dzięki Kempowi odkryłem jednak drzemiące we mnie pokłady okrucieństwa. Na samą myśl o popłochu, w jaki wpadnie Kemp, czułem na plecach dreszcz rozkoszy. Chciałem tylko przyprzeć go do muru i uziemić. Reszta mnie nie obchodziła.

Zakończyliśmy przygotowania około dwudziestej. Byłem zbyt podekscytowany, aby zostać w galerii i czekać, aż Kemp raczy przy taszczyć swój tłusty tyłek, zaproponowałem więc wyjście do restauracji.

Dimitri wymówił się spotkaniem z młodą piosenkarką R'n'B, której, jak twierdził, miał zostać producentem. Domyślałem się, że kłamał, ponieważ nie chciał pakować się w kłopoty, ale pozwoliłem mu sobie pójść. Przygody nie były jego największą pasją, a poza tym już i tak bardzo nam pomógł. Usiadł za kierownicą swojego odkrytego MG i szybko odjechał, machając nam na pożegnanie.

Zostałem z Lolą sam. Tym razem zostawiła w szafie strój femme fatale i włożyła na siebie czarny sweterek i džinsy o niskiej talii. Całość uzupełniały srebrne sportowe buty i odsłonięty pępek.

Nie wierzyłem własnym oczom: Lola była ubrana jak normalna dziewczyna, a nie jak japońska uczennica, hollywoodzki wamp czy

gotycka uwodzicielka, w skórzanym gorsecie, mini i naszyjniku z ćwiekami. Bez tych kiczowatych ozdób też była ładna. A w każdym razie mniej straszna.

- Świetnie wyglądasz - pogratulowałem jej. Idziemy na kolację?  
- Nie jestem głodna. A co powiesz na odrobinę sportu? - powiedziała wpatrując się ostentacyjnie w kanapę.

Wzniosłem oczy ku niebu. Opieranie się Loli było nadludzkiem wyczynem. Kiedy czegoś chciała, nic ani nikt nie mógł się jej przeciwstawić. W tym wypadku przedmiotem jej pożądania była moja skromna osoba.

Cieszyło mnie to zainteresowanie, ale niestałość Loli i jej nienasycony apetyt na mężczyzn wróżyły w najbliższej przyszłości poważne kłopoty.

- Chyba nie będziesz nosił żałoby przez cały rok? - zapytała.  
- Przypominam ci, że Natalia zmarła trzy dni temu.  
- Natalia... Ach tak, przypominam sobie... Aleks, zapomnij o niej. Miała rację, że cię rzuciła. Nie pasowaliście do siebie.  
- A dlaczego ty miałabyś do mnie pasować?  
- Spójrz na mnie, stary: jestem miła, śliczna, zgrabna i mam wyobraźnię. Wszyscy faceci marzą o takiej dziewczynie jak ja.  
- Lola, jesteś jednym wielkim źródłem kłopotów.  
- To prawda, przyznała. Ale nie będziesz się nudził, a to już coś. Ach, wkurzasz mnie...

Złapała mnie za tył głowy i przycisnęła swoje usta do moich. Zaskoczony takim obrotem sprawy, nie mogłem powstrzymać jej przed wsunięciem języka w moje usta.

Jedno było pewne: Lola cholernie dobrze całowała.

Dalszy ciąg wydarzeń potwierdził, iż dobrze zrobiłem inwestując w wygodną kanapę. I zrozumiałem, dlaczego Lola tak bardzo chciała być przy jej wyborze. Ustawienie kanapy w galerii było zresztą jej pomysłem.

Jak zwykle wszystko przewidziała. Działała dyskretnie, a ja niczego nie przeczułem. Pociężyłem się myślą, że istnieją mniej przyjemne sposoby bycia manipulowanym.

Kiedy zbierałem ubrania porzucane po przeszklonym biurze, dostałem mdłości. Lola wykorzystała chwilę mojej słabości, żeby

mnie wykorzystać. Próbowałem wmówić sobie, że byłem tylko ofiarą, ale sięgając nawet do najgłębszych pokładów mojej nieuczciwości, nie byłem w stanie tego zrobić.

Choć inicjatywa wyszła od Loli, nie zwalniało mnie to z mojej części odpowiedzialności. Kopulacja ze swoją była dziewczyną nie była najlepszym sposobem na uczczenie pamięci tej, która właśnie zmarła.

Natalia zasługiwała na więcej niż na seksualną orgię zamiast czuwania przy jej trumnie. Byłem draniem, a Lola była moim złym duchem. Pisane mi było, że będzie mnie torturować aż do samego końca.

- Zgłodniałam po tej rekreacji - powiedziała, wkładając swoje bokserki Victoria's Secret. Znam małą, sympatyczną restaurację niedaleko stąd. Zaprosisz mnie, żeby to uczcić?

- Co chcesz uczcić?

- No... wszystko: zasadzkę na Kempa, nasz związek...

- Nasz związek? - wrzasnąłem. - Tylko się ze sobą przespaliśmy! To wcale nie znaczy, że jesteśmy parą.

Lola znów mnie pocałowała. Nie byłem w stanie jej odtrącić. Za nim odsunęła się ode mnie, po raz ostatni wsunęła swój język w moje usta.

- Aleks, nie ma co się tak stresować. Będę grzeczna, przysięgam.

Swoją obietnicę przypieczętowała zręcznym klapssem w mój tyłek.

- No dalej, ubieraj się. Jesteś mianowany oficjalnym sponsorem wieczoru. Jak już załatwisz wszystko z Kempem, będziesz mógł nawet ponownie mnie rozebrać.

Mówiąc to, wsunęła się w dzinsy, włożyła na gołe ciało swój sweter i ruszyła zdecydowanym krokiem w kierunku drzwi. Miałem jej powiedzieć, że zapomniała swojego biustonosza. Kiedy zrozumiałem, że zrobiła to specjalnie, wsunąłem go do kieszeni marynarki i pobiegłem za nią.

Niedługo przez nią oszaleję.

## 21

To, co Lola nazywała małą, sympatyczną restauracją, było w rzeczywistości najdroższym lokalem, jaki odwiedziłem od niepamiętnych czasów. Mogłem się tego spodziewać. Lola uwielbiała wydawać pieniądze innych.

Musiała mieć zresztą w zwyczaju kazać się tu zapraszać, ponieważ szef sali restauracyjnej, tęgi osobnik o zwiędłej twarzy, podszedł do niej, jak tylko przekroczyła próg. Ujął rękę mojej współniczki i podniósł ją do swoich mięsistych ust.

- Jak miło znów panią widzieć - powiedział uprzejmym tonem. Ten sam stolik co zawsze?

- Tak, dziękuję.

- Proszę za mną.

Puścił w końcu dłoń Loli i przeprowadził nas przez salę. Zdawał się nie zauważać mojej obecności. Traktował partnerów Loli jak części zamienne. Nie obchodziła go ich tożsamość, wygląd czy charakter, byle tylko dysponowali wystarczająco grubym portfelem, by zaspokoić najmniejszy nawet kaprys jego klientki.

- Często tu przychodzisz? - szepnąłem Loli do ucha.

- Moi kochankowie nie są takimi sknerami jak ty.

Szef sali zaprowadził nas do stojącego osobno stolika w głębi sali. Na jego dyskretne skinienie pojawił się natychmiast kelner, który wziął nasze płaszcze. Drugi kelner odsunął krzesło Loli i pomógł jej usiąść.

- Szampan? - zaproponował mistrz ceremonii.

- Też pytanie! - odpowiedziała Lola. - Musimy uczcić to, że znów jesteśmy razem.

Szampan pojawił się na stole zanim zdążyłem wyrazić swój sprzeciw. Intensywny kolor, doskonały rocznik, schłodzony z dokładnością co do jednego stopnia - po prostu cudowny.

Jednak na samą myśl o jego cenie poczułem w ustach gorzki smak.

Lola ujęła kieliszek końcami palców i uniosła go lekko w górę.

- Za nas! - powiedziała.

- Tak - odpowiedziałem bez większego przekonania. Wspaniale...

- Aleks, jesteś okropny. Z tego co pamiętam, na kanapie nie miałeś takiej niezadowolonej miny.

Zaczerwieniłem się na myśl o naszych wcześniejszych wybrykach. Oddałem się jej zupełnie. Ani przez chwilę nie pomyślałem o Natalii. Wraz z pierwszym łykiem szampana ogarnęła mnie fala wyrzutów sumienia.

Szef sali przyniósł kartę dań. Wygórowane ceny zagłuszyły trochę moje poczucie winy. Ta kolacja jest moją pokutą. Zamiast biczować się, opróżnię za jednym zamachem swoje konto. Na krótszą metę będzie to mniej bolesne, ale przez najbliższe dwa tygodnie moje menu ograniczy się do makaronu i ziemniaków.

Westchnąłem, słysząc jak Lola zamawia najdroższe dania z karty. Uśmiech szefa sali robił się coraz szerszy. Obliczyłem szybko całkowity koszt kolacji. Odpowiadał mniej więcej jednej czwartej mojej miesięcznej pensji. Jak szaleć, to szaleć, więc też zdecydowałem się na skosztowanie dań o długich i niesamowitych nazwach. Szef sali odszedł do kuchni zachwycony.

Zaczęliśmy właśnie przystawkę, kiedy zadzwoniła moja komórka. Rozpoznałem numer Samuela Burtena.

Wahałem się, czy odebrać. Telefon o późnej porze od Sama nie wróżył nic dobrego. Zazwyczaj o tej porze trzeźwiał po wypitej whisky w jakimś nędznym hotelu z panienką spotkaną niecałe piętnaście minut wcześniej.

Jeśli zadał sobie trudu, żeby do mnie zadzwonić, to musiało to być coś ważnego, czyli - zwracanie głowy bez końca.

- Kto to? - zapytała Lola.

Udałem, że trzymam w rękach spluwę i że do niej strzelam. Temu ostatniemu ruchowi towarzyszyło głośne „bang”, zagłuszające dźwięk dzwonka. Lola nie zrozumiała mojej aluzji i zmarszczyła brew. Chciałem pokazać jej to jeszcze raz, ale na widok wścieklej miny szefa sali poczułem się zmuszony do odebrania telefonu.

- Halo? Sam, cóż za niespodzianka! - powiedziałem nieszczerym i przesadnie słodkim tonem prezentera telewizyjnego.

- Cześć Aleks, nie przeszkadzam?

Takie pytanie nie było w jego stylu. Nie należał do tych, którzy przejmują się innymi.

- Nie, nie przeszkadzasz mi. Jemy właśnie z Lolą kolację. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Jesz z Lolą kolację... - powtórzył Sam. - To bardzo cię przepraszam.

Tym razem moje wątpliwości potwierdziły się: nie był taki jak zawsze. Takie owijanie w bawełnę było do niego zupełnie niepodobne.

W relacjach z innymi Sam stosował ściśle słynną doktrynę *roll back*, rozpowszechnioną przez Eisenhowera na początku lat pięćdziesiątych. Pojawiał się w jakimś kraju, niszczył wszystko, co było na jego drodze i wracał ze spokojem tam, skąd przybył.

Ów nagły odruch altruizmu zrodził jednak we mnie wątpliwości. Być może zbyt krytycznie osądziłem Samuela Burtena? Przypomniałem sobie lekcje katechizmu z dzieciństwa i postanowiłem nabrać wiary w istotę ludzką.

Odprężyłem się i spróbowałem być miły.

- Czego chcesz?

- Czuję się skrępowany... Nie chcę ci przeszkadzać w kolacji.

- Sam - powiedziałem ostrym tonem - najpierw powiedz czego chcesz. Potem zobaczymy, czy mi przeszkadzasz, czy nie.

- No więc muszę natychmiast wracać do Stanów w pewnej sprawie i chciałbym dostać część pieniędzy ze sprzedaży moich rzeźb.

Cóż za ulga! Posłałem w kierunku Loli gest radości. Uznałem jednak, że powinienem pokazać Samowi, jak bardzo się o niego martwię. Mój katecheta byłby ze mnie dumny.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego?

- Nie, możesz być spokojny. Ale potrzebuję pieniędzy.

- Nie mogę ci dać całej sumy ze sprzedaży. W przyszłym tygodniu muszę dostarczyć do Rzymu dwa dzieła. Czekać na przelew.

- Nie szkodzi. To ile możesz mi odpalić?

- W tej chwili nie mam dużo gotówki w sejfie. Dwa tysiące euro, może dwa pięćset.

- Wystarczy. Resztę wyślesz mi później. Mogę wpaść dziś wieczorem?

Cholera.

- Nie, dziś nie mogę - zaprotestowałem.

- Mam samolot jutro o ósmej rano. Bądź miły Aleks... Jestem przed galerią, możemy się tu spotkać?

Spojrzałem na zegarek. Dwudziesta pierwsza trzydzieści. To było wykonalne pod warunkiem, że natychmiast stąd wyjdę.

- Dobra, już idę. Będę za piętnaście minut. Znajdź sobie jakąś kawiarnię.

- Wszystko w okolicy jest zamknięte - jęknął Burten. - Mógłbyś mi podać kod do galerii? Zaczekam w środku.

Znałem go, więc się zawahałem. Burten był najgorszym z niszczyieli. Pozostawienie go samego w galerii było czystym szaleństwem.

- Proszę cię Aleks... na dworze jest cholernie zimno. Już prawie zamarzałem.

Zrobiłem szybki przegląd tego, co znajdowało się w galerii. W sumie większość wystawionych dzieł należała do niego. Pozostałe, bardziej wartościowe, były zamknięte w moim biurze. A poza tym system Dimitria chronił mnie przed przykrymi niespodziankami.

Gdyby Burtenowi strzeliło do głowy coś głupiego, będę miał niezbity dowód winy. Mój ubezpieczyciel widział już niejedno. Brakowało jeszcze tylko nagrania, na którym autor niszczy swoje własne dzieła. Jak z czymś takim nie znajdę się wśród *best of annuel* magazynu wydawanego przez stowarzyszenie ubezpieczycieli, to...

Mógłbym nawet spróbować wypuścić taką kasotę na rynek. „Najnowszy performance Samuela Burtena: chwila, w której artysta odkrywa miernotę swojego dzieła”. Adepici krytyki metaartystycznej mieliby nad czym rozmyślać przez kilka lat.

- Dobra - zgodziłem się. - Trzymasz palec na klawiaturze?

- Tak, dawaj.

Podał mi kod do drzwi wejściowych, obiecując, że dołączę do niego jak najszybciej i rozłączyłem się, świadom, że popełniłem wielki błąd.

Nie miałem odwagi spojrzeć Loli w oczy. Psułem właśnie kolację, na której świętowaliśmy nasz ponowny związek. Musiała sądzić, że robię to specjalnie. W oczekiwaniu na najgorsze, przygotowałem się do awaryjnego lądowania, unosząc kolana i przyciskając łokcie do klatki piersiowej.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, najgorsze nie nadeszło. Lola nie chlusnęła mi w twarz swoim sauvignon, nie rzuciła talerzem o podłogę, nie wrzasnęła, że jestem parszywym egoistycznym dupkiem. Spokojnie wzięła kawałek marynowanego łososia do ust, a potem odłożyła widelec obok swojego talerza.

Jej bosa stopa, niewidoczna spod obrusa, przesunęła się po moim udzie i zbliżyła niebezpiecznie do intymnych części mojego ciała.

Zaskoczony, jęknąłem cicho. Lola położyła palec na swoich ustach i figlarnie mrugnęła do mnie okiem. Uśmiechała się, podczas gdy palce jej stóp znalazły się na moim rozporoku, a płonące żarem oczy wpatrywały się we mnie.

Choć znałem ją od ponad dziesięciu lat, zawsze nabierałem się na jej zachowanie kotki w rui.

Kiedy jej palce zacisnęły się na moim członku i zaczęły poruszać się rytmicznie, napiąłem wszystkie mięśnie swego ciała. Wypuściłem z ręki telefon, który spadł na podłogę obok mojego buta. Mój oddech stał się chrypliwy i nieregularny niemal jak u duszącego się astmatyka.

- Ostatni raz robisz mi coś takiego, Aleks - powiedziała powoli, ciągle się uśmiechając. - A to, żebyś o tym pamiętał.

Uścisk jej stopy rozluźnił się nagle. Przejechała piętą po moim kroku, miażdżąc wszystko, co spotkała na swej drodze. Moje podbrzusze przeszły okropny ból. Krzyknąłem i o mało co nie zsunąłem się z krzesła.

Mgliste wspomnienie utraconej dumy nie pozwoliło mi jednak wić się z bólu po podłodze. Staralem się, jak tylko mogłem, żeby utrzymać się przy stole. Mój kieliszek zachwiał się, obrócił dookoła swej osi i rozbił się o stół. W jednej chwili stałem się głównym obiektem zainteresowania całej restauracji.

Widząc, jak jego sala bankietowa zamienia się w pole bitwy, wściekły szef sali skierował się w moją stronę.

Lola wyprzedziła jego mordercze zamiary.



- Nigdy więcej tego nie rób - powiedziała. A teraz spadaj. Spotkamy się w galerii, jak skończę kolację.

Nie miałem nic na swoją obronę. Zresztą moje cierpienie było tak silne, że nie wydusiłbym z siebie ani jednego słowa. Wstałem i włożyłem płaszcz.

Już miałem wyjść, kiedy zawołała mnie Lola. Wyciągnęła dłoń wewnętrzną stroną do góry.

- Karta kredytowa.

To nie była propozycja. W innych okolicznościach posłałbym ją do diabła, ale teraz nie byłem w stanie walczyć. Wyciągnąłem portfel i podałem jej swoją kartę.

Z obolałymi łądrami, uciekłem, odprowadzony drwiącym spojrzaniem szefa sali i połowy klientów. Siedząc sama przy stoliku, Lola triumfowała.

## 22

Potrzebowałem dwudziestu minut, żeby dojść do galerii. Przy każdym kroku miałem wrażenie, jakby w moje narządy płciowe wbijano garść igieł. Ból zaczął słabnąć dopiero po kilkuset metrach.

W piętnaście minut dokonałem tego, na co ludzkość potrzebowała setek tysięcy lat, aby przejść z pozycji skulonej do pionowej. Kiedy dotarłem w pobliże galerii, czułem tylko lekkie mrowienie.

Tak naprawdę nie mogłem mieć pretensji do Loli, cała moja nienawiść skupiła się więc na Burtenie. Nawet jeśli nie robił tego specjalnie, gość niewątpliwie przyciągał kłopoty. Był chodzącą katastrofą.

Choć korciło mnie, by poddać jego męskość specjalnemu zabiegowi Loli, szybko zrezygnowałem z zamiaru wyładowania się na nim tego wieczoru. Musiałem odesłać go jak najprędzej do wszystkich diabłów, bowiem zaraz miał pojawić się u mnie Kemp.

A poza tym, jutrzejszy dzień zapowiadał się wspaniale: Burten będzie w samolocie do Nowego Jorku, a Kemp po uszy w tarapatach... Pchnąłem drzwi galerii, myśląc o tej słodkiej perspektywie.

Zatrzymałem się w progu, zaskoczony brakiem oznak obecności Burtena. Spodziewałem się, że zastanę go siedzącego w kącie, jak pali papierosa lub bawi się jedną ze swoich rzeźb. Tymczasem światło było zgaszone, a w pomieszczeniu panowała cisza. Jednak drzwi galerii były uchylone.

- Sam! - zawołałem. Gdzie jesteś do cholery?

Brak odpowiedzi. Idiota musiał zmienić zdanie i wyszedł z nie wiadomo jakiego powodu.

Poszukałem po omacku wyłącznika znajdującego się na najbliższej ścianie. Kiedy go znalazłem, przekonałem się, jak bardzo moje

obawy były uzasadnione. Wyrwany wyłącznik zwisał ze ściany. Mimo to spróbowałem na niego nacisnąć, niestety bez rezultatu. Wyczułem pod palcami, że jeden z przewodów był odłączony.

Cały Sam. Kiedy się nudził, nic nie bawiło go bardziej niż niszczenie sprzętu. Pielęgnował ten żalosny zwyczaj od czasów, gdy włączył się po Chelsea Hotel w towarzystwie Dee Dee Ramone'a i Johnny'ego Thundersa.

Samuel Burten był przekonany, że jest ostatnim prawdziwym buntownikiem. Powinienem mu przypomnieć, że ruch punkowy odszedł wraz z Sid Vicious.

Te heroiczne czasy istniały już tylko w jego wspomnieniach. Wszyscy jego dawni kumple albo nie żyli, albo byli daleko posunięci w latach: żyły Dee Dee nie wytrzymały przy dziesiątym przedawkowaniu, Iggy wołał teraz tarzać się na materacu wodnym niż po legendarnych odłamkach tłuczonego szkła, a Ozzy afiszował się w telewizji ze swoim parkinsonem, płaszcząc dupę na kanapie king size za dziesięć tysięcy dolarów.

A Burten rzeźbił kretyńskie woskowe madonny.

Odwieczne żale.

Mimo wszystko status ocalałego nie upoważniał go w żaden sposób do demolowania mojej galerii.

Drugi wyłącznik znajdował się przy oszklonej ścianie mojego biura, po drugiej stronie galerii. Nie miałem innego wyboru. Musiałem przejść w ciemności przez pomieszczenie, by przekonać się o zniszczeniach.

Nie miałem nawet odwagi, by wyobrazić sobie, w jakim stanie znajdowała się galeria. Ten kretyn był prawdopodobnie naćpany po uszy. Widziałem, jak się wszystko potoczyło: dał sobie w żyłę, wypalił kilka skrętów, żeby złagodzić trochę odlot, i doprawił to tequila, bo - jak mi kiedyś powiedział - alkohol chroni mózg przed pomieszczeniem. A potem, zanim sobie poszedł, wszystko porozwalał. Dziękiowałem Bogu za pomysł z zainstalowaniem kamer.

Usłyszałem szelest kilka metrów przed sobą. Burten spał pewnie w jakimś kącie. Próbowałem bezskutecznie ustalić, skąd dobiegał szmer. Wydawało mi się, że na przezroczystej ścianie biura prze-mknął ruchomy cień.

- Sam, to ty? Stary, ten kawał z wyłącznikiem był naprawdę genialny. Nieźle się ubawiłem. Ale teraz zapal światło.

Nic z tego. Ten kretyń się chował. Sądził, że żyje jeszcze w czasach kowbojów i Indian. Dobrze się składało, bo miałem ochotę go oskalpować.

Starając się nie robić hałasu, zrobiłem kilka kroków w stronę miejsca, gdzie zauważyłem jakąś sylwetkę. Po mojej lewej stronie rozległo się stłumione skrzypnięcie. Cień znów się poruszył.

W moim mózgu rozległ się ostrzegawczy alarm. Burten miał wygląd typowego piwosza. Był ociężały i brzuchaty. Po trzydziestu latach palenia papierosów i po przejściu .22 Long Rifle, jego płuca świszczwały przy najmniejszym wysiłku. Tymczasem moje widmo poruszało się szybko i cicho.

Wniosek: to nie był Burten. I nie była to również zabawa.

Odwrociłem się i rzuciłem się w stronę wyjścia, ale mój gość mnie wyprzedził. Stał między mną a drzwiami. Nie widziałem jego twarzy, ale mogłem dostrzec, że jest szczupły i umięśniony. Najbardziej niepokojąca była spluwa, która lśniła w jego dłoni w blasku księżyca.

Miałem dwa wyjścia. Albo próbować utorować sobie przejście ryzykując, że mnie zastrzeli, albo schronić się w moim biurze.

Największy problem stanowiły drzwi. Klawiatura zamka elektronicznego była maleńka, a jej przyciski jak w kieszonkowym kalkulatorze. Miałem trudności z wystukaniem na nich kodu w ciągu dnia, a w ciemności groziło to...

Widziałem tylko jedno wyjście: podbiec do drugiego wyłącznika, zapalić światło i odblokować drzwi, unikając kul. Jak już znajdę się w środku, pozostanie mi tylko modlić się, żeby pleksiglas stawiał opór kulom, tak jak mi to gwarantował sprzedawca.

Masywna sylwetka totemu z puszek Campbella, który znajdował się naprzeciw mojego biura, stanowił dla oka znakomity punkt odniesienia. Wziąłem głęboki wdech i powoli zacząłem posuwać się w głąb galerii.

Miałem niemiłe odczucie, że mój przeciwnik robił to samo. Nie spieszył się. Niczym dobry myśliwy przypierał mnie do ściany biura. Ogarnęła mnie straszna panika. Całe moje ciało podpowiadało mi, żebym biegł w stronę zamka cyfrowego.

Oparłem się jednak tej pokusie i dalej starałem się wycofywać miarowym krokiem. W decydującym momencie czas będzie miał kapitalne znaczenie, ważniejsze od całej reszty. Wyliczyłem w myślach ruchy, które miałem wykonać, kiedy znajdę się przy drzwiach.

Jeden: zapalić światło.

Dwa: wystukać kod na tych pieprzonych mikroprzyciskach.

Trzy: zamknąć za sobą drzwi.

Cztery: jeśli wciąż będę żył, zapalić świeczkę, dziękując Bogu za ocalenie.

W najlepszym wypadku miałem zaledwie dziesięć sekund na realizację trzech pierwszych punktów. Prawdopodobieństwo jeden do stu, że mi się powiedzie. To już coś.

I dziewięćdziesiąt dziewięć szans na to, że mi się nie uda. Patrząc z tej perspektywy, sprawy przedstawiały się zdecydowanie gorzej.

Postać zbliżyła się o jeszcze jeden metr. Musiałem się zdecydować. Wziąłem głęboki wdech i rzuciłem się w stronę oszklonej ściany. Zanim uderzyłem ciałem o pleksiglas, wyciągnąłem dłoń i nacisnąłem na wyłącznik.

Neony plafoniery zamigotały krótko i galeria wypełniła się ciepłym światłem. Teraz naprawdę nie miałem żadnej osłony.

Jednym susem rzuciłem się na zamek cyfrowy i wcisnąłem czterocyfrowy kod. Napastnik zrozumiał moje zamiary. Zaklął i ruszył w moją stronę.

Długo czekałem na zbawienny zgrzyt. Kiedy wreszcie drzwi odblokowały się, wpadłem do biura i zatrzasnąłem je nogą. Usłyszałem drugie zgrzytnięcie. Byłem uratowany. Dziesięć sekund wcześniej nie postawiłbym na taką ewentualność ani grosza.

Nie miałem nawet czasu na to, by wziąć oddech. Nie mogąc w porę wyhamować, napastnik uderzył z całej siły o drzwi i odbił się od nich. Znalazł się na podłodze naprzeciw mnie. Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Moje wyrażało zdumienie, jego - chęć zabijania.

Dla potwierdzenia swoich zamiarów, wycelował rewolwer w moją twarz i strzelił. Kula odbiła się rykoszetem od drzwi, zostawiając na nich mały gwiazdzisty ślad i utknęła w jednej z rzeźb Burtena.

Byłem zadowolony, że kazałem zainstalować kuloodporne szyby.

Sama niedowierzająca mina mojego gościa była warta tej inwestycji. Zrobił sobie przerwę, dzięki czemu mogłem mu się przyjrzeć. Miał delikatne rysy twarzy, ciemne oczy oraz siwe, obcięte na jeża włosy. Nie znałem go. Jak na mordercę był już prawie w wieku emerytalnym. Miał przynajmniej pięćdziesiąt lat, ale jak na swój wiek był całkiem żwawy. Mężczyzna odzyskał nagle swoje opanowanie.

Zanim się zorientowałem, podbiegł do wyłącznika i zgasił światło. Galerię okryła ołowiana ciemność.

Siedziałem ciągle na podłodze i obserwowałem pomieszczenie, próbując dostrzec coś w mroku. Przez długą chwilę nic się nie działo, potem zauważyłem jakiś ruch w pobliżu drzwi wejściowych, aż w końcu w galerii zapanowała cisza.

Byłem żywy, a drań, który próbował mnie sprzątnąć, uciekł. Mogłem więc zapalić świeczkę.

Wahałem się jednak, czy opuścić swoje schronienie. Ojciec wychował mnie w kulcie ostrożności. Nie ufać innym, a jeszcze mniej sobie: przez dwadzieścia pięć lat całe jego życie opierało się na tej zasadzie. A przy okazji i moje.

Oczywiście żaden z nas nie był dobrym przykładem integracji społecznej, ale dzięki temu omijały nas przykre niespodzianki, jak na przykład nocny gość uzbrojony w spluwę. Stąd mój sejf wmurowany w ścianę i opancerzona ściana, aby ustrzec mnie przed wszelką ewentualnością, nawet jeśli nie miałem nic cennego do zabezpieczenia.

Nie ufać innym, a jeszcze mniej samemu sobie. Ostrzeżenie powtarzane wielokrotnie przez ojca powróciło z siłą nabytego dawno odruchu Pawłowa. Wzbraniałem się przed chęcią ucieczki z tej szklanej pułapki. Coś kazało mi jeszcze zaczekać.

A poza tym musiałem zrozumieć, w jaki sposób znalazłem się na podłodze swojego biura w ciemności i z wywróconymi ze strachu flakami. Zrobiłem spis elementów, którymi dysponowałem. Otwarte drzwi, nieobecność Burtena, jakiś kretyn, który próbuje zastrzeżić mnie bez ostrzeżenia...

Coś tu śmierdziało. I mówiąc szczerze, kupa gówna nie wydzielaby równie odrażającej woni. W moim mózgu zrodziły się szybko

dwie hipotezy. Pierwsza, w zaistniałych okolicznościach, była niemal przyjemna, druga - wręcz przeciwnie - wydawała mi się zbyt przerażająca, aby można było wziąć ją na serio.

Jeszcze raz odegrałem w myślach całą scenę. Burten wszedł, zabawił się i poszedł sobie, zostawiając odblokowane drzwi. Na to naszedł lokalny opryszek. Skorzystał z okazji, żeby ukraść parę rzeczy. Przerażony widokiem rzeźb, zemścił się na mnie. Nie dziwiło mnie wcale, że działalność artystyczna Burtena wzbudzała gwałtowną żądzę zabijania. Świetnie to rozumiałem, ponieważ sam jej doświadczyłem.

Byłem więc ofiarą nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. *Odwieczny dramatyzm ludzkiego losu*, rzekłby Jean-Luc Godard. Mówiąc potocznie - miałem pecha.

Hipoteza ta, jakkolwiek bardzo pocieszająca, była wysoce nieprawdopodobna. Choć bardzo się starałem, nie byłem w stanie w nią uwierzyć. Pozostawała jeszcze druga, ta która przejmowała mnie dreszczem. Ta, o której wołałem nie myśleć.

Ów człowiek nie znalazł się tu przypadkiem. A Burten nigdy nie opuścił galerii.

Totem z puszek Campbella był pogrążony w ciemnościach, tak samo jak reszta galerii. Choć znajdował się kilka metrów ode mnie, mogłem dostrzec jedynie jego najeżone kawałkami blachy kontury. Za to bez problemu rozpoznałem wystające zza niego stopy obute w conversy. Za cokołem leżał Samuel Burten.

Nie wiedziałem, czy jeszcze żył. W każdym razie nie ruszał się. Naszły mnie czarne myśli. Morderca nie zawahał się wycelować we mnie broń i strzelić. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, co zrobił Samowi. Tylko cudem mógł przeżyć.

By to sprawdzić, musiałbym opuścić swoją kryjówkę. Jednak dopóki nie byłem całkowicie pewien, że mój napastnik uciekł, nie było o tym nawet mowy. Wtedy przypomniałem sobie o robocie, którą Dimitri wykonał dla mnie kilka godzin wcześniej i pobiegłem do komputera. Kamery włączyły się w chwili, gdy Burten otworzył drzwi wejściowe. Wszystko, co wydarzyło się potem, zostało zarejestrowane na twardym dysku.

Teraz miałem jednak co innego do roboty, niż oglądać zapis. Mimo ciekawości, odłożyłem to na później i przestałem na oglądaniu tego, co działo się na żywo. Popatrzyłem na monitor i zagryzłem wargi. Powierzchnię ekranu wypełniała ciemna plama, jakby galeria tonęła we mgle. Pomysł zainstalowania kamer wydawał się genialny. Ale ani przez moment nie przyszło nam do głowy, że w pomieszczeniu może zapanować ciemność.

Walnąłem pięścią w pleksiglas, a następnie osunąłem się na ziemię z plecami opartymi o drzwi biura. Sytuacja zaczynała doprowadzać mnie do szału.

Rozejrzałem się po biurze w poszukiwaniu jakiegoś pomysłu na to, jak wydostać się z tego impasu. Kiedy mój wzrok spoczął na reflektorze umieszczonym na suficie, odzyskałem trochę nadziei.



Przy odrobinie szczęścia, będzie wystarczająco mocny, aby kamery mogły przeniknąć ciemności panujące w galerii.

Ale za to mój wróg, jeśli wciąż tam był, uzyska nade mną przewagę. Będzie widział każdy mój ruch, podczas gdy ja, w najlepszym razie, dojrzę na monitorze jego cień. Traciłem w ten sposób możliwość zaskoczenia go.

Nie miałem jednak innego wyjścia. Pocieszałem się, wmawiając sobie, że prawdopodobnie był już daleko stąd.

Włączyłem górne oświetlenie. Oblał mnie strumień światła. Ciemność panująca po drugiej stronie przejrzystej przegrody, wyraźnie osłabła. Spora część galerii tonęła jeszcze w mroku, ale widać było dobrze jej środkową część.

Nie myliłem się: to były stopy Burtena. Tylko on nosił kompletnie zniszczone zielone conversy, model 1973.

Wróciłem do monitora. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, na ekranie pojawiły się zamazane kształty. Bardziej domyślałem się przedmiotów niż faktycznie je widziałem, jednak sam widok loga Campbell powielonego nieskończoną ilość razy na tle Samy napełnił mnie radością.

Nacisnąłem kilka razy z rzędu na przycisk, który pozwalał na przechodzenie z jednej kamery na drugą. Z miejsca, w którym się znajdowałem, mogłem kontrolować większą część galerii. Jedynie najbardziej oddalone od biura zakamarki przy drzwiach wejściowych pozostawały w nieprzeniknionym półmroku. Jeśli morderca był jeszcze w galerii, to znajdował się właśnie tam. Tylko tam można było się ukryć.

Patrząc na ekran, wytrzymałem do bólu wzrok, by dostrzec każdy najmniejszy ruch. Kolejne sekundy upływały przerażająco powoli.

Na moim zegarku dochodziła dwudziesta druga. Upłynęło zaledwie dziesięć minut, odkąd otworzyłem drzwi galerii. Kemp przekroczy próg galerii za pół godziny. Nie uda mi się w żaden sposób uprzątnąć tego burdelu przed jego przyjściem.

Rozwiązanie było tak oczywiste, że nie zastanawiałem się nad nim ani przez chwilę. Należało za wszelką cenę powstrzymać Kempa przed przyjściem tutaj. Wystarczy zwykły telefon. Wsadziłem dłoń do kieszeni płaszcza. Wyciągnąłem z niej biustonosz Loli, ale nie znalazłem niczego, co przypominałoby telefon.

*Cholera!* - szepnąłem, rozglądając się dookoła.

Wtedy przypomniałem sobie, że upuściłem go w chwili, gdy Lola miażdżyła moje genitalia.

Na szczęście w biurze znajdował się telefon stacjonarny. Chwyliłem za słuchawkę, ale na próżno czekałem na sygnał. Ktoś uszkodził linię. Byłem samiuteńki jak palec za moją opancerzoną szybą.

Nie będąc w stanie podjąć żadnej decyzji, usiadłem na krześle przed monitorem. Utkwiłem w nim wzrok, oczekując na jakiś znak, ruch, czyjaś obecność, na cokolwiek, byle tylko pozbyć się tej niepewności.

Spodziewałem się wszystkiego, oprócz Loli.

Ta kretynka nie była na tyle cierpliwa, by zaczekać jeszcze chwilę w restauracji. Wolalbym, żeby obżerała się całą noc na mój koszt, niż zobaczyć ją przed galerią, z oczami wpatrzonymi w wystawę. Modliłem się, żeby tu nie weszła.

Oczywiście, jakżeby inaczej, Lola zrobiła dokładnie na odwrót. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Mimo fatalnej jakości obrazu, natychmiast rozpoznałem na monitorze jej zgrabną sylwetkę.

W tym momencie morderca wyszedł z cienia. Opuścił kąt, w którym się ukrywał i zbliżał się powoli do mojej współpracownicy, nieświadomej grożącego jej niebezpieczeństwa.

Najwyraźniej przypadła mi rola pierwszego amanta. Straciłem już jedną dziewczynę kilka dni wcześniej. Nie chciałem, aby druga dała się zabić na moich oczach. Rzuciłem się w stronę drzwi biura, wykrzykując jej imię.

Pudło.

Zaniepokojona moimi krzykami, znalazła się w samym środku galerii pośród rzeźb Sama. Morderca zaszedł ją od tyłu i chwycił za włosy. Zadał najpierw cios w plecy, a potem drugi w wewnętrzną stronę kolana, powalając ją na ziemię.

Lola uderzała na ślepo rękami, próbując uwolnić się z uścisku napastnika, ale ten pociągnął ją mocniej za włosy i odsłonił jej szyję. Przestała się szarpać, kiedy przyłożył jej ostrze noża do tętnicy szyjnej.

Morderca spuścił wzrok ze swojej zdobyczy i skierował go w moją stronę. Nie odezwał się ani słowem, ale swoim milczeniem dawał jasno do zrozumienia, że życie Loli znajduje się w moich rękach.

Albo dalej będę upierał się, by pozostać w mojej kryjówce, a wtedy krew mojej współniczki poleje się na parkiet galerii, albo opuszczę swoje schronienie.

W jednym, jak i w drugim przypadku, sytuacja nie przedstawiała się najlepiej. Mimo swojego trudnego charakteru, Lola była miłą dziewczyną. Bardzo ją lubiłem, nawet jeśli należała do typu ludzi, którym lepiej nie okazywać zbyt ostentacyjnie swoich uczuć. A poza tym, prawdziwy gentleman nie pozwala umrzeć kobiecie, której stanik nosi w kieszeni. W życiu trzeba mieć parę zasad.

Dałem znak mordercy, że wyjdę. Nie chciałem jednak rozpocząć walki, nie wyrównując choć trochę naszych szans. Był bardziej wysportowany niż ja, miał zakładnika i spluwę. Moimi jedyne atutami była wola życia i solidna wiedza filmowa.

Zastanowiłem się, co zrobiłby na moim miejscu Tony Montana. Nie dałby się tak po prostu zabić. Wręcz przeciwnie, przygotowałby swojemu przeciwnikowi małą niespodziankę.

Odwrociłem się i zobaczyłem na stole kopertę, którą przygotowałem dla Kempa. W środku znajdowało się magnum, z którego Lola strzeliła do Sama w wieczór wernisażu. Nie kryjąc się, złapałem kopertę, otworzyłem drzwi i wyszedłem z biura bez żadnej osłony. Przechodząc, nacisnąłem na wyłącznik.

W galerii zrobiło się nagle jasno. Jeśli miałem umrzeć, wołałbym, żeby stało się to w świetle reflektorów.

Morderca patrzył, jak zbliżam się w jego stronę. Nadal trzymał mocno przy sobie Lolę, gotów do podcięcia jej tętnicy szyjnej przy najmniejszej wątpliwości co do moich intencji.

Popelniałem właśnie wielkie głupstwo. Magnum było naładowane. Tym razem prawdziwymi kulami, a nie nabojami z farbą. Nawet odbezpieczyłem go wieczorem tuż przed wyjściem do restauracji.

Groźenie Kempowi nienaładowaną spluwą nie miało najmniejszego sensu. Facet miał sokoli wzrok. Dwadzieścia lat spędzonych na kontrolowaniu każdego szwu na strojach modelek, wyostrzyły jego zmysł szczegółu. Widząc wciśnięty bezpiecznik, poznałby natychmiast, że blefuję.

Magnum było potrzebne, by dodać scenie realizmu i napędzić Kempowi największego stracha w jego życiu, a nie po to, aby posłużyć

się nim naprawdę. Ani przez moment nie pomyślałem, że będę musiał je użyć. Nie byłem nawet pewien, czy starczy mi odwagi, by nacisnąć na spust.

A nawet gdyby mi się to udało, moje doświadczenie z bronią palną było niemal zerowe. Istniało duże ryzyko, że spudłuję. Prawdę mówiąc, liczyłem przede wszystkim na to, że, tak jak w przypadku Kempa, morderca przestraszy się, widząc spluwę wycelowaną w jego głowę.

Zbliżyłem się do niego, trzymając kopertę w widocznym miejscu. W połowie drogi wyciągnąłem ją w jego stronę.

- Chce pan pieniędzy, tak? - zapytałem. - Wszystko, co mam, znajduje się w tej kopercie. Piętnaście tysięcy euro. Daję je panu, ale proszę uwolnić moją współpracowniczkę. Potem pozwolimy panu spokojnie odejść.

Nie odpowiedział, ani nie wykonał żadnego ruchu. Ośmielony brakiem reakcji z jego strony, podchodziłem dalej.

- Przyszedł pan po pieniądze, no więc proszę. Nie mamy niczego więcej.

Znów krok naprzód i znów milczenie zamiast odpowiedzi. Kretyń zaczął działać mi na nerwy.

Lola, widząc, że podszedłem tak blisko, próbowała mnie ostrzec.

- Nie, Aleks, nie zbliżaj się! - szepnęła błagalnym tonem.

Krzyknęła, kiedy morderca przycisnął ostrze noża do jej szyi.

Pojawiła się kropla krwi, która spłynęła na kołnierz jej swetra. Policzki Loli były mokre od łez, a twarz blada. Cała drżała.

- Nie ruszaj się, kochanie... - powiedziałem spokojnym głosem. Nic ci się nie stanie, jeśli zachowasz spokój. Wszystko pójdzie dobrze. Tylko nie próbuj się wyrywać.

Mimo lęku, że ją stracę, podchodziłem coraz bliżej. Od mordercy dzielił mnie już tylko metr. Pomachałem mu przed nosem kopertą.

- Przyszedł pan po te pieprzone pieniądze, to niech je pan bierze i spływa.

Koperta interesowała go najmniej na świecie, ale o tym już wiedziałem. Kiedy jego zdaniem znalazłem się zbyt blisko, przesunął szybkim ruchem Lolę za siebie. Krzyknęła z zaskoczenia, a następnie jej ciało odbiło się głucho o ścianę.

Kątem oka sprawdziłem, czy nie ucierpiała bardzo od upadku. Z miejsca, w którym teraz była, dochodził cichy jęk. Żyła - to najważniejsze. Jeśli sprawy pójdą po mojej myśli, wyjdzie z tego cało. A kilka siniaków ostudzi na przyszłość jej ognisty temperament.

Skupiłem się na napastniku, próbując przewidzieć jego kolejny ruch. Mierzył mnie takim samym wzrokiem jak kwadrans wcześniej, kiedy wycelował rewolwer w moje czoło. Przekonany o swojej sile, zastanawiał się zapewne nad najprzyjemniejszym sposobem na pozbawienie mnie życia.

Nie widział we mnie wielkiego zagrożenia, bowiem ku mojej ogromnej uldze, wybrał białą broń i skierował w moją stronę nóż. Był zbyt ufny. Jego pewność siebie zasługiwała na nauczkę.

Włożyłem rękę do koperty i wyjąłem z niej magnum. Wycelowałem je prosto w jego głowę. Poczulem gwałtowny skok adrenaliny. Boże, co to było za uczucie!

- No i jak, kretynie, co powiesz na małą zmianę ról?

Sądziłem, że morderca będzie zaskoczony widokiem broni i da nogi za pas, ale on zachowywał spokój. Na jego twarzy pojawiło się lekkie zdumienie, ale nie irytacja. Odniosłem wręcz wrażenie, że cieszyło go to odwrócenie sytuacji. A ja, który chciałem udzielić mu lekcji pokory, poczułem się jak głupiec, kiedy uświadomiłem sobie, że nie cofnie się o krok. Niemal bawiło go, jak wymachuję tym ogromnym magnum.

- Co zrobisz chłopcze? - powiedział z mocnym akcentem śródziemnomorskim. Chyba mnie nie zabijesz? Dalej, pozbądź się tej zabawki i porozmawiamy. Zobacz, odkładam broń na ziemię.

Upuścił na podłogę nóż i odepchnął go stopą. Lufa magnum wciąż była wycelowana w jego czoło.

- Twoja spluwa... - rozkazałem. - Ją też wyrzucić.

Mężczyzna westchnął, wyraźnie zmartwiony brakiem współpracy z mojej strony. Wyciągnął jednak swój rewolwer ukryty z tyłu spodni i, trzymając go dwoma palcami, rzucił nim o ścianę.

- Nie mam już żadnej broni. Teraz twoja kolej.

Potrząsnąłem głową.

- Nic z tego. Zadzwoimy po policję i grzecznie na nią zaczekamy.

Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, co robić. Chętnie rozwalilibym mu jego parszywy łeb, ale chciałem poznać przyczynę tego całego zamieszania.

Drogo kazał mi zapłacić za moją ciekawość. Zanim zdążyłem zareagować, broń wyleciała mi z ręki. Uderzyła o parkiet dwa metry dalej. Nawet nie spostrzegłem, kiedy napastnik wykonał swój ruch.

Nie zauważyłem też nadchodzącego ciosu w splot, który sprawił, że zgąłem się z bólu w pół. Przewróciłem się na kolana, w chwili gdy wyprostował stopę. Mój podbródek chrupnął w kontakcie z jego podbitym stalą butem i upadłem na wznak.

Wyciągnięty na plecach nie mogłem ruszyć żadną częścią ciała. Czulem się, jakby przejechała po mnie rozpędzona ciężarówka. Byłem pewny, że mam połamane wszystkie kości.

Zaczął kopać mnie po bokach swoimi podkutymi butami. Ostrze noża znalazło się między mną a sufitem, a tuż za nim pojawiła się twarz napastnika.

- Wygląda na to, że umrzesz, chłopcze. Nie bój się, nie będzie bolało.

Ostrze znalazło się niebezpiecznie blisko mojej szyi.

- Jeszcze jedno... - dodał. - Zanim poślę cię na tamten świat, chciałbym poznać kod do drzwi twojego biura.

- Spierdalaj. Zabij mnie.

Natychmiast pożałowałem swoich słów. Szybko zapomniałem o wszystkich swoich wzniosłych zasadach, opuściła mnie też resztką odwagi. Nagle poczułem się dużo mniej dumny. Gdybym wiedział, że to coś zmieni, rozryczałbym się i błagałbym typa z nożem, żeby pozwolił mi zobaczyć, jak dorasta mój dzieciak.

OK, zgoda, jako zagorzały zwolennik prezerwatyw i szerokiego wachlarza środków antykoncepcyjnych, które oferował przemysł farmaceutyczny, nie miałem dziecka zarówno ślubnego, jak i nieślubnego. Nie to, żebym miał coś przeciwko prokreacji, ale Natalia porzuciła mnie wtedy, gdy zaczynaliśmy się nad tym poważnie zastanawiać.

Nie mogąc nic zyskać za pomocą numeru z sierotą, o mało co nie obrzuciłem go dotkliwymi obelgami. Ciemna plamka, która jarzyła się w źrenicach mordercy, przekonała mnie, że na nic się to nie zda.

Pogrążyłem się więc w największej rozpacz i zrobiłem to, co każdy powinien zrobić w podobnych okolicznościach: zacisnąłem zwieracze.

Morderca pochylił się nade mną i złapał mnie za kołnierz koszuli. Wcale nie żartował. To wszystko zaczynało go naprawdę męczyć. Mogłem to wyczytać w jego oczach. Ciemna plamka powiększyła się i zajmowała teraz niemal całą źrenicę.

- Pytam ostatni raz, sukinsynie - szepnął mi do ucha. Jeśli nie odpowiesz, będę odcinał wszystko, co wystaje. Najpierw uszy, potem nos i na końcu język. Nie martw się, nie przeszkodzi ci to krzyczeń, kiedy będę odcinał ci jaja. Więc jaki jest ten kod?

- I tak mnie pan zabije...

- Dobra, jak chcesz. Wbrew pozorom, jestem prawdziwym demokratą. Szanuję wolę bliźniego. Masz prawo wybrać, jak chcesz cierpieć. Odważny wybór. Niepotrzebny, ale odważny.

Złapał kciukiem i palcem wskazującym moje lewe ucho i zbliżył do niego nóż. Jeszcze dwa centymetry, a będę mógł pożegnać się z moją piękną buzią. Zamknąłem oczy, by nie widzieć, jak nóż zagłębia się w moje ciało.

Nagle w galerii rozległ się potężny wybuch.

Znałem ten dźwięk.

Słyszałem go już wcześniej. A dokładniej, tego wieczoru, kiedy zamordowano Natalię.

Dziura wielkości grapefruita zdobiąca pierś mordercy, potwierdziła moje przeczucia. Tylko nabój magnum miał tak imponujący stosunek siły przebijania do mocy rażenia.

Z otwartej rany trysnął strumień krwi i zalał mi twarz. Napastnik zwałił się na mnie martwy. Jego krew napłynęła do moich ust i oczu. Nie będąc w stanie wypluć lepkiej cieczy, która zalewała mi płuca, robiłem, co mogłem, żeby się nie udusić.

Spróbowałem podnieść się, ale jego bezwładne ciało nie pozwalało mi na żaden ruch. Moje ręce przejechały po jego lepkiej skórze w poszukiwaniu czegoś, za co mógłbym go złapać. Zrezygnowałem w końcu z podnoszenia go, wygiąłem się i zepchnąłem na bok.

Skulony w embrionalnej pozycji otworzyłem szeroko usta i złapałem gwałtownie kilka haustów powietrza, a następnie zwymiotowałem na parkiet.

Kiedy się podniosłem, nieprzytomny, obłany żółcią i krwią, zrozumiałem, dlaczego wciąż jeszcze żyłem. Miałem przed sobą Lolę, klęczącą na podłodze. W rękach ścisnęła dymiący jeszcze rewolwer.

Z jej oczu biła zwierzęca nienawiść pochodząca z głębi jej ciała. Rodzaj pierwotnej nienawiści - takiej, poza którą nie ma już nic.

Wypuściła z ręki magnum, które upadło obok niej na parkiet. Do jej oczu nabiegły nagle łzy. Desperacja, która pozwoliła jej naciśnąć na spust, opuściła ją w jednej chwili. Spojrzała na mnie szklistym wzrokiem i otworzyła usta, nie mogąc wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Ja też nie wiedziałem, co powiedzieć, więc wziąłem ją w ramiona. W kontakcie z moimi policzkami jej łzy zrobiły się czerwone.



Sara właśnie zasypiała, kiedy zadzwonił telefon. Zanim podniosła słuchawkę, spojrziała na stojący na stoliku nocnym budzik. Dochodziła pierwsza. Zastanawiała się, kto mógł dzwonić do niej o tak późnej porze, gdy jutro czekał ją ciężki dzień pracy.

Podniosła się z trudem. Była wykończona. Spędziła dwanaście godzin na wydzwanianiu do wszystkich osób obecnych na piętrze dla VIP-ów w Inferno w wieczór śmierci Natalii. Spośród czterdziestu dwóch osób znajdujących się na liście sporządzonej na podstawie zebranych zeznań bramkarza i kelnerek, piętnaście było nieuchwytnych, a siedem na zebraniu. Dwudziestu pozostałych zgodziło się, często niechętnie, z nią porozmawiać.

Wszyscy twierdzili, że niczego nie wiedzą i stanowczo zapewniali o swojej niewinności. Oczywiście znali Natalię, ponieważ należeli do tego samego świata i mieli wspólnych przyjaciół. Któż nie spotkał jej z okazji jakiejś uroczystości czy pokazu mody? Natalia rzucała się w oczy, trudno było przejść koło niej i jej nie zauważyć. Jednak nikt nie przyznał się do utrzymywania z nią bliższego kontaktu.

Niektórzy zareagowali gorzej niż inni. Na przykład, szef dużego przedsiębiorstwa państwowego oburzył się, że policja śmie zakłócać mu spokój. Nie mogąc znieść, że potraktowano go jak zwykłego śmiertelnika, zamierzał poskarżyć się swojemu koledze - ministrowi przemysłu. Sara nie była w nastroju, aby użerać się z tym grubym pyszałkiem, więc zapytała go, czy jego agresja nie wynikała przypadkiem z faktu, że bez wiedzy żony spędzał noce w modnych dyskotekach z dwoma escort girl po bokach.

Szanowany sługa narodu obiecał jej w gniewie, że nie ma co liczyć na awans do samego końca swojej pracy w policji. Jednak zrobił się prawie miły, kiedy zagroziła mu, że jeśli nie odpowie na jej

pytania, przekaze prasie listę podejrzanych osób, z jego nazwiskiem umieszczonym na odpowiednim miejscu.

Zagrożona kariera, dwanaście godzin nieprzerwanej pracy i przekłety ból głowy... A rezultat można było streścić wielkim znakiem zapytania na pustej kartce. Czysta strata cennego czasu.

Nie tylko nie zdobyła żadnej interesującej informacji, ale jeszcze musiała jutro powtórzyć to samo z resztą osób z listy. Już na samą myśl o tym, robiło się jej niedobrze.

W słuchawce rozległ się jak zwykle energiczny głos komisarza Lopeza.

- Cześć Sara, spałaś?
- A jak pan myśli? Jest pierwsza w nocy. Cały dzień harowałam jak wół. Muszę od czasu do czasu odpocząć.
- Odpoczniesz sobie w przyszłym roku. Ubieraj się i przyjeżdżaj do biura, jest pilna sprawa.
- Coś poważnego?
- Bardzo. Pospiesz się.

Sara gotowa była w końcu uwierzyć, że jej przełożony mieszka w swoim biurze na Quai des Orfèvres. Był tam, kiedy przychodziła rano do pracy i nadal tam siedział, kiedy wychodziła wieczorem. Podejrzewała, że musi strasznie się nudzić u siebie w domu.

Pół godziny później Sara zaparkowała samochód pod wejściem do budynku wydziału spraw kryminalnych. Komisarz czekał na nią na zewnątrz. Wyrzucił cygaro na ulicę i zajął siedzenie pasażera. W samochodzie rozniósł się mdły zapach potu i cygara.

- Gdzie jedziemy? - zapytała Sara.
- Do galerii Aleksa Cantora.
- Dlaczego? Co się stało?
- Zabójstwo.
- Co? Zabito Aleksa?
- On żyje. Ale wokół niego prawdziwa rzeź. Możesz zapomnieć o śnie tej nocy. Dalej, pospiesz się.

Sara zrezygnowała z zadawania dalszych pytań. Lopez i tak nie powiedziałby nic więcej. Zjechała gwałtownie na drogę i wjechała z całą prędkością na Pont-Neuf. Tuż nad nią niebieskie światło koguła rozpraszało ciemność nocy. Sara nie знаła piękniejszego widoku.

## 25

Ciało Sama wciąż leżało za totemem, z gardłem poderzniętym od ucha do ucha. Jego twarz wykrzywił grymas bólu.

Lola, w stanie szoku, siedziała pod ścianą mojego biura. Trzęsła się cały czas i bełkotała coś niezrozumiale.

Czekając na przybycie pomocy, nie traciłem czasu. Nagrałem na DVD zapis z obydwu kamer, a następnie ukryłem płyty w kufrze mojego skutera. Nie chodziło o usuwanie dowodów - miałem zamiar powiedzieć glinom, że zarejestrowałem wszystko na twardym dysku. Zrobiłem to, ponieważ ja też chciałem zrozumieć, czego szukał morderca. Moim zdaniem było to moje podstawowe prawo. A poza tym, o mały włos nie znalazłem się na tamtym świecie.

Zabójca Sama leżał na plecach na środku galerii. Dziura w jego klatce piersiowej wyglądała przerażająco. Można było niemal przełożyć przez nią rękę. Przyglądając się ranie, zobaczyłem, że z serca został tylko kawałek wielkości piłeczki golfowej.

Zwłoki mordercy leżały w ogromnej kałuży krwi. W promieniu dwóch metrów wały się kawałki ciała różnej wielkości. Nigdy nie sądziłem, że ludzkie ciało składało się z tylu rzeczy.

Bez udanej interwencji Loli, już bym nie żył. Ten typ był z całą pewnością profesjonalistą. Wystarczyło mu kilka sekund, żeby mnie obezwładnić. Łatwość, z jaką mnie rozbroił, wciąż wprawiała mnie w zakłopotanie.

Nie przyszedł tu tak po prostu dla samej przyjemności zarżnięcia miernego artysty i podobnego potraktowania właściciela galerii. Istniało tysiące sposobów, żeby zabić Sama. Chociażby strzał w głowę, kiedy wychodził z hotelu, czy trucizna wrzucona do jego coli light.

Jeśli chodzi o mnie, to stanowiłem jeszcze łatwiejszy cel. Moje umiejętności w dziedzinie samoobrony były wręcz śmieszne.

Pięć minut po moim telefonie, do galerii weszło dwóch policjantów i wycelowało we mnie broń. Wy tłumaczyłem im, że ja byłem tym dobrym w tej historii, a zły pędził właśnie co sił po autostradzie prowadzącej do piekła. Następnie poprosiłem o rozmowę z panią kapitan, która przesłuchiwała mnie dzień wcześniej. Nie znałem jej nazwiska, ale w wydziale policji kryminalnej nie pracowało przecież wiele tak uroczych dziewczyn.

Zobaczyłem ją wreszcie po dwóch godzinach i trzydziestu telefonach.

- Gdyby mi pani powiedziała, jak się nazywa, łatwiej by mi było się z panią skontaktować - powiedziałem do niej z daleka.

- Gdyby przestał pan się wokół siebie tyle trupów, moja praca byłaby łatwiejsza - odcięła się. - Co się stało?

Pokazałem jej palcem dwa białe prześcieradła rozłożone na podłodze, jedno pośrodku galerii, a drugie za totemem z puszek Campbella. Na tym, którym było przykryte ciało mordercy, widniały duże szkarłatne plamy. Policjantka pochyliła się i uniosła prześcieradło. Zagwizdała z podziwu.

- .375 Magnum... Z tym nie ma żartów. Następnym razem proszę zostawić sobie takie naboje na polowanie na słońca. To pana dzieło?

Cynizm i uroda... I te obcisłe skórzane spodnie. Naprawdę uwielbiałem tę dziewczynę.

W innych okolicznościach bardzo dobrze byśmy się rozumieli. Było bardzo prawdopodobne, że ze względu na tę rzeź, będzie się kręcić koło mnie przez najbliższe dni, co bynajmniej mnie nie martwiło.

Zaprzeczyłem ruchem głowy i wskazałem na Lolę, która nadal siedziała pod ścianą biura otoczona dwoma pielęgniarzami. Choć nie chciałem obarczać ją odpowiedzialnością za to, co się stało, wiedziałem, że nagranie wideo wskaże ją jako sprawcę zbrodni.

Nie martwiłem się zbyt o nią. Nie było żadnych wątpliwości co do zasadności obrony koniecznej. Miałem tylko nadzieję, że dojdzie do siebie pod względem psychicznym. Odkąd nacisnęła na spust, nie wypowiedziała ani jednego sensownego słowa. Przestała się trząść dopiero, gdy pielęgniarz zrobił jej zastrzyk uspokajający. Od tej pory była totalnie zamroczona.

Policjantka podeszła do mnie w towarzystwie źle ubranego typu, który wyglądał jak Buddy Holly, brakowało mu tylko jego klasy. Stanęła z założonymi rękami tuż pod moim nosem. Jej kompan ustawił się o krok za nią z małym czarnym notesem w dłoni. Z zainteresowaniem obserwował rozwój wydarzeń.

Kobieta nie miała zamiaru mnie oszczędzać. Oschły ton jej głosu zapowiadał masę kłopotów, które miały spaść na moją skromną osobę.

- Coś mi się wydaje, że pana życie obfituje ostatnio w zaskakujące wydarzenia. Może już czas opowiedzieć mi o tym ze szczegółami? Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby raczył pan o niczym nie zapomnieć.

- To może zabrać dużo czasu.

- Nie ma sprawy. Mamy przed sobą całą noc, prawda panie komisarzu?

Powiedziała to z lekkim uśmiechem w kąciку ust. Mimo tragicznej sytuacji, w której się znalazłem, poczułem na karku podniecający dreszcz emocji.

## 26

Już sam zapach dymiącej kawy, którą postawił przede mną ojciec, sprawił, że poczułem się lepiej po tej nieszczęsnej nocy.

Zanim policjantka wypuściła mnie nad ranem, powiedziała w końcu, jak się nazywa. Sara Novac. Nawet pasowało do jej ostrego charakteru.

Jednak szybko przestała mnie pociągać. Wykończyła mnie swoimi niekończącymi się pytaniami i rekonstrukcją zdarzeń. Musiałem powtarzać ten sam ruch po dziesięć, dwadzieścia razy, podczas gdy ona obserwowała całą scenę raz z jednej, raz z drugiej strony. Byłem tak zmęczony, że zapomniałem nawet o jej seksownych, skórzanych spodniach.

A przecież na początku przesłuchania powiedziałem jej, że wszystko zostało nagrane. Wystarczyło rzucić okiem na komputer, by zrozumieć przebieg wydarzeń.

Zapewniła mnie, że to niczego nie zmienia. Chciała przeżyć zdarzenie od wewnątrz. Tego wymagało śledztwo. W przypadku morderstwa zawsze tak postępowano. Jej kompan potwierdził to skinieniem głowy, wyciągnął z kieszeni cygaro i poszedł palić go na zewnątrz.

Z zazdrością patrzyłem, jak wychodzi. Ja też zaciągnąłbym się parę razy haszyszem, zanim zajmie się mną kapitan Novac. Nawet Lola nie przejawiała takich skłonności do zadawania tortur psychicznych.

Swoim zachowaniem chciała wymusić na mnie, bym przyznał się do winy. Odnotowywała każdą najmniejszą nawet zmianę w moich ruchach i wskazując na nią, pytała, czy naprawdę było tak, jak twierdziłem.

W jaki sposób miałem jej to udowodnić? Wszystko stało się tak szybko... Nóż na szyi Loli, magnum, które wylatuje mi z rąk, dotyk ostrza na mojej skórze, ogłuszający wystrzał, a następnie spływająca

po mojej twarzy krew i przytłaczający mnie ciężar trupa. To wszystko nie trwało dłużej niż minutę. W tamtej chwili myślałem tylko, jak ocalić swoją skórę, a nie przyglądałem się ruchom mordercy.

Na horyzoncie pojawiły się pierwsze promienie słońca, kiedy kapitan Novac pozwoliła mi wreszcie odejść. Lolę już dawno odwieziono do szpitala. Zostawiłem na policji zapasowe klucze do galerii i znalazłem się na ulicy całkiem sam, nie wiedząc dokąd pójść.

Znów stałem się tym samym zagubionym i przerażonym dzieckiem, któremu dwadzieścia pięć lat temu powiedziano, że nigdy nie zobaczy już swojej matki. I tak samo jak wtedy, znalazłem schronienie u jedynej osoby, która była w stanie ukoić choć trochę mój lęk.

Patrząc błędnym wzrokiem sięgnąłem po gorącą kawę, którą podał mi ojciec. Doskonale rozumiał, że potrzebuję spokoju i o nic nie pytał. W chwili gdy podniosłem filiżankę do ust, ogarnęło mnie przerażenie na wspomnienie wcześniejszych wydarzeń. Byłem o mały włos od śmierci. Wystarczyło tylko, żeby Lola nie trafiła do celu lub żeby spluwa upadła metr dalej, a leżałbym teraz w szufladzie kostnicy na miejscu mordercy.

Zamknąłem oczy. W mojej głowie znów rozległ się głuchy huk wystrzału podobny do trzasku pioruna. Przedziurawione ciało napastnika nie przestawało przygniatać mnie całym swoim bezwładnym ciężarem. Nie mogąc ocknąć się z tego koszmaru, zacząłem się dusić.

Cierpki smak krwi znów pojawił się na moim języku i wypełnił usta. Wziąłem kolejny łyk kawy, aby się go pozbyć. Gorący napój poparzył moje kubki smakowe i oddalił na jakiś czas wspomnienie trupa rozerwanego kulą magnum. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że niedługo znów do mnie powróci. Nie byłem również w stanie zapomnieć grymasu cierpienia, który wykrzywił twarz Burtena.

Biedny Sam. Śmierć w samotności była największym nieszczęściem dla takiego showmana jak on.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Ojciec poszedł otworzyć. Za drzwiami pojawił się Dimitri. Rzucił się bez słowa w moją stronę i wziął mnie

w ramiona. Wyrwany ze snu moim telefonem, nie miał czasu zadbać o swój wygląd. Włożył tylko sportową bluzę Gap z kapiszonem i obszerne begi. Mimo że wyglądał jak chłopak z przedmieść, cieszyłem się, że przyszedł. Natychmiast poczułem się lepiej.

Dimitri był moim najstarszym przyjacielem. Znałem go prawie od dziesięciu lat. Poznaliśmy się na studiach w szkole handlowej. Od razu się polubiliśmy.

Przy reszcie moich kolegów wyglądał jak istota z innej planety. Oprócz kompletnej nieznajomości pojęcia autorytetu oraz obowiązujących w naszym środowisku zasad ubierania się, Dimitri cierpiał również na chroniczny letarg. W ciągu dwóch lat nie widziałem go ani raz na nogach przed południem, a rytm jego życia kolidował ze szkolnymi zajęciami.

Gdyby nie jego zdolności, natychmiast wyrzucono by go ze szkoły. Dimitri potrafiłby sprzedać prezydentowi Stanów Zjednoczonych portret Saddama Husseina, a zarobione pieniądze przeznaczyć na spekulację dolarami. Tylko że zamiast wykorzystać ów dar do wymyślania szalonych planów finansowych dla jakiegoś międzynarodowego koncernu, wolał, by skorzystało na nim jak najwięcej osób.

Wyspecjalizował się więc z powodzeniem w imporcie i eksporcie substancji psychotropowych. Jego towar był dobrej jakości, ceny konkurencyjne, a sieć dystrybucji gęsta i wydajna. A ponieważ miał wystarczająco zdrowego rozsądku, aby nie wchodzić w drogę potężnym dostawcom z regionu paryskiego, uniknął głównej niedogodności związanej z tą działalnością.

Dimitri zarabiał najlepiej ze wszystkich moich dawnych kolegów. Zaproponował mi kiedyś, bym przyłączył się do niego, ale wycofałem się w ostatniej chwili z powodu mojego niedorzecznego respektu przed prawem. Pod koniec każdego półrocza, kiedy sporządzałem bilans galerii, gorzko żalowałem tej decyzji.

Dimitri nie rozumiał moich oporów moralnych. Nie rozumiał, w jaki sposób jego zajęcie może zagrażać społeczeństwu. Uważał się za zwykłego dostawcę szczęścia, niezasługującego na większe potępienie niż Madonna czy Christina Aguilera. A w każdym razie o wiele mniej szkodliwego dla libido młodzieży.

A poza tym, sam jeden robił więcej dla krajów rozwijających się niż wielu alterglobalistów. Za sporą sumę pieniędzy pochodzących



z handlu, mieszkańcy kolumbijskiej wioski, u których Dimitri zaopatrywał się w haszysz dwa razy w roku, kupili sobie nową pompę do nawadniania pól. To wystarczyło, aby uspokoić jego sumienie.

- Miło cię widzieć żywego - powiedział w końcu. Jak się ma Lola?

- Dobrze. Przynajmniej na ciele. Wreszcie spełniło się jej marzenie, żeby strzelić z prawdziwej kuli do żywego celu, ale to było mniej zabawne niż w jej wyobraźni. Będzie potrzebowała na pewno trochę czasu, żeby dojść do siebie. Gdybyś widział klatkę piersiową tego gościa... Kula wyrwała mu połowę serca i sporą część płuc. Można się było porzygać. Co zresztą zrobiłem.

- Lola jest jeszcze w szpitalu? - zapytał Dimitri, gotów poświęcić się i postawić ją na nogi.

Przytaknąłem.

- Powinna wyjść jutro. Najwyższy czas, by odpowiedziała w końcu na pytania glin.

Dimitri wyglądał na uspokojonego.

- Bierzemy się do roboty?

- Dobra. Przyniosłeś sprzęt?

Dimitri wyciągnął z torby przenośny komputer. Był to najnowszy model Sony za cztery tysiące euro, z ogromnym ekranem i chromową obudową. Kiedy go włączył, po bokach zaświeciły się wielokolorowe diody, a z wnętrza komputera wydobył się refren *Take my Breath Away*. Czekałem, aż maszyna zacznie wibrować i pluć ogniem, wydając przeraźliwy ryk, ale pokaz jej mocy zakończył się tylko na tym.

Podąłem Dimitriemu pierwszą płytę DVD z zapisem z kamery umieszczonej w moim biurze. To na niej powinny znajdować się najciekawsze obrazy. Na drugim nagraniu, z kamery przy wejściu do galerii, widać będzie pewnie mordercę od tyłu. Przyda nam się później do uzupełnienia informacji.

Dimitri włożył płytę do odtwarzacza. Na ekranie komputera pojawił się zamazany obraz. Otwarcie drzwi galerii uruchomiło funkcję nagrywania. Przez pierwsze sekundy widzieliśmy tylko poruszające się cienie. Potem czyjaś ręka nacisnęła na wyłącznik i neony oświetliły pomieszczenie ostrym światłem.

Do mojego biura zbliżyły się dwie postaci. Pierwsza z nich należała do Sama. Natychmiast rozpoznałem jego rozwichrzoną czuprynę. Druga osoba pojawiała się od czasu do czasu, zasłonięta masywną sylwetką Burtena.

Samuel Burten podszedł do mojego biura. Obiektyw kamery zarejestrował prerażenie, które rysowało się na jego twarzy. Z pewnością domyślał się, że nie wyjdzie już stamtąd żywy.

Wydarzenia potoczyły się tak, jak myślałem. Kiedy morderca znalazł się pod drzwiami z pleksiglasu, dał Samowi znak, by otworzył drzwi. Ten odpowiedział mu bezradnym ruchem. Morderca przystawił pistolet do skroni trzęsącego się biedaka. Pokazał coś po drugiej stronie przezroczystej ściany. Sam powiedział jakieś niezrozumiałe zdanie i potrząsnął głową.

Wtedy morderca wyjął nóż i jednym ruchem podciął mu gardło. Nawet się nie zawahał. Jego ruchy były dokładne i precyzyjne. Ruchy specjalisty od zadawania śmierci.

Burten nie upadł od razu na ziemię. Przez kilka sekund targały nim konwulsje, później znieruchomiał z rękami przyłożonymi do szyi. Napastnik złapał go pod pachy, żeby nie upadł i przesunął na bok. Na boczną ścianę trysnęła duża struga krwi.

Morderca ukrył ciało za totemem, po czym skierował się ku wyjściu, wyrywając po drodze kabel telefoniczny ukryty w listwie. Kiedy znalazł się przed drzwiami wejściowymi, wyrwał ze ściany wyłącznik elektryczności i gwałtownym ruchem przeciął kable. Na ekranie znów zrobiło się ciemno.

Dimitri zagwizdał z podziwu.

- Niezły. Wiesz, co to znaczy?  
- Profesjonalista? To masz na myśli?  
- Tak, na pewno. Przez cały czas kontrolował sytuację. Burten nie mógł nic zrobić, aby uratować swoją skórę. Chcesz dalej oglądać?

Pokręciłem przecząco głową.

- Cofnij trochę nagranie - poprosiłem. Znajdź mi, jeśli możesz, ujęcie z jego twarzą. Nawet zamazane lub niepełne, jakiegokolwiek.

Dimitri włączył tryb szybkiego przewijania. Postaci zaczęły poruszać się do tyłu, dopóki nie zatrzymał nagrania. Następnie wyostrzył obraz i obrócił ekran w moją stronę.

- Mamy szczęście. Spojrzał w kamerę, kiedy podcinał gardło Burtenowi. Trwa to krótką chwilę, ale widać prawie całą twarz.

- Możesz powiększyć obraz?
- Nie ma problemu.

Minutę później miałem przed sobą twarz mordercy, powiększoną prawie na cały ekran. Duże kwadraty pikseli nadawały mu upiornego wyglądu. Wyglądał jeszcze groźniej niż w rzeczywistości.

- Widziałeś wcześniej tego gościa?

Nie, nigdy wcześniej go nie widziałem. Utkwiłem wzrok w ekranie, mając nadzieję, że przeniknę tajemnicę, która kryła się za tą pociągniętą twarzą. Nie było na niej żadnego szczególnego znaku, blizny czy charakterystycznego znamienia. Zupełnie anonimowa twarz.

- Może napijcie się kawy - zawołał z kuchni ojciec.
- Bardzo chętnie - odpowiedział za mnie Dimitri.

W oddali zabrzęczały filiżanki, potem zaskrzypiały otwierane drzwi. Na starym parkiecie słychać było niepewne kroki ojca.

- To postawi was na nogi, chłopcy - powiedział, wchodząc do pokoju.

Odwrociłem się w jego stronę, by pomóc mu postawić na stole tacę. Wtedy zobaczyłem, jak mój ojciec znieruchomiał. Stał jak osłupiały, wpatrując się w ekran komputera, a jego twarz nabrała trupio białego koloru.

Nie zdążyłem złapać tacy, która upadła na podłogę ze strasznym hukiem tłuczonych naczyń.

Malutka czerwona żarówka zaczęła migać u góry słuchawki, informując o przychodzącym połączeniu. Na twarzy mężczyzny siedzącego w fotelu obitym purpurowym welurem, pojawiło się napięcie.

Wiedział, kto znajduje się po drugiej stronie słuchawki. Tylko jedna osoba znała ten numer.

Jednym gestem wyprosił wszystkich, którzy znajdowali się w pokoju. Bez słowa wykonali polecenie i zostawili go samego pośród obrazów mistrzów i mebli wykonanych ze szlachetnych gatunków drewna.

Cały tydzień czekał na ten telefon. Tak wiele zależało od udanej akcji jego wysłanników. Ni mniej, ni więcej, tylko przyszłość Zachodu. A przy okazji i jego własna.

Wypuścił powoli powietrze z płuc, aby pozbyć się napięcia, i podniósł słuchawkę do ucha.

- Wszystko załatwione, zgadza się?

Cisza zdradzająca zakłopotanie jego rozmówcy, kazała mu spodziewać się najgorszego.

- Agent nie wykonał zadania - powiedział w końcu po długiej chwili milczenia.

- Cantor jeszcze żyje?

- Tak i ma się dobrze.

- A przynajmniej odzyskaliście to, co mnie interesuje?

- Zdobyliśmy kod do pierwszych drzwi, ale nie do drugich. Wasza Eminencja będzie musiał znaleźć nowego mordercę. Tamten nie zachował elementarnych zasad ostrożności. Zginął od razu. Byłem ukryty po drugiej stronie ulicy, nie mogłem nic zrobić.

W słuchawce dał się słyszeć złowrogi pomruk niezadowolenia.

- Podziwiam pana zdolność do zachowywania zimnej krwi w najgorszej nawet sytuacji. Jest pan w stanie wy dostać jego ciało?

- Policja pojawiła się, zanim zdążyłem posprzątać, ale proszę się nie martwić. Nie będą mogli ustalić żadnego związku. Wszystko zostało dokładnie wyczyszczone. Jego kartoteka została usunięta z wszystkich baz danych, nawet z bazy Interpolu. Jego dane antropometryczne czy uzębienie do niczego ich nie doprowadzą, tak samo jak odciski palców czy DNA. Pieniądze Waszej Eminencji nie poszły na marne. Te zwłoki należą do widma.

- Jak przykro... Miał jeszcze przed sobą cztery czy pięć lat kariery zawodowej.

- To tylko przyspiesza jego i tak nieuniknioną wymianę. Znam Waszą Eminencję na tyle dobrze, by wiedzieć, że jest zawsze na wszystko przygotowany. Jestem pewien, że Wasza Eminencja ma już kogoś w rezerwie. Proszę go aktywować i przysłać, aby dokończył robotę.

- Jego następcy nie są jeszcze gotowi. Ten nieszczęśliwy wypadek krzyżuje poważnie moje plany. Jestem z tego bardzo niezadowolony. Miał pan czuć nad operacją i upewnić się o jej powodzeniu.

- Proszę się uspokoić. Nie ma takiej sytuacji, której nie udałoby się naprawić. Wasza Eminencja sam mnie tego nauczył.

- Tym razem nie jestem o tym przekonany. Sądziłem, że nauczyłem pana również dokładności i wyczucia szczegółu. Najwyraźniej moja nauka poszła w las. Pańska karygodna nieporadność zaczyna mnie już nużyć. Chyba, że chodzi w istocie o dwulicowość.

- Co to znaczy? Czyżby Wasza Eminencja wątpił w moją wierność?

- Gdybym pana tak bardzo nie potrzebował, już dawno leżałby pan pod grubą warstwą betonu. Wciąż cechuje pana dyletantyzm i lekkomyślność. Gdyby nie okłamał mnie pan dwadzieścia pięć lat temu, dziś wszystko wyglądałoby inaczej.

- To było kłamstwo przez zaniedbanie, nic więcej. Nic, co zasługiwałoby na wieczne potępienie.

- Nie obiecuję panu potępienia, mój drogi. Niestety nie posiadamy takiej władzy, przynajmniej na razie... Powiedzmy, że dam panu jednak jego przedsmak na wypadek nowej porażki. Znam pewnego eksperta w operowaniu młotem... To będzie prawdziwa męka, gdy będzie miażdżył panu kolana, tak że nie będzie pan mógł

już nigdy chodzić, ale w sumie to nic poważnego. Może pan dalej służyć mi na wózku inwalidzkim, prawda? Czy wyraziłem się jasno?

- Tak.

Głos jego rozmówcy przygasł.

- Proszę się nie martwić - powiedział. Naprawię to.

- Liczę na to. Daję panu dwa dodatkowe dni na naprawienie błędów. Po tym czasie, niech pan ucieka, nie oglądając się za siebie. Mam kontakty na całym świecie. Odnajdę pana nawet w samej głębi amazońskiej dżungli.

Zamilkł na chwilę. Chciał, żeby jego wysłannik zdał sobie sprawę, że nie żartuje.

- Dwa dni. I będzie musiał pan działać sam.

- Proszę się nie martwić. Czasu jest aż nadto. Wasza Eminencja pragnie nadal, bym zlikwidował Cantora?

Mężczyzna pogładził leżący przed nim na stole krucyfiks, tak jak czynił to zawsze przed podjęciem ważnej decyzji. Nawet nie pomyślał, że jego agentowi może się nie udać. Posiadał wszystkie cechy idealnego płatnego mordercy: wyjątkowe warunki fizyczne w połączeniu z totalnym brakiem wyrzutów sumienia i doskonałym opanowaniem wszystkich technik walki wręcz. Zamiłowanie do dobrze wykonanej roboty i łatwość adaptacji czyniły z niego groźnego zabójcę.

Czy Cantor był wart, by zaryzykować życie drugiego agenta? Z drugiej strony, dopóki żył, stanowił potencjalne zagrożenie. Szkody byłyby nieodwracalne, gdyby zrozumiał, o co chodzi. A wydawał się inteligentny, tak samo jak jego ojciec. Jeden lub drugi może w końcu odnaleźć związek.

- Nie mogę się zdecydować - wyznał w końcu. - A co pan o tym sądzi?

- Do tej pory nikt nie podejrzewa, czego szukaliśmy w galerii. Jeśli zginie, policja zacznie się zastanawiać, jaki był nasz prawdziwy cel.

- Ma pan rację. Być może będzie lepiej nakłonić Cantora, aby sam przyniósł tę rzecz. Na szczęście, jestem przewidujący. Podjąłem już małe działania, które skierują go na tę drogę. Kilka dni temu spotkałem jednego z naszych przyjaciół z ministerstwa. Jak pan myśli - jak bardzo Aleks Cantor kocha swego ojca?

Wysłannik pojął szybko, co kryło się za tym pytaniem.

- Bardzo sprytnie. Wasza Eminencja zawsze mnie zadziwia.
- Proszę Oszczędzić mi tych pochlebstw. Ma pan dwa dni na zrobienie małych porządków, zanim pan tu wróci. Pewne osoby nie powinny rozmawiać z policją. Wie pan, o kim mówię?
- Oczywiście. To będzie łatwiejsze niż z Cantorem.
- Doskonale. I jeszcze jedno: radzę panu więcej mnie nie zawodzić. Drogo by to pana kosztowało, a wie pan, jak bardzo brzydzą się przemocą. Proszę nie doprowadzać mnie do tego, bym sprzeciwiał się swojemu powołaniu.

Mężczyzna odłożył słuchawkę, nie zadając sobie trudu, aby pożegnać się ze swoim wysłannikiem. Zdenerwowało go to niepowodzenie.

Nacisnął na przycisk ukryty pod brzegiem marmurowego stołu, który znajdował się przed nim. Natychmiast otworzyły się drzwi i wszedł majordomus o poważnej twarzy, który postawił przed nim filiżankę zawierającą ciemny, gęsty płyn.

Czarny i mocny, podobnie jak życie ludzkie. I tak samo jak ono, kawa nie znosiła niedokładności. Dobrze przygotowana, była delikatnym nektarem. Najmniejsza pomyłka w proporcjach sprawiała, że stawała się mdła lub, wręcz przeciwnie, zamieniała się w samą gorycz. Mężczyzna opróżnił filiżankę jednym łykiem, odstawił ją na stół i rozmasował palcami skronie. Z każdą godziną zmniejszało się jego pole manewru.

Jak nigdy dotąd, czas był jego bezlitosnym wrogiem.

Kawa lała się na parkiet, tworząc na nim dużą, ciemną plamę. Ojciec nawet nie zwrócił na nią uwagi. Wciąż wpatrywał się w ekran komputera.

W pierwszym odruchu chciałem rzucić się do telefonu, będąc przekonany, że dostał ataku. Przerwał mi jednak, zanim zdążyłem wykręcić numer pogotowia ratunkowego.

- Nie, Aleks, wszystko w porządku.
- Jesteś pewien? - nalegałem.
- Jeśli tak mówię, to możesz mi wierzyć.
- Chodzi więc o tego mężczyznę? Kto to jest?

Ojciec nie odpowiedział mi natychmiast. Najpierw się wahał, potem lekko skinął głową.

- Widmo... - wyszeptał. - Widmo, które powróciło z piekła. Sądziłem, że nie żyje.

- A teraz, dzięki Loli, jesteśmy tego pewni - wtrącił się Dimitri z typowym dla siebie taktowaniem. Skąd pan zna tego skurwysyna?

- Zaczekajcie chwilę - powiedział ojciec - coś wam pokażę. Zaczekajcie.

Opuścił pokój i pobiegł do swojej sypialni. Usłyszeliśmy jak grzebie w ściennej szafie, w której przechowywał osobiste rzeczy. Wrócił z pudełkiem po butach i postawił je przede mną.

- W tym pudełku znajduje się wszystko, co udało mi się wtedy uratować. Niejeden raz miałem zamiar to wyrzucić.

Mówiąc to, przeciął sznurek przytrzymujący pokrywkę pudełka i podniósł je. Zobaczyliśmy stertę pożółkłych papierów. Na pierwszym z nich - artykule wyciętym z gazety - widniało nazwisko mojej matki wypisane grubą czcionką, po którym następowały słowa „bezlitosna” i „terrorystka”. Odwróciłem głowę, nie mogąc znieść porażającej siły tych kilku liter.



Nie przerażał mnie dobór słów, ani nawet ich znaczenie, ale raczej bilans, który z nich wynikał. Matka osierociła mnie, a oprócz tego zabiła w haniebny sposób dwadzieścia osób, w tym dwoje dzieci poniżej dziesięciu lat.

Jedenaście z nich miało szczęście zginąć na miejscu od eksplodującej bomby lub w wyniku ran od kawałków metalu, które poleciały we wszystkie strony. Dziewięć pozostałych zmarło po miesiącach agonii na szpitalnych łóżkach.

Nikt nie przeżył w promieniu dziesięciu metrów od mojej matki. Większość pasażerów straciła jedną lub więcej kończyn, które odnaleziono we wraku autobusu. Kilku ofiarom wybuch urwał głowę.

Lekarze sądowi obliczyli, że na każdym ciele znajdowało się przynajmniej piętnaście ran. Niektóre zwłoki złożono do hermetycznych trumien tuż po sekcji, nie pokazując ich nawet rodzinom.

Ładunek wybuchowy składał się z pół kilograma dynamitu oraz kilkuset gwoździ i śrub. Mechanizm zapalnika był bardzo prosty: kupiony w drogerii budzik, który nastawiono tak, by bomba eksplodowała w godzinie szczytu. Sprzedawca pamiętał dobrze, że kobieta, której wygląd odpowiadał dokładnie rysopisowi mojej matki, kupiła go u niego dzień wcześniej.

Widziałem zdjęcia tego, co zostało z autobusu po wybuchu. Stał na środku drogi i wyglądał jak rozpruty ogromnym otwieraczem do konserw. Następnego dnia zdjęcie to znalazło się na pierwszych stronach europejskich gazet. Stało się symbolem niedopuszczalnego zła, na długo przed zdjęciami ciał spadających z World Trade Center.

I to zrobiła moja rodzona matka. Byłem potomkiem największej morderczyni, jaka stąpała po włoskiej ziemi. Nawet w krwawym kontekście lat ołowiu, jej czyn wyróżniał się wyjątkową absurdalnością i okrucieństwem. Nic go nie usprawiedliwiło, ani nadużycia wrogiego obozu, ani tym bardziej jej zaangażowanie polityczne.

Moja matka była potworem, a ja nosiłem w sobie jej geny. Jej szaleństwo czaiło się we mnie. Nie opuszczało mnie. Towarzyszyło mi, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy, gotowe ujawnić się w każdej chwili.

Dorastałem w wewnętrznym przekonaniu, że stąпам po niepewnym gruncie. Wokół tej myśli zbudowałem cały swój świat. Nie opuszczała mnie ani na chwilę, nawet gdy sprawiałem wrażenie wzorowego nastolatka, przykładnego ucznia w ciągu dnia, a wieczorem - wspaniałego syna. Staralem się, by wszyscy uważali mnie za spokojnego i zrównoważonego człowieka, ale wewnątrz byłem stale bliski załamania.

Nikt się tym nie przejmował. Zresztą, nigdy nie przyszłoby mi do głowy porozmawiać z kimś o tym, nawet z ojcem. Zwłaszcza z ojcem.

Kiedy miałem dwanaście lat, trafiłem przypadkiem na monografię Goi, która wałała się po jego bibliotece. Ojciec zaznaczył zakładką stronę z *czarnymi malowidłami*, wykonanymi przez Goyę w jego domu Quinta del Sordo, a obecnie zebranymi w sali Muzeum Prado w Madrycie. Czternaście malowideł przedstawiających najbardziej mroczny okres życia malarza. Czternaście obrazów przesyconych totalnym okrucieństwem.

Najbardziej znane malowidło z całej serii przedstawia Saturna pożerającego swe dzieci. Dopiero dużo później zrozumiałem, dlaczego ojciec zaznaczył tę stronę zakładką. Detonując bombę, matka pozbawiła mnie prawa do prowadzenia takiego życia, jakie chciałem. Pochłonęła mój los. Po prostu zabroniła mi istnieć.

Nosiłem w sobie wszystkie tragedie ludzkości. W moich żyłach płynął olów, ciemny i lodowaty. Przez cały czas miałem w ustach cierpki smak metalu. Przy każdym wdechu czułem smród - odór rozkładających się w trumnach zwłok niewinnych ofiar.

Gdyby oskarżono mnie o zabójstwo Natalii, psychiatrzy wykorzystaliby na pewno ów uraz przeciwko mnie. Byłem ciekawym przypadkiem dla socjologa deterministy: matka terrorystka, żyjący na wygnaniu ojciec, dzieciństwo w niepełnej rodzinie, spędzone na ciągłym wypieraniu własnych emocji, i zamknięcie w sobie.

Z tego nieprawdopodobnego nagromadzenia negatywnych czynników powstał człowiek zdolny wydać swoją miesięczną pensję na zakrwawiony ochraniacz do zębów Mohammeda Ali, i w dodatku właściciel galerii sztuki wypełnionej przerażającymi rzeźbami Sama Burtena.

Byłem stracony raz na zawsze i pozbawiony najmniejszej szansy na resocjalizację. Ława przysięgłych bez problemu wysłałaby mnie na resztę życia do celi o wymiarach dwa na trzy metry.

Przez dwa lata Natalia dała mi pozory równowagi i pozwoliła mi wyjść z dolka. Od jej śmierci znów pogrążałem się w otchłani z prędkością światła. Nie miałem za co się chwycić. Osiągnięcie dna byłoby niemal ulgą.

Ojciec wyczuł moje wahanie. Nie zastanawiając się, złapał fotografię, która znajdowała się mniej więcej pośrodku stosu dokumentów i położył ją na biurku między Dimitrim a mną.

- To z pewnością wam pomoże.

Zdjęcie pochodziło z lat siedemdziesiątych. Kolory wypływały, a powyginane rogi świadczyły o tym, że często je oglądano. Fotografia przedstawiała cztery osoby w niemodnych ubraniach. Ojciec znajdował się w środku. Jego policzki nie były jeszcze zapadnięte z powodu choroby. Uśmiechał się radośnie. Wyglądał na szczęśliwego. Nigdy go takiego nie znałem. To stwierdzenie było bolesne samo w sobie.

Jego prawa dłoń spoczywała na udzie stojącej obok niego młodej kobiety, której lekko pyzata twarz obudziła we mnie falę wspomnień. Ojciec potwierdził moje przypuszczenia.

- Twoja matka, Francesca...

- A ci dwaj pozostali?

- Wtedy uważaliśmy ich za naszych najbliższych przyjaciół.

Po bokach moich rodziców stało dwóch mężczyzn. Twarz tego, który znajdował się po stronie ojca, nic mi nie mówiła. Nigdy go nie widziałem. Za to ten drugi, przytulony do zgrabnego ciała matki i obejmujący ją ramieniem, dawał się rozpoznać mimo upływu lat. Nie mogłem powstrzymać okrzyku zdumienia.

- To on! Ten gość próbował mnie zabić!

Nie zmienił się bardzo przez trzydzieści lat. Oczywiście na jego twarzy pojawiło się kilka zmarszczek mimicznych, ale poza tym czas obszedł się z nim łagodnie. Wciąż widać było jego pewność siebie, wręcz zarozumiałość. Jego szczupłe i umięśnione ciało napięło podkoszulek do granic możliwości. On też uśmiechał się szeroko. Między zdjęciem a obrazem na ekranie komputera były tylko minimalne różnice.

- Chirurgia plastyczna - potwierdził Dimitri tonem znawcy. Napięto skórę na czole, podciągnięto powieki i usunięto małe zmarszczki.

- Wcale mnie to nie dziwi. Już w tamtych czasach miał obsesję na punkcie swojego wyglądu. Nie znosił myśli o starzeniu się. Całymi wieczorami uprawiał sport. To było u niego chorobliwe. Prawdziwa obsesja.

- Wciąż nie powiedziałaś nam, jak się nazywa - przypomniałem ojcu.

- Ach, tak, przepraszam. Nazywa się Mario Monti. Ten drugi to Sergio Tenenti. Zdjęcie zostało zrobione w dniu, w którym postanowiliśmy założyć Lotta Rossa, latem 1974 roku. Spędziliśmy razem kilka dni na wsi. Po zamachu, policja przesłuchała go, ale nie postawiono mu żadnego zarzutu. Byłem we Francji, kiedy się to stało. Wygłaszałem serię wykładów. To Mario do mnie zadzwonił, by powiadomić mnie o śmierci twojej matki. Poradził, żebym nie wracał do Włoch. Policja była przekonana o mojej winie bez przesłuchiwania mnie. Mario był zdania, że jeśli oddam się w ich ręce, to jakbym rzucił się w paszczę lwa. Ja chciałem się bronić, ale przede wszystkim zrozumieć, dlaczego Francesca popełniła takie okrucieństwo. Nie mogłem uwierzyć, że ona to zrobiła.

- A teraz?

- Cóż mogę ci odpowiedzieć? Z czasem naszły mnie wątpliwości. Nie mam pojęcia w jaki sposób Francesca zdobyła tę bombę. Nie mogła sama skonstruować czegoś takiego. I z tego, co wiem, nie znała żadnego aktywisty, który mógłby jej w tym pomóc. Lotta Rossa nie była organizacją uciekającą się do przemocy. Staraliśmy się unikać wszelkich kontaktów z tymi, którzy opowiadali się za walką zbrojną. Nie akceptowaliśmy zupełnie działań Czerwonych Brygad. Ich czyny stały w sprzeczności z naszymi zasadami. Uważaliśmy, że nasz kraj może uratować tylko spójny projekt społeczny, oparty na prawdziwej refleksji społeczno-gospodarczej.

- Powiedział pan, że ten Monti nie żyje? To jak to się stało, że próbował zabić Aleksa? - zapytał Dimitri.

- Uważa się, że Mario zmarł w tym samym roku, co Francesca. Gazety poinformowały o jego przypadkowej śmierci. Chyba w wypadku samochodowym.

- A teraz nagle wylania się z nicości... - dokończyłem. - To bardzo dziwne. Gdzie był przez te wszystkie lata?

- A przede wszystkim, co robił? - zastanawiał się głośno Dimitri. - Już wtedy był taki agresywny?

- Nie. Oczywiście nie był aniołkiem, ale nigdy nie zdradzał chęci, by uciekać się do przemocy. Pamiętam, że zawsze był żądny pieniędzy. Nie wystarczała mu praca dokumentarzysty. Szukał dodatkowych źródeł dochodu. Pod koniec rzadko pojawiał się na zebraniach.

- Przypuśćmy, że ktoś zaferował mu sporą sumę, żeby was zdradził. Sądzi pan, że by to zrobił?

- Godzinę temu, ręczyłbym za niego, ale po tym, co usłyszałem od Aleksa, sam już nie wiem, co o tym sądzić. Podejrzewam, że nie znika się tak z dnia na dzień bez potężnego wsparcia logistycznego.

- Nigdy nie wierzyłem w te bajki o gościach, którzy ułatwiają się, aby uciec przed żoną czy wierzycielami - dodał Dimitri. - Trudno jest żyć bez papierów i ubezpieczenia społecznego. Inaczej też bym tak zrobił. Żadnych problemów z administracją, żadnych podatków, święty spokój... Prawdziwy raj.

Jakby Dimitri składał fiskusowi sprawozdanie ze swojej działalności handlowej... Jego świadomość obywatelska nie była rozwinięta do tego stopnia. Zyski wolne od opodatkowania: ta myśl wprowadziła w zakłopotanie mnie - z trudem usiłującego zrównoważyć wpływy i wydatki galerii. Powinienem był przyjąć propozycję wejścia z nim w spółkę. Oto do czego prowadzi otrzymane w dzieciństwie wychowanie judeochrześcijańskie.

- Jedno jest pewne - powiedział ojciec, odkładając na stół fotografię. - Monti przebył tę samą drogę co ja. Wyjechał z Włoch. To właśnie tam znajdują się odpowiedzi na nasze pytania.

Dwa trupy w ciągu trzech dni: średnia godna mistrza. Sara wciąż nie mogła się temu nadziwić.

Nawet jeśli Aleks Cantor nie wydawał się winny zabójstwa Natalii Velit i to nie on nacisnął na spust magnum w galerii, to zawsze był blisko, kiedy przyjeżdżał samochód z kostnicy.

Po obejrzeniu w towarzystwie komisarza Lopez nagrania ze zdarzenia, które zaszło poprzedniego dnia w galerii, Sara doszła do oczywistego wniosku: Cantor powinien zainwestować w całą kolekcję wotów dziękczynnych i świec w rozmiarze XXL. Tylko niewiarygodny zbieg wielu sprzyjających okoliczności pozwolił na takie zakończenie.

- To jest właśnie piękne w sporcie - podsumował lakonicznie Lopez - nigdy nie wiadomo, kto wygra.

Mówiąc te pocieszające słowa, wstał, strzepnął palcem nadmiar popiołu z cygara i skierował się w stronę swojego biura, gdzie czekała na niego szklanka porannej whisky.

Sara spojrzała na zegarek: było punktualnie wpół do jedenastej, czyli pora na aperitif.

Komisarz był człowiekiem przywiązującym dużą wagę do tradycji. Poranny aperitif należał do jednej z nich, tak samo jak alkohol na trawienie po obiedzie. Potem powtórka późnym popołudniem i jeszcze jedna kolejka na zakończenie wieczoru. Prawdziwy alkohol - powiadał - musi mieć więcej lat niż osoba, która go pije. Reszta nadaje się tylko do wysłania za Atlantyk, gdzie zostanie odpowiednio doceniona.

Jako zagorzała zwolenniczka piwa, Sara nie mogła dyskutować z taką bufetową tezą. Widząc ekstazę na twarzy komisarza, kiedy wychodził ze swojego biura otoczony upajającymi oparami destylatu, była w stanie przyznać mu rację.

Lopez świadomie przybliżał się do śmierci wielkimi łykami starego armaniaku. Jeśli dodać do tego ilość wypalanych cygar, pod względem której nie miał sobie równego w całym wydziale, powtarzające się bezsenne noce i hektolitry wypijanej codziennie kawy, można było uznać za cud fakt, że jeszcze żył.

Być może komisarz był żyjącym trupem, ale miał w sobie jeszcze wystarczająco dużo energii, by trzymać się kurczowo swojej pracy. Dziś rano powtórzył Sarze trzy razy, że oczekuje od niej szybkich wyników. Telefon szefa gabinetu ministra podziałł na niego jak kubeł zimnej wody. Nie było wątpliwości, że masakra w galerii sztuki zwiększy zainteresowanie Służby Bezpieczeństwa sprawą Cantora ojca i syna. Lopez nie miał najmniejszego zamiaru ułatwić im roboty.

Nie brakowało sposobów na to, aby rzucać kłody pod nogi konkurencyjnemu wydziałowi, tak by nie zostać posądzonym o utrudnianie śledztwa. Można było na przykład pominąć w raportach pewne szczegóły lub zwlekać z przekazaniem ich przełożonym, czy rozpuścić wśród Służby Bezpieczeństwa fałszywe plotki.

Komisarz celował w tego typu manipulacjach. Nie znalazłby się na tak odpowiedzialnym stanowisku, gdyby nie umiał pociągać zrećcznie za właściwe sznurki. Zakładając jednak, że Sara będzie musiała zrezygnować ze sprawy z powodu braku wyników, te same sznurki mogły zacisnąć się jak pętla na jego szyi.

W policji nic nie uchodziło na sucho. Wszystko było kwestią czasu i szczęścia. Dopóki akta trafiały na stertę spraw rozwiązanych, można było mówić o szczęściu. W przeciwnym razie, przekraczało się pewną granicę, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Stare, zapleśniałe akta znów wypływały na powierzchnię i zaczynały się kłopoty, którym nie było końca. Osoby, które tak jak Lopez, podsycaly zazdrości i urazy, czekała z góry wytyczona droga: kontrola wewnętrzna, przeniesienie służbowe do jakiegoś zatęchłego komisarjatu i przedwczesna emerytura.

Lopez nie chciał tak skończyć. Sara musiała rozwiązać tę sprawę, aby mógł utrzymać swoją pozycję zawodową i wszystko, co się z nią wiązało. Tymczasem na razie nie posunęła się za daleko w śledztwie. Brakowało jej podejrzanego, miała nowego niezidentyfikowanego trupa i, co gorsza, nie natrafiła na nic, co by można było nazwać śladem.

Sara, w pełni świadoma sytuacji, w której się znalazła, wiedziała, że w rozwiązaniu tej trudnej sprawy może liczyć tylko na pomoc z zewnątrz. Chwyciła za telefon i wykręciła numer zakładu medycyny sądowej. Barbé odebrał po drugim sygnale.

- Halo?
- Dzień dobry. Sara Novac z tej strony.
- Sara! Miło mi panią słyszeć.

W jego głosie wyczuła coś więcej niż zwykłą uprzejmość. Lekarz naprawdę ją cenił, zapewne dlatego, że nie zamęczała go zbędnymi szczegółami i administracyjnymi formalnościami. Pracowało się z nią dużo łatwiej niż z większością jej kolegów gliniarzy. Skupiała się jedynie na najistotniejszych punktach - cała reszta jej nie obchodziła.

Ze swojej strony Barbé nie wahał się wyjść poza zakres swoich obowiązków i podzielić się z nią swoją prywatną opinią na temat szczególnie delikatnych kwestii, tak jak to zrobił po sekcji Natalii Velit.

- Otrzymał pan moją nocną przesyłkę? - zapytała bez żadnego wstępu.

- Tego gościa, któremu brakowało połowy klatki piersiowej?
- Zgadza się. Prosiłam, by zajęto się nim jak najszybciej.
- Sekcję przeprowadzono nad ranem. Kiedy zobaczyłem pani nazwisko w raporcie, sam się nią zająłem. I dobrze zrobiłem. Przysłała mi pani drugi interesujący przypadek w tym tygodniu. Z panią przynajmniej się nie nudzę. Zawsze trochę odmiany po banalnych samobójstwach.

- Nie będę przed panem ukrywać, że martwi mnie ten drugi trup. Tym razem znam przyczynę zgonu, ale nie mogę ustalić jego tożsamości. Może mi pan pomóc?

Jego głos nabral smutnego tonu.

- Obawiam się, że nie. To osobnik płci męskiej, o typie kaukaskim, grubo po pięćdziesiątce. Korzystał z zabiegów chirurgii plastycznej, ale tylko po to, by się odmłodzić, a nie zmienić rysy twarzy. To wszystko. Identyfikacja biometryczna na podstawie morfologii twarzy i danych antropometrycznych nie dała żadnego rezultatu.

- A odciski palców? Wynik też jest negatywny?
- Porównałem je z komputerową bazą odcisków palców. Nic.



- A DNA?  
- Jest w analizie. Wyniki będą w ciągu dnia, najpóźniej jutro rano. Poprosiłem, aby porównano je ze śladami genetycznymi pobranymi z miejsca zbrodni Natalii Velit. Jak tylko będę miał odpowiedź, przefaksuję ją pani.

- Dziękuję. To miło z pana strony.

- Nie ma za co. Moja asystentka zajmie się porównaniem wyników z państwowym bankiem kodów genetycznych, ale ta baza danych istnieje od paru lat i dotyczy tylko przestępstw popełnionych na terytorium Francji. Nie należy więc liczyć, że to coś da. Dobrze by było porównać nasze dane z kartoteką Interpolu, ale nie mam do niej dostępu. W każdym razie wątpię, by dało to jakiś skutek. Ich dane są również zbyt świeże.

- Zresztą, może prowadził zupełnie normalne życie, dopóki nie odbiło mu w galerii?

Sara usłyszała po drugiej stronie słuchawki pukanie do drzwi. Lekarz odprawił gościa cichym głosem. Skorzystała z tego, aby zapalić papierosa.

- Proszę mi wybaczyć - odezwał się Barbé po kilkusekundowej ciszy. - Wracając do tego, co powiedziała pani przed chwilą, to nie byłbym tego taki pewien. Jestem przekonany, że ten człowiek miał kłopoty z prawem w ciągu swojego życia.

- Skąd pan to wie? Potrafi pan rozpoznawać przestępców po kształcie ich mózgu? - powiedziała z ironią Sara. - Chyba że wyczytał to pan z jego wystającego podbródka, jak za czasów pierwszych kartotek antropometrycznych starego Bertillona?

- Nie myli się pani. Ten mężczyzna był w zadziwiająco dobrej kondycji fizycznej jak na swój wiek. Ma muskulaturę zawodowego atlety. Nie palił i zdrowo się odżywił. Za to, po liczbie blizn na jego ciele, przypuszczam, że nie prowadził spokojnego życia. Na prześwietleniu szkieletu widać zresztą około dziesięciu zrostów kostnych po złamaniach.

- Jak mogło do nich dojść?

- To nie jest powszechny rodzaj patologii. Biorąc pod uwagę okoliczności jego zgonu, myślę raczej, że należał do elitarnego oddziału wojskowego. Spadochroniarz, komandos, żołnierz piechoty morskiej, coś w tym stylu... W chwili śmierci był jeszcze czynny zawodowo. Niektóre rany pochodzą z ostatnich lat, a nawet kilku

miesiący. Jednak z tego co wiem, żadna armia na świecie nie zatrudnia osób po pięćdziesiątym piątym roku życia.

- Myśli pan, że był najemnikiem?

- Nie można tego wykluczyć, choć nawet najemnicy, po przekroczeniu pewnego wieku, mają tendencję do wycofywania się z bezpośrednich akcji. Spotyka się ich raczej w ośrodkach szkoleniowych w Afryce lub krajach arabskich, a nie w samym środku walk. Najemnik, były wojskowy, członek organizacji mafijnej... Wszystko jest możliwe. Pani śledztwo wyraźnie się komplikuje, pani kapitan. Nie chciałbym być na pani miejscu.

- Ja też nie... - odpowiedziała Sara zmęczonym głosem.

- Proszę spojrzeć na to z innej strony: w ciągu najbliższych dni nie będzie się pani nudzić.

- Nie ma pan czegoś lepszego na poprawę humoru?

- Przykro mi, na razie dysponuję tylko tym. Proszę pamiętać o mnie, w razie jakiegoś tajemniczego zgonu. No i kiedy będzie pani miała ochotę się czegoś napić.

- Obiecuje, że odezwę się wtedy do pana. Do zobaczenia.

Sara odłożyła słuchawkę, wyobrażając sobie minę komisarza Lopeza, kiedy powie mu, że zwłoki należały do zawodowego mordercy, nieznanego na razie policji na świecie. Jej śledztwo nie posuwało się ani o krok. Nowe elementy zamiast wyjaśniać się wzajemnie, nakładały się na siebie, tworząc nieprzenikloną płataninę wątków.

Uzyskane przez nią informacje wykluczały wszelkie powiązania Natalii Velit ze światem przestępczym. Natalia zażywała kokę okazjonalnie, co potwierdziło paru świadków, była to jednak zwyczajowa praktyka w kręgach związanych z modą, niemal rodzaj atawizmu. Narkotyki dostarczali jej przeważnie pracodawcy. Ot, rodzaj premii w naturze po pokazie mody czy sesji zdjęciowej. Nigdy nie kupowała ich sama z obawy przed skandalem i dlatego, że brała je dość rzadko.

Podczas szczegółowej rewizji w jej mieszkaniu wykryto minimalne ślady kokainy, jedną czy dwa opakowania amfetaminy i kilka gramów marihuany. Nic poważnego - klasyczny zestaw podręczny osoby, która chce wcisnąć się w rozmiar 36 choć normalnie powinna nosić 40.

Ponadto, nawet gdyby Natalia nadużywała narkotyków, to miała na koncie wystarczająco dużo pieniędzy, aby można było od razu wykluczyć, że zaciągnęła długi u swojego dealera. Przy takich dochodach słowo „wyplacalność” nie miało żadnego sensu. Gdyby tylko chciała, mogła wykupić połowę Kolumbii.

Należało szukać innego motywu zbrodni niż morderstwo na tle pieniędzy. Być może chodziło o zabójstwo w afekcie? Klasyczny przypadek: zawiedziony kochanek zleca zawodowemu mordercy zlikwidowanie kobiety, która go skrzywdziła.

Według Kempa, przez ostatnie dwa lata Natalia była związana z jednym tylko mężczyzną - Aleksem Cantorem. Jednak mimo braku alibi na wieczór zabójstwa, Aleks nie pasował zdaniem Sary do profilu mordercy. Zresztą, sam o mało co nie został zabity.

Przez chwilę rozważała hipotezę psychopaty pałającego miłością do wizerunku modelki na błyszczącym papierze. Pewnego dnia jego instynkty doszły niespodziewanie do głosu i mężczyzna dał upust swojej żądzy posiadania jej. Uczynił z Natalii bezwolny przedmiot seksualny, niechcący ją zabił, a następnie, ze złości, postanowił zlikwidować tego, który zajmował jego miejsce w łóżu przy boku ukochanej.

Prawdopodobne, ale nic więcej. Taki wariat jak on lubi działać sam. Wynajmowanie zawodowca nie odpowiadało jego metodzie postępowania, a wręcz mogłoby zepsuć mu całą przyjemność. Sara skreśliła słowo „psychopata”, które nabazgrała przed chwilą na przyklepnej karteczce, zmięła ze wściekłością kawałek papieru i wrzuciła go do kosza.

Zrozumiała, że będzie musiała poczekać do następnego zabójstwa, żeby znaleźć jakieś wyjaśnienie. Coś podpowiadało jej, że nie będzie musiała długo czekać. Dobrze się składało, bo cierpliwość nie była jej mocną stroną.

## 30

Pogrzeb Natalii odbył się w czwartek, w piękny wiosenny dzień, taki jakie lubiła. Promienie słońca migotały na wiekowych płytach cmentarza Père-Lachaise, tam gdzie tylko zdołały przebić się przez liście drzew. Para turystów z planem w ręku błądziła po środkowej alei w poszukiwaniu jakiegoś słynnego grobowca, nie zwracając uwagi na zamieszanie, które zaczynało się tworzyć zaledwie kilka kroków od nich.

Mężczyzna oślepiiony światłem słonecznym zmrużył oczy i wyciągnął z plecaka ciemne okulary. Chwył dziewczynę za ramię i wskazał na kwaterę, w której znajdował się grób Jima Morrisona. Kobieta uśmiechnęła się lekko i pociągnęła go za rękę, by przyspieszył kroku.

Facet wiedział, co robi. W taki dzień zabiera się swoją dziewczynę na spacer, a nie chowa pod marmurową płytą grobowca.

Ceremonii pogrzebowej przewodniczył organizator uroczystości, Thomas Kemp, ubrany w garnitur z czarnego aksamitu. Ja postanowiłem włożyć garnitur od Hugo Bossa w kolorze chińskiego błękitu z delikatnymi szarymi prążkami, ten który miałem na sobie, kiedy po raz pierwszy spotkałem Natalię podczas inauguracji jakiejś wystawy w Muzeum Sztuki Współczesnej.

Poszedłem tam w towarzystwie Dimitria, który przechodził właśnie okres britpop. Paradując beztrudnie ze swoją rozwichrzoną czupryną i T-shirtem Banana Republic, wyróżniał się wśród smokingów i sukni wieczorowych.

Ochroniarz nie chciał go wpuścić, mówiąc, że na zaproszeniu zaznaczono: „obowiązuje odpowiedni strój”. Dimitri odpowiedział mu, że jego T-shirt był pamiątką po Damonie Albarnie. Piosenkarz dał mu go po koncercie w zamian za numer telefonu do jednej z jego przyjaciółek.

Cerber uciął dyskusję krótkim „pierdolę Blur” i nie chciał dłużej z nami gadać. Powinniśmy od razu domyślić się po jego pustym wzroku, że stanął już po odpowiedniej stronie w wojnie brytyjskich list przebojów. Znow sprawdzalo się okrutnie stare przysłowie, mówiące, że najlepszym sposobem na to, by porozumieć się z fanem Oasis, jest rozwalić mu mordę.

Idiota miał pecha. Dimitri otrzymał tego samego dnia trawkę, która przybyła z Jamajki w kontenerze z egzotycznymi owocami. Po wypaleniu kilku skrętów o smaku mango, nie byliśmy skłonni odwoływać się do dyplomacji.

Właśnie zastanawialiśmy się poważnie nad użyciem siły, kiedy pojawiła się Natalia w kostiumie od Saint-Laurenta, piękniejsza niż wychodząca z piany morskiej Urna Thurman.

Ochroniarz, oszołomiony jej widokiem, zupełnie o nas zapomniał, więc mogliśmy rzucić się bez przeszkód w stronę bufetu. Pierwszy kieliszek szampana Dimitri ozdobił głośnym „touch down!”. Szybko podałem mu drugi w nadziei, że upojenie alkoholowe otępi go lub przynajmniej uciszy.

Moja strategia okazała się totalnie nieskuteczna. Szampan spotęował działanie jamajskiej trawki i Dimitri stracił w jednej chwili wszelkie zahamowania. W poszukiwaniu bratniej duszy spędził kolejną godzinę na obmacywaniu pośladków wszystkich kobiet poniżej siedemdziesiątego piątego roku życia, które były obecne na sali.

Przeczuwając fatalne skutki takiego zachowania, schroniłem się w toalecie, czekając, aż ochrona przekona go do opuszczenia lokalu.

Niedługo po tym, jak wyrzuciło go dwóch tępowych olbrzymów, znalazłem się przypadkiem w pobliżu Natalii, stojącej w kącie między potwornie nudnym bankierem a młodym reżyserem, którego projekty nie spotkały się jak dotąd z uznaniem wielkich studiów filmowych.

Znużona mina pięknej nieznajomej wzbudziła we mnie litość. Połączone działanie narkotyku, szampana i widoku jej wspaniałych piersi odebrało mi resztki zdrowego rozsądku. Jednym ruchem dłoni odprawiłem natrętów - bankiera do jego żony cierpiącej na menopauzę, a reżysera do jego niespełnionych marzeń o sławie, i wciągnąłem Natalię w chaotyczną dyskusję na temat linii nowego

kabrioletu BMW, autentyczności szczątek kosmity z Roswell i ostatnich zmian na międzynarodowym rynku dzieł sztuki.

Moje bezładne uwagi były niewątpliwie bardzo oryginalne, ponieważ wieczór zakończył się u mnie na frenetycznym kontakcie naszych ciał. Dimitri nie chciał mi uwierzyć, kiedy opowiedziałem mu następnego dnia o moich nocnych wyczynach.

Tego samego tygodnia, Natalia i ja, znaleźliśmy się na okładce krajowego tygodnika. W następnym miesiącu pozowałem z nią do amerykańskiej edycji *Cosmopolitan* i wysunąłem się na pierwsze miejsce klasyfikacji „najszybszy awans medialny roku”.

Dwa lata później stałem się byłą gwiazdą, wyrzutkiem społeczeństwa rozrywkowego. Reflektory odwróciły się ode mnie, flesze aparatów ucichły, a kamery zgasły. Moja baśniowa przygoda zakończyła się żalonym fiaskiem.

Wybiła dokładnie północ, gdy porzuciła mnie Natalia. Skończyły się luksusowe przyjęcia, wycieczki po zatoce Saint-Tropez na jachtach miliarderów, hordy łowców autografów przy wyjściu z ekskluzywnych hoteli.

Na ich miejsce znów pojawiło się małe mieszkanie z dzwonkiem wygrywającym kukaraczę, nieubezpieczony skuter i garderoba pośrednika w handlu nieruchomościami.

Potrzeba było dwóch morderstw, w tym jednego w sytuacji obrony koniecznej, bym powtórnie znalazł się na szczycie zainteresowania mediów. Dwieście metrów stąd, za wyznaczoną przez siły porządkowe barierą bezpieczeństwa, fotografowie i kamerzyści zajmowali się tylko mną. Znów stałem się królem balu.

Tego rana jakiś brukowiec dał na pierwszej stronie tytuł: „Seryjny morderca z eleganckich dzielnic”. Domyśliłem się, że chodzi o mnie. Dlaczego? Ponieważ artykuł ilustrowało moje zdjęcie.

Według autora tego plugastwa, zamordowałem Natalię z dwóch pobudek: z miłości do niej i z zachłanności na pieniądze. Dziennikarz cytował wypowiedzi rzekomo bliskich mi osób, zdaniem których nie potrafiłem właściwie ukierunkować nadmiaru swojej agresji. Dotarł, jak twierdził, do mojej byłej dziewczyny, której ciosem pięścią rozwalilem kość policzkową. To była kompletna bzdura, ale

zwykła czytelniczka nie mogła o tym wiedzieć.

Nie wiedziałem, skąd pochodziły te kłamliwe wypowiedzi i złośliwe insynuacje. Pewnie jak zwykle jakiś glina powiedział coś, a dziennikarze dodali całą resztę. Przeciętny czytelnik uwielbia historię o biednych kobietach maltretowanych przez drani.

Tyle, że ja nim nie byłem. A Natalii było daleko do biednej kobiety. I nigdy nie pozwoliłaby, aby ktoś źle ją traktował. Gdybym zachowywał się jak ten drań z gazety, to odesłałaby mnie nazajutrz po naszym spotkaniu.

Pierwsze pytanie: kto podał prasie moje nazwisko? Na pewno nie Sara Novac, tylko jeden z jej kumpli, pewnie ten komisarz z tłustymi włosami. Nie można ufać gościowi, który tak źle się ubiera.

Uroczystość pogrzebowa przebiegała szybko i bez emocji. Uczestniczyło w niej około trzydziestu osób. Nikt z rodziny Natalii nie przybył z Węgier. Znając skąpstwo Kempa, pewnie odmówił opłacenia im podróży.

Świat mody reprezentowały jedynie trzy czy cztery modelki drugiej kategorii, które sądziły, że pojawienie się u boku podejrzanego o podwójne zabójstwo może dopomóc im w karierze. Wszyscy dyktatorzy mody, którzy paradowali niegdyś w towarzystwie Natalii, woleli uczyć jej pamięć w domowym zaciszu.

Spojrzałem na trumnę, która opadała powoli do grobu, jakby znajdowała się w stanie nieważkości. Nie mogłem powstrzymać się od wyobrażenia sobie zwłok Natalii. Czas rozpoczął już na pewno swój nieubłagany proces rozkładu. To doskonale ciało, okaleczone piłą lekarza przeprowadzającego sekcję, musiało napęcznieć już gazami. Poczulem dreszcze, myśląc o larwach, które roily się w jej żołądku, gotowe przebić się przez jej delikatną skórę. Z kobiety, którą kochałem, pozostała tylko bezkształtna powłoka. Otarłem łzę, zanim odwróciłem od trumny swój wzrok.

Dotknąłem ręki Loli, która wyszła tego samego rana ze szpitala. Poczulem się trochę lepiej, chociaż ten kontakt wzbudził we mnie nową falę wyrzutów sumienia.

- Tak mi przykro... - powiedziałem cicho.

Byłem szczery. Żałowałem Natalii. Żałowałem każdej sekundy naszego związku. Żałowałem, że nie umiałem jej zatrzymać, ani przeszkodzić w jej śmierci. Żałowałem, że zdradziłem ją potem z Lolą.

Byłem kretynem i nieudacznikiem. Niszczyłem wszystko, co spotykało mnie w życiu dobrego.

Ksiądz wygłosił byle jak kilka zdań na temat dobrych ludzi, którzy pierwsi odchodzą do Pana i inne podobne banały, poświęcił trumnę i oddalił się szybko w stronę swojego służbowego elio.

Zostaliśmy sami, nie wiedząc, co robić. Ja nie uczestniczyłem nigdy dotąd w żadnym pogrzebie, nawet w pogrzebie matki. Czekałem więc, aż ktoś coś zrobi. Jak zwykle Kemp wziął sprawy w swoje ręce i podszedł do trumny. Wymamrotał jedno czy dwa zdania, udał, że ociera łzę i wrócił na swoje miejsce.

Wszyscy podchodzili kolejno do skrzynki ze szlachetnego drewna ozdobionej, jak napisano w artykule, w którym nazwano mnie mordercą, całunem zaprojektowanym przez Donatellę Versace. Od śmierci księżnej Diany, kochana Donatella uwielbiała przypominać o swojej przyjaźni ze wszystkimi sławnymi zmarłymi (Natalia jej nie cierpiała, ale zachowałem dla siebie tę ważną informację, na wypadek gdyby jakiś wydawca zaproponował mi milion euro za spisanie „Wspomnień seryjnego mordercy”).

Czekając, aż przyjdzie moja kolej, by stanąć przy grobie, dokonałem przeglądu projektantów mody, którym pozwoliłbym ewentualnie ozdobić wnętrze mojej trumny.

Wybrałem bez wahania Giorgio Armaniego. Reprezentował prawdziwą klasę włoskiego stylu. On przynajmniej umiałby zaprojektować dla mnie skromny i gustowny całun. Zupełnie inny niż te pełne przepychu obrzydlistwa Donatelli.

Kiedy nadeszła moja pora, zbliżyłem się do grobu i stanąłem nieruchomo. Wszyscy wstrzymali oddech. Nieustający trzask fleszy tworzył dziwny podkład dźwiękowy.

Czego się spodziewali? Że rwąc włosy z głowy, przyznam się publicznie do winy? Że rzucę się na ziemię i obejmę trumnę ze zwłokami tej, którą zabiłem? Że odwołam się do litości bożej zamiast ludzkiej sprawiedliwości, nim wpakuję sobie kulę w usta?



To było oklepane, sztuczne i prostackie. Czysta Donatella niepasująca do stylu Armaniego. Niech się odwalą, pieprzone sępy.

Pozostałem nieugięty i w milczeniu wpatrywałem się w trumnę. Po minucie napięcie opadło zarówno po stronie gości, jak i prasy.

Znów zawiodłem ich oczekiwania. Nie byłem łaskawy dla swojej publiczności. Nie dałem z siebie wszystkiego, by okazać szczerą skruchę, na którą wszyscy czekali. Moja płytko osobowość słabo dostosowywała się do statusu medialnej gwiazdy.

Horda szakali rozeszła się powoli. Wkrótce na Père-Lachaise zapanował normalny spokój. Zostaliśmy już tylko we czwórce: Kemp, Lola, Dimitri i ja.

Mój ojciec, zbyt słaby, aby utrzymać się na nogach dłużej niż kilka minut, został w domu. Zresztą ostatnimi czasy nie przepadał za spacerami po cmentarzach. Kiedy zjawi się tu następnym razem, być może już stąd nie wyjdzie. Taka możliwość studziła bardzo jego zapał.

Poczułem na policzku ciepły, przyjemny promień słońca. Natalii spodobałby się ten dzień.

Grabarze wyciągnęli liny, na których spuszczała trumnę, zasypali dół i przykryli go prowizoryczną płytą z drewna.

Nikt z nas nie powiedział w tym czasie ani słowa. Miałem ogromną ochotę wziąć nogi za pas i biec do utraty tchu, jak najdalej od cmentarza. Zostałem jednak przy grobie i przyglądałem się pracy grabarzy.

Kiedy wreszcie skończyli robotę, schowali sprzęt do wielkich płóciennych worków. Jeden z nich wymamrotał niewyraźnie jakieś kondolencje i pospieszył za swoimi kolegami z zarzuconą niedbale na ramię łopatą. Kiedy uznał, że jest już w odpowiedniej odległości, opowiedział jakiś żart. Jego koledzy wybuchnęły głośnym śmiechem i po chwili na zalanych słońcem alejkach Père-Lachaise zapanowała cisza.

Było po wszystkim. Natalia spoczywała dwa metry pod ziemią tak czarną, jak moje perspektywy na przyszłość.

## 31

Lola ścisnęła kurczowo moje palce, jakby zamierzała nigdy ich nie wypuścić. Oczywiście nie wzruszył jej zbytnio pogrzeb Natalii. Wprawdzie utrata największego wroga wprowadzała chwilową nudę w jej życie, nie powinna jednak pozostawić trwałego śladu w jej psychice.

Zresztą Lola nie cierpiała z góry przegranej rywalizacji. A walka w kategorii „ładna dziewczyna” przyprawia zawsze o frustrację, gdy główna przeciwniczka osiąga wyżyny piękności.

Odtąd sytuacja uległa radykalnej zmianie i znów stałem się cennym łupem seksualnym dla mojej współpracownicy. Mimo nieszczęsnego błędu, który niedawno popełniłem, pomyślałem o tym z obrzydzeniem.

- Chciałbym zostać przez chwilę sam - oświadczyłem. - Możesz zaczekać na mnie z Dimitrim w kawiarni?

Lola spojrzała na mnie groźnie. Upór, z jakim trzymałem się zwłok mojej byłej dziewczyny, wydawał się jej niedorzeczny.

- Jeśli nalegasz... - wyszeptała wreszcie, ciągnąc za sobą Dimitria.

Nie okłamałem jej. Gdyby ze mną została, powiedziałbym jej w końcu coś bardzo przykrego. Musiałem zostać przez chwilę sam, żeby to wszystko przemyśleć.

Ze wszystkich uczestników ceremonii pogrzebowej, tylko ja odczuwałem szczerą smutek. Dimitri nabijał się z Natalii. Zastanawiałem się nawet, czy tych dwoje przeprowadziło kiedykolwiek normalną rozmowę. Była dla niego jedynie gorąco pożądanym przedmiotem seksualnym. Smutek widoczny na jego twarzy wynikał przede wszystkim z frustracji, że nigdy się z nią nie przespał.

Przypadek Kempa był bardziej złożony. Znał Natalię od zawsze i spędzał w jej towarzystwie wiele godzin dziennie.

A przede wszystkim był od niej zależny finansowo. On też dużo stracił na jej śmierci. Czekał go trudny okres żałoby. Od tej chwili mógł pożegnać się ze swoim stutrzydziestometrowym mieszkaniem naprzeciw Les Invalides i trybem życia godnym gwiazdy filmowej.

Nie wątpiłem jednak ani przez moment, że, jako wykonawca testamentu swojej protegowanej, będzie umiał zadbać o własny interes. Już go sobie wyobrażałem, jak negocjuje prawa do filmu dokumentalnego poświęconego „Życiu i śmierci najbardziej podziwianej modelki ostatnich dziesięciu lat”, po którym ukaże się kalendarz z jej zdjęciami oraz linia seksownej bielizny marki Natalia V. Sześćdziesiąt procent zysków pójdzie na cele charytatywne, a reszta na jego konto w banku.

Kemp zawsze uważał Natalię za maszynkę do robienia pieniędzy i jej śmierć nie zmieniała nic w tym względzie. Trzeba było dużo więcej, by zmusić takiego rekina do zmiany żerowiska.

Nagle poczułem się bardzo samotny wśród tych szerokich opustoszałych alej. Nawet w słoneczny dzień miejsce to było ponure. Nie zmieniał tego nawet fakt, że otaczały mnie duchy autorów mojej ulubionej muzyki czy książek. Czuję się nie na swoim miejscu.

A tak właściwie gdzie ono było? W tej nędznej galerii sztuki, w której wystawiałem tylko artystów drugiej kategorii? Na piętrze dla VIP-ów w Inferno, wśród gwiazd show-biznesu i polityki, którzy nigdy nie przyjęli mnie jak swojego? W łóżku Loli, między jej ognistymi udami? Czy może w więziennej celi z przypiętym do ściany zdjęciem Sary Novac w skórzanych spodniach? Już sam nie wiedziałem, gdzie powinienem być. Prawdę mówiąc, nie umiałem zrozumieć tego, co działo się właśnie w moim życiu.

Pogrążony w myślach, przemierzałem bez celu aleje Père-Lachaise. Przeszedłem obok Ściany Komunardów, zobaczyłem z daleka grób Modiglianiego i zapuściłem się w najstarszą część cmentarza.

Pejzaż zmienił się radykalnie. Idealnie równa linia współczesnych płyt ustąpiła miejsca uroczemu nieporządkowi. XIX wiek lubował się w przepychu i ozdobach. Grobowce z tamtej epoki, choć zniszczone przez złą pogodę i zatopione w roślinności, wciąż przypominają o minionej sławie ich właścicieli.

Gdyby Natalia żyła w tamtych czasach, miałaby prawo do popiersia wyrzeźbionego przez Rodina lub do obelisku podarowanego przez cichego adoratora. Zamiast tego, za kilka dni jej grób przykryje prosta marmurowa płyta. Nic, co przypomniałoby przechodniom, że ta kobieta była najdoskonalszym wcieleniem kobiecego piękna, jaki kiedykolwiek stąpał po tej ziemi.

Zrozumiałem wtedy, jak nietrwałym materiałem był błyszczący papier. Za niecałe dziesięć lat Natalia dołączy do grona mitycznych symboli, które odeszły za wcześnie. Co po niej pozostanie, oprócz kilku zdjęć, pozółkłych jak to, które pokazał mi ojciec? Kto oprócz mnie będzie o niej pamiętał?

Wszystko działo się zbyt szybko. Ledwie zdążyłem przywiązać się do jakiejś osoby, a już mi ją odbierano. Umykało mi w ten sposób całe życie. Nie mogłem nad niczym zapanować. A zresztą, czy kiedykolwiek nad czymś panowałem?

## 32

Dostałem pięścią w sam środek lewej skroni. Zupełnie się tego nie spodziewałem, więc nawet nie próbowałem się bronić. Natychmiast osunąłem się półprzytomny na ziemię - po raz drugi w ciągu ostatnich trzech dni.

Zanim zemdlałem, zdołałem tylko podliczyć punkty: Aleks Cantor: 0, reszta świata: 2. Niezbyt chwalebny wynik.

Stało się przykrym zwyczajem, że spadały na mnie ciosy, a ja nie mogłem ich oddać. Nawet Frazier miał większą skuteczność pod koniec kariery.

Ogłuszony, przeniosłem się w nowy wymiar, pełen niezliczonej ilości mieniących się kolorów. Wszystkie wspomnienia z ubiegłego tygodnia wymieszały się ze sobą. Zacząłem krążyć z dużą prędkością pomiędzy najróżniejszymi elementami. Minąłem pierś Loli i o mało co nie nadziałem się na totem z puszek Campbella wykonany przez Sama.

Poprzez wielokolorową mgłę, w której się poruszałem, dobiegł do mnie z daleka zachrypli głos.

- Ty kretynie. Ty pieprzony kretynie!

Woskowa madonna, wystrojona w śmieszne skrzydła, chciała wziąć mnie w ramiona. Przeleciałem obok niej, nawet na nią nie patrząc. Zauważyłem w oddali podniecający tyłek Sary Novac i pospieszylem w tamtą stronę. Wyciągnąłem dłoń do tej urzekającej wizji, gotów schrupać ze smakiem każdy kawałek jej ciała.

Pośladki policjantki nagle znikły. Ktoś złapał mnie za kołnierz i podniósł z ziemi. Otworzyłem lekko oczy. Nie za szeroko, aby nie powrócić natychmiast do okrutnej rzeczywistości. Ale na tyle, by rozpoznać twarz znajdującą się przede mną.

- Dlaczego zawsze zachowujesz się jak kompletny idiota? - zapytał mnie Kemp.

Dyszał, cały purpurowy ze złości. Uniósł nade mną rękę. Przez chwilę sądziłem, że znów zaczniesz mnie okładać, aż rozwali mi w końcu głowę. Poprzestał na zbliżeniu ust do mojej twarzy.

Zapach jego perfum wdarł się do moich kanałów węchowych. Używał czegoś pospolitego (chyba Fahrenheita), odpowiadającego doskonale jego osobowości.

- Co to za zamieszanie w galerii dwa dni temu? - wyszeptał. Przeszedłem na spotkanie i zobaczyłem, że wszędzie było pełno glin. Zdaje się, że znów kogoś zabiłeś.

Szybko wyprowadziłem go z błędu.

- Nie ja. Lola. I słowo „znów” wydaje mi się niewłaściwe. Co do morderstw jestem równie niewinny jak Britney Spears.

Oczywiście, takie porównanie mogło wydawać się niefortunne. Pewnie lepiej byłoby powołać się na Matkę Teresę czy Joannę d'Arc, choć w tym ostatnim przypadku mógłbym zostać posądzony o wojownicze usposobienie w najgorszym wydaniu. Niemniej jednak odniosło zamierzony skutek, bo Kemp wypuścił mnie z uścisku.

Opadłem ciężko, uderzając tyłem głowy o ziemię. Dzięki opatrności nie uszkodziłem sobie czaszki o kant zabytkowego grobowca. Poczułem jednak straszny ból przeszywający skroń, tam gdzie uderzył mnie Kemp.

Co do ciosów pięścią, drogi Kemp mógłby udzielać lekcji samemu Maksowi Schmelingowi. Po siedemdziesięciu latach Niemcy znów miałyby boksera wagi ciężkiej godnego swego poprzednika. Przez ostrożność nie podzieliłem się z nim swoją opinią na temat wybitnych predyspozycji, którymi obdarzyła go natura.

Podniosłem się z wielkim trudem. Nie cierpiałem walczyć, gdy stosunek sił przechylał się zbyt mocno na moją niekorzyść. Dlatego też należało przystąpić do negocjacji.

- Tylko spokojnie - powiedziałem na wszelki wypadek. - Możemy porozmawiać, nie?

- Sprawdziłem wyciągi z kont Natalii z dwóch ostatnich miesięcy - odparł mój serdeczny niemiecki przyjaciel. - Nie zrobiła żadnego przelewu wystarczającego na zakup obrazu, o którym mi mówiłeś. Dlaczego chciałeś, bym uwierzył w te bzdury?

- Mylisz się. Musiałeś nie zauważyć tej transakcji. Pokażę ci fakturę za parę dni. Jest w moim sejfie.

- Zamknij się! - ryknął Kemp. - Mam dość twoich zaszranych planów. Jak tak dalej pójdzie, doigrasz się. To się źle dla ciebie skończy, gwarantuję ci to.

Zrobił krok w moją stronę, patrząc na mnie groźnie. Wyprostowałem się i zacząłem się cofać, aż zawadziłem nogami o płytę grobowca.

- OK. Dobrze - powiedziałem, próbując zachować równowagę. - Wszystko ci wytłumaczę. Chciałem sprowadzić cię do galerii, żeby z tobą porozmawiać. Nie znalazłem lepszego pretekstu. Musisz jednak przyznać, że dałeś się łatwo nabrać. W sumie to było raczej zabawne.

- Nie było.

No dobrze, zgoda. Kempa nie rozbawił ten kawał tak jak mnie. Ale z tego co wiedziałem, Kemp nie był największym autorytetem w kwestii poczucia humoru. Kiedy ktoś miał ochotę się rozerwać, nie dzwonił do niego w pierwszej kolejności. Jego obecność była często wręcz mrożąca.

- Jesteś pewien? - nalegałem.

- Jestem.

- Na pewno?

- Tak.

Ten dialog ubogi w sylaby przypomniał mi zbiór najlepszych replik Sylwestra Stallone. By zachować te klimaty, o mało co nie zacząłem podskakiwać w miejscu, udając, że boksuję tusze wołowe. Resztki rozsądku odwiodły mnie od tego zamiaru.

Kemp był naprawdę gotów mnie zabić. Ten drań był do tego zupełnie zdolny, przynajmniej z fizycznego punktu widzenia. Korciło go, żeby zrobić mi krzywdę. Widziałem to po jego zaczerwienionej twarzy i bijącej z oczu nienawiści.

Rozejrzałem się rozpaczliwie dokoła w nadziei, że przyciągnę uwagę jakiejś życzliwej duszy. Nie zobaczyłem nikogo. Cementarz Père-Lachaise jakby nagle opustoszał.

Kemp nie miałby żadnych kłopotów, żeby mnie rozwalić. Był ode mnie cięższy o dobrych dwadzieścia kilo i wyższy o dziesięć centymetrów. Kilka dobrze wymierzonych ciosów natychmiast wyrównałoby różnice w naszych poglądach. Wtedy mógłby już tylko

wyważyć żelazne drzwi starego grobowca i wsunąć do niego moje zwłoki.

Morderstwo doskonałe. Nikt by mnie nie znalazł przed kolejnym stuleciem. Moje zniknięcie uznano by za ucieczkę. Sara Novac rozsłałaby za mną międzynarodowy nakaz aresztowania, policja udawałaby przez jakiś czas, że mnie szuka, a później wszyscy by o mnie zapomnieli.

Taki plan zupełnie mi nie odpowiadał z jednej prostej przyczyny: nie chciałem zakończyć swojej ziemskiej wędrówki w grobie kogoś innego. Chciałem mieć swój własny, z wygrawerowanym nazwiskiem i zdjęciem otoczonym sztucznymi kwiatami z porcelany. Chciałbym, żeby Lola przychodziła co tydzień na mój grób i w pocie czoła czyściła go wilgotną szmatką.

Chciałbym, żeby wychodziło to jej uszami. Zasłużyła sobie na to.

Ale nawet na takich warunkach, nie było mi spieszo do umierania. Należało więc uspokoić jak najszybciej tego pyszałka. Być może ułagodzi go muzyka? Mimowolnie zacząłem pogwizdywać melodię *Eye of the Tiger*.

*Duchu Rocky'ego*, pomyślałem skupiając się na każdej nucie, *pomóż mi. Błagam cię. Każdą część filmu oglądałem po dwadzieścia razy. Plakałem rzewnymi łzami, kiedy Apollo Creed umarł na ringu. Już za to należy mi się pomoc.*

- Przestań! - zdenerwował się Kemp.

Nie poddając się tyranii prymitywnej przemocy, nadal gwizdałem, co sił w piersiach.

To była uroczysta chwila. Stawałem się ostatnim bastionem wolności przed okrutnym ciemieżcą. *Eye of the Tiger* popłynął ze zdwojoną siłą w wiosenne powietrze, niedaleko od miejsca, w którym co roku ostatni komuniści intonują chóralnie *Międzynarodówkę*.

Kemp już tego nie wytrzymał. Potężne uderzenie w policzek odrzuciło mnie za grobowiec, do którego byłem przyparty.

*Dziękuję, duchu Rocky'ego, nie trzeba było...*

Paradoksalnie, mój koziołek uspokoił Kempa. Przyklęknął koło mnie. Zasłoniłem rękami swoją twarz.

- Już dobrze - powiedział. - Skończ te dziecinne wyglupy. Usiądźmy i porozmawiajmy, OK?

Przytaknąłem, z ustami obolałymi od uderzenia.



- Już nie będziesz mnie bił? - zapytałem błagalnym tonem.
- Wkładam ręce do kieszeni.

Miałem postrzępione spodnie, rozdartą na łokciu marynarkę i pełno sińców, ale wolność słowa święciła swój triumf. Poryw heroizmu zaróżowił mi policzki. Mogłem bez wstydu przystąpić do negocjacji.

Postanowiłem grać w otwarte karty.

- Tamtego wieczoru chciałem wciągnąć cię w pułapkę. Zmusić cię do mówienia, nagrać twoje zeznania i przekazać je policji. Przygotowałem magnum, żeby cię postraszyć.

Moje wyznanie wywarło na Kempie duże wrażenie. Zbladł i usiadł na grobie znajdującym się naprzeciw mnie. Wykorzystałem tę chwilę słabości, by uzyskać nad nim przewagę.

- Nie wierzę, że nie masz nic wspólnego z zabójstwem Natalii - powiedziałem oskarżającym tonem. Jestem pewien, że coś ukrywasz.

- Co na przykład?

- Dlaczego Natalia mnie opuściła? Wszystko układało się dobrze między nami. Powód zerwania pochodził z zewnątrz. Podejrzewam, że jesteś w to zamieszany. I tak dowiem się w końcu, co ukrywasz.

Kemp zawahał się. Odwrócił ode mnie wzrok i schował twarz w dłoniach. Siedział pochylony przez długą chwilę, zanim odważył się znów na mnie spojrzeć.

- Ponieważ mówimy sobie wszystko, ja też będę z tobą szczery. Masz prawo dowiedzieć się o pewnych sprawach, teraz, kiedy Natalia już nie żyje. Była z tobą w ciąży. Zadzwoniła do mnie, jak tylko się o tym dowiedziała. Szalała z radości. Chciała zakończyć karierę i związać się z tobą na stałe. Nie mogłem znieść tej myśli. Ogarnęła mnie panika.

Zupełnie nie byłem przygotowany na takie wyznanie. Byłem przygotowany na wszystko, tylko nie na to.

- I zmusiłeś ją do tego, by mnie opuściła? Tylko po to, żeby uratować jej pieprzoną karierę modelki?

- Tak ciężko na nią pracowaliśmy! Miała przed sobą jeszcze parę wspaniałych lat. Mogła wznieść się jeszcze wyżej.

- A co z dzieckiem?

Na twarzy Kempa pojawiło się zmieszanie. Stracił nagle swoją pewność siebie. Zrozumiałem, że odwróciła się przewaga sił.

- Natalia... Natalia usunęła ciężę - wybelkotał. Miesiąc przed swoją śmiercią. Powiedziałem jej, że nagle zerwanie ułatwi całą sprawę. Nie chciała, żebyś o tym wiedział.

To wyznanie doprowadziło mnie do wściekłości. Spojrzałem na Kempa z niedowierzaniem.

- Manipulowałeś nią, ty sukinsynie! Spieprzyłeś nasz związek, żeby nie szkodził twoim interesom! Tylko nie rozumiem, dlaczego Natalia tak łatwo cię posłuchała. To do niej niepodobne.

- Wiedziałem o niej rzeczy, o których nikt inny nie miał pojęcia, nawet ty. Rzeczy, które miały pozostać tajemnicą. Zagroziłem, że ujawnię je prasie.

- Czym ją zaszantażowałeś?

- Zapewniam cię, lepiej, żebyś o tym nie wiedział.

Wzburzony, zerwałem się nagle. Poczulem jak przeszywa mnie uczucie szczerzej nienawiści. Cały trząśłem się z wściekłości.

- Mów...

- Aleks, sądzę, że...

- Prosiłem cię, żebyś o wszystkim mi powiedział - przerwałem mu. - Więc wyjaśnijmy wszystko raz na zawsze.

- Jak chcesz... Tak naprawdę moje spotkanie z Natalią nie wyglądało tak, jak przedstawiła je prasie. Nastolatka, która spaceruje z matką, agent, który mija ją przypadkiem w galerii handlowej i przekonuje, by spróbowała swoich sił w Paryżu. To wszystko jest nieprawdą. Wymyśliliśmy piękną historię dla publiczności, ponieważ ta prawdziwa była zbyt przerażająca. Znalazłem Natalię na ulicy. Kiedy do niej podszedłem, sądziła, że jestem klientem.

- Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem.

- Wyrwałem ją z nierządu. Od czternastego roku życia prostytuowała się, żeby mieć z czego żyć. Była sierotą i spała, gdzie mogła. W tamtym czasie na ulicach Budapesztu stały dziesiątki nastolatków. Była jedną z wielu takich biedaczek. Znosiła to wszystko dzięki heroinie i wódce. Za niecałych dziesięć dolarów, robiła, co chciałeś. Niezły interes za taką cenę.

- Nie wierzę ci. To niemożliwe.

- Jak myślisz, dlaczego nigdy nie przedstawiła ci swojej rodziny? Bo jej nie ma!

Kemp pogrążył się we wspomnieniach. Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Uratowałem ją, Aleks. Podarowałem jej prawdziwe życie. Gdyby nie ja, zdechłaby jak pies na tej swojej ulicy. Gdybyś ją wtedy widział... Dookoła śnieg. Drżała pod swoim kusym płaszczkiem. Były na niej sama skóra i kości. Oddawała się klientom na nędznej klatce schodowej. A mimo to, było w niej coś subtelnego. Od razu wiedziałem, że ma w sobie ogromny potencjał. Z moją pomocą porzuciła seks, prochy i alkohol. Na początku było jej ciężko, ale kiedy cię spotkała była już czysta.

- Niemożliwe... - powtarzałem, kręcąc głową.

- Jeśli nie chcesz, to nie wierz. Natalia była prostytutką, ja zrobiłem z niej gwiazdę. Harowałem jak szalony, żeby do tego dojść. Wykreowałem ją. Wymyśliłem jej twarz, ciało, styl. Zrobiłem z niej gwiazdę o światowej renomie. Przez pięć lat pracowałem dzień i noc, żeby ją wychować, ale było warto. Towarzyszyłem jej na początku, kiedy była na głodzie, i później, kiedy przyszedł sukces i kiedy trzeba było zadbać o sesje zdjęciowe, wywiady i rozmowy z dyktatorami mody. Uwierz mi, nigdy nie liczyłem tych godzin. Nie robiłem tego dla kasy, ale dlatego, że kochałem Natalię tak jak ojciec córkę. Nie miała prawa mnie porzucać.

Moja pięść wyrwała się, nim dotarł do niej impuls z mózgu. Trafiła Kempa w wargę. Po jego brodzie popłynęła strużka krwi. Nawet nie próbował się bronić. Podniósł się tylko i stanął przede mną.

- Możesz myśleć o mnie, co chcesz, Aleks, ale kochałem ją ponad wszystko. Jeśli ktoś ma oplakiwać dziś Natalię, to właśnie ja. Nie wiem, kto ją zabił. I prawdę mówiąc, zupełnie nie obchodzi mnie, kto to zrobił. Moja Natalia nie żyje i nikt mi jej już nie zwróci.

- Nie pieprz! Interesowały cię tylko własne korzyści. Czy przez chwilę pomyślałeś o niej, o tym, czego naprawdę pragnęła?

- Biedny Aleks... - szepnął Kemp. - Wciąż jesteś jak dziecko. Myślisz tylko dwoma kategoriami: dobro - zło, wygrana - porażka i takie tam brednie... Gdyby życie było takie proste, wszyscy by o tym wiedzieli.

Kemp wzruszył ramionami i powoli ruszył ku wyjściu. Nie próbowałem go zatrzymać. Zostałem sam na tym ogromnym cmentarzu, otoczony cieniami tych, których straciłem nawet ich nie znając.

## 33

Ciężki stalowy drążek uniósł się na wysokość trzydziestu centymetrów, zawisł na kilka sekund i opadł powoli. Sara opuściła sztangę, aż ta dotknęła prawie jej ramion. Podniosła ją ostatni raz, wydychając całe powietrze z płuc i odłożyła na stojak. Miała dość gimnastyki na ten wieczór.

Leżąc na ławce treningowej, czekała, aż złapie oddech. Strugi potu spływały z jej policzków na podłogę. Sara obliczyła w przybliżeniu ciężar, który podniosła.

Czterdzieści razy pięćdziesiąt kilo. Dwie tony w pół godziny. Nieźle. W każdym razie wystarczająco, żeby odprężyć umysł.

W głębi salonu zadzwoniła jej komórka. Sara podniosła się z trudem. Jej ciało było sztywne z bólu. Od roku czy dwóch czuła, że nie służyło jej tak dobrze jak dawniej. Od tamtej pory po treningu padała ze zmęczenia.

Nadszedł czas, by pomyśleć o przekwalifikowaniu. Ganiecie za przestępcami z zadyszką i ze skurczami mięśni groziło niechybnie zaliczeniem kulki. Sara wiedziała, że czas decyzji zbliża się nieubłaganie.

W głębi duszy nie chciała skończyć tak jak Lopez, trzymając się kurczowo tej głupiej pracy. W przeciwieństwie do niego, miała dość zmagania z wiecznie powtarzającymi się problemami.

Telefon wciąż dzwonił. Postanowiła, że poprzeciąga się później i pobiegła do swojej torby.

Identyfikator numerów wyświetlał nazwisko komisarza. Zły znak. Kiedy zadzwonił do niej ostatnim razem, nie spała całą noc.

- W czym mogę panu pomóc, komisarzu? - zapytała, odbierając połączenie. - Postanowił pan sprawdzić, ile wytrzymam bez snu?

- Mam złe wieści - powiedział od razu Lopez. - Właśnie aresztowano Cantora w jego mieszkaniu.

- Aleks znów coś nabroił? Myślałam, że zabezpieczono jego magnum.

- Mówię o drugim, ojcu. Chłopcy z wydziału antyterrorystycznego zatrzymali go dziś o osiemnastej.

- Z jakiego powodu?

- Oficjalnie Cantor stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju. Jako dawny terrorysta, nawet skruszony, może zakłócić porządek na terytorium Francji. Ministerstwo twierdzi, iż w obecnej sytuacji nie może pozwolić sobie na najmniejsze ryzyko. Ale tak naprawdę, nakaz zatrzymania wyszedł od rządu włoskiego. Chcą go dostać w swoje łapy za wszelką cenę. Przygotowali już dla niego celę w zakładzie karnym o zaostrzonym rygorze. Mają cały program: minimalny komfort i widok na druty kolczaste na murze otaczającym więzienie.

- Gdzie teraz jest?

- U nas. Jak tylko dowiedziałem się o toczącym się przeciw niemu postępowaniu, poinformowałem szefową policji kryminalnej, że musimy bezwzględnie przesłuchać Cantora w sprawie Veut, zanim stąd wyjedzie. Wykonała parę telefonów i dała mi dwie godziny. Minister podpisał już nakaz ekstradycji. Przewidziano ją na jutro na szóstą rano. Na dziedzińcu czeka na Cantora samochód z wydziału antyterrorystycznego. Jak tylko go wypuścimy, odwiozą go prosto na Roissy.

- Jestem naprawdę pod wrażeniem - wyznała Sara.

- Gdybyś знаła takie sztuczki, byłabyś na moim miejscu, dziecinko. Spiesz się, jeśli chcesz się z nim zobaczyć. I radzę ci wstąpić po drodze po jego syna. Być może we dwoje będą mieli ochotę powiedzieć nam coś więcej.

- Już lecę.

- Nie trać czasu, odliczanie rozpoczęło się dziesięć minut temu.

- Zrozumiano. Zaraz tam będę. Do zobaczenia.

Sara rozłączyła się. Wytarła rękami spocony kark i ubrała się.

Wśród policjantów, którzy kręcili się po korytarzach wydziału spraw kryminalnych, panowało wyraźne napięcie. Obecność byłego terrorysty w murach Quai des Orfèvres wprawiało wszystkich w nerwowy nastrój, zwłaszcza że Lopez zarządził zaostrzenie środków bezpieczeństwa.

Sara prowadziła Aleksa przez labirynt biur, aż dotarli do tego, które zajmował komisarz. Ten wytłumaczył Aleksowi pokrótce sytuację.

- Proponuję panu taki układ: pan powie mi coś, czego nie wiem, a ja pozwolę panu pożegnać się z ojcem. W przeciwnym razie, będzie musiał pan czekać, aż władze włoskie wydadzą panu pozwolenie na odwiedziny. Moim zdaniem, trzeba będzie uzbroić się w cierpliwość. To może potrwać co najmniej rok lub dwa.

To była metoda Lopeza. Prosto do celu. Najpierw działać, potem myśleć. To, co proponował Cantorowi, wykraczało daleko poza jego uprawnienia.

Sara próbowała protestować:

- Komisarzu, jest pan pewien tego, co robi?

Lopez kazał jej milczeć i spojrzał pytająco na Aleksa.

- Więc?

- Wasz trup nazywa się Mario Monti. Mój ojciec znał go bardzo dobrze.

Aleks mówił prawie kwadrans. Opisał zdjęcie znalezione w pudełku na buty i powtórzył najdokładniej jak mógł to, co powiedział mu ojciec. Skończył na wyznaniach Kempa na temat przeszłości Natalii.

Spodziewał się, że dostanie mu się za skopiowanie nagrania z kamer, ale Lopez nie skomentował tego przywłaszczenia dowodów. Komisarz zrobił jedynie kilka notatek i skinął głową, kiedy Aleks skończył swoją opowieść.

- Doskonale, ma pan pięć minut. Saro, zaprowadź go.

## 34

Ojciec miał uroczystą minę. Sądząc po napięciu, które rysowało się na jego twarzy i po wymiętym ubraniu, wyciągnęli go z łóżka bez zbędnych ceregieli.

Później zamknęli go w maleńkim pomieszczeniu. Kiedy tam wszedłem, siedział w kącie na taborecie. Na mój widok wstał i wskazał na małą walizkę postawioną w rogu sali.

- To wszystko, co pozwolili mi ze sobą zabrać. Coś do ubrania, mycia, nic więcej... Musiałem nawet zostawić w domu egzemplarz Dantego. A ja myślałem, że tylko systemy totalitarne obawiają się tak bardzo kultury!

Zrobił minę, jakby widział w tym stwierdzeniu coś śmiesznego. O mało co nie rozplakałem się z bezsilności, widząc jego smutny i zawiedziony uśmiech. Starając się ukryć jak najlepiej moje cierpienie, wziąłem go w ramiona.

- Aleks...

Nigdy jeszcze jego głos nie brzmiał tak, jak pożegnanie.

- Nie martw się. Wyciągniemy cię stąd. Zadzwońię do Dimitria. Zna najlepszych adwokatów w Paryżu. Jutro rano będziesz wolny.

Nienawidziłem tej gry pozorów. Tak samo jak ojciec. Niemal go obrażałem, mówiąc mu takie rzeczy.

Spojrzał na mnie surowym wzrokiem. Moje wysiłki, by brzmieć przekonująco, irytowały go bardziej niż cokolwiek.

- Nie próbuj odstawiać przede mną tej śmiesznej komedii. Obaj wiemy, co się stanie. Jutro będę z powrotem we Włoszech i wtrącać mnie do najobrzydliwszego lochu, jaki znajdą. Popatrzmy na to z pozytywnej strony: przynajmniej umrę w swoim kraju.

- Nie rozumiem, co mają przeciwko tobie. Dlaczego tak nagle chcą cię wydrzeć. Pozwolili ci tu żyć przez dwadzieścia pięć lat. Teraz twoja przeszłość jest już odległa.

- Nie chodzi o przeszłość, Aleks. Nie zadaliby sobie tyle trudu, gdyby w taki czy inny sposób nie miało to wpływu na terażniejszość. Dopóki nie wydam ostatniego tchnienia, będę dla nich zagrożeniem. Nie wiem z jakiego powodu, ale komuś we Włoszech zależy na tym, żeby się mnie pozbyć. Zresztą, nie będzie musiał długo czekać. Czuję, jak życie uchodzi ze mnie wszystkimi porami mojego ciała. Nie mogę nic zrobić, aby temu zapobiec.

- Nie gadaj bzdur. Zajmą się tam tobą. Zażądam, by zbadal cię lekarz, jak tylko będziesz na miejscu.

Ojciec położył dłoń na moim policzku i ścisnął go delikatnie palcami. Nie robił tego od czasu, gdy zginęła moja matka. Wziął głęboki oddech, który wywołał bolesny atak kaszlu.

- Jestem zmęczony tym wszystkim, Aleks - powiedział, kiedy kaszel ustał. Nie mam już siły walczyć. Nawet gdybym mógł, nie chciałbym już dłużej żyć. Najwyższy czas, bym opuścił pole bitwy.

Z głośnika umieszczonego w rogu ściany rozległ się głos Sary Novac.

- Przypomnij mi, że muszę panom przerwać rozmowę... Agenci z wydziału antyterrorystycznego nalegają, by oddać pana w ich ręce. Komisarz Lopez próbuje zatrzymać ich w swoim biurze, ale nie będzie mógł robić tego zbyt długo. Nie mogą zobaczyć tu Aleksa.

- Dziękuję, że pozwoliliście nam porozmawiać przez te parę minut - zwrócił się ojciec do głosu niewidocznej kobiety. - Ona ma rację. Musisz szybko stąd iść.

Wziąłem go w ramiona, pełen smutku, że trzeba było czekać tak długo, żebyśmy otworzyli się przed sobą. Wykorzystał to, żeby szepnąć mi do ucha parę słów.

- Myślałem o twoim nagraniu. Jemu chodziło o obraz, nie o zawartość sejfu.

Odsunął się szybko ode mnie.

- Zobaczmy się w Rzymie - powiedziałem bez przekonania. - Uważaj na siebie.

Ojciec skinął głową i machnął lekko ręką na pożegnanie.

- Jeszcze jedno... Aleks - powiedział, kiedy przekraczałem już próg sali przesłuchań. - Pozdrów ode mnie Sergio Tenentiego.



Możesz powierzyć mu obrazy, z którymi masz problemy. Zna się dobrze na dziełach sztuki i będzie umiał ci pomóc. Znajdziesz jego adres w Rzymie, w moim starym notesie. Kiedy opuszczałem mieszkanie, zostawiłem go na moim łóżku. Mam nadzieję, że Sergio nie przeprowadził się od tamtej pory.

W tej samej chwili Sara Novac złapała mnie za łokieć i pociągnęła za sobą. Po drugiej stronie korytarza, na betonowej posadzce, słychać było ciężkie kroki osób idących po mojego ojca.

## 35

Mimo aspiryny i dwóch filiżanek kawy wypitej przed przyjściem do pracy, Sara miała wrażenie, że jej głowę ściska cierniowa korona. Przy najłżejszym ruchu głowy jej usta wykrzywił grymas bólu.

Pieprzone śledztwo. Nie wytrzyma długo takiego tempa. Zresztą, Lopez powyrywa jej flaki i zrobi sobie z nich łańcuch na choinkę, jeśli nie odnajdzie szybko mordercy Natalii Velit.

Kiedy przechodziła przed biurkiem sekretarki Lopeza, ta podała jej kartkę papieru, nie odrywając wzroku od ekranu komputera.

- Faks dla pani, z zakładu medycyny sądowej.

Sara wyrwała jej faks z ręki.

- Nie ma za co - powiedziała sekretarka.

Sara udała, że nie usłyszała. Wiadomość od Barbé była lakoniczna:

„Brak zgodności między kodem DNA denata a DNA pobranym z ciała Natalii Velit. To nie ten mężczyzna. Powodzenia. Barbé”.

Sara jęknęła ze złości i weszła do biura Lopeza. Usiadła naprzeciw niego, starając się wykonywać jak najmniej ruchów.

Mimo braku snu, Lopez wydawał się być w świetnej formie.

- Co myślisz o tym całym gównie? - zapytał, zaciągając się dymem papierosowym, który wypuścił wolno w kierunku swojej rozmówczyni.

Sarę otoczyły kłęby dymu. Starła się opanować nadchodzący atak mdłości, by nie zwymiotować.

- Posuwam się powoli do przodu - powiedziała słabym głosem. Zakończyłam czynności sprawdzające. Nie mam prawie nic na poparcie moich wniosków, ale nie tracę nadziei, że w końcu pojmę, o co w tym wszystkim chodzi.

- Paskudna sprawa! Najpierw niewytłumaczalne morderstwo top modelki, później ta sprawa z terrorystami i prostytutką... Wieszisz pomiędzy tym jakiś związek? Po co mamy się zajmować tymi

starymi, pierdolonymi sprawami? Nie obchodzi mnie, co ta dziewczyna robiła w młodości. To jej problem, że pieprzyła się z połową facetów z Budapesztu. Co do tych cholernych eksrewolucjonistów, to już dawno mają w dupie dawne ideały. Jak tylko spłacili swoje wille na przedmieściu i przesiedli się do golfa TDI, społeczeństwo wydaje się im dużo mniej obrzydliwe, no nie?

Mimo że każdy dźwięk wydobywający się z ust przełożonego powodował świdrujący ból w jej głowie, Sara zaczęła spokojnie, aż ten skończy głądzić. Jediną widoczną oznaką zmęczenia u Lopez była jego skłonność do wulgarności. Zajął się zastępowaniem w myśli każdego z przekleństw dźwiękiem „bip”, ale szybko znużyła ją ta zabawa.

Otepiała z bólu, zaczęła błądzić wzrokiem po pokoju. Spojrzała na filiżankę z dużym krwistoczerwonym napisem LAPD, którą Lopez przywiózł z ostatniej podróży do Stanów.

- Co do tych speców od antyterroryzmu – kontynuował komisarz, nie zdając sobie sprawy z tego, że Sara go nie słucha - to śmiechy mnie, że tak się uwzięli na tego gościa. Sama widzisz, że jest jedną nogą na tamtym świecie. Nie przetrzyma nawet podróży. Nie mogą pozwolić mu umrzeć w spokoju?

Nagle przestał mówić. W pokoju zapanowała głucha cisza. Sara zrozumiała, że czeka na jej reakcję.

- Cantor sądzi, że ktoś we Włoszech zastawił na niego pułapkę - odezwała się w końcu.

Kłujący ból wykrzywił jej usta. Lopez nie zwrócił na to uwagi i wyciągnął z szuflady stary powyginany termos. Nalał kawy do filiżanki LAPD i upił łyka, nie częstując Sary. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, co powiedziała mu jego współpracownica, i uśmiechnął się nerwowo.

- Sądząc po tym, jak się na niego zawzięli, jestem w stanie uwierzyć, że jest dla nich niewygodny. Rząd włoski wycarterował specjalny samolot, żeby sprowadzić go do kraju. To najdroższa w historii ekstradycja.

- Skoro już o tym mówimy... przypuszczam, że Aleks wskoczy do pierwszego samolotu do Rzymu. Co mam zrobić?

- Masz coś, żeby go zatrzymać?

- Szczerze mówiąc, nie. Wątpię, że brał udział w zabójstwie Natalii. W każdym razie nie mam na to żadnego dowodu.

- To niech jedzie. Nie ulotni się przecież, kiedy ojciec będzie umierał we włoskim więzieniu. W najgorszym wypadku sąd wyśle za nim międzynarodowy nakaz aresztowania. Włoski wymiar sprawiedliwości będzie miał trudności, by odmówić współpracy. À propos, dowiedziałaś się czegoś na temat tego Mario Monti?

- Według Barbé, nasienie pobrane z prześcieradła i ciała Natalii nie należy do niego. Nie wyklucza to jednak hipotezy o jego winie. Być może to on zrobił jej zastrzyk z kokainy. W każdym razie, jeśli był tam, kiedy popełniono zbrodnię, to znaczy, że miał współnika.

- Dwie osoby... nieźle jak na taką robotę. Skontaktuj się ze swoimi informatorami i zapytaj, czy mają jakieś wtyki. Muszą krążyć na ten temat jakieś plotki. Zadzwoń do twojego kumpla Coplera. Niech udowodni, że jego reputacja nie jest przesadzona.

Sara przytaknęła. Źle się czuła, ale nie mogła pozwolić sobie na odpoczynek. Wstała i machnęła lekko ręką na pożegnanie.

- Idę pracować.

- Świetnie. Następnym razem przyjdź z czymś interesującym.

Sara spojrzała na niego krzywo, ale Lopez powrócił już do lektury akt. Wychodząc, trzasnęła za sobą drzwiami, co nie zakłóciło jednak niewzruszonego spokoju jej przełożonego.

Tylko sekretarka podskoczyła na krześle. Sara zachowała się tak, jakby ta kobieta w ogóle nie istniała. Udała się natychmiast do swojego biura. W pierwszym odruchu włączyła komputer.

Pośród spamu i reklam przedłużaczy do penisa (39, 90 dolarów, w tym koszty przesyłki, satysfakcja gwarantowana lub zwrot pieniędzy), od wczorajszego wieczoru czekała na nią wiadomość od Coplera. Dziennikarz wołał wysłać ją na jej służbowy adres niż na prywatną skrzynkę. Prawdopodobnie chciał, żeby odebrała ją jak najszybciej.

Tylko że wczoraj wyłączyła komputer, nie sprawdzając maili. Gdyby to było pilne, zadzwoniłby do niej, tłumaczyła sobie, otwierając wiadomość.

„Saro, moje anonimowe źródło informacji przesłało mi pewien dokument. Zeskanowałem go dla ciebie. Prawdziwa bomba, baby. Zrób z tego dobry użytek”.

Sara kliknęła na załączony plik. Komputer zazgrzytał przez kilka sekund, zanim otworzył się załącznik przesłany przez Coplera.

Na ekranie pojawiła się jedna strona. Był to dowód przelewu z nagłówkiem włoskiego banku - Banco Romano, o którym nigdy nie słyszała. Został sporządzony po angielsku i wskazywał na transfer osiemdziesięciu trzech tysięcy euro z jednego z kont banku, określonego kombinacją dwunastu cyfr, na inne konto, tym razem banku z siedzibą w Luksemburgu.

Nigdzie nie pojawiało się nazwisko zleceniodawcy, i nie bez przyczyny: nie trzeba posiadać dyplomu MBA z zakresu finansów, żeby rozpoznać ewidentny przykład uchylania się przed podatkami.

Sara wstała i poszła zamknąć na klucz drzwi do biura. Było jasne, że osoba, która dostarczyła Coplerowi ów dowód przelewu, zdobyła go nielegalnie.

Sam fakt posiadania takiego dokumentu zanim sędzia śledczy zażąda go od banku, groził poważnymi kłopotami. Na przykład oskarżeniem o paserstwo, a nawet anulowaniem postępowania sądowego. Banki były przewrażliwione na punkcie łamania tajemnicy bankowej. A drażliwość banków w Luksemburgu graniczyła z paranoją.

Jedynym sposobem na ujawnienie tajemnicy bankowej w innym kraju było zazwyczaj wszczęcie długiej i skomplikowanej procedury w ramach pomocy międzynarodowej. Należało znaleźć we Francji sędziego, który złożył pozew, następnie umotywować go jego odpowiednikowi w innym kraju. Jeśli ten ostatni uzna to za konieczne, zażąda od banku, by złamał zasadę anonimowości i ujawnił nazwisko posiadacza danego konta.

Adwokat, który zna się choć trochę na swojej robocie, może przeciągać postępowanie przez wiele lat.

Kiedy informacje dotrą wreszcie do prowadzących śledztwo, ci będą już rozkoszować się swoją emeryturą w przyczepie kempingowej, kupionej za pieniądze z kredytu zaciągniętego na dwadzieścia lat. A ich młodzi następcy, już na sam widok warstwy kurzu pokrywającego akta przejmowanych spraw, z miejsca podpiszą wnioski o spalenie starych dokumentów. Oto dlaczego, mimo ryzyka, lepiej było zdobyć takie rzeczy w nielegalny sposób.

Copler znał doskonale prawo. Wiedział, na co naraża Sarę, wysyłając jej taki dokument. Nigdy by tak nie postąpił, gdyby nie uznał tego za konieczne.

Sara nacisnęła na ikonę drukowania. Zaczekała, aż drukarka wypluje dokument, a następnie usunęła wiadomość od dziennikarza. Dwie kolejne minuty poświęciła na czyszczenie pamięci swojego komputera.

Kiedy była pewna, że już tylko profesjonalista będzie mógł odnaleźć ślad wiadomości na twardym dysku, skoncentrowała się na dowodzie przelewu.

Polecenie przelewu wystawiono poprzedniego miesiąca. Poza nazwami dwóch banków, których dotyczył transfer pieniędzy, na dowodzie nie figurowało żadne nazwisko. Odnalezienie posiadacza numerowanego konta w Banco Romano graniczyło z cudem. Jeszcze bardziej nierealne było poprowadzenie śledztwa z Luksemburga.

Żaden sędzia nie podpisze rekwizycji sądowej na podstawie dokumentu niewiadomego pochodzenia. Copler wiedział jednak, co robi. Brak wyjaśnień w jego wiadomości oznaczał, że wyciągnął z niego własne wnioski i sądził, że Sara też będzie w stanie to zrobić.

Wyciągnęła komórkę i wybrała numer do dziennikarza. Po trzecim sygnale włączyła się automatyczna sekretarka.

„Cześć, przystojniaku - powiedziała, nie przedstawiając się - otrzymałam twoje zaproszenie, ale w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć adresu restauracji, w której się umówiliśmy. Miałam nadzieję, że mi go przypomnisz. Oddzwon do mnie, jak będziesz mógł”.

Rozłączyła się zaniepokojona. Copler wiele ryzykował, dając się manipulować swojemu anonimowemu informatorowi. Z pewnością miał jakiś cel, by saczyć informacje w taki sposób.

Co się jednak stanie, kiedy go osiągnie i dziennikarz nie będzie mu już potrzebny? Copler wydawał się tym nie przejmować. Nie był z tych, co martwią się z byle powodu. Kiedy był na tropie wielkiej afery, całkiem zapominał o podstawowych zasadach ostrożności.

W czasie gdy prowadził śledztwo dotyczące przepływu brudnych pieniędzy z Monako do Luksemburga, jego samochód został zepchnięty z autostrady przez trzydziestoośmiotonową ciężarówkę. Cudem ocalał. Jego pasażer, pracownik banku zamieszanego w aferę, miał mniej szczęścia. Nie udało mu się wydostać przed wybuchem spod wraku zmiażdżonego samochodu.

Bez głównego świadka Copleer nie mógł niczego udowodnić. Sensacyjny materiał wymknął mu się z rąk. Dwa miesiące spędzone w szpitalu po tej przygodzie nie nauczyły go jednak rozsądku.

Jego anioł stróż był przyzwyczajony do ekstremalnych akcji. Już przed piętnastoma laty jego reportaż na temat nietypowych upodobań kulinarnych Jeana-Bedela Bokassy ściągnął na niego gromy środkowoafrykańskiego cesarza.

Bokassa, wściekły z powodu ujawnienia swojej wstydlivej skłonności do kanibalizmu, nakazał szwadronowi śmierci przynieść mu ciało dziennikarza, aby mógł sporządzić z jego najdelikatniejszych części cotygodniową potrawkę. Ponieważ nie miał nigdy okazji spróbować zachodniego mięsa, z góry cieszył się na to nowe doświadczenie.

Copleerowi cudem udało się wyskoczyć przez okno hotelu, w chwili gdy wkraczali do niego zabójcy. Z ukrycia obserwował jak masakrują maczetami przebywające tam osoby.

Po całonocnej ucieczce przed prześladowcami po labiryncie ulic Bangi, znalazł w końcu schronienie w murach ambasady Francji. Jego sprawa była przedmiotem napiętych negocjacji między dwoma rządami. Bokassa nie zgadzał się, by Copleer opuścił kraj bez żadnej kary. Ze względu na to, że jego międzynarodowa reputacja doznała uszczerbku, żądał w ramach rekompensaty przynajmniej ucha lub ręki dziennikarza. Ambasadę otaczały czołgi, nie pozwalając, by ktoś do niej wszedł lub ją opuścił.

Prawie przez miesiąc Copleer ukrywał się w obleganym budynku. Znaczna pomoc finansowa przeznaczona na budowę szkoły - przełana bezpośrednio na jedno ze szwajcarskich kont Bokassy - zdołała zmazać plamę na honorze dyktatora. Przymknął oczy na kilka godzin, w czasie których rząd francuski przetransportował swojego obywatela do Paryża.

Copleer był twardy. Potrafił wyjść cało z najgorszych tarapatów, nawet gdy tkwił w nich po uszy. Sara uczepiła się tej myśli, by opanować lekki niepokój, który ją ogarnął.

Czekając, aż w końcu zdecyduje się do niej zadzwonić, nie mogła jednak stać z założonymi rękami. Była pewna, że rozwiązanie znajdowało się w zasięgu ręki. Otworzyła szufladę i wyciągnęła z niej akta sprawy Natalii Velit. Przejrzała listę osób obecnych na piętrze dla VIP-ów w Inferno w wieczór morderstwa i przeczytała uważnie

dwie lub trzy strony notatek, które przygotowała na temat każdej z nich. Jak zawsze w podobnych sprawach, pierwsza godzina nie przyniosła nic interesującego, później wszystko nagle się wyjaśniło.

By zaoszczędzić czasu, Sara poprosiła jednego z kolegów, żeby połączył się z centralnym rejestrem urzędu skarbowego i wydrukował dla niej zeznania podatkowe niektórych świadków, wybranych ze względu na ich szczególne powiązania z Natalią Velit. Widząc stos dokumentów, postanowiła zabrać się za nie na zasadzie kręgów koncentrycznych. Zaczęła od Aleksa Cantora i Thomasa Kempa.

O ile dochody właściciela galerii nie zaszokowały ją specjalnie, o tyle astronomiczne sumy zadeklarowane fiskusowi przez agenta wprawiły ją w prawdziwe zakłopotanie. Utrata źródła dochodu spowodowana śmiercią swojej protegowanej była najbardziej przekonującym argumentem za jego niewinnością.

Sara przejrzała jedno po drugim akta osób bliskich Natalii. Jej twarz rozpromieniła się, gdy w ostatnich aktach pojawiła się pełna nazwa Banco Romano.

Nagle wszystko stało się jasne. Zrozumiała, dlaczego Natalia otworzyła drzwi mordercy. Brakowało jej jeszcze motywu zbrodni, ale miała już winnego - to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Zaczęła nabierać pewności, że zapłaci on za swój czyn.

Będzie go nękać, dopóki nie przyzna się do winy i dopóki ława przysięgłych nie skaże go na dożywocie z możliwością warunkowego zwolnienia po trzydziestu latach. Z przyjemnością zasugerowałyby sędziemu odpowiedzialnemu za wykonanie kary, aby umieścił go w jednym z zakładów karnych o najmniej komfortowych warunkach.

Nie było mowy, by odsiadywał swoją karę w części przeznaczonej dla VIP-ów więzienia de la Santé. Zasługiwał na obskurną celę o powierzchni dwóch metrów kwadratowych, ze zgniłą pryczą i cuchnącym kibelem, oraz na solidne lanie od współwięźniów.

Sara wyciągnęła się na krześle, uśmiechając się szeroko. Całe zmęczenie nagromadzone przez ostatnie dni natychmiast ją opuściło.



Samolot osiadł ciężko na płycie lotniska Fiumicino. Mimo gwałtownego lądowania, wśród grupy podchmielonych emerytów siedzących w ostatnich rzędach, rozległo się parę oklasków wyrażających ulgę.

Odkąd przeczytałem w jednym z magazynów, że w razie katastrofy lotniczej szanse na przeżycie wzrastają o trzy procent z każdym rzędem, idąc ku przodowi maszyny, zawsze nalegałem, by siedzieć jak najbliżej kabiny pilotów, nawet jeśli miałem podróżować pierwszą klasą. Cierpiał na tym budżet galerii, ale czułem się spokojniejszy.

Lola wyśmiewała się z mojej fobii. Według niej, jeśli samolot wpadnie do Atlantyku lub rozbije się o jakiś alpejski szczyt, moje szanse na przeżycie będą bliskie zeru, niezależnie od zajmowanego miejsca w kabinie. Oczywiście, jak zwykle miała rację.

Kiedy samolot zatrzymał się przy terminalu przylotów, złapałem torbę i rzuciłem się w stronę wyjścia, zanim grupa emerytów zdążyła się podnieść. „Do widzenia, dziękujemy, że wybrał pan naszą linię” - wyszeptała do mnie stewardesa rozkosznie ochryplym głosem.

Odwzajemniłem się jej serdecznym uśmiechem. W zamian puściła do mnie oko - gest przećwiczony w czasie setki lotów i tylu samych nieudanych próbach podrywania pasażerów. Ten dowód czułości, choć nieszczerzy, ujął mnie za serce po tylu przykrych wiadomościach z poprzednich dni.

Powrót do Rzymu nie wywarł na mnie szczególnego wrażenia. Kiedy opuszczałem to miasto, byłem zbyt młody, żeby odczuwać jakąkolwiek nostalgię czy chęć, by znów się w nim znaleźć. Było tylko jedno miejsce, w które chciałem się udać.

Minęło trochę czasu, zanim kierowca taksówki zrozumiał adres, który mu podałem. Przyczyną był mój słaby włoski, którym nie

posługiwałem się od czasu liceum. Kiedy wreszcie przestawił słowa na odpowiednie miejsce, pokręcił głową z teatralną miną i wytrzeszczył szeroko oczy.

- Ale tam nie ma nic ciekawego - powiedział po długiej chwili. Ta dzielnica jest praktycznie opustoszała od ponad dziesięciu lat. I do tego znajduje się na drugim końcu miasta! Drogo to będzie pana kosztować. Ma pan chyba za dużo pieniędzy. Coś podobnego...

Kiedy tak gadał, jego głowa kołysała się, jakby była poruszana niezależną siłą. Obok niego, na siedzeniu pasażera, leżał magazyn, którego okładka była poświęcona pogrzebowi Natalii.

Gdyby kierowca taksówki wiedział, że wiezie głównego podejrzanego o zabójstwo, być może zachowałby całkowite milczenie.

On tymczasem nie przestawał utyskiwać:

- Ach, ci obcokrajowcy! Nie jest pan przypadkiem Niemcem? Bo wie pan, nie przepadamy za nimi. Wchodzą w szortach do kościołów i wszędzie pozostawiają za sobą śmieci. Można by sądzić, że śmiecenie jest ich drugim sportem narodowym po konkursach picia piwa. Dewastowanie Rzymu jest ich starym zwyczajem. Nie będę nawet panu mówił, w jakim stanie było miasto po ich przejściu w 1527 roku. Żołdacy cesarza zgwałcili tyle dziewcząt, że byłoby czym zapłacić z sześć klasztorów. Mówię panu, co za barbarzyńcy... I do tego skąpi. Japończycy są być może nieokrzesani, ale zostawiają spore napiwki.

Udałem, że nie wyczułem aluzji i zwróciłem jego uwagę na fakt, iż mój samolot przyleciał z Paryża. Jego postawa radykalnie się zmieniła.

- Lubię pana - wyznał - choć potwornie kaleczy pan język włoski. Jeśli pan chce, za tę samą cenę proponuję wycieczkę po starożytnym Rzymie z komentarzem historycznym do najważniejszych zabytków. Będzie pan mógł opowiedzieć swojej dziewczynie, jak tu pięknie. Niech jej pan opowie na przykład o Kapitolu i tych pieprzonych gęsiach, które wszystkie razem wzięte, nie zdołają przekrzywić mojej teściowej. Kobiety lubią, jak się im opowiada jakies historie. A jak wygląda pana dziewczyna? Nie, niech pan zaczeka... Wygląda mi pan na faceta, który lubi blondynki, prawda?

Ten kretyn zaczynał naprawdę działać mi na nerwy. Bez ostrzeżenia chwyciłem za leżący koło niego magazyn i otworzyłem go na stronie poświęconej ostatniemu pożegnaniu Natalii.

Reportaż ilustrowało moje zdjęcie, na którym stałem nieruchomo nad jej otwartym grobem. Podpis pod zdjęciem podkreślał moje niezrównoważenie psychiczne, graniczące z szaleństwem. Przyzwyczaiłem się już, że połowa europejskich gazet uważała mnie za psychopatę i, choć raz, niemal się z tego cieszyłem.

Podniosłem magazyn na wysokość mojej twarzy i pokazałem palcem na zdjęcie. Kierowca przypatrzył się mu przez chwilę, później spojrzał na mnie. Zbladł i zaczął się trząść, jakby zobaczył przynajmniej Freddy'ego Kruegera.

Przez chwilę myślałem, że się posika. Jednak przez wzgląd na skórzane siedzenie swojej toyoty, wykazał się godnym pochwały opanowaniem.

Posłałem mu pełen perwersji uśmiech, a następnie odwróciłem ostentacyjnie głowę i zabrałem się za podziwianie krajobrazu - parkingu przy lotnisku. Nie wiedząc, co robić, kierowca wymamrotał pod nosem kilka niezrozumiałych słów, wzruszył ramionami i ruszył wreszcie w kierunku miejsca, które mu wskazałem.

Niecałą godzinę później zatrzymał pojazd na wysepce pośrodku szerokiego bulwaru. Pobiegł do bagażnika, wyjął z niego moją walizkę i rzucił ją na ziemię. Zaczekał, aż wysiądę, nie zażądał zapłaty za kurs, tylko wsiadł do samochodu i szybko odjechał, zostawiając mnie samego pośrodku pustkowia.

Miał rację: w tej części miasta nie było nic interesującego. Były to tylko smutne peryferie opuszczone przez mieszkańców. Patrząc na takie miejsce, trudno było nie popaść w depresję.

Budynki mieszkalne wzniesione w czysto faszystowskim stylu lat trzydziestych, masywnym i pretensjonalnym, zionęły pustką i biedą. Aby można było tu żyć, należało najpierw oczyścić teren i usunąć stosy śmieci z chodników.

Zatroszczono się jedynie o małą powierzchnię wielkości kortu tenisowego. Służby drogowe, które uznały najwyraźniej, że wystarczy zamknąć ranę, aby zniknął ból, zasypały z wielką starannością krater, który wyrwała w drodze bomba mojej matki.

Poczułem pewien zawód, nie zauważając żadnego widocznego śladu po zamachu. Oczekiwałem, że ta tragedia zostanie zmaterializowana pamiątkową tablicą czy bukietem zwiędłych kwiatów.

Nic z tych rzeczy. Jedynie ledwie dostrzegalna różnica w kolorze asfaltu, w miejscu, gdzie dynamit połączył się z szaleństwem mojej matki, by zniszczyć dwadzieścia istnień ludzkich i pograć w smutku na resztę życia ich najbliższych.

Sądziłem naiwnie, że znajdę tu jakiś cień wyjaśnienia. Stojąc na tym bulwarze otwartym na niebyt, na wprost zrujnowanych budynków, zrozumiałem, że poszukiwanie sensu tamtych wydarzeń było skazane na niepowodzenie.

Ofiary zamachu mieszkały z pewnością w tych szarych wieżach, o których wszyscy teraz zapomnieli. Urzędnicy, sprzątaczkę czy stróżę parkingowi, wszyscy wracali do domów po ciężkim dniu pracy. Stłoczeni jeden przy drugim w autobusie wypełnionym po brzegi, myśleli tylko o paru godzinach odpoczynku, nim znów wrócą do biur w centrum miasta.

W niczym nie ucieleśniali tego niesprawiedliwego i uciążliwego państwa, z którym walczyli moi rodzice w Lotta Rossa. Wręcz przeciwnie, gdyby przyszło sporządzić listę osób, które każdego dnia padały jego ofiarą, bez wątpienia znaleźliby się na jej czele.

Moja matka zabiła tych, których chciała bronić. W jaki sposób wyjaśnić ten absurd?

Nagle zacząłem żałować, że tu przyjechałem. Upływające lata zamieniły to miejsce w sztuczną dekorację. Pamięć tej posępnej dzielnicy przeminęła wraz z ostatnimi nadziejami ich mieszkańców.

Nie było czego tu szukać. To miejsce nie mogło pomóc mi zrozumieć czynu mojej matki. Wiatr zapomnienia zmiótł wszystko, co napotkał na swej drodze.

Vicolo del Martirio jest ślepą uliczką, znajdującą się o dwa kroki od Panteonu. Turyści przechodzą obok niej, nie zwracając na nią uwagi, oszołomieni ciężką, okrągłą konstrukcją tej starej pogańskiej świątyni. Również niewielu Rzymian zapuszcza się w tę tonącą niemal cały czas w mroku uliczkę.

Nie mają racji, bo to właśnie na Vicolo del Martirio Francesco - *don* Francesco - jak mawiają z szacunkiem stali bywalcy, przygotowuje najlepsze na świecie *abbacchio*. Ale o tym nie wiedziałem, gdy przekraczałem próg restauracji. Dowiedziałem się tego później, kiedy go spróbowałem.

To właśnie w tym miejscu, z dala od świata i jego zgiełku, siedział przy stole Sergio Tenenti. Degustował spaghetti przyprawione oliwą i posypane cienką warstwą białych trufli, popijając je kieliszkiem montepulciano.

Rozpoznałem go natychmiast, bez potrzeby spoglądania na zdjęcie, które dał mi ojciec. Poczulem ulgę, że wreszcie go znalazłem i ruszyłem w jego stronę.

Zanim tu przyszedłem, udałem się najpierw pod adres, który znalazłem w starym notesie ojca, ale nie zastałem nikogo w mieszkaniu.

Dobijając się długo do drzwi, rozgniewałem dozorcę, pograżonego w codziennej kontemplacji prezenterki telewizyjnej o botticellovskim profilu.

- Uspokój się no, chłopcze - krzyknął przez otwarte okno. - Jeśli szukasz Tenentiego, to jest pewnie jak zwykle u *don* Francesco. I powiedz mu, że jest dla niego jakaś paczka. Niech przyjdzie po nią zaraz po obiedzie. Nie lubię jak jego kartony tarasują mi stróżówkę.

Kiedy przyznałem mu się do swojej nieznajomości lokalnych

partykularyzmów gastronomicznych, spojrział na mnie z politowaniem. Uśmiechnął się ze współczuciem, jakbym cierpiał na nadmiar 21 chromosomu i wskazał mi w końcu drogę do restauracji.

- Tylko nie zapomnij mu powiedzieć o paczce! - przypomniał, kiedy oddalałem się stamtąd wielkimi krokami.

Sergio Tenenti niewiele zmienił się od czasów Lotta Rossa. Przybyło mu tylko parę kilo. Jego twarz poprzecinana głębokimi jak blizny zmarszczkami zachowała jednak dawną szczupłość. Póldługie włosy były zaczesane na bok w elegancką falę przyprószoną siwizną.

Renesansowy *condottiere* zabląkany w innym wieku - tak pomyślałem o Sergio Tenentim, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy. Jego zachowanie w ciągu kolejnych dni potwierdziło moje odczucia.

Usiadłem na wprost niego, nie pytając o pozwolenie.

- Pan Sergio Tenenti?

Skinął jedynie głową.

- Nazywam się Aleks Cantor. Pamięta mnie pan? Byłem jeszcze dzieckiem, kiedy wyjechałem stąd z ojcem.

Z jego twarzy nie można było wyczytać żadnych emocji.

- Syn Luigiego Cantora i Franceski Pozzi - dodałem.

- Znałem kiedyś tych ludzi, ale odsunąłem daleko od siebie wspomnienie o nich. Nie chcę wiedzieć nic na ich temat. Byłbym wdzięczny, gdyby pozwolił mi pan dokończyć obiad i raczył stąd wyjść.

Mówiąc te słowa, chwycił za kieliszek i wziął do ust łyk wina. Sądziłem, że po dwudziestu pięciu latach ciszy nazwisko ojca wzbudzi jego zainteresowanie czy ciekawość. Nic z tego. Tenenti z obojętną miną odstawił kieliszek i dalej jadł swój makaron.

Jego reakcja zupełnie mnie zaskoczyła. Siedząc w samolocie do Rzymu, wyobrażałem sobie możliwe scenariusze naszego spotkania, od sympatii po otwartą wrogość. Przygotowałem różną argumentację w zależności od jego odpowiedzi. Ani przez moment nie pomyślałem, że okaże taką obojętność.

Byłem rozgoryczony. Już miałem wstać i udać się prosto na lotnisko, zostałem jednak na swoim miejscu, starając się nie pokazywać po sobie wzburzenia.

- Proszę posłuchać - odezwał się ponownie - wiem, że był pan niegdyś blisko związany z moimi rodzicami. Wiem również, że to, co zrobiła moja matka, bardzo pana poruszyło i...

Przerwał mi stanowczym gestem. Spod maski obojętności zaczął wyłaniać się tłumiony gniew.

- Są takie wydarzenia, których nie można wymazać z pamięci przez całe życie. Już prawie udało mi się o tym zapomnieć, zanim pan tu wtargnął. Nie chcę rozdrapywać starych ran. Nie mam odwagi, by znów się w to zagłębiać. Proszę, niech pan stąd odejdzie. A ja posłucham rad drogiego Pirandello: zachowam się tak, jakby wyłonił się pan z magicznych oparów wydobywających się z kuchni. Zamroczę swój umysł paroma kieliszkami tego wspaniałego montepulciano i szybko o panu zapomnę. Proszę mi wierzyć, tak będzie najlepiej.

Jego głos złagodniał pod koniec, ale nie gniew, który rysował się na jego twarzy. Dostrzegłem w jego oku błysk zdziwienia, gdy zauważył, że nie posłuchałem jego nakazu.

Nie wiedział jednak o najważniejszym: o tym, że nie miałem nic do stracenia. Był moją ostatnią nadzieją na odnalezienie mordercy Natalii i uratowanie ojca, nawet na ten krótki czas, który mu pozostał.

- Przyszedłem opowiedzieć panu moją historię - nalegałem.- Proszę jej wysłuchać i później zastanowi się pan, co powinien zrobić.

Postawiłem na ostatnią kartę. Jeśli nie będzie chciał mnie wysłuchać, mogłem już tylko wsiąść w samolot w powrotną stronę, z nadzieją, że spotkam ponownie tę stewardesę o słodkim głosie, która ukoi moje rozczarowanie.

Tenenti długo się zastanawiał, zanim wyraził zgodę. Nadszedł czas, by dobrze wykorzystać daną mi szansę. Rozpocząłem więc niekończący się monolog.

Opowiedziałem mu o miłości do Natalii, o naszym równie bolesnym co niezrozumiałym rozstaniu, w końcu o jej śmierci, która pogrążyła mnie w stan zdumienia bliski katalepsji. Pokazałem mu zdjęcie z magazynu, na którym pozowała przed obrazem odziedziczonym po matce i wytłumaczyłem, że Natalia zginęła prawdopodobnie z powodu tego płótna, ponieważ zabójca je rozpoznał i chciał się od niej dowiedzieć, gdzie się znajdowało.

Tenenti siedział nadal niewzruszony. Opisałem mu więc swoje cierpienie wynikające z faktu, że nie byłem zdolny okazać najmniejszego uczucia oraz chłodną rezerwę, jaką zachowywałem w stosunku

do powtarzających się w moim życiu tragedii. Powiedziałem również o chorobie ojca, jego ekstradycji i moich bezowocnych wysiłkach, by wyrwać go ze szponów przeszłości.

Na końcu wyznałem mu, że nadal czułem się jak przerażony dzieciak, któremu oznajmiono, że jego matka jest najgorszą zdzirą i że ta kłątwa będzie ciążyć na nim do końca jego dni.

Upłynęło dwadzieścia minut, a Tenenti wciąż nie odezwał się ani słowem. Dał znak *don* Francesco, żeby przyniósł mi kieliszek wina, opróżniając swój jednym haustem.

- Wypijmy za rany, które nigdy się nie zablżnią - powiedział, napełniając kieliszki winem. - Wszyscy psychiatrzy i wszystkie butelki wina nie zapełnią nigdy pustki, z powodu której obaj cierpimy. Przez te ćwierć wieku tylko uciekałem. Wzbraniałem się, żeby popatrzyć wstecz, wiedząc dobrze o złudności takiej postawy. Teraz dopiero widzę, jak mnie to wyczerpało. Masz rację: nadszedł czas, bym też rozpoczął swoją terapię.

Teraz on mówił. Słowa, które wydobyły się z jego ust, były w nich uwięzione od chwili wybuchu bomby. Nigdy nie powiedział nikomu tego, co wyznał mi znad talerza zimnego spaghetti i kieliszka montepulciano.

Opisał mi swoje pierwsze reakcje - niedowierzania, a później wstydu na widok rozszarpanych ciał i zapłakanych rodzin ofiar. Opowiedział mi, jak przywiązanie do mojej matki zamieniło się w nienawiść do tego potwora, którego częściowo sam stworzył. Jak bardzo czuł się odpowiedzialny za ten dramat, tak samo jak mój ojciec i wszyscy, którzy niczego w porę nie dostrzegli.

Opowiedział mi z zamkniętymi oczami o więzieniu, przesłuchaniach, o przytłaczającym wrażeniu, że złapał się w pułapkę własnej naiwności. Opisał mi swoje zażenowanie wobec uporu policjantów, by przerzucić całą winę na ojca, swoją ulgę, kiedy uwolniono go bez postawienia mu zarzutów, wreszcie pełne krzyków i koszmarów noce.

Aby przepędzić swoje lęki, opuścił Włochy i przemierzał świat jako fotograf wojenny, od jednego konfliktu do drugiego, mając cichą nadzieję, że dosięgnie go zabłąkana kula czy odłamek pocisku.

Jego zdjęcia, opublikowane na łamach najbardziej prestiżowych magazynów, zdobyły wiele nagród na całym świecie. Gdziekolwiek



się znalazł, potrafił uchwycić okrucieństwo walk oraz okaleczone ciała z realizmem zapierającym dech w piersiach. Każde z jego zdjęć było przerażającą ilustracją najgorszych rzeczy, do których zdolny jest człowiek.

Angola, Liban, Sudan, Afganistan, a ostatnio Ruanda, Kosowo, Czeczenia i Irak, odcinek pierwszy i drugi... Tenenti podązał bez wytchnienia za śmiercią tam, gdzie siała największe żniwo. Ku jego nieszczęściu, nigdy nie stanął z nią twarzą w twarz.

Mimo szaleńczego narażania życia, pociski unikały go, jakby otaczała go ochronna aura. Nigdy nie został ranny, ani nie poczuł ostrego pieczenia stali rozdzierającej jego ciało. W środowisku foto-reporterów Tenenti był żywą legendą. Choć, jak wynikało z jego słów, wolałby być martwą.

Kiedy skończył swoją opowieść, opuścił wzrok i spojrzał na wyraźne odbicie swojej twarzy w kieliszku wina.

- No, to teraz już wiesz wszystko - powiedział w końcu.- Długo nad tym myślałem i doszedłem do jedyne go słusznego wniosku: nikt nigdy nie pojmie, co skłoniło twoją matkę do dokonania tego zamachu. To zupełnie do niej nie pasowało...

W tej samej chwili przyszła mi do głowy pewna myśl. Ukazała mi się nagle w całej swej oczywistości.

- A jeśli rzeczywiście nie jest odpowiedzialna za zamach? Jeśli to nie ona podłożyła tę bombę? Jeśli było to tylko kłamstwo, które miało ją skompromitować? Zlikwidowali ją i skorzystali z tego, żeby skompromitować mojego ojca i zmusić go do rozwiązania Lotta Rossa.

- Też o tym myślałem. Nie widziałem ciała twojej matki, ale miałem dostęp do akt policji. Lekarz sądowy potwierdził ustalenia osób prowadzących śledztwo: nie było najmniejszej wątpliwości co do tego, że miała przy sobie bombę. W trakcie procesu wszyscy eksperci potwierdzili zgodnie tę hipotezę.

Podniosłem do ust kieliszek montepulciano. Wino spłynęło do gardła, zostawiając na podniebieniu jedwabisty ślad. Rozumowanie Tenentiego nie stało w sprzeczności z moim przekonaniem, wręcz przeciwnie.

Bowiem ja dysponowałem dodatkową informacją: Mario Monti, jego kolega z Lotta Rossa, przeżył fikcyjny wypadek drogowy i po dwudziestu pięciu latach życia w ukryciu ujawnił się jako zabójca.

Trzymałem ją do tej pory w rezerwie, na wypadek gdyby moje opowiadanie nie wywarło na fotografii oczekiwanego wrażenia. Teraz nadszedł czas, by ją ujawnić.

Opisałem mu więc zajście w galerii, nie pomijając żadnego szczegółu. Tenenti otworzył usta ze zdumienia.

- Mario żył przez te wszystkie lata? To niemożliwe! Co robił? Gdzie mieszkał?

Wzruszyłem ramionami.

- Wątpię, czy się tego kiedykolwiek dowiemy. Ale jest wiele spokojnych kryjówek w Ameryce Łacińskiej czy w Afryce.

- Pod warunkiem, że można opuścić kraj. A to nie takie proste. Trzeba mieć paszport, wizę, nie mówiąc już o pieniądzach. Tak samo przedstawia się sprawa z powrotem. A poza tym, w czasie śledztwa policja oczyściła go z zarzutów. Nie miał żadnego powodu, by zniknąć.

- Żadnego *pozornego* powodu. Już sam fakt, że niedługo po śmierci mojej matki Monti upozorował swoją śmierć, świadczy o tym, że miał w niej jakiś udział.

- Ale widziałem wrak samochodu! Byłem w kostnicy, żeby zidentyfikować jego zwłoki!

- Naprawdę go pan rozpoznał? Miał pan czas, by mu się dobrze przyjrzeć?

Tenenti pokręcił głową.

- Zgoda, odbyło się to dość szybko. Zresztą nie było czego oglądać. Nic nie zostało z jego twarzy. Ale kolor włosów i budowa ciała pasowały. Poza tym, lekarz, który wykonał sekcję, zapewnił mnie, że jego uzębienie zgadzało się z kartami badań stomatologicznych. Nie miałem żadnego powodu, aby mu nie wierzyć.

- Lekarz skłamał, żeby przekonać pana o jego śmierci. Kazano mu sfalszować wnioski, żeby Monti mógł przybrać nową tożsamość.

- Ale kto miałby w tym interes? Pamiętam bardzo dobrze ostatnie miesiące Lotta Rossa poprzedzające zamach. Monti nie pojawiał się już prawie na zebraniach. Czuł, że jest ciągle kontrolowany. Był przerażony na myśl, że tajne służby będą prowadzić śledztwo w jego sprawie. Powtarzał ciągle, że nie może sobie pozwolić na to, by go zatrzymano i by stracił pracę.

Trzeba dodać, że miał problemy finansowe. Z tego, co wtedy zrozumiałem, był winny sporą sumę pieniędzy bukmacherom. Żeby spłacić swoje długi, brał godziny nadliczbowe, a w weekendy pracował w barach. Miał już dość tej presji. Był bliski załamania nerwowego.

- Jego praca mu nie wystarczała?
- Najwidoczniej nie.
- Czym się zajmował?
- Był archiwistą w Muzeum Watykańskim. Jego główne zajęcie polegało na spisywaniu dzieł zgromadzonych w magazynach. Nic pasjonującego.

- Ani popłatnego, zwłaszcza kiedy gra się o duże stawki... Tylko dlaczego bał się, że zainteresuje się nim policja? Z powodu Lotta Rossa?

- Wątpię. Tajne służby miały w tamtym czasie co innego do roboty. Byliśmy nieszkodliwi w porównaniu z bardziej radykalnymi organizacjami. Niezależnie od sytuacji, przemoc nie była dla nas rozwiązaniem. Zabicie kogoś czy podłożenie bomby nie należało do metod naszego działania. Byliśmy przede wszystkim intelektualistami. Poznaliśmy się na uniwerku, przez twojego ojca. Przekonał nas, że zmiana dokona się poprzez stworzenie spójnej doktryny ideologicznej. Chcieliśmy naszkicować kontury bardziej sprawiedliwego społeczeństwa, ale w żadnym wypadku je narzucić. Pod tym względem Lotta Rossa wydawała się być może mniej niebezpieczna niż inne ugrupowania. Jednak patrząc z dłuższej perspektywy czasu, sądzę, że mieliśmy rację. Gdyby dano nam pięć lat więcej, moglibyśmy zaproponować skuteczny projekt, który mógłby naprawdę coś zmienić. Ale wątpię, by tajne służby były tak dalekowzroczne. Nie byliśmy ich priorytetem.

- Więc dlaczego Monti tak bardzo się ich bał?
- Zanim przyłączył się do Lotta Rossa, należał do bardziej radykalnych jednostek. Być może tu trzeba szukać przyczyny.
- Jakich jednostek?
- Takich, które atakowały burżujów bez większych wyrzutów sumienia lub dokonywały rabunków, by finansować swoje działania. Monti nie był nigdy zbyt rozmowny na temat swojej politycznej

działalności. Być może zapomniał wspomnieć nam o paru niewygodnych szczegółach. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. A tajne służby nie były zbyt pobłażliwe w tamtym czasie. Gdyby miały za co posadzić go w więzieniu, zrobiłyby to bez wahania. Nie uciekłyby im tak łatwo.

- Chyba że Monti dobił z nimi targu: upozorowanie śmierci i nowe życie w zamian za drobną przysługę.

- Jak na przykład dostarczenie bomby Francesce.

- Dokładnie. Wie pan, czy widzieli się w dniu zamachu?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale twoja matka zapisywała wszystko w notesie. Zawsze obawiała się, że zapomni o jakimś spotkaniu lub się gdzieś spóźni.

- Gdzie jest ten notes?

- Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie miała go przy sobie w chwili zamachu.

- W takim razie, jeśli nie został zniszczony przez wybuch, powinien znajdować się gdzieś w archiwach policji wraz z innymi dowodami rzeczowymi. Zna pan jakiś sposób, by go stamtąd wydstać?

- Mój przyjaciel jest komisarzem. Poproszę go, żeby nam pomógł, ale nie wiem, czy ma dostęp do takich dokumentów.

- Sądzi pan, że mógłby coś zrobić w sprawie mojego ojca?

- Ministerstwo Sprawiedliwości przeprowadziło sprawnie całą akcję. Wszystko odbyło się w największej tajemnicy. Nie przedostała się żadna informacja. Żaden dziennikarz nie poinformował o jego ekstradycji. Nic nie wiedziałem przed twoim przybyciem. Moim zdaniem zaraz po wylądowaniu w Rzymie został umieszczony w odosobnionym areszcie. Trudno będzie go odszukać, nawet komuś z policji. Trzeba uzbroić się w cierpliwość.

- A obraz? Co pan proponuje? Ojciec polecił mi, bym go panu pokazał. Myślę, że jest przyczyną całej tragedii.

- Masz go ze sobą?

- Jest tam - powiedziałem, wskazując na swoją torbę podróżną. Wyjąłem go tylko z ramy i zwinąłem, żeby go przewieźć.

Tenenti pomyślał chwilę, zanim przedstawił swoją propozycję.

- Znam pewnego antykwariusza, który zajmuje się takimi rzeczami. Niezbyt uczciwy, ale kompetentny. Specjalizuje się w rozbieraniu na części mebli różnych stylów i przerabianiu ich na prawdziwe

okazy muzealne. Powie ci, czy obraz jest fałszywy lub czy pochodzi z kradzieży. Można zostawić mu obraz na kilka dni i zobaczyć, czego się dowie. Nawet nie starałem ukryć swojego sceptycyzmu.

- Nie mam specjalnie ochoty się z nim rozstawać, choćby na dzień czy dwa... Jest pan pewien, że wie, co robi?

Tenenti oburzył się.

- Długo jeszcze będziesz zwracał się do mnie per pan? To że jestem w wieku twojego ojca wcale nie znaczy, że masz uważać mnie za zgrzybiałego starca.

Poczułem, jak rumienię się po sam czubek głowy.

- Jesteś pewien, co robisz? - poprawiłem się.

- Widzisz lepsze wyjście?

Pytanie Tenentiego ucięło dalszą dyskusję. W ciągu ułamka sekundy musiałem zdecydować, czy mam zaufać człowiekowi, którego znałem od niecałej godziny.

Niezdecydowanym gestem rozsunąłem torbę i wyjąłem z niej długą kartonową tubę. Podałem mu ją, próbując przekonać samego siebie, że nie popełniałem właśnie błędu, którego nie będę mógł naprawić.

Zabójca znał Natalię. Znał ją nawet bardzo dobrze, ponieważ czytał wszystkie umowy, które Kemp za nią podpisywał.

Nic więc dziwnego, że bawili się razem w wieczór zabójstwa. Po wyjściu z Inferno odwiózł ją do domu. Natalia otworzyła drzwi, a on to wykorzystał, żeby wejść do środka, zgwałcić ją i zabić.

Natalia ufała mu. Zresztą, dlaczego miałyby mu nie ufać? Louis Fargue był adwokatem Thomasa Kempa i, jak wynikało z akt, którymi dysponowała Sara, od dziesięciu lat posiadał konto w Banco Romano.

Urząd skarbowy wiedział o tym od dawna, ale nie wszczął jeszcze postępowania w sprawie ewentualnego uchylania się od płacenia podatków na wielką skalę. Mimo to, urzędnicy skarbowi byli zdeterminowani, by przyskrzynić adwokata, który wyspecjalizował się w obronie skorumpowanych polityków, dyrektorów przedsiębiorstw prowadzących podwójną księgowość i podobnych oszustów.

Do tego niezbędna była jednak zgoda władz państwowych wyższego szczebla. Tylko że z niewyjaśnionych przyczyn, wszyscy politycy, którzy zajmowali kolejno stanowisko ministra gospodarki i finansów, sprzeciwiali się, by ścigać go za przestępstwo podatkowe.

Copler prowadził dziennikarskie śledztwo w sprawie adwokata już dawno temu, gdy pracował jeszcze dla poważnego dziennika popołudniowego. Bardzo szybko zmuszono go, by zakończył swoje dochodzenie.

Jednak tylko nieliczni nie chcieli widzieć Fargue'a za kratkami. Byle tylko trafił tam w odpowiedniej chwili i nikogo za sobą nie pociągnął, co - sądząc po długiej liście jego klientów - wydawało się niemożliwe. Ktoś taki jak on nie pozostaje na usługach ważnych

osób przez trzydzieści lat, nie zabezpieczając się przed ewentualną zmianą koniunktury.

Fargue korzystał ze skutecznej ochrony i wcale się z tym nie krył. Przyjął u siebie Coplera, by mu powiedzieć żartobliwym tonem, że zbyt dużo wiedział o zbyt wielu osobach, żeby miał się bać takiego dziennikarzyny jak on.

Copler, wezwany następnego dnia przez dyrektora dziennika, który miał jeszcze w pamięci rozmowę telefoniczną z pewnym posłem będącym w łaskach u premiera, nigdy nie napisał swojego artykułu. Jeszcze tego samego dnia zrezygnował z pracy dla znanej popołudniówki.

Mocną stroną Louisa Fargue'a był jego wygląd. Był tęgi, chętnie pokazywał się z hawańskim cygarem i w dwurzędowych marynarkach, zgrywając przy każdej okazji pocziwego człowieka zarówno przed sędziami, jak i gąszczem kamer czekających na niego przed salą sądową.

Dzięki talentowi do manipulacji mediami, szybko odnalazł własną drogę. Kiedy rozpoczął karierę adwokata na początku lat osiemdziesiątych, wyspecjalizował się w z góry przegranych sprawach.

Nie był bynajmniej zagorzałym zwolennikiem prawa do obrony i walki z pomyłkami sądowymi. Zupełnie nie interesowało go bronienie kieszonkowców czy nędznych oszustów przyłapanych na gorącym uczynku. Jedynym kryterium przy wyborze spraw był rozgłos medialny, który mógł dzięki nim zyskać.

Filozofia zawodowa Louisa Fargue była szalenie prosta: nieważne, czy wygra proces, czy go przegra, byle tylko o tym mówiono.

Zresztą, jego współczynnik wygranych sądowych należał do najniższych we Francji. W każdej sprawie, lub prawie każdej, jego klienci byli skazywani na ciężkie kary pozbawienia biernego prawa wyborczego lub więzienia za płatną protekcję, pranie brudnych pieniędzy czy sprzeniewierzenie majątku spółki. Na niektórych ciążyły wszystkie te zarzuty jednocześnie, co bynajmniej go nie zrażało.

Jeśli nie mógł zapobiec skazaniu swoich klientów (do czego, jako prawnik, nie przykładał się zbytnio), Fargue wykorzystywał swoje umiejętności, by mówić o ich niewinności do mikrofonów

dziennikarzy. W zależności od sprawy zapewniał z przekonaniem i gorliwością o niesprawiedliwym wyroku sądu, o naiwności swoich klientów, a nawet o ich nieznanym zarzucanych im czynów.

Owa perfidia podobała się telewidzom, oczarowanym tym udanym połączeniem sprytu i cynizmu.

Jego klienci, skazani przez sąd, czuli się rozgrzeszeni przez jedyną, najważniejszą dla nich głos - głos opinii publicznej. Dzięki temu mogli liczyć na powrót do swojej działalności po odsiedzeniu kary.

To, że bronił takich klientów, nie czyniło z Fargue'a przestępcy. Ale wstrzyknięcie śmiertelnej dawki kokainy do żył młodej kobiety po tym, jak ją zgwałcił, na pewno zainteresuje wymiar sprawiedliwości. Nawet jego wysoko postawieni protektorzy będą mieli trudności, by wybaczyć go z kłopotów.

Sędzia, któremu przydzielono tę sprawę, podobnie jak wielu jego kolegów, nienawidził Fargue'a za to, że swoim błazeńskim zachowaniem kompromitował instytucję sądu. Po uważnym wysłuchaniu Sary, wystawił bez problemu nakaz aresztowania, o który prosiła.

Mając w rękę ów cenny dokument, Sara udała się najpierw do kancelarii adwokata. Jego osobista sekretarka poinformowała ją, że Fargue nie pojawił się tego dnia w pracy. Zadzwoił do niej rano, by ją uprzedzić, że jest zmęczony i że woli zostać u siebie, żeby studiować akta.

Nie było nic niepokojącego w tej nieobecności. Fargue biegał bez przerwy z jednego spotkania na drugie. Jego tempo życia przypominało bardziej tempo życia biznesmena niż prawnika. Współpracownicy, przyzwyczajeni do jego częstych nieobecności, nauczyli się radzić sobie bez niego.

Sara poprosiła sekretarkę, aby zadzwoniła do niego do domu.

- Nie odpowiada - oświadczyła po długiej chwili czekania.
- Proszę zadzwonić na jego komórkę - rozkazała Sara.

Sekretarka wykonała polecenie. Niemal natychmiast odłożyła słuchawkę i spróbowała ponownie bez większego rezultatu.

- Włącza się poczta głosowa. Widocznie nie chce, żeby mu przeszkadzano. Proszę przyjść jutro, powinien już poczuć się lepiej. Mogę nawet poprosić go, żeby się z panią skontaktował, jeśli zostawi mi pani swoją wizytówkę.



- To nie będzie konieczne. Wpadnę do niego. Być może wróci, zanim zdążę tam dojechać.

- Mecenas Fargue mieszka sam i często wyjeżdża na kilka dni, nie sprzedając o tym nikogo. Szkoda tracić czasu.

- Proszę się o to nie martwić. Może podać mi pani jego adres?

Sara zauważyła wahanie swojej rozmówczynie.

- O ile się nie mylę, wygląda na to, że chce pani, by postawiono jej zarzut utrudniania pracy wymiaru sprawiedliwości.

Zaskoczona, pokręciła głową. Napisała parę słów na kartce papieru.

- Nie mam w zwyczaju ujawniać prywatnych informacji dotyczących mojego szefa. Byłabym wdzięczna, gdyby nie mówiła mi pani, w jaki sposób zdobyła jego adres.

- Już zapomniałam, skąd go mam - zapewniła Sara. - Jeszcze jedno: nie zauważyła pani, że szef dziwnie się zachowywał w tym tygodniu? Był nerwowy, zestresowany, poruszony? Albo przeciwnie - apatyczny, zamknięty w sobie?

Sekretarka zaprzeczyła stanowczo.

- Nie przypominam sobie. Trzeba przyznać, że przez ostatnie dni nie widzieliśmy go często. Jeśli pani sobie życzy, mogę dowiedzieć się czegoś na temat prowadzonych przez niego spraw.

- Proszę się nie trudzić. Bardzo dziękuję za współpracę.

Sara włożyła do kieszeni kartkę z adresem i udała się szybko do samochodu. Miała złe przeczucia. Coś jej mówiło, że mimo świateł i syreny przybędzie za późno.

Louis Fargue mieszkał w prywatnej rezydencji, wciśniętej między dwa apartamentowce w centrum Neuilly. Sara zaparkowała samochód na chodniku, wbiegła po kilku stopniach prowadzących do drzwi wejściowych i nacisnęła na dzwonek. Tak jak się spodziewała, nikt nie odpowiadał.

Zapуściła się więc w alejkę biegnącą wzdłuż budynku i okrążyła dom. Znalazła się w ogrodzie oddzielonym od pobliskich zabudowań rzędem tui. Tył rezydencji był jeszcze bardziej okazały niż jej fasada.

Od tej strony można było dostać się do domu przez drzwi tonące w roślinach werandy. Potwierdziły się przypuszczenia Sary: ktoś był tu przed nią. Świadczyła o tym rozbita szyba w drzwiach.

Uważając, by nie nadepnąć na kawałki szkła, Sara wyjęła swój pistolet z przypiętej do paska kabury i odblokowała bezpiecznik. Przykucnęła przy zewnętrznym murze i przebiegła wzrokiem po werandzie.

Kiedy była pewna, że nikt nie miał właśnie ochoty jej sprzątnąć, weszła do domu. Z werandy przeszła do przestronnego salonu, wielkości jej mieszkania. Jego ściany były pomalowane na żywe i kontrastujące kolory, doskonale dobrane do plastikowych mebli rozstawionych po całym pomieszczeniu.

Z wycelowaną przed siebie bronią Sara przesuwała się bardzo powoli korytarzem, który znajdował się po drugiej stronie salonu, docierając w ten sposób do kuchni.

Natychmiast rozpoznała Louisa Fargue'a - najbardziej telegenicznego adwokata z całej paryskiej palestry. Sądząc po szkarłatnej dziurze, która zdobiła jego lewą skroń, nie będzie miał już niestety okazji, by popisywać się przed kamerami telewizyjnymi swoimi talentami obrońcy skorumpowanych polityków.

Fargue leżał na posadzce twarzą do sufitu. Trzymał jeszcze w ręku swoje ostatnie, wypalone do połowy cygaro, a spod szlafroka Kenzo wystawały spodenki w groszki. Widząc jego zaskoczoną minę, można było przypuszczać, że nie planował umrzeć w tym właśnie dniu.

Sara przykucnęła przy zwłokach i dotknęła wolną ręką letniego jeszcze nadgarstka adwokata. Zgon nastąpił niedawno. Na pewno niecałą godzinę temu.

Nie podobało jej się to. I Lopezowi też się nie spodoba.

Nie miała jednak czasu rozwodzić się nad gniewem swojego przełożonego. Jakiś trzask przerwał nagle ciszę panującą w rezydencji.

Sara wycelowała instynktownie broń w stronę drzwi. Jej refleks nie był już taki sam jak pięć lat wcześniej, ale była na tyle szybka, by wpakować kulę w czoło temu, kto chciałby wejść do kuchni.

Pozostała w tej pozycji przez kilka sekund, po czym podniosła się. Nowy, ledwie słyszalny szmer dochodził z pierwszego piętra. Sara ruszyła po schodach, gotowa otworzyć ogień przy najmniejszym podejrzanym ruchu w polu widzenia. Poczula, że cała drży.

Zatrzymała się przez chwilę na schodach, by się uspokoić. Kiedy znalazła się na piętrze, dotarła po hałasie do pomieszczenia, które wyglądało na gabinet adwokata. Stała w progu i wycelowała broń w głowę grzebiącej w szufladzie osoby.

- Policja! Nie ruszać się!

Mężczyzna nawet nie zadał sobie trudu, by się wyprostować.

- Chyba mnie nie zabijesz, Saro!

- Copley? Co ty tutaj robisz?

Dziennikarz zamknął szufladę i opadł na skórzany fotel stojący przed biurkiem. Jego twarz była zmęczona, jakby nie spał poprzedniej nocy.

- Odpowiem od razu na twoje kolejne pytanie: nie, to nie ja zabiłem tego drania. Był już sztywny, kiedy tu przybyłem. A tak w ogóle, to nie mogłem oprzeć się swojej ciekawości. Kiedy zorientowałem się, że Fargue był skompromitowany, spędziłem cały dzień chodząc w kółko po mieszkaniu i zastanawiając się, co robić. W końcu zdecydowałem się tu przyjść. Czyste kretyństwo... Z tego co widzę, szybko pojąłeś, o co chodziło z tym dowodem przelewu.

- Wątpiłeś w moje kompetencje zawodowe? - zapytała Sara, chowając broń do kabury.

- Ja tylko stwierdzam. Lopez potrzebowałby trzech dni, by powiązać to z adwokatem.

- Doszedłby do tego samego rezultatu co ja. Tylko zwłoki byłyby trochę mniej świeże.

Copler chwycił za rączkę znajdującą się z boku fotela i zaczął podnosić i opuszczać siedzenie.

- Jesteśmy w tarapatach, co? - zapytał, nie przerywając zabawy.

- Właśnie straciłam głównego podejrzanego i mam cztery trupy. Tylko cudem nie znajdę się w kronikach policji kryminalnej. Poza tym wszystko jest w jak najlepszym porządku...

- Wyobrażam sobie, że Lopez będzie darł mordę?

- Nie bez powodu. Moje śledztwo nie posuwa się ani o krok do przodu. Jak tylko wpadnę na jakiś trop, zaraz mi umyka.

Sara zamyśliła się przez moment. Skrzypienie podnoszącego się i opadającego fotela zaczynało poważnie ją denerwować.

- Możesz przestać bawić się tym cholernym fotelem!

Dziennikarz spełnił jej życzenie. W zamian przechylił się do tyłu, wyciągnął się cały na fotelu i położył nogi na skórzanej podkładce do pisania Fargue'a.

- A propos - odezwała się ponownie Sara - po mordercy nie ma już pewnie żadnego śladu?

- Żadnego. I tym lepiej. Jak mógłbym się z nim zmierzyć? Nie mam spluwy, a w zapasach też nie byłem nigdy zbyt dobry.

Sara nie zareagowała na żart. Instynkt gliny szybko wziął górę.

- Mam nadzieję, że niczego nie dotykałeś?

Dziennikarz pokazał jej swoją dłoń w lateksowej rękawiczce.

- Jeszcze jakieś idiotyczne pytanie?

- Copler, wytłumacz mi, co się dzieje.

- Zanim tu przyjechałem, założyłbym się o swoją alfę, że to Fargue jest mordercą. Teraz mam kilka wątpliwości. Myślę, że prawdziwy zabójca tylko się nim posłużył, aby wejść do mieszkania ofiary. Fargue doskonale nadawał się do tej roboty. Kto mógłby podejrzewać osobę publiczną tego pokroju? Dla mnie wygląda to tak: tego wieczoru nasz as palestry jest jakby przypadkiem na piętrze dla VIP-ów w Inferno w towarzystwie Natalii. Dodaje jej do

szampana GHB i po zamknięciu lokalu odwozi ją do domu. Nikt się niczego nie domyśla. Każe jej wsiąść do swojego jaguara, podnieca się, obmacując przez drogę jej uda. Gdy są w jej mieszkaniu, korzysta z nadarżającej się okazji. Nie co dzień ma się do własnej dyspozycji top modelkę, w dodatku zbyt odurzoną, by powiedzieć nie. Rozbiera ją, ona nie protestuje. Może nawet pod wpływem narkotyku sama mu w tym pomaga. Robi to z nią na łóżku bez kondoma. Zresztą jest półprzytomna, nazajutrz rano nie będzie niczego pamiętać. Kiedy Fargue dostał już swoją małą nagrodę, zostawia ją nagą na łóżku i idzie otworzyć drzwi temu, który go szantażuje. Facet powiedział mu pewnie, że chce ukraść z mieszkania trochę kasy i biżuterii. Fargue nawet przez moment nie pomyślał, że ją sprzątnie. Kiedy nazajutrz dowiaduje się o tym z telewizji, trochę pyskuje, zwłaszcza kiedy zdaje sobie sprawę, że zostawił na wyrku swoją spermę.

- Jeśli tak naprawdę było, to otwierając mordercy drzwi do mieszkania, podpisał na siebie wyrok śmierci. Czy według ciebie, dowód przelewu miał posłużyć temu, byśmy zrozumieli w jaki sposób zmuszono Fargue'a do współpracy?

- Wiesz, jaki jest ulubiony sport takich gości jak Fargue? Zwolnienie od podatku. Przekazują sobie najlepsze sposoby w czasie wystawnych kolacji w światowym towarzystwie, między kieliszkiem szampana a łyżeczką kawioru. Fargue nie miał najmniejszej ochoty, aby zwracać sobie głowę przewożeniem walizek z gotówką do Luksemburga. Od razu złapaliby go na granicy... Prościej było zdeponować pieniądze we włoskim banku, powszechnie znanym i o nieskazitelnej reputacji, a następnie przelewać kasę z konta na konto, tak żeby już nikt się w tym nie mógł połapać, zanim prześle je do Luksemburga.

- I nigdy go nie złapali?

- Fargue był sprytny. Już od wielu lat urzędnicy urzędu skarbowego próbują go dorwać, ale im się to nie udaje. Z dokumentem, który dostałem, mogliby wreszcie dobrać mu się do skóry.

- Dlaczego więc wysłano go tobie?

- Myślałem nad tym całą noc. Na pewno nie chodziło o to, by pogryźć Fargue'a. Nie odgrywał dużej roli w tej sprawie. Był jedynie

kluczem do mieszkania Natalii. A zatem, widzę tylko jedno wyjaśnienie: ktoś próbuje naprowadzić mnie na ślad zabójcy za pośrednictwem Fargue'a. Podsyła mi figuranta, żebym szedł tym śladem. Dlaczego wybrano mnie? Nie mam zielonego pojęcia.

- Bo masz większą swobodę działania niż gliny. Możesz iść po tropie, nie mając nad sobą upierdliwych przełożonych. Jak znajdziesz coś interesującego, przedstawiasz to tak, jak jest. Żadnych nacisków, tracenia czasu na procedury.

- Może masz rację...

- Nawet mając przychylnego sędziego, nie zdobyłabym nigdy tego dowodu przelewu. Twój informator dysponuje środkami, jakich my nie mamy. To zbyt poważna sprawa, nawet jak dla ciebie. Nie uda ci się jej rozwiązać. Wyjedź na parę dni i daj mi dokończyć robotę.

Dziennikarz uśmiechnął się lekceważąco.

- Nie ma się co martwić. Wiesz, że byłem już w dużo gorszych sytuacjach. Kiedy ścigali mnie ci kretyni z maczetami i kanistrami z benzyną, było się czego bać. Tamtej nocy najadłem się strachu na całe życie. Już nic nie będzie dla mnie równie straszne.

- Ja nie żartuję. Igrasz z ogniem, Cople. W pewnym momencie staniesz się dla wszystkich niewygodny. Dopóki nie dowiem się, dlaczego zamordowano Natalię, nie będę w stanie cię chronić.

- Co niby ma mi się stać?

Sara podeszła do dziennikarza i oparła się całymi dłońmi o biurko. Nie miała więcej ochoty na żarty. Beztraska Coplea wyprowadzała ją z równowagi.

- Ktoś może posłać ci kulkę albo poderżnąć gardło. No wiesz, taka przykra niespodzianka: jedna chwila i po tobie. Nie sądzę, żeby Fargue bał się specjalnie o swoje życie, wstając dziś rano. Inaczej nie włożyłby tych idiotycznych spodenek.

- Doprawdy Saro, masz zbyt wybujałą wyobraźnię. Znajdowałem się już w o wiele gorszych sytuacjach i, jak widzisz, wyszedłem z nich cało.

- Cople, proszę, bądź rozsądny. Ci goście nie żartują. Likwidują każdego, kto stanie im na drodze, nawet jeśli ma zginąć ich człowiek. Nie mam ochoty powierzać Barbé twoich zwłok.

- Jestem wzruszony, że tak się troszczysz o moją skromną osobę. Jeśli będziesz dzięki temu spała spokojniej, wyjadę na wieś na tydzień. Ale odmawiam spędzania całych dni na oglądaniu telewizji. Poszukam czegoś na temat Banco Romano. Mam przecucie, że można tam znaleźć coś interesującego. W zamian za spokojną głowę, dasz mi materiał na artykuł, kiedy rozwiązesz tę sprawę. Zgoda?

Sara przytaknęła. Wyciągnęła telefon i wybrała numer do swojego przełożonego.

- A teraz zjeżdżaj stąd. Jak zastanie cię tu Lopez, to sam cię zabije.

Moje artystyczne gusta, jak wszystkich dzieciaków urodzonych przed opanowaniem planety przez japońską mangę, ukształtował Walt Disney.

Kiedy miałem osiem lat, oddałbym wszystko za podróż do Disneylandu. Co noc miałem ten sam sen: oślepiiony słońcem Florydy, spotykam Donalda i jego kompanów, kiedy zabawiają się w pobliskim salonie gry. Wzruszony do łez, ściskam ich ręce na powitanie, korzystając z okazji, by obmacać pośladki Minnie, a następnie dzielię z nimi gigantyczną porcję frytek polaną litrami ketchupu.

W tamtym czasie lubiłem żywe kolory i dziewczyny z różowymi opaskami na głowie. Postacie, które rysowałem w szkole, miały błogi wyraz twarzy i cztery palce u każdej ręki. Nosilem wyłącznie fioletowe i turkusowe ubrania. Kiedy się do mnie zwracano, odpowiadałem urywanymi dźwiękami histerycznych krzyków.

Nie muszę chyba wyjaśniać, że nie jest to okres życia, z którego byłbym jakoś specjalnie dumny.

Ojciec, przerażony tą dziwną istotą, która koło niego rosła, postanowił pewnego dnia coś z tym zrobić. Aby przeciwstawić się owym zgubnym wpływom, zabierał mnie każdej niedzieli do Luwru. Spędzaliśmy tam popołudnia w otoczeniu starożytnych marmurów i renesansowych obrazów.

Mimo dobrych chęci ojca, to cotygodniowe wyjście wydawało mi się pozbawione uroku i nie mogłem się doczekać, kiedy wrócę do domu do moich najlepszych przyjaciół z cudownego świata wujka Walta.

Kiedy osiągnąłem wiek młodzieńczy, z pierwszymi prywatkami, a zwłaszcza, w moim przypadku, pryszczami i śmiesznymi fryzurami, zauważyłem w końcu okazałe kształty kobiet prezentowanych na kilometrach ścian muzeum.



Nagle otworzyły się przede mną nowe perspektywy, które roily się od półnagich kobiet leżących leniwie na łózkach z baldachimem, w otoczeniu pulchnych aniołków i faunów o ledwie zamaskowanej męskości.

To było prawdziwe objawienie. Olśnienie Petrarki, o którym mówi się na zajęciach z literatury średniowiecznej. Nawet lekcja biologii poświęcona funkcjonowaniu ludzkich narządów rozrodczych nie wywarła na mnie takiego wrażenia. Od tamtej chwili zadek Minnie nie wydawał mi się już tak bardzo podniecający, zwłaszcza w porównaniu z pupami koleżanek z mojej klasy.

W taki oto sposób muzeum stało się dla mnie głównym katalizatorem dojrzewania, a moje upodobanie do krzykliwych kolorów opuściło mnie raz na zawsze.

Moja skłonność do złego gustu dała nagle o sobie znać, kiedy wszedłem za Tenentim do sklepiku jego przyjaciela antykwariusza. Pośród całej masy przedmiotów, którymi był zawalony, jedna rzeźba przykuła natychmiast mój wzrok.

Była to trzydziestocentymetrowej wielkości polichromowana figura Matki Boskiej. Święta, chuda jak patyk, miała na sobie zielonkawą sukienkę i żółtą woalkę, która zasłaniała jej prawie całe oblicze. Kolory, nałożone mocnymi pociągnięciami pędzla, były tak źle dobrane, iż mogło wydawać się, że wybrał je daltonista.

Ta nieszczęsna Madonna była okropna. Prawie tak przerażająca jak rzeźby Burtena.

- Straszna, nie? - zapytał mnie niski mężczyzna o przereczonych włosach, podchodząc do mnie z wyciągniętą dłonią. - Już dziesięć lat próbuję ją sprzedać, ale nikt jej nie chce.

- Dziwi to pana? - powiedziałem z ironią w głosie. - XVIII wiek?

- Gorzej... połowa XIX, sam środek neogotyku. Stiuk gipsowy, sądząc po licznych zaciekach i nałożonych na siebie kolorach, malował go pewnie jakiś niewidomy swoimi stopami. Od tamtej pory nikomu nie udało się zrobić brzydszej. Nawet nie chcę znać nazwiska tego nieudacznika, który ją wykonał. Gdyby jeszcze żył, sądzę, że z przyjemnością bym go poćwiartował.

Nie mogłem się z nim nie zgodzić, ponieważ sam miałem podobne zamiary wobec Burtena, zanim morderca zakończył przedwcześnie jego artystyczną karierę.

Jednak w przypadku twórcy madonny, pomysł poćwiartowania był raczej wyrazem litości. Łamanie kołem, a następnie rozrywanie go na kawałki za pomocą szczypiec i obłożenie kłutwą przez wszystkie religie i po wieczne czasy wydawały mi się odpowiednie do jakości figurki.

W ostatnim porywie masochizmu nie mogłem się powstrzymać, by jeszcze raz na nią spojrzeć. Czysty kicz. Aby podkreślić jej kiczowatość, należałoby umieścić ją na fluorescencyjnym cokole, postawić po bokach zdjęcia błaznów i otoczyć błyszczącą ramą przywiezioną z Marakeszu.

- Nie myślał pan o tym, żeby się jej pozbyć? - zapytałem.

Antykwariusz chwycił mnie za ramię. Ściszył głos, jakby chciał mi się zwierzyć.

- Młody człowieku, zdradzę ci bardzo ważną tajemnicę handlową. Sergio powiedział mi, że też zajmujesz się sprzedażą dzieł sztuki. Musisz zacząć szukać podobnego dzieła. Choć wątpię, że istnieje gdzieś jeszcze na świecie takie drugie. To... gówno - nie znajduję innego określenia - jest najlepszą argumentacją handlową. Trzymam ją dla kontrastu. Przy niej, wszystkie inne przedmioty wydają się piękne.

- Bardzo skuteczne... - przyznałem.

- Zapewniam pana, że tak. Ale koniec tego gadania. Sergio mówił mi o pewnym płótnie...

Sięgnąłem po kartonową tubę i wyjąłem obraz. Rozwinął go ostrożnie na stole i przyglądał mu się przez chwilę, a następnie wskazał na okno.

- Bylibyście tak uprzejmi, by zasunąć zasłony? Do dalszej części badania potrzebuję ciemności.

Zrobiliśmy to, o co nas prosił i szybko wróciliśmy na środek sklepu. Antykwariusz wziął małą lampę i skierował ją tak, aby oświetlała obraz poziomym światłem. Pod warstwą lakieru widać było liczne przemalowania i dawne odnowienia.

Antykwariusz wyglądał na zadowolonego. Wyłączył lampkę, zwinął obraz i włożył z powrotem do pudełka.

- Na pierwszy rzut oka obraz wydaje się autentyczny. Powiedziałbym, że pochodzi z pierwszej połowy XVII wieku. Szkoła rzymska lub ze środkowych Włoch. Trzeba będzie wykonać analizę radiograficzną i być może chemiczną, by rozwiać ostatnie wątpliwości

co do jego autentyczności, ale nie sądzę, by chodziło o fałszerstwo. Możliwe, że jest to kopia wykonana przez ucznia, zobaczymy. Co do autora, nie jestem na tyle kompetentny, ale znam paru dobrych specjalistów od rzymskiego baroku. Na pewno nam pomogą.

- Możesz to zrobić do jutra po południu? - zapytał Tenenti.

- Mogę się nie wyrobić... - skrzywił się antykwariusz. - Mam spotkania, rzeczy do odebrania od restauratorów.

- Bardzo się nam spieszy.

- Tym gorzej dla moich spotkań. Jutro zamknę sklep do południa, żeby zająć się waszą sprawą. Zresztą, od wieków nie miałem wolnego dnia.

- Bardzo ci dziękuję. Kiedy będziesz wiedział coś więcej na temat autentyczności obrazu, możesz sprawdzić przy okazji, skąd pochodzi? Matka Aleksa zdobyła go jakieś dwadzieścia pięć lat temu. Chciałbym wiedzieć, skąd go wzięła.

- To będzie trudne, Sergio... Mogła go zdobyć na wiele sposobów. O ile nie został wystawiony na licytacji, trudno będzie odnaleźć jego ślad. Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Wiem, że można na tobie polegać. I chyba nie muszę cię prosić, byś zachował dyskrecję.

- Istotnie, nie musisz. Do zobaczenia jutro.

Pożegnaliśmy się z antykwariuszem i wyszliśmy ze sklepu.

Poczułem z niewiadomego powodu, że spadł ze mnie ogromny ciężar, być może dlatego, że nie dźwigałem już sam odpowiedzialności za wydarzenia.

- Co teraz robimy? - zapytałem Sergia.

Zmierzył mnie wzrokiem, uśmiechając się.

- Najpierw czegoś się napijemy. A potem, co powiesz na odrobinę sportu?

Zrobiłem ostrożną minę. Ostatnim razem, gdy postawiono mi to pytanie, znalazłem się w łóżku z Lolą.

## 41

Weszliśmy na stadion w tym samym czasie co drużyna gości. Mury stadionu ryknęły jednym głosem na nasze wejście. Transparenty ozdobione złośliwymi sloganami falowały w przegrzanym powietrzu, a ze wszystkich stron unosiły się okrzyki nienawiści wobec drużyny przeciwnej. Na murawę boiska posypał się grad różnych przedmiotów, wśród których rozpoznałem puszki po piwie, monety, śruby, zepsute owoce oraz tradycyjne rolki papieru toaletowego.

Konkurs w rzucaniu pociskami dymnymi, zorganizowany przez grupę kibiców ustawioną za bramkami, zmusił bardzo szybko bramkarza drużyny przyjezdnej do opuszczenia swojego miejsca. Rakietę pirotechniczną wzbijał się w niebo, siejąc panikę wśród kibiców ekipy gości stłoczonych w sektorze narożnym.

Przeżażeni, naparli na podwójny kordon policjantów w kaskach oraz z tarczami z pleksiglasu, który powinien powstrzymać ich przed rozproszeniem.

Mimo zamieszania, sędzia żartował spokojnie ze swoimi pomocnikami przy linii autu, zaś zawodnicy drużyny gospodarzy czekali cierpliwie w polu środkowym na zakończenie wrogich walk.

- Miła atmosfera... - powiedziałem zaniepokojony.

- Witamy na stadionie Olimpico! Kibice Lazio są trochę złośliwi, ale niegroźni - odpowiedział Tenenti. - To taki lokalny folklor. Jeśli przeciwnicy nie drżą z niepokoju, wchodząc na boisko, to lepiej rozgrywać mecze na wyjeździe.

- Kiedy zaczną biegać za piłką?

Tenenti spojrział na zegarek.

- Transmisja w telewizji zacznie się za minutę lub dwie. Przywódcy poszczególnych grup kibiców uspokoją ich na czas. Mówię ci, to taki folklor...

Zaniepokoiłem się jeszcze bardziej, gdy Tenenti udał się w stronę grupy skinheadów siedzących w środkowym sektorze.

Dwudziestu skinów, obutych w rangersy - w specjalnej wersji przeznaczonej do bójek - rozsiadło się w formie trapezu w części trybuny opuszczonej przez pozostałych widzów. Mimo wiosennej pogody, wszyscy mieli na sobie obowiązkowe czarne, skórzane kurtki obwieszane symbolami, które, jak sądziłem do tej pory, znikły sześćdziesiąt lat temu.

- Folklor, co? - zapytałem cicho Sergia.

- W ich przypadku nie - przyznał, zmierzając nadal w ich stronę. - Ci faceci to dranie. I to najprawdziwsze. Mecze są dla nich wyjściem kulturalnym. Nie znają się na futbolu, ale są mistrzami walk ulicznych. Rozgrywki są tylko wstępem do ich prawdziwego sportu: polowania na kibiców drużyny przeciwnej. Przyznasz, że lepiej nie wpaść im w ręce. Takie podle typy krążą po wszystkich stadionach. Tutaj są trochę bardziej widoczni niż gdzie indziej. Menedżerowie klubu próbują od jakiegoś czasu ich przepędzić, ale oni są tu co tydzień, wciąż na tym samym miejscu. Ciekawe zjawisko z antropologicznego punktu widzenia.

- Sergio, pieprzę antropologię. Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?

- Nie denerwuj się, Aleks. Ja też nie lubię ich towarzystwa, ale mogą nam pomóc.

Od grupy skinów dzieliły nas już tylko dwa metry. Tenenti był cały czas opanowany. Ja starałem się zwolnić kroku, coraz mniej pewien, czy dobrze zrobiłem, idąc za nim.

- Skąd znasz tych facetów? - zapytałem Sergia.

- Powiedzmy, że przez długi czas walczyliśmy na tym samym polu bitwy. Zaczekaj tu na mnie.

Tenenti podszedł do grupy. Mężczyzna stojący najbliżej schodów, olbrzym z ogoloną głową i wytatuowanym na niej ogromnym krzyżem celtyckim, wstał na jego widok i wsunął rękę do kieszeni kurtki. Nie trzeba było daru jasnowidzenia, by domyślić się, że jego dłoń spoczywała na trzonku noża sprężynowego, którego ostrze, sądząc po jego wyglądzie syna rzeźnika, musiało śmiało przekraczać dwadzieścia centymetrów.

Tenenti wydawał się tym nie przejmować. Stał bez ruchu przed potworem.

- Chcę porozmawiać z Dorianem.

Skin nie odpowiedział. Odwrócił się i zapytał wzrokiem osobę siedzącą za nim. Odpowiedź była pozytywna, ponieważ kiwnął głową i przesunął się, żeby nas przepuścić.

Tenenti bez trudności pokonał przeszkodę. Mnie niestety to się nie udało. Wielka wytatuowana mała zatrzymała mnie, kiedy ją mijalem. Położył mi rękę na piersi i zmierzył mnie od stóp do głów.

Po jego spojrzeniu zrozumiałem, że mój wygląd nie odpowiadał jego kanonom estetycznym. Nie tylko nie uprawiałem nigdy kulturystyki, ale jeszcze nie wryłem sobie na skórze żadnej nazwy niemieckiego zespołu metalowego.

Gdyby różnice między nami skończyły się tylko na tym, być może na przestrzeni dziesięciu czy dwudziestu lat nawiązalibyśmy przyjacielskie stosunki lub przynajmniej w najbliższej przyszłości nie zwracalibyśmy na siebie uwagi.

To nie było jednak takie proste. Pod względem kultury, dzieliła nas ogromna przepaść. Gdybym miał więcej odwagi, mógłbym mu wyznać, że od młodości prenumerowałem *Inroc-kuptibles*, że chodziłem na wszystkie filmy Tima Burrona i że moim ulubionym pisarzem był Isaac Bashevis Singer.

Oprócz tego, że ściągnąłbym na siebie wieczną nienawiść Pana Łysej Pały i jego plemienia, takie wyznanie doprowadziłoby mnie, w bardzo krótkim czasie, do niechybnej śmierci. Jedyne moja miłość do boks mogła mnie uratować w jego oczach, jakkolwiek sprzeciwiałem się uprawianiu tej szlachetnej sztuki jeden na dziesięciu, z kawałkiem stali w ręce.

Goryl przejechał końcami palców po skórze mojej marynarki i skrzywił się z obrzydzenia. Nawet moje ubranie wzbudzało w nim chęć wpakowania mi ostrza noża w brzuch.

Z wytartymi na pośladkach dżinsami Diesela i dopasowaną marynarką ubraną na o rozmiar za mały T-shirt Pумы, uosabiałem neotrockistowsko-liberalną hołotę, która zagrażała czystości narodu aryjskiego.

Byłem dla niego wart tyle, co gówno. Prawdę mówiąc, to stwierdzenie raczej mnie cieszyło.

- Zawsze się tak ubierasz? - zapytał mnie zaczepnym tonem.

Mój dzień nie był całkiem stracony. Odtąd wiedziałem, że niektóre goryle potrafią mówić, jeśli pobudzi się ich agresję. Na pewno

nauczono go na pamięć kilku zdań przydatnych w społeczeństwie. Zamiast odpowiedzi, westchnąłem lekceważąco.

- Nie nauczono cię mówić, pieprzony gnojku? - nie ustępował.

Jako człowiek wykształcony i szanujący podstawowe wartości moralne społeczeństwa zachodniego, skłaniałem się zazwyczaj ku ostrożnemu pacyfizmowi, a nawet ku zwykłej bierności. Nie było jednak mowy, żebym dał się znieważać takiemu dzikusowi jak on. Poza tym, odkąd wyszedłem cało z ataku w galerii, czułem się odporny na ciosy.

- Po pierwsze: zasób mojego słownictwa wykracza daleko poza dwieście słów, którymi ty posługujesz się do wyrażenia swoich prymitywnych popędów. Po drugie: zawsze się tak ubieram, kochany. Chcesz powąchać z bliska moje perfumy?

Szybko pożałowałem swoich słów. Zakwestionowanie jego męskości obniżyło znacznie próg tolerancji goryla. Złapał mnie za kołnierz marynarki i podniósł z ziemi równie łatwo jak kwartę piwa.

W mojej głowie pojawiło się jednocześnie kilka myśli: najpierw, że być może nie jestem odporny na ciosy, a jeszcze mniej na złamania. Następnie, że mocny ucisk szyi odcina dopływ powietrza i powoduje u każdego normalnie zbudowanego człowieka uduszenie w krótkim czasie.

Ponieważ wszelka dyskusja oparta na logicznych tezach wydawała się niemożliwa, próbowałem uwolnić się, waląc z całych sił po jego żebrach. Nic to jednak nie dało, a w dodatku wydawało mi się, że połamałem sobie kości ręki.

Zapomniałem więc o wszelkich zasadach uczciwej walki. Wiedziony najniższym instynktem, postanowiłem wbić mu palce w oczy, kiedy trzymał mnie w górze. W ustawionych walkach zapaśniczych w stylu wolnym, które pokazują w telewizji, ten chwyt zawsze działa.

Olbrzym nawet nie zareagował. Uniósł mnie tylko trochę wyżej i ścisnął palcami moje gardło. Powoli zacząłem tracić przytomność. Świat zewnętrzny zamazał się, a ogłuszający zgiełk stadionu powoli cichnął.

Ten idiota naprawdę mnie zabije. To było głupie. Przeżyłem atak w galerii, żeby zginąć na stadionie wypełnionym ogłupiałymi faszystami. Gdybym mógł wybierać, wołałbym umrzeć u siebie.

Nagle poczułem się bardzo samotny. Oddałbym wszystko, żeby była przy mnie Lola z magnum w rękę. Kiedy byłem bliski utraty przytomności, pomyślałem ze wzruszeniem o czerwonej rybce, którą jako dziecko wyjąłem ze słoika i z ciekawości położyłem na chodniku.

- Bronco, przestań droczyć się z naszym gościem.

Powiedział głos z tyłu. Wytatuowany goryl wydał chrapliwy pomruk. Nie zwolnił bynajmniej swojego uścisku.

- Bronco, nie można się z tobą nigdzie pokazać – znów odezwał się głos. - Puść go, widzisz przecież, że się udusi. Chyba nie chcesz wrócić natychmiast do więzienia? Zdajesz sobie sprawę, że nie zdolam przekupić wszystkich sędziów w kraju?

Wielka mała kiwnęła głową i upuściła mnie na ziemię. Zwaliłem się bezwładnie u stóp Bronco. Wstałem z wielkim trudem pocierając szyję. Wciąż czułem jego palce zaciśnięte na moim gardle.

- Dziękuję Terminatorze - szepnąłem. - Fajna zabawa. Bardzo mi się podobała. Możemy się umówić na rewanż, kiedy tylko chcesz.

- Jeszcze się zobaczymy, kretynie - odpowiedział.

- Twoje miłosne wyznania bardzo mnie wzruszają. Teraz spadaj. Masz słuchać tatusia.

Goryl odsunął się o niecałe dwadzieścia centymetrów. Precyzyjnie między nim a czerwonym krzesłem z plastiku przytwierdzonym do trybuny. Skorzystał z okazji, by zadać mi w przejściu dyskretny cios łokciem w splot, tam gdzie ból jest najsilniejszy.

W moich oczach pojawiły się łzy, ale zbyt szczęśliwy z faktu, że udało mi się ująć z życiem tak małym kosztem, nie zareagowałem na ów dowód przyjaźni.

Wygląd zewnętrzny typa zwanego Bronco odpowiadał niezaprzeczalnie jego stylowi życia. Czego nie można było powiedzieć o tym, który nie pozwolił mnie zabić.

Warto było tu przyjść dla samego szefa bandy, siedzącego pośrodku mężczyzn. Nie każdemu jest dane stanąć twarzą w twarz z żywym strojnisiem z ubiegłego wieku. Gdyby w 1850 roku wydawano *Vogue Men*, znalazłby się na okładce podwójnego wakacyjnego numeru.



Widziałem kiedyś tajwański film, którego bohater obudził się po stu latach hibernacji. Miał na sobie dziwaczne ciuchy i wszyscy przechodnie się z niego nabijali. Po pewnym czasie chwycił za szablę i siekał wszystkich, którzy znaleźli się w jego zasięgu.

Wyrafinowany scenariusz bardzo szybko mnie znużył i wyłączyłem telewizor przed końcem filmu. Nie dowiedziałem się więc, czy piękna gejsza, znająca się na najnowszych trendach mody przebrała w końcu głównego bohatera.

Mężczyzna, który siedział przede mną, natychmiast przypomniał mi to niedocenione dzieło kina azjatyckiego. Miał na sobie sztywny surdut z mory, spod którego wystawał żabot koszuli. Jedną dłonią gładził połączaną gałkę swojej laski, a drugą koniuszek swojej koziej bródki. By uczynić zadość wymogom elegancji z czasów Victora Hugo, na głowie nosił cylinder.

Pod względem śmieszności, osobnik bił wszystkie rekordy. Tyle, że nikomu nie przyszłoby do głowy wyrazić się krytycznie na temat jego garderoby.

Biło od niego okrucieństwo. Sączyło się przez wszystkie pory jego bladej skóry, wytryskało z wąskiej szczeliny między dwiema wąskimi wargami i wypływało mocnym strumieniem z jego bezlitosnego spojrzenia. Mimo chudego i żyłastego ciała, wzbudzał większy lęk niż Bronco.

Wskazał mi wolne krzesło, stojące między nim a Tenentim.

- Proszę siadać.

- Dziękuję. Pański pies obronny naprawdę nazywa się Bronco?

Mężczyzna wydał drwiący śmiech lub przynajmniej nerwowy dźwięk, którym chciał okazać swoje rozbawienie.

- Jego prawdziwe imię to Michelangelo. Uważa je jednak, słusznie zresztą, za mało wiarygodne dla kogoś, kto spędza całe wieczory na biciu osobników, którzy najczęściej nie mogą się obronić. Próbowałem mu już wytłumaczyć, że na swój sposób rzeźbi portrety jak nikt inny, ale Bronco jest trochę tępy, jak sam miał pan okazję się o tym przekonać. Powiedzmy, że inteligencja nie jest jego główną zaletą.

- A pan jest...?

- Aleks, przedstawiam ci hrabiego Doriana Gucciego - przerwał mi Tenenti.

Mężczyzna, zanim podał mi rękę, zdjął zmanierowanym gestem fioletową, skórzaną rękawiczkę.

- Proszę mówić mi Dorian.

- Dorian wywodzi się z jednej z najstarszych rzymskich rodzin - mówił dalej Tenenti - co, jego zdaniem, daje mu pewne przywileje. Jak na przykład prawo do utrzymywania tej prywatnej milicji zajmującej się głównie biciem, a następnie wyrzucaniem z miasta wszystkich osób, które Dorian uważa niepożądane. W kolejności: emigranci, Żydzi, Cyganie, homoseksualiści, kibice Romy...

- I goszyści - najgorsze ze wszystkich plemion - dodał klon Oscara Wilde'a.

- Dziękuję, Dorian. Jestem zaszczycony.

- Nie bierz tego do siebie, Sergio. Wiesz, jak bardzo cię lubię.

Tenenti wziął na siebie zadanie wytłumaczenia mi tego ostatniego zdania.

- Nienawidziliśmy się już z Dorianem w szkole podstawowej. Różnice między nami nie przestawały pogłębiać się do czasu studiów, kiedy Dorian stanął ostatecznie po ciemniej stronie.

- Co za wspaniałe czasy! Byliśmy na wszystkich manifestacjach, jeden na wprost drugiego. Nie chcę być pretensjonalny, ale los często mi sprzyjał. Ty nigdy nie byłeś zbyt dobry w walkach ulicznych. Mój Boże, ale mi ich brakuje!

- Z tego, co widzę, nie zrezygnowałeś ze swojej podłej walki.

Dorian westchnął.

- Jest jeszcze tyle rzeczy do zrobienia, mój biedny Sergio... Przez te lata, kiedy wolałeś uciec, zamiast stawić czoła swojemu sumieniu, zgnilizna wzięła górę. Wszędzie jej pełno, na każdym rogu ulicy. Po naszej dawnej świetności pozostało już tylko mgliste wspomnienie. Ulotniła się, by zrobić miejsce tej przygnębiającej mierności.

- Dorian żyje jeszcze w Rzymie cesarów. Wierzy w wyższość cywilizacji, która nie istnieje od dwóch tysięcy lat.

- Wierzę w wartości, które uczyniły to miejsce centrum wszechświata - powiedział Dorian. Zobacz, czym się staliśmy: nie ma już praw, moralności ani wartości w tym kraju. Pozostało tylko samo błoto i świnię, które tarzają się w nim z lubością. Trzeba oczyścić to społeczeństwo, chyłące się ku upadkowi! Siłą wykorzenić tę kosmopolityczną zarazę, która trawi ją od środka.

Znałem na pamięć tę mowę. We wszystkich krajach świata tacy Doriani wygłaszają podobne głupoty i wszędzie są kretyni, którzy ich słuchają.

Tenenti nie przyprowadził mnie tutaj, żebym spotkał archetyp egzaltowanego rasisty. Wytłumaczył mi w końcu powód naszej obecności na stadionie:

- W latach siedemdziesiątych Dorian wymyślił nową formę walki politycznej bazującej na kłamstwie i dezinformacji. W czasie lat ołowiu był głównym ramieniem zbrojnym konserwatywnych władz. Oprócz innych chwalebnych czynów, dokonał ponad połowy zamachów przypisywanych wówczas skrajnej lewicy. Dostałeś godne ciebie boisko sportowe, co?

- Przybyłem w odpowiedniej chwili - potwierdził Dorian. - Rząd chrześcijańskich demokratów wiedział, że to jego koniec. Ludzie mieli dość oglądania tych samych głów z ministerialnymi tekami. Trzeba było wprowadzić do gry trochę zamieszania, wymyślić jakieś zagrożenie, żeby przestraszyć wyborców i przekonać ich, by pozostali wierni panującemu reżymowi.

- Problem był taki, że większość organizacji lewicowych, podobnie jak Lotta Rossa, sprzeciwiała się walce zbrojnej - wtrącił Tenenti.

- Polecono mi więc, by przekształcić je w groźne ugrupowania terrorystyczne - dodał Dorian. - Wystarczyło przyznać się na ich miejsce do kilku zamachów. W tym samym czasie tajne służby dały wolną rękę komórkom skrajnej lewicy, które opowiadały się za użyciem terroru. Odpowiedziały więc na nasze bomby, organizując równie krwawe zamachy. Raz wprawiona w ruch, maszyna zaczęła działać sama. Opracowaliśmy wspaniałą metodę manipulacji medialnej. Jedną z piękniejszych w historii.

Byłem oszołomiony tym cynizmem i szczerością. Tenenti zauważył moje zmieszanie.

- Nazwano to strategią terroru. Dorian dobrze sobie poradził. Żaden sędzia nie mógł mu udowodnić jego roli w rozpętaniu fali przemocy, ani zidentyfikować dokładnie jego zleceniodawców. Zorganizował również jednostkę do zadań specjalnych, z której ocalała ta garstka osób, które widzisz wokół siebie. Ilu ludzi miałeś w tym czasie pod swoimi rozkazami? Trzysta, czterysta?

- Prawie tysiąc w całych Włoszech. Zorganizowani jak prawdziwa armia, z obozami szkoleniowymi i najnowocześniejszym sprzętem dostarczonym za darmo przez pewnych wojskowych oddanych naszej sprawie. Gdyby było to konieczne, mógłbym zebrać ich w dwie godziny. Byli gotowi zginąć dla sprawy.

- Nie ma w tym trochę przesady, mówiąc o sprawie? Dorian szybko zrozumiał, że aktywizm polityczny był doskonałym sposobem zarabiania na życie. Nigdy nie przyglądał się specjalnie, skąd pochodziły pieniądze. Otrzymał je od partii prawicowych, z Watykanu, a nawet od pewnych socjalistycznych przywódców, którzy obawiali się, że lewica odbierze im wyborców. Wszyscy włożyli rękę do kieszeni. Dorian, ile milionów zarobiłeś na tym wszystkim?

Dorian potrząsnął głową z oburzoną miną.

- Bzdury... Wszystko poświęciłem na swoje przekonania.

- No śmiało, mój drogi, krążą legendy o twojej pazerności. Jak zareagowałeś, kiedy na początku lat osiemdziesiątych wyszło nagle źródło brudnych pieniędzy? Było zbyt dużo skandali, unikano cię z obawy przed kompromitacją. Jeden po drugim wszyscy cię opuścili. Ci, którzy dzień wcześniej błagali cię, żebyś przyjął ich pieniądze, nie chcieli więcej cię widzieć, ani nawet rozmawiać z tobą przez telefon.

- To prawda, opuścili mnie, tchórze. Ale wszystko zacznie się jeszcze raz. Czekamy tylko na właściwy moment. Umysły są prawie gotowe.

- Cóż za patos, Dorian. Spójrz na siebie: nie zostało ci nic oprócz wspomnień o twojej chwalebnej przeszłości i tej garstki dobrze wyćwiczonych tępaków. Żyjesz przeszłością, która nigdy nie wróci. Prawda jest taka, że twoi przyjaciele wykorzystali cię, a potem odłożyli do przegródki „Odpadki i inne śmieci”. Niezłe z ciebie zakpili.

Tym razem Dorian poczuł się dotknięty słowami Tenentiego. Jego palce zacisnęły się na gałce laski. Jego wzrok powędrował w stronę boiska, na którym wreszcie zaczął się mecz.

- Muszę poznać prawdę - powiedział Tenenti. - Muszę wiedzieć, czy jesteś zamieszany w śmierć Franceski, matki Aleksa.

Dorian potrząsnął głową bez przekonania.

- Oficjalnie nic mi o tym nie wiadomo. Wiedziałem tylko, że jeden z członków Lotta Rossa, pracował w tajemnicy dla tajnych służb. Miesiąc przed zamachem, ich łącznik zamówił u mnie dwieście gramów dynamitu. Podał mi wszystkie niezbędne informacje potrzebne, by ukraść go z magazynu wojskowego. Drzwi były otwarte, miałem tylko zabrać, co trzeba i dostarczyć mu towar. Nie powiązałem tego natychmiast z zamachem twojej matki. Gdybym wiedział, do czego ten materiał wybuchowy miał służyć, odmówiłbym. Twoi rodzice byli uczciwymi przeciwnikami. Zasługiwali na większy szacunek.

- Więc dlaczego moja matka? - zapytałem. - Dlaczego właśnie ona?

- Nie wiem. Musiała stać się niewygodna, że posunęli się do tak skrajnego rozwiązania. Nie musieli jej zabijać. Mogli przyznać się do zamachu w imieniu Lotta Rossa. Robiłem to dziesiątki razy. Rezultat byłby taki sam: twój ojciec zostałby skazany jako zleceniodawca, twoja matka uznana za współniczkę, a Lotta Rossa zniknęłaby z latryny historii. Moim zdaniem, ci, którzy zorganizowali zamach, chcieli przede wszystkim pozbyć się twojej matki. Cała reszta, rozwiązanie Lotta Rossa i wygnanie twojego ojca, była tylko bonusem.

Po wyznaniach Doriana nastąpiła długa chwila niepewności. Teraz, kiedy poznałem lepiej tego człowieka, to, co w nim widziałem, napawało mnie obrzydzeniem.

Mimo wyrafinowanych manier i eleganckiego stroju, w rzeczywistości był taką samą bestią jak Bronco. Najcieńszy jedwab i najdelikatniejsze perfumy nigdy nie zdołają zamaskować smrodu, który wydzielały jego idee.

Ogromna wrzawa podniosła się na trybunie stadionu, kiedy Lazio strzeliło pierwszą bramkę. Spiker wykrzyknął nazwisko strzelca, które szybko powtórzył chórem tłum. Dorian wyciągnął się na swoim krześle i wymamrotał pozytywny komentarz. Sprawiał wrażenie, jakby wykluczył mnie ze swoich myśli.

Gdyby nie obecność Bronco i jego towarzyszy, rzuciłbym się na niego. Okładałbym go, aż utraciłby swoją arogancję, wypuł zęby i błagał mnie, bym wybaczył mu jego udział w zabójstwie mojej matki.

Dorian nie miał być może sumienia, ale nie był idiotą. Zdawał sobie sprawę, jakie wrażenie wywarły na mnie jego słowa.

- Wybrałeś zły cel - powiedział mi, nie odrywając wzroku od meczu. - Byłem w tym wszystkim tylko pionkiem, zwykłym wykonawcą. Sergio ma rację, mówiąc, że mną manipulowano. Żyję jeszcze, ponieważ umiałem zapomnieć nazwiska swoich zleceniodawców. Niektóre z osób odpowiedzialnych za śmierć twojej matki nie żyją, inne wycofały się z interesów. Ale kilka z nich trzyma jeszcze w swoich rękach stery tego kraju. Nawet teraz mogliby mnie łatwo zlikwidować, mimo Bronco i stosowanych środków bezpieczeństwa. Jeśli ich sprowokujesz, zniszczą cię tak samo jak twoich rodziców. Z tego, co słyszałem, miałeś już mały pokaz tego, do czego są zdolni. Wracaj do siebie, i zapomnij o tej sprawie.

Dorian miał prawdopodobnie rację. Ta rada była jedyną mądrą rzeczą, która wyszła z jego ust od początku naszej rozmowy. Trzy dni wcześniej, przed atakiem w galerii i ekstradycją ojca, może bym go posłuchał. Wróciłbym do Paryża, żeby opłakiwać Natalię i użalać się nad własnym losem.

Ale teraz nie miałem już innego wyjścia. Odpowiedzialni za śmierć mojej matki posunęli się za daleko. Miarka się przebrała. Wtargnęli w moje życie bez pozwolenia i zniszczyli wszystko wokół mnie.

Nie mogłem się już wycofać. Sprawię, że za to zapłacą, niezależnie od konsekwencji. Pragnąłem tego ze wszystkich sił. Byłem gotów poświęcić temu resztę woli życia, która jeszcze we mnie pozostała.

Kiedy fala ognia wdarła się do jego płuc, zapalając ostatnie cząsteczki tlenu, które się w nich znajdowały, Eric Copleer zadał sobie w myślach tylko jedno jedyne pytanie: dlaczego?

Dlaczego jego anioł stróż wybrał tę właśnie chwilę, żeby go opuścić? Dlaczego leżał teraz na tylnym siedzeniu płonącego samochodu, z rękami skutymi kajdankami z tyłu na plecach? Dlaczego nie był bardziej ostrożny, gdy rozległ się dzwonek do drzwi jego mieszkania?

Dlaczego nie posłuchał Sary? Dlaczego?

Dymiący jeszcze wrak alfy stał na poboczu wiejskiej drogi oddalonej o trzydzieści kilometrów od Paryża. Niszczący wszystko skutecznie i dokładnie ogień, strawił najpierw karoserię, a potem wdarł się do środka samochodu, topiąc plastik i wyginając metalowe części.

Według wstępnych ustaleń techników kryminalistyki, pożar spowodowały podpalone szmaty włożone do baku z paliwem. Sposób działania przestępców, choć dziecinnie prosty, nie dawał osobie znajdującej się w samochodzie żadnych szans na ocalenie.

Ciało Erica Copleera leżało na tylnym siedzeniu, z nadgarstkami skrępowanymi z tyłu i kostkami unieruchomionymi szeroką taśmą klejącą. Ogień dosięgnął go w chwili, gdy próbował rozpaczliwie wydostać się z płomieni, które go otaczały. Wygięty mocno do tyłu, zginął, starając się wybić piętami boczną szybę.

Widząc zwęglone ciało wykrzywione cierpieniem, Sara poczuła przenikający ją do głębi ból. Nie wiedziała nawet, kiedy znalazła się w swoim samochodzie, gdzie rozplakała się. Nadmiar emocji, które tłumiała w sobie od początku śledztwa, znalazł nagle swe ujście.

Gdy ustały łzy, smutek ustąpił miejsca nieznośnej frustracji.

Morderca postanowił posprzątać po sobie, zanim zniknie na dobre. Niszczył kolejne ogniwa łańcucha, który mógłby ją do niego doprowadzić. Likwidacja Fargue'a, jego współnika, była absolutną koniecznością. Natomiast zabicie Coplera - średnioterminowym planowaniem.

Dziennikarz był niebezpieczny. Nie tyle ze względu na to, co wiedział, ile ze względu na anonimowe źródło informacji, które pozwalało mu zdemaskować mordercę. Wcześniej czy później zorientowałyby się w końcu, o kogo chodzi. Zabijając go, morderca osiągnął podwójny cel: pozbył się intruza i dał do zrozumienia informatorowi Coplera, że nic nie zyska swoim podstępym działaniem. Zwęglone zwłoki w alfie były wyraźnym ostrzeżeniem. Nie mógł wyrazić tego jaśniej.

Natalia Velit, Samuel Burten, Mario Monti, Louis Fargue, Eric Copler. Sara wyliczała kolejno nazwiska ofiar, które morderca pozostawił na swej drodze niczym małe kamienie. Szła jego krwawym szlakiem, aż do tej wiejskiej drogi, na której spoczywał dziennikarz.

W tym miejscu ślad się urywał. Technicy kryminalistyki niczego nie znajdują. Sara była gotowa założyć się o to.

Wszyscy, którzy mieli zginąć, nie żyli. Zabójca bez trudu wykonał swoje zadanie. Mistrzowska robota. Szybka i skuteczna. Nie popełnił błędu Mario Montiego, który nie docenił Aleksa Cantora. Można było pójść o zakład, że morderca znajdował się już daleko stąd, w bezpiecznym miejscu.

Sara poczuła się bezsilna i poniżona. Zwłaszcza poniżona. Nienawidziła tego uczucia.

Komisarz Lopez otworzył drzwi po stronie pasażera z typową dla siebie gwałtownością i usiadł na siedzeniu. Sara wciąż wpatrywała się w spalony samochód. Tym razem Lopez odezwał się do niej przyjacielskim, niemal ojcowskim tonem.

- Jeśli może ci to przynieść ulgę, to umarł z zaccadzenia. Rzuciłem okiem na wstępny raport lekarza sądowego.

- Nie przynosi mi to ulgi, komisarzu. Nie poczuję jej, dopóki nie odnajdę tego skurwysyna i nie wpakuję mu w głębę mojej .38. Nie wcześniej.

- Uspokój się. Wiesz nad czym pracował Copler?



- Nad zabójstwem Natalii Velit. Naprowadziłam go na sprawę. Mieliśmy umowę. On szperał po śmietnikach i prowadził śledztwo tam, gdzie ja nie mogłam dotrzeć. W zamian włączałam go do oficjalnego śledztwa.

- Jakie informacje posiadał?

- Miał informatora. Sam nie wiedział, kto nim był. W każdym razie gość był cholernie dobrze poinformowany. Copley wiedział przede mną o zabójstwie Natalii i o udziale Fargue'a. Spotkałam go wczoraj i...

Sara zawahała się przez moment. Popęlniła wielki błąd, nie mówiąc swojemu przełożonemu o obecności Copley na miejscu zbrodni Fargue'a. Teraz było już za późno, by to naprawić.

- Rozmawialiśmy trochę - dokończyła. - Prosiłam go, żeby się za dużo nie pokazywał. Najwyraźniej morderca wiedział, gdzie go znaleźć.

- Wpadł na jakiś ślad? - zapytał Lopez.

- Tak, na ślad Banco Romano, za pośrednictwem którego Fargue wyprowadzał z kraju swój kapitał. Morderca wiedział, że słabym punktem Fargue'a było uchylanie się od płacenia podatków. Posłużył się tym, żeby zmusić go do współpracy.

- Copley odkrył coś ciekawego?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Jeśli tak było, nie miał czasu mnie o tym powiadomić.

- Jedź do niego. Sprawdź, czy nie ma tam czegoś. Wiesz, gdzie chował dokumenty?

Sara potwierdziła ruchem podbródka. Lopez wyjął swój czarny notes z wewnętrznej kieszeni marynarki, wyrwał z niego kartkę i napisał na niej kilka słów.

- Wieczorem po pracy przyjedź pod ten adres - powiedział, podając jej kartkę. - Musimy poważnie porozmawiać.

Sara posiadała zapasowe klucze do mieszkania Copley. Dostała je od dziennikarza dawno temu, tuż po incydencie z Bangi.

„Będziesz mogła podlewać mi kwiatki, kiedy utknę jeszcze w jakiejś ambasadzie”, powiedział żartobliwym tonem. Nie musiał mówić nic więcej. Sara zrozumiała, co miał na myśli. Przez długi czas miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiała ich używać.

W mieszkaniu dziennikarza nie panował jakiś szczególny nieporządek. W każdym razie nie większy od tego, kiedy była tu ostatnim razem.

Copler nie cierpiał na manię porządków. Każde pomieszczenie było zavalone kartonami z archiwalnymi dokumentami, stertami gazet i setkami książek ułożonych w nieładzie jedne na drugich, tam gdzie było tylko trochę wolnego miejsca. W takich warunkach trudno zobaczyć, czy ktoś przeszukał już mieszkanie.

Zresztą morderca mógł przeszukać dokładnie całą tą graciarnię, a i tak nie znalazłby tajnej skrytki. Copler nie posiadał wartościowych przedmiotów, gotówki czy obrazów. Jego najcenniejszą rzeczą był komputer kupiony dwa lata temu za tysiąc siedemset euro. Stąd też zawsze uważał, że nie warto instalować sejfu czy wzmocnić drzwi wejściowych, aby zabezpieczyć się przed ewentualnym włamaniem.

W zupełnej sprzeczności z elementarnymi zasadami bezpieczeństwa, wszystkie ważne dokumenty chował w biblioteczkę pod dolną półką. Wystarczyło zdjąć książki i podnieść deskę, żeby dostać się do skrytki wielkości dużego segregatora.

W skrytce było pięć dużych kopert z grubego papieru, z wypisanymi nazwami spraw, którymi dziennikarz zajmował się w chwili swojej śmierci. Sara wzięła tę, na której napisano wielkimi literami BANCO ROMANO. Wewnątrz znajdowało się kilka stron notatek, zapisanych charakterystycznym pismem Coplera, czymś pomiędzy cyrylicą a chińskimi ideogramami.

Sara odłożyła na później odszyfrowywanie ich i kontynuowała poszukiwania. Nie zatrzymywała się długo na dowodzie przelewu, którego kopię otrzymała przez Internet i skoncentrowała się na ostatniej kartce z datą sprzed dwóch tygodni. Było to ksero blankietu zamówienia biletu lotniczego.

Linie lotnicze Alitalia, klasa biznesowa. Wylot z Rzymu, w przeddzień zabójstwa Natalii o szesnastej pięćdziesiąt pięć. Przyłot dwie godziny później na lotnisko Charles'a de Gaulle'a. Za bilet zapłacono kartą kredytową i wystawiono go na siedzibę Banco Romano.

Copler zaznaczył zakreślaczem datę i zapisał na marginesie: „Pracownik? Dyrekcja?”

Sara nie wiedziała, w jaki sposób dziennikarz zdobył to ksero. Z pewnością za pośrednictwem swojego wszechwiedzącego informatora.

Łatwo było prześledzić rozumowanie. Jeden z dyrektorów banku przybył do Paryża dzień przed tym, jak Natalia przekroczyła próg Inferno po raz ostatni. Ten drobny fakt nie stanowił sam w sobie żadnego dowodu. Nic nie wskazywało na to, że posiadacz biletu zamordował Natalię. Osoba z zewnątrz prawdopodobnie nie dostrzegłaby żadnego związku między tymi dwoma zdarzeniami. Jednak dla kogoś, kto interesował się bliżej tą sprawą, ten zbieg okoliczności był niepokojący.

A Sara od bardzo dawna nie wierzyła już w żadne zbiegi okoliczności.

Powrót do hotelu przebiegał w ponurej atmosferze. Przez całą drogę Tenenti nie odezwał się ani słowem. Spotkanie z Dorianem przywołało zbyt wiele przykrych wspomnień. Wolał milczeć, niż wybuchnąć gniewem w mojej obecności.

Jeśli chodzi o mnie, to czułem zarazem wstręt i przygnębienie, a w dodatku bolała mnie jeszcze szyja, tam gdzie Bronco ścisnął ją palcami.

Tenenti wprowadził mnie w świat, o którego istnieniu ledwie przypuszczałem. Do tej pory, ludzie tacy jak Dorian nie stanowili dla mnie żadnej materialnej rzeczywistości. Nic nie łączyło naszych dwóch światów, za wyjątkiem lampy kineskopowej telewizora, kiedy urządzał pochody ze swoimi przyjaciółmi z Faszolandu. Widok Doriana paradującego pośród swojej milicji na tym kipiącym nienawiścią stadionie, bardzo mnie przygnębił.

Poczułem w gardle nieodpartą ochotę napicia się alkoholu. Nie ważne jakiego, byle tylko oddalić od siebie odrażające wspomnienie Doriana.

- Zdzwonimy się jutro? - zwróciłem się do Sergia, otwierając drzwi samochodu.

- Dobrze. Postaram się do tego czasu trafić na ślad twojego ojca.

- Dziękuję.

Wyszedłem z samochodu. Zatrzasnąwszy drzwi, zmieniłem zdanie i pochyliłem się w stronę Tenentiego.

- Sergio, bardzo doceniam twoją pomoc. Zdaję sobie sprawę, że nie jest to dla ciebie łatwe. Wolałbym ci tego zaoszczędzić.

- Wiem. Nie martw się. Poradzę sobie.

- W każdym razie, dziękuję. Dobranoc.

- Do jutra. Musisz odpocząć. Przed nami długi dzień.

- Ty też.

Zatrzasnąłem drzwi samochodu, wiedząc, że obaj nie zaśniemy łatwo tej nocy.

W hotelu czekała na mnie wiadomość od Loli, która prosiła, żebym skontaktował się z nią w wolnej chwili. Zadzwoiłem od razu na jej komórkę.

- Jak się ma moja ulubiona współpracowniczka? - zapytałem, kiedy się odezwała. - Nie puściłaś jeszcze z dymem galerii?

- Nasze interesy idą dużo lepiej, kiedy się do nich nie mieszasz.

Jej słowa zagłuszył gitarowy riff podkrecony na cały głos. Na funkowe rytmy nałożył się saksofon altowy, rozpoznawalny pośród tysiąca innych.

Natychmiast zorientowałem się, gdzie była. Tylko jedna osoba słuchała tak głośno Maceo Parkera.

- Z tego co słyszę, Dimitri przekonał cię w końcu do przetestowania swojej kanapy. Myślałem, że gniewacie się na siebie, odkąd rozwaliałaś mu okulary.

- Nie chciałam zostać w domu sama - krzyknęła Lola, żebym mógł usłyszeć ją w tym zgiełku. - Przekupiłam go butelką Żubrówki, żeby mnie do siebie przyjął. Nie dał się długo prosić.

Saksofon Maceo posłał mi do ucha kolejną dawkę decybeli. Zamiast głosu Loli, usłyszałem przeraźliwy pisk. Przełożyłem słuchawkę do drugiego ucha, choć nic to nie dało.

Teraz ja krzychałem do słuchawki z całych sił.

- Lola, prawie ogłuchłem. Możesz poprosić Dimitria, żeby ściśzył dźwięk, albo żeby wywalił swoją wieżę hi-fi za okno?

Nie usłyszałem odpowiedzi Loli. Za to mój sąsiad, dawał mi znać stukaniem w ścianę, że moje krzyki nie pozwalają mu spać. Sądząc po sile uderzeń, był gotów ją rozwalić, jeśli się nie zamknę.

W mieszkaniu Dimitria Maceo Parker zaczął grać dużo ciszej, a w słuchawce znów pojawił się głos Loli.

- Zastanawiam się, jak on to robi, żeby nie mieć kłopotów z sąsiadami! - zapytała zdumiona.

- Kiedy jego sąsiadka przyszła po raz pierwszy ze skargą, na przeproszenie podarował jej pudełko herbatki ziołowej własnej produkcji. Mieszanka kwiatu lipy i haszyszu zdolna uspić całe stado

słoni w rui. Od tamtego czasu, po wypiciu wieczornej porcji ziółek, staruszka śpi jak suszeł przed swoim telewizorem, a Dimitri może hałasować do woli.

- Chyba żartujesz?

- Chciałbym. Staruszka jest uzależniona. Co tydzień domaga się nowego opakowania ziółek. Dimitri dał mi spróbować swojej mieszanki. Miałem odlot przez dwa dni.

Lola wybuchnęła śmiechem.

- Dimitri szprycuje swoją sąsiadkę! Gość jest niemożliwy!

- Ale posłuchaj! Staruszka zupełnie zapomniała o swoim artretyzmie i problemach z krążeniem. Teraz jest najszczęśliwszą kobietą na świecie. Szepnęła nawet słówko w pobliskim domu starców. Dimitri sprzedaje tam swoje ziółka całymi skrzyniami. Ma z czego opłacić benzynę do MG. Cały on: uwielbia odgrywać rolę dobroczyńcy ludzkości, ale kiedy chodzi o interesy, nie żartuje...

- Gość jest niemożliwy... - powtórzyła Lola, ciągle mi nie dowierzając.

- A co robicie poza słuchaniem Maceo?

- Trochę sobie popiliśmy i wypaliliśmy kilka skrętów. Dimitri pokazał mi nagranie wideo z waszym przedstawieniem na zakończenie studiów, na którym tańczycie obaj moonwalka w samych majtkach.

- Nigdy tego nie widziałas?

- Widziałam, ale nie do końca. Zawsze zatrzymywałeś kasetę przed tym, jak kończycie wasz numer z majtkami w ręku.

- Dyrektor o mało co nie odmówił nam wydania dyplomów. Ledwie nam się udało. A co przewidzieliście na później?

- Nie wiem. Kiedy opróżnimy butelkę wódki, pójdziemy może potańczyć na godzinę lub dwie. Muszę się trochę wyładować.

- A potem?

- To wszystko, Aleks. Wrócę, żeby położyć się wcześniej spać, bo jestem wykończona. Sama - dodała, jakby czytała w moich myślach.

- Jesteś pewna?

Wyrwało mi się to pytanie. Natychmiast zrobiło mi się wstyd. Nie miałem zamiaru robić Loli scen zazdrości. W końcu tylko się ze

sobą przespaliśmy, a to chwilowe zapomnienie przypłaciłem przytłaczającym poczuciem winy.

Nigdy nie kryłem przed nią swoich wątpliwości, ani tego, że nie byłem jeszcze gotów na trwały związek, zwłaszcza z nią. Nie mogłem niczego od niej wymagać. Miała prawo robić, co się jej żywnie podoba.

Poczułem jednak bolesne klucie w sercu na myśl, że znajduje się u innego mężczyzny, nawet jeśli był to mój najlepszy przyjaciel.

Usłyszałem śmiech Loli po drugiej stronie słuchawki.

- Przyznaj się, tęsknisz za mną?

- Dlaczego tak sądzisz?

- Dręczy cię kompleks Edypa. Ostatnimi czasy masz ogromną potrzebę czułości.

- Przestań. Jesteś pewna, że między tobą a Dimitrim...

Słowa ugrzęzły mi w gardle w miejscu, w którym Bronco dotknął mnie palcami.

- Jak byś zareagował, gdyby tak było?

- Nie wiem. Myślę, że nie sprawiłoby mi to przyjemności.

Lola była bliska orgazmu. Uspokoiła burzę hormonów wywołaną moim wyznaniem, wydając z siebie okrzyk zwycięstwa.

- Tak... Dobra odpowiedź, Aleks. Możesz spać spokojnie. Nic się nie wydarzy między Dimitrim a mną.

- Super.

- A ty co robiłeś?

Nie miałem ochoty opowiadać jej ze szczegółami o moim dniu. Postanowiłem ograniczyć się do najświeższych wydarzeń.

- Mam nowego przyjaciela. Nazywa się Bronco.

- Dziwne imię. Jest miły?

- Trudno powiedzieć. W każdym razie, straszny introwertyk. Poszliśmy na stadion obejrzeć mecz Lazio.

- Masz jakieś wieści o ojcu?

- Tenenti zajmie się tym jutro. Zna jakiegoś glinę, który być może, coś nam powie.

- Pamiętasz, że rzeźby Burtana przybędą za dwa dni? Odbierzesz je z lotniska?

Zupełnie wyleciało mi to z głowy. Lola miała wysłać mi dwie prace Sama, zakupione przez naszego klienta z Rzymu. Dostaliśmy

przelew tuż przed moim wyjazdem, było więc za późno, żebym zajął się tym sam, dlatego kazałem Loli przygotować przesyłkę.

- Udało ci się włożyć totem Campbella do skrzyni?

- Nie wszedł cały. Musiałam go trochę zdemontować. Trzeba będzie zespawać go w dwóch czy trzech miejscach, ale nic nie będzie widać.

Sprawność Loli często mnie zaskakiwała. Czasem nawet bawiła. Tym razem zrodziła we mnie katastroficzne przeczucia.

- Zrobiłaś zdjęcia, zanim go rozebrałaś, prawda? Będziesz umiała go zrekonstruować?

Postawiłem pytanie dla samej formy. W głębi duszy znałem już odpowiedź. Chciałem tylko sprawdzić jej zdolność do brania na siebie odpowiedzialności za popełnione głupstwa.

- Nie jestem tego pewna - przyznała po długiej chwili wahania.

- Trochę o tym zapomniałam. A poza tym, wywaliłam kilka części, które wystawały.

- Nasz klient zostanie z metalową konstrukcją ważącą półtorej tony. Strasznie drogą konstrukcją i do tego niekompletną, którą *ty* mu sprzedałaś... - przypomniałem jej. I *ty* będziesz się przed nim tłumaczyć, kiedy zażąda zwrotu pieniędzy.

- W każdym razie, teraz, jak Sam już nie żyje, wszyscy mają gdzieś jego totem. Nawet jeśli nie jest dokładnie taki, jaki chciał, nie ma to już większego znaczenia. I nie krzycz na mnie. Mogłeś sam zająć się tym głównym. Zresztą, cieszysz się, że go sprzedałeś...

Lola nie myliła się. Widok totemu opuszczającego galerię był w chwili obecnej jednym z nielicznych powodów do satysfakcji. Za każdym razem, gdy pomyślałem o tym paskudztwie ze stali, powracał mi na myśl widok leżącego za nim ciała Sama. Na miejscu Loli też zrobiłbym wszystko, by się go pozbyć.

- Już dobrze, nie gniewaj się... - odezwałem się w końcu.- Dam sobie radę z klientem. Co o nim wiesz?

- Że przelew doszedł na nasze konto w przewidzianym czasie i że jego suma odpowiadała sumie podanej na fakturze. Reszta jest dla mnie bez znaczenia. Ale nie okłamał cię. Posiada sporą kolekcję sztuki włoskiej XVII wieku i kilka ładnych dzieł współczesnych, które wypożycza od czasu do czasu muzeom czy instytucjom. Nie



rozumiem, jak może interesować się pracami Burtena. Gość ma dwa obrazy Chagalla i jeden Rothko.

- Sam Burten jest jednym z najważniejszych artystów drugiej połowy XX wieku - wyrecytowałem. Zdobył międzynarodowe uznanie dzięki swojej zdolności do...

- Znam tekst z katalogu - przerwała mi Lola, sama go napisałam. - Chagall, Rothko, Burten: zgadnij, które nazwisko nie pasuje do reszty?

- Przy odrobinie szczęścia, twój klient nie otworzy nawet tych skrzyń, a jego spadkobiercy odeślą je prosto na złom.

- Miejmy nadzieję, że tak się stanie. Jakie masz plany na wieczór?

- Jestem wykończony - westchnąłem. - Mam raczej ochotę spędzić wieczór przed telewizorem.

- Cały Aleks. Dobra, pora kończyć. Nie zapomnisz pojechać pojutrze na lotnisko?

- Nie martw się. Cześć!

- Cześć moje serduszko - powiedziała Lola, nim odłożyła słuchawkę.

Nie miałem czasu, żeby powiedzieć jej jak bardzo drażniło mnie to określenie. Mój okrzyk złości zagubił się w płątaniu sieci telefonicznej, podczas gdy pięć mojego sąsiada zagłębiała się o kolejne pięć centymetrów w ścianie działowej.

- Zamknij się kretynie! - wrzasnąłem, waląc pięścią w ścianę.

Mężczyzna, widząc, że ma do czynienia z adeptem przemocy fizycznej, natychmiast się uspokoił. Po dłuższym czasie przebywania wśród psychopatów, sam się nim stawałem, kiedy zachodziła taka potrzeba. Mimo nieuniknionych niedogodności związanych z tą przemianą, miała ona jednak swoje dobre strony, a ja opanowywałem powoli ich niuansy.

Napad wściekłości ożywił we mnie chęć napicia się alkoholu. Otworzyłem minibar znajdujący się w pokoju, wyjąłem z niego puszkę coli light i dwie buteleczki whisky, wszystko to wymieszałem i wypilem jednym tchem. Zamknąłem oczy i czekałem, aż alkohol zacznie krążyć w moich żyłach.

Od razu poczułem się trochę lepiej, choć Dorian nie zniknął jeszcze z moich myśli. Ponowiłem doświadczenie z dwoma porcjami wódki, do której dodałem tym razem pół puszki fanty.

Mimo swojego obrzydliwego smaku, mikstura ta okazała się bardziej skuteczna od poprzedniej.

Moje kończyny stały się ciężkie i słabe. Mózg szybko poszedł ich śladem i sam się wyłączył.

Dorian powrócił do otchłani, której nigdy nie powinien był opuszczać.

Zwałem się na łóżko w ubraniu i zużyłem resztkę sił na naciśnięcie pilota od telewizora. Trafiłem na reportaż o rychłej śmierci papieża. Ze względu na moje zmęczenie, wołałbym jakiś dobry film albo fajny koncert, U2 czy Springsteena, ale nie miałem sił, by zmienić kanał.

Na szczęście intryga nie była bardzo skomplikowana, jej poziom odpowiadał mniej więcej serialowi telewizyjnemu w piątkowy wieczór. Nawet z dwoma promilami alkoholu we krwi i kiszkami rozstrojonymi fantą byłem w stanie zrozumieć jej główne wątki.

Po tym jak biskup Rzymu przeszedł niedawno zawał serca, Watykan był wyrócony do góry nogami. Od areopagu jego osobistych lekarzy zachowujących do tej pory wielką dyskrecję, zaczęły się przedostawać niepokojące pogłoski.

Człowiek, uważany za niezniszczalnego, który wyszedł cało z ran zadanych kulami zamachowca i z niezliczonych upadków na nartach, który pokonał raka trzustki i od dziesięciu lat żył z zaawansowaną chorobą Parkinsona, umierał właśnie na zwykły atak serca. Od ubiegłego dnia przebywał na oddziale reanimacji w stanie sztucznej śpiączki. Prezenterka telewizyjna prosiła wszystkich widzów o modlitwę za Jego Świątobliwość, ponieważ z medycznego punktu widzenia nie było już żadnej nadziei.

Osobiście radziłbym dodać mu do kroplówki dwie setki wódki, żeby w dobrym nastroju odszedł do nieba hasać z aniołkami.

W kulisach Watykanu nabierały tempa przygotowania do wyboru następcy świętego Piotra. Oficjalny komunikat informujący o zgonie, czekał na biurku kardynała Kamerlinga, aż serce papieża przestanie bić.

W Kaplicy Sykstyńskiej, zamkniętej dla zwiedzających, przygotowywano się do konklawe, podczas którego zgromadzenie kardynałów wybierze nowego papieża. Kardynałowie pretendujący do najwyższej godności zabiegali o poparcie swoich najbardziej

wpływowych kolegów. Liczyli i przeliczali głosy poparcia, tworząc frakcje, powołując się na oddane przysługi oraz strasząc ewentualnych opornych najgorszymi karami.

Pośród *papables*, jedno nazwisko pojawiało się stale na ustach wszystkich: niemal nic nie mogło przeszkodzić w wyborze na następcę świętego Piotra kardynała Mariniego, najmłodszego od dwustu lat dostojnika, który otrzymał purpurę kardynalską. Jego los był z góry przesądzony. Pozostało mu już tylko czekać cierpliwie na zgon obecnego papieża.

Marini był ucieleśnieniem przyszłości Kościoła. W powszechnej opinii, tylko on był w stanie wyciągnąć go z marazmu, w który popadł za pontyfikatu obecnego papieża. Ten, zbyt przywiązany do dawnych doktryn, nie dostosował się bowiem do przemian końca XX wieku.

Konserwatyzm papieża w kwestii seksu i moralności sprawił, że Kościół przemienił się w martwą instytucję, obcą społeczeństwu. Tak jak on, Kościół znajdował się teraz pod respiratorem i umierał spokojnie pod sufitem zdobionym bogatą sztukaterią.

Kościół potrzebował nowego przewodnika - Mariniego. Tylko on zdołała tchnąć w tę skostniałą instytucję nowe życie. Tylko on będzie umiał odkurzyć starzejące się dogmaty, zwiększyć ilość powołań i przyciągnąć wiernych do pustych ławek katedr.

Poza rozległą wiedzą, dzięki której doszedł do najwyższych godności kościelnych, przykładnym życiem i wrodzoną dyplomacją, ów energiczny pięćdziesięciolatek był otwarty na nowoczesność. Jego wypowiedzi, w których niemal jawnie krytykował konserwatyzm kardynałów, wywołały zgrzytanie wielu protez w watykańskich refektarzach.

Marini posiadał jeszcze jeden atut, który decydował o jego dużej przewadze nad konkurentami. Opatrzność Boska uznała za stosowne obdarzyć go czarującym uśmiechem i ciałem atlety, rzeźbionym dzień po dniu w sali gimnastycznej urządzonej w prywatnej rezydencji wysokich dostojników kościelnych.

Wykorzystując zręcznie swoje wrodzone zalety i niezwykle cięty język, Marini stał się w ciągu paru lat prawdziwą gwiazdą mediów. Każde z jego wystąpień w telewizji biło rekordy oglądalności.

Trudno się dziwić, że swój sukces zawdzięczał przede wszystkim kobietom. Według różnych badań, jego nazwisko i twarz znało prawie

siedemdziesiąt dwa procent żeńskiej widowni poniżej pięćdziesiątego roku życia. W środowiskach gejowskich, niebędących zazwyczaj na bieżąco w kwestiach religii, liczba ta stanowiła prawie pięćdziesiąt procent. Nigdy żaden dostojnik nie zdobył takiej sympatii w tak różnych warstwach społecznych.

Jeśli Marini zostanie wybrany na papieża, Kościół katolicki czeka druga młodość. Jednak to nie kobiety i geje będą głosować na konklawe. Badania rynku i sondaże opinii nie będą miały żadnego znaczenia, z chwilą gdy zamkną się drzwi Kaplicy Sykstyńskiej. Marini będzie musiał przekonać nie ich, lecz zgromadzonych starców, by powierzyli mu klucze Watykanu. Kości nie zostały jeszcze rzucone.

Mimo niepewności, prasa znalazła już przydomek dla nowego anioła Kościoła. Nagradzany gromkimi brawami przy każdym wystąpieniu publicznym, „Kennedy Watykanu” przyjmował owe honory ze skromnością godną pierwszych chrześcijan.

Oficjalnie, nawet przez chwilę nie myślał o tym, by zasiąść na tronie świętego Piotra. Jego powołaniem była służba bliźniemu, dla dobra całej ludzkości. Nie zależało mu, czy znajdzie się w Rzymie, czy gdzie indziej. Podążał tylko za wolą Pana. Amen.

Reportaż kończył się wizytą Mariniego w jednej z faweli Rio de Janeiro, gdzie otaczały go niezliczone tłumy. Wierni przepychali się, żeby się do niego zbliżyć, skandowali jego imię i podchodzili do niego jak do świętego. Matki wyciągały ku niemu dzieci, żeby je pobłogosławił, chorzy pokazywali mu swe rany w nadziei na cudowne uzdrowienie, a kilka osób włożyło T-shirty z jego podobizną.

To była scena z innego tysiąclecia, kiedy królowie cudotwórcy leczyli skrofuły w cieniu dębu, a wędrowni kaznodzieje przemierzali Zachód, żeby głosić Słowo Boże.

W samym środku tej masy ludzkiej kardynał Marini zachowywał się bardzo swobodnie. Przechodził od jednego do drugiego, znajdując zawsze właściwe słowo współczucia lub nadziei, dotykając palcami czoł, które mu podstawiano i słuchając płynących ze wszystkich stron skarg.

Jego promienny uśmiech zastygł na moim telewizorze, podczas gdy przesuwali się końcowe napisy, a ja powoli zasypiałem. Tej nocy nie miałem żadnych snów.

## 44

- Masz, napij się - powiedział Lopez do Sary, podając jej szklankę wypełnioną do połowy brunatnym płynem. Nie mam piwa, ale to leżakowało trzydzieści lat w szkockiej piwnicy. Copler był tego wart.

Sobie nalał podwójną porcję, położył butelkę na stolik i uniósł do góry szklankę.

- Za ostatniego z prawdziwych dziennikarzy. I z kim się teraz będziesz ze mnie nabijać?

- Wiedział pan?

- Nie jestem aż taki głupi. Pij.

Sara skrzywiła się przy pierwszym łyku whisky. Smak starego spleśniałego torfu rozszedł się po jej ustach i został jeszcze długo po tym, jak alkohol spłynął do jej żołądka.

Lopez rozsiadł się na stojącej przed nią kanapie. Nigdy do tej pory nie zaprosił jej do siebie. Zresztą, żaden pracownik policji kryminalnej jeszcze u niego nie był. W wydziale krążyły na ten temat najbardziej absurdalne pogłoski.

Opowiadano, że komisarz mieszkał w specjalnie urządzonej piwnicy w podziemiach Wydziału Spraw Kryminalnych lub ciasnym mieszkanku na przedmieściach, wytapetowanym plakatami Sinastry. Chętnie wyobrażano go sobie, jak siedzi przygnębiony w szlafroku z wyhaftowanymi inicjałami, czytając po raz dziesiąty jeden z kryminalów Jamesa Ellroy'a i słuchając starego albumu Rat Pack.

Pewne było tylko, że mieszkał sam, odkąd odeszła od niego żona, że sam prasował sobie koszule i że niezbyt dobrze mu to wychodziło.

Sara uśmiechnęła się na myśl o tych plotkach. Miejsce, w którym się znajdowała, w niczym nie przypominało piwnicy, a jeszcze mniej ciasnego mieszkania. Wprost przeciwnie, było to duże,

komfortowe mieszkanie na górnym piętrze i z pięknym widokiem na południową część stolicy, znajdujące się o dwa kroki od Quai des Orfèvres, po drugiej stronie Sekwany. Z okna widać było błyszczącą w oddali wieżę Eiffla, oświetloną dziesiątkami tysięcy żarówek przyczepionych do jej stalowych belek. Wielu teksańskich bogaczy dużo by dało za takie gniazdko w Paryżu.

Wystrój salonu stanowiły jedynie kanapy z czerwonej alcantara niskiego stolika ze szklanym blatem i kilkoma obrazami współczesnych artystów zamiast plakatów Sinatry. Lopez przedkładał najwyraźniej Soulagesa i Alechinskiego nad starych, nieżyjących już piosenkarzy.

Wystrój niczym z magazynu wnętrzarskiego, pomyślała Sara. Nie widziała innych pomieszczeń, ale sądziła, że były urządzone w podobnym stylu - surowym i harmonijnym.

- Odszyfrowałaś notatki Copleera? - zapytał Lopez.
- Z wielką trudnością. Pisał jak kura pazurem. Straciłam na to cały dzień, ale opłacało się. Mam to szybko streścić?
- Słucham.

Sara rzuciła okiem na własne notatki zrobione z kartek znalezionych u Copleera. Odchrząknęła i zaczęła mówić.

- Banco Romano to najstarszy bank we Włoszech. Został założony w 1645 roku przez rodzinę D'Isola - bogatych kupców, którzy zbili fortunę na spekulacji kursem tkanin. Od 1972 roku bankiem kieruje ostatni potomek rodu, Tommaso D'Isola. Jest kawalerem, niedawno skończył sześćdziesiąt lat. Mieszka sam w rodzinnym pałacu o dwa kroki od Villa Borghese. Wielki luksus: dwadzieścia pięć pokoi, osiem tysięcy metrów kwadratowych terenu, kolekcja samochodów wyścigowych w garażu. D'Isola ma wyszukane gusta, ale ponieważ życie się do niego uśmiechnęło, ma wystarczająco dużo pieniędzy, by je zaspokoić. Interesy Banco Romano idą świetnie. Bank dobrze prosperuje. Trzeba powiedzieć, że jego klientami jest sama śmietanka towarzyska. Rzymska arystokracja i bogaci miejscowi przedsiębiorcy, którzy chętnie powierzają zarządzanie swoim majątkiem. Mało klientów, ale za to sami bogacze.

- Ma to coś wspólnego ze sprawą Natalii Velit?
- Nic. Natomiast, oprócz faktu, że Fargue posługiwał się Banco Romano do wyprowadzania swoich pieniędzy do Luksemburga,

sam D'Isola odegrał ważną rolę w latach ołowiu. O mało co nie stracił wszystkiego na początku lat osiemdziesiątych, kiedy jego bank był zamieszany w wielki skandal finansowy. D'Isola współpracował z Instytutem Dziej Religijnych, watykańskim bankiem kierowanym przez kardynała Marcinkusa. Prowadzący śledztwo podejrzewali go o pranie brudnych pieniędzy niektórych partii politycznych, przede wszystkim Chrześcijańskiej Demokracji, ale formalnie niczego mu nie udowodnili. Pieniądze te wykorzystano następnie do walki z umacniającą się włoską lewicą, czyli do finansowania zamachów i morderstw. Słowem, D'Isola maczał palce we wszystkich aferach, które miały wówczas miejsce. Kiedy przyszedł czas na wyrównanie rachunków, jego bank o mały włos uniknął losu Banco Ambrosiano. Udało mu się ocalić ruchomości i uniknąć procesu, z pewnością dzięki łapówkom. Od tamtej pory znów cieszy się szacunkiem.

- Copler ustalił jakiś bezpośredni związek między nim a Luigim Cantorem?

- Nie, ale D'Isola i Cantor byli pionkami na tej samej szachownicy. Być może Cantor, uciekając z kraju, zabrał ze sobą kilka kompromitujących dokumentów. Przypuśćmy, że przed śmiercią zagroził D'Isoli, że wyciągnie na światło dzienne stare historie. Pełno takich gości w agonii, którzy chcą sprawić sobie ostatnią przyjemność, wyrównując stare rachunki.

Lopez był sceptyczny. Po dwudziestu pięciu latach, któż jeszcze mógł się obawiać tego starca nad grobem?

- I Tommaso D'Isola przyjechałby z mordercą, żeby sprzątnąć Cantora, jego syna i wszystkich ich znajomych po to, by definitywnie zatuszować zapomnianą aferę? Wydaje mi się to trochę naciągane. Jeśli chciał zachować dyskrecję, to raczej źle się do tego zabrał. Biorąc pod uwagę liczbę trupów, które za sobą zostawia, osiągnął odwrotny skutek do zamierzonego.

- D'Isola spędził ten tydzień w Paryżu - ciągnęła dalej Sara, by przeprowadzić swoje rozumowanie do końca. - Dziś po południu skontaktowałam się z szefem bezpieczeństwa na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. To D'Isola podróżował na bilecie, którego formularz zamówienia przesłano Coplerowi. Odleciał do Rzymu dziś rano o dziesiątej trzydzieści pięć, mniej więcej o tej samej porze, kiedy odnaleziono ciało Coplera. Jeśli przedzwonię w parę miejsc, na

pewno znajdę jeszcze jego ślad w jakimś luksusowym hotelu. D'Isola jest człowiekiem, którego szukamy, jestem tego pewna.

- Fakt, że znalazł się w promieniu dziesięciu kilometrów od miejsc zbrodni, niczego nie dowodzi.

- To prawda - przyznała Sara, ale nie mamy innego śladu...

Lopez milczał przez kilka sekund. Nalał sobie drugą szklankę whisky.

- Dziś po południu miałem telefon od szefa gabinetu ministra. Uważa, że śledztwo posuwa się zbyt powoli i domaga się wyników. Zażądał, żebym odsunął cię od sprawy. Powiedziałem mu, że zastanowię się nad jego propozycją. Dał mi do zrozumienia, że mam czas do jutra rano, by odesłać cię do zajmowania się drobnymi sprawami, bo jak nie, to obydwójce będziemy liczyć zwłoki rozjechanych kundli.

- Ale komisarzu, nie może pan...

Lopez przerwał jej stanowczym ruchem ręki.

- Oczywiście, że mogę. Zwłaszcza, jeśli żąda tego ode mnie osoba numer dwa w ministerstwie. Sądzę, że musisz wyjechać na wakacje, Saro. Zrobiłem głupotę, zostawiając cię samą z tą sprawą. Za bardzo cię pochłonęła. Potrzebujesz odpoczynku.

- Czuję się bardzo dobrze. Zapewniam pana.

Sara odłożyła szklankę na stolik. Wstała, wzięła swoją kurtkę i włożyła ją na siebie.

- Chce pan żebym złożyła swoją dymisję natychmiast, może pan zaczekać do jutra rana?

- Saro, przestań obrażać się na każdą z moich uwag. Jesteś wykończona, widać to z daleka. Przyznaję ci tydzień urlopu. A jako premię - jestem bowiem miłym szefem - daję ci bilety lotnicze. Proszę, łap...

Wyciągnął z kieszeni kopertę i rzucił ją na stół obok pustej szklanki. Sara nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi.

- Mam gdzieś pana bilety, komisarzu. Nie potrzebuję wakacji i kropka. Proszę dać mi raczej coś do roboty.

Lopez uśmiechnął się ironicznie i zagłębił się w kanapie. Sprawiał wrażenie, jakby cieszyła go ta konfrontacja, co jeszcze bardziej rozzłościło Sarę.



- Wkurza mnie pan. Spadam. Proszę znaleźć sobie kogoś innego do tych pieprzonych śledztw.

Odwróciła się i zaczęła iść w stronę drzwi.

- Zanim obrzucisz mnie wyzwiskami albo podziurawisz swoją .38 - odezwał się Lopez - rzuć okiem na bilet.

Pochylił się nad kopertą, wyciągnął z niej bilety i rozłożył je na stole.

- Jedziesz do Rzymu. Na cały tydzień. Zarezerwowałem ci hotel w samym centrum. Będzie wliczony w koszty, tak samo jak rachunki z restauracji. Ale uwaga, to nie są wakacje. Chcę, żebyś pokręciła się wokół Tommasa D'Isoli i poszukała dowodów na to, że jest zamieszany w tę sprawę. Tylko bądź ostrożna, dopóki nie uzyskam międzynarodowej pomocy w sprawach karnych. To zajmie kilka dni, zanim sędzia napisze wniosek. Do tego czasu będziesz zwykłą turystką, która przyjechała podziwiać starożytne zabytki. Nie będę mógł ci pomóc w razie kłopotów.

- Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego pan to robi, komisarzu? Dlaczego pan tak bardzo ryzykuje?

- Bo cię lubię, dziewczynko. Lubię cię, bo masz cholernie paskudny charakter, który przypomina mi bardzo moją byłą żonę. A poza tym, nie cierpię, jak ktoś mi mówi, w jaki sposób kierować swoimi ludźmi. Będziesz zajmować się tą sprawą, dopóki ja nie zadecyduję inaczej. A ten idiota z ministerstwa może wydawać swoje rozkazy... wiesz gdzie. Zresztą i tak wyleci ze stanowiska po przyszłych wyborach.

Sara poczuła nagle zażenowanie.

- Bardzo mi przykro za tamto... Nie powinnam mówić panu takich rzeczy.

- Nie przejmuj się. Nie spodobałoby mi się, gdybyś przyjęła to spokojnie. A teraz idź odpocząć. Samolot odlatuje jutro o siódmej rano. Musisz być wypoczęta.

Lopez wstał i odprowadził Sarę do wyjścia.

- Saro, jeszcze jedno... - powiedział, otwierając drzwi.

- Tak, komisarzu?

- Nie mów nikomu, że nie mam na ścianach plakatów Sinatry. Przez trzydzieści lat tworzyłem tę legendę i chciałbym, żeby przetrwała co najmniej do mojej emerytury. I zdobądź dla mnie

wystarczająco dużo dowodów, by posłać tego sukinsyna do paki na dożywocie... Zrób to dla Copleera.

Sara skinęła głową i wsunęła bilety do kieszeni.

- Dla Copleera!

## 45

Dochodziła ósma, kiedy obudził mnie telefon. Zamroczony jeszcze wczorajszymi koktajlami, potrzebowałem kilku chwil, żeby zidentyfikować swojego rozmówcę.

- Aleks, jak ci się spało?

- Wspaniale - odpowiedziałem zaspanym głosem, rozpoznając Tenentiego. - Od dziś koniec z fantą.

Tenenti nie zwrócił uwagi na moje ostatnie zdanie. Jeśli uznał je za głupie, nie dał nic po sobie poznać. Wydawał się być w doskonałym humorze.

- Jestem już w drodze - powiedział. - Będę u ciebie za dziesięć minut. Będziesz pod hotelem?

- Cholera, Sergio - jęknąłem. - Jest wcześniej...

Moje stwierdzenie było przede wszystkim prośbą. Tenenti nie wziął tego oczywiście pod uwagę. Przybrał pouczający ton, jakiego nawet mój ojciec nie miał odwagi używać, zwracając się do mnie, od kiedy skończyłem dwanaście lat.

- Aleks, dziś rano mamy dużo rzeczy do zrobienia. Lepiej zabrać się za to od razu.

- Z jedną czy dwiema tabletkami amfetaminy udałoby mi się otworzyć oczy. Masz coś takiego pod ręką?

- Nie, ale znam bar, w którym serwują najmocniejszą kawę na świecie. Odpowiada ci?

- Dobra - zgodziłem się bez przekonania. Lepsze to niż nic... - Sergio, zdradź mi swój sekret. Jak możesz być o tej porze na nogach?

- Kiedy będziesz w moim wieku, nie będziesz pamiętał, kiedy przespałeś ostatni raz całą noc. Za dziesięć minut?

- Przed hotelem - dokończyłem. - Mam nadzieję, że w tym barze podają czystą kofeinę.

- Lepszą niż jakiegokolwiek chemiczne świństwo. Do zobaczenia.

Dziewięć minut później przekraczałem drzwi hotelu źle ogolony i po szybkim prysznicu. Ze słonecznymi okularami na nosie dla zamaskowania opuchniętych oczu, spoglądałem w najbliższą przyszłość - w tym przypadku kolejny emocjonujący dzień pełen zaskakujących wydarzeń - z umiarkowanym entuzjazmem.

Tenenti, w nieskazitelnym stroju pustynnego wojownika, czyli beżowej marynarcie z licznymi kieszeniami nałożonej na lnianą koszulę, czekał już na mnie za kierownicą swojego samochodu zaparkowanego na przejściu dla pieszych.

Ruszył, zanim zdążyłem zapiąć pas i wziął pierwszy zakręt na trójce. Samochód wpadł w poślizg, uderzył o chodnik po przeciwnej stronie ulicy i dalej pędził z szaloną szybkością.

Dobroczynne działanie prysznicia natychmiast minęło.

- Spokojnie... - jęknąłem. - Nie znoszę zbyt dobrze porannego rodeo.

Tenenti nie odrywał oczu od drogi i przyspieszył jeszcze bardziej. Odbiło mi się kwasami z żołądka.

- Dziękuję za uwzględnienie moich zażaleń - westchnąłem.

- Spieszno ci, by usłyszeć, co mam ci do powiedzenia? - zapytał Tenenti w chwili, gdy wskazówka licznika przekraczała kreskę osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Odkąd znałem Lolę, nie działały już na mnie takie głupie szantaże. Założyłem ręce, zamknąłem oczy i postanowiłem zaczekać, aż Tenenti znów stanie się tym ponurym i apatycznym człowiekiem, którego poznałem dwa dni wcześniej u *don* Francesco.

Zatrzymał się gwałtownie z piskiem opon dwie ulice dalej. Moja twarz zatrzymała się dziesięć centymetrów od przedniej szyby.

- Zawsze tak prowadzisz? - zapytałem, po tym jak zwróciłem na chodnik całą zawartość przewodu pokarmowego.

- Tylko wtedy, gdy mój pasażer musi wytrzeźwieć.

Cóż mogłem mu odpowiedzieć? Jego metoda, zainspirowana bez wątpienia delikatnością mojego wielkiego przyjaciela Bronco, okazała się skuteczna. Po tym przymusowym oczyszczeniu, moje jelita miały się o wiele lepiej.

- Drobnny szczegół, Sergio: bądź tak miły i uprzedź mnie na następny raz.

- Wtedy jest o wiele trudniej. Teraz potrzeba ci czegoś na wzmocnienie. Chodź, jesteś już blisko.

Usiedliśmy przy stoliku na tarasie malutkiego bistro. Właściciel rozpoznał Sergia i natychmiast przyniósł nam dwie kawy. Wypiłem swoją jednym haustem. Poczulem nagły przypływ energii, wynikający raczej z efektu placebo niż trzech mililitrów płynu znajdującego się na dnie filiżanki.

- Jakież dobre wieści? - zapytałem, dając znak właścicielowi, aby przyniósł nam drugą kawę.

- Skontaktowałem się z przyjacielem komisarzem w sprawie twojego ojca. Spędził cały wieczór na wydzwanianiu do swoich kolegów z Ministerstwa Sprawiedliwości i z tajnych służb. Wspomniano mu coś na temat szpitala wojskowego niedaleko Rzymu, ale nie jest niczego pewien. Będzie próbował dowiedzieć się czegoś więcej. Poza tym, przesłał mi to dziś rano przez gońca.

Tenenti podał mi mały kalendarz. Na czerwonej skórze widniał wytłoczony inicjał Hermesa. Był to stary model z lat siedemdziesiątych na spirali, z wymienianym co roku wkładem. Okładkę i grzbiet pokrywała duża, ciemna plama, która przeniknęła głęboko w skórę. Nie musiałem go otwierać, żeby dowiedzieć się, do kogo należał.

- Nie można powiedzieć, żeby twój kumpel był skąpy. Czy nie nazywa się tego powszechnie dowodem rzeczowym?

- Walał się w pudle w archiwum. Obiecałem, że go zwrócę, kiedy nie będzie już potrzebny. Jeśli go poprosimy, prześle mi resztę jej osobistych rzeczy. Francesca miała przy sobie ten notatnik w chwili wybuchu. To tłumaczy, w jakim jest stanie.

Tenenti miał na myśli plamę krwi na okładce. Krew mojej matki. Pierwszy dowód zamachu, który dane mi było zobaczyć, odkąd przybyłem do Rzymu. Sergio myślał prawdopodobnie, że wzbudzi we mnie smutek lub odrazę. On sam trzymał go końcami palców, jakby przez sam kontakt mógł zostać wmieszany w dawny zamach.

Jeśli chodzi o mnie, dotknięcie tej relikwii przyniosło mi pewną ulgę. Śmierć matki stawał się w końcu materialną rzeczywistością, a nie zdarzeniem opisanym na pożółkłym papierze gazety.

Długo obracałem notes w rękach. Być może na tych stronach znajdowało się wyjaśnienie wszystkiego. Masa złamanych żyć ludzkich,

które zawierały się w kilku literach wyblakłych z upływem czasu. Mimo ciekawości, paraliżowała mnie już sama myśl o tym. Upłynęło sporo minut, nim zdecydowałem się go otworzyć.

Odszukałem natychmiast datę zamachu. Nie było to trudne, bowiem tę stronę zaznaczono zdjęciem złożonym na pół. Była to odbitka, którą ojciec przechowywał w swoim pudełku na buty. Jej widok, po tym jak udałem się na miejsce zamachu, wywołał w moim sercu przeszywający ból.

Nic nie zapowiadało tragedii, która miała się wydarzyć. Moi rodzice byli uosobieniem bez troski i radości życia. Obejmowali się w talii i patrzyli w obiektyw, jakby otwierało się przed nimi szczęśliwe życie. Nawet Tenenti nie miał nic wspólnego z tym przygnębiwym człowiekiem, który siedział przede mną.

W dniu śmierci matka udała się na dwa spotkania. Pierwsze, o jedenastej, z pewnym Lantaną. Trzydzieści minut później, miała zobaczyć się z Mario Montim. O dwunastej wybuchła bomba. Stara, dobra tragedia w trzech aktach.

To, że ten straszny dramat mógł sprowadzać się do dwóch nazwisk wypisanych w notesie, zakrawało na kpiny. Mógłbym się z tego uśmieć, gdybym nie był wzruszony do tego stopnia, że straciłem głos.

Tenenti przerwał w końcu ciszę.

- Nie trzeba szukać dalej. Mario dał jej bombę, kiedy się spotkali. To więcej jak pewne.

- A nazwisko Lantana, słyszałeś je już kiedyś?

- Tu, sprawa robi się poważna. Bardzo poważna.

- Do tego stopnia?

- Jeszcze bardziej. Lantana lub raczej kardynał Lantana, kierował Administracją Dóbr Stolicy Apostolskiej od 1961 roku do czasu przejścia na emeryturę około 1978 roku, jeśli się nie mylę. Zajmował ważne miejsce w hierarchii Watykanu. Znajdował się nawet w samym środku tego systemu. Zarządzał całym majątkiem ruchomym i nieruchomym. Miał totalną władzę nad finansami Stolicy Apostolskiej. Papieże umierali i następowali po nich nowi, ale Lantana był ciągle na swoim stanowisku, coraz silniejszy i bardziej wpływowy.

Tenenti zamilkł na kilka chwil. Wydawał się nie do końca przekonany.

- Jestem zaskoczony, że jego nazwisko znajduje się w notesie Franceski - powiedział. - Lantana przechwalał się zawsze, że nasze idee budziły w nim odrazę. Nigdy nie ukrywał swoich związków z najbardziej konserwatywnym skrzydłem Chrześcijańskiej Demokracji.

- W takim razie, po co matka miała się z nim spotkać?

- Nie mam pojęcia. Na pewno nie z powodu jakiegokolwiek pokrewieństwa politycznego.

- Myślisz, że ojciec wiedział o tym spotkaniu?

- Wątpię. Gdyby wiedział, nie pozwoliłby jej na to. Zrobiła to ze swojej własnej inicjatywy, jestem o tym przekonany. Zastanawiam się tylko, dlaczego.

- Żeby wynegocjować rodzaj rozejmu? Polubowny pokój?

- Nie, to nie ma sensu. W chwili śmierci Francesca nie prowadziła działalności politycznej. Była mniej zaangażowana w Lotta Rossa, pewnie dlatego, że poświęcała dużo czasu swojej pracy dziennikarskiej. Rozpocząła swoją karierę. Kilka miesięcy wcześniej została zatrudniona w małym magazynie zajmującym się dziennikarstwem śledczym. Nie mogła pozwolić sobie na marnowanie sił na nocnych zebraniach i niekończących się dyskusjach. A poza tym dużo zajmowała się tobą. Luigi nie był w tamtym czasie zbyt troskliwym ojcem. Trzeba przyznać, że był bardzo zajęty...

- Redagowaniem swoich dziełek i podróżowaniem po świecie w celu wygłaszania swoich idei. Wiem...

W moich słowach wyczuwało się odrobinę urazy. Ojciec nigdy nie wypowiedział się jasno na ten temat, ale zrozumiałem, że miał sobie za złe, że nie było go w Rzymie w dniu zamachu. Poświęcając się walce politycznej, zapomniał o istnieniu własnej rodziny.

Matka cierpiała z powodu tego, że zeszła na drugi plan. Z pewnością chciała mu pokazać, że ona również zasługiwała na jego uwagę. Oto dlaczego zajęła się dziennikarstwem śledczym.

A on niczego nie zauważył, niczego nie zrozumiał. Jak mógł być tak zaślepiiony?

Jakby się dobrze zastanović, sam nie byłem w dużo lepszej sytuacji, i nie miałem prawa udzielać nikomu lekcji jasnowidzenia. Ja też nie wiedziałem o cierpieniu Natalii. Nie domyśliłem się jej ran z przeszłości. A wystarczyło tylko, żebyśmy otworzył oczy.

Ale czy naprawdę tego chciałem? Albo raczej: czy byłem zdolny do tego, by dzielić najmniejszą cząstkę mojego osobistego życia z inną istotą ludzką? Czy nie byłem przypadkiem człowiekiem przepelnionym do głębi egoizmem i obojętnością?

Bilans mojego życia nie był zbyt chlubny. Miałem trzydzieści lat i żadnej bliskiej osoby w moim życiu. Spędzałem wieczory na oglądaniu filmów DVD na zestawie kina domowego i paleniu jointów.

Sprzedawałem (nieudolnie) dzieła sztuki, w większości bardzo mierne, po horrendalnych cenach. Przespałem się parę razy z Lolą na kanapie w galerii, zanim nie zmiażdżyła mi piętą jąder. Kiedy nie drzemałem w swoim mieszkaniu, opróżniałem minibar w pokoju hotelowym i opijałem się, oglądając jakiś gówniany program.

Nie mogłem nikomu udzielać lekcji. Nikomu.



Kardynał Lantana, dawny sekretarz Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej, przeniesiony na obowiązkową emeryturę po osiągnięciu kanonicznego wieku siedemdziesięciu lat, znalazł schronienie w klasztorze, w głębi wioski oddalonej o pięćdziesiąt kilometrów od Rzymu.

W tym zacisznym miejscu na szczycie stromego wzgórza mógł wreszcie oddawać się całymi dniami medytacji i lekturze świętych ksiąg - czynnościom, których był pozbawiony przez czterdzieści lat piastowania odpowiedzialnych funkcji.

Oficjalnie, odesłano go w to sielankowe miejsce w uznaniu za wieloletnie poświęcenie w służbie trzech kolejnych papieży.

Tak naprawdę, Lantana znalazł się wbrew swojej woli w tym hospicjum dla wysokich dostojników kościelnych. Papież Jan Paweł I nie zdążył wprawdzie podjąć wiele decyzji przed śmiercią, która nastąpiła już po pierwszym miesiącu pontyfikatu. Jedną z pierwszych było jednak pozbycie się tego niewygodnego kardynała, wywiązującego się z wielką niechęcią z obowiązku składania przed nim sprawozdań i pragnącego dyktować mu swoją wolę.

Tak jak dla wszystkich emerytowanych dostojników Kościoła, to odsunięcie od dotychczasowych obowiązków było dla niego równoznaczne z ostatecznym wygnaniem i szło w parze z wyrzeczeniem się wszelkiej działalności apostolskiej.

Lantana, przyzwyczajony do zarządzania silną ręką finansami Watykanu, odczuł to bardzo boleśnie. Po latach dyktowania głównych kierunków polityki Stolicy Apostolskiej, znalazł się w skromnej celi, odliczając dni upływające w rytm modlitw i postów.

Tenenti wykonał kilka telefonów, by upewnić się, że Lantana jeszcze żyje. Dwie godziny później parkował samochód przed bramą

klasztoru dominikanów pod wezwaniem Chrystusa Króla. Sam dom wypoczynkowy był rodzajem ufortyfikowanej cytadeli, otoczonej dziesięciometrowym wałem obronnym z otworami strzelniczymi w połowie wysokości.

Mimo rozległego widoku na okoliczną wioskę, poza chmarą kruzków siedzących na drzewach rosnących najbliżej drogi, nie zauważyliśmy żadnej żywej istoty. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że odkąd skręciliśmy w drogę prowadzącą do klasztoru, przez dwaście kilometrów nie minęliśmy się z żadnym samochodem.

Całości dopełniała gęsta filmowa mgła, nadająca temu miejscu jeszcze bardziej ponury nastrój. Duch Wilhelma z Baskerville z pewnością krążył jeszcze po tutejszej okolicy w towarzystwie swojego wiernego Adso, najgłupszego nowicjusza w historii literatury.

Widząc to miejsce, zastanawiałem się, gdzie najwyższe instancje Watykanu wysyłały dostojników kościelnych, z których nie były zadowolone. Na pewno bezpośrednio do kadzi z wrzącym olejem lub do grot wykutych pod Bazyliką św. Piotra, z kneblem w ustach, żeby turyści nie słyszeli ich rozpaczliwych jęków. Zaczynałem lepiej rozumieć przyczynę kryzysu powołań zakonnych.

Tenenti podszedł do drzwi, uniósł ciężką kołatkę z brązu i opuścił ją. Dźwięk rozpląnął się w wilgotnym powietrzu, jakby stłumiła go mgła. Po drugiej stronie bramy panowała jednak niczym niezamącona cisza.

Przerażało mnie to miejsce. Próbowałem przekonać Sergia, żebyśmy się stąd wynieśli i powrócili do cywilizacji.

- Sergio, jestem przemarznięty. Chodźmy już... Może pomierali jeden po drugim, a ostatni nie miał siły powiadomić o tym władz. Wszyscy o nich zapomnieli, a oni ulegli powolnemu rozkładowi. *Prochem jesteś...* i tak dalej. Znasz ten motyw. Zapraszam cię na obiad. Na pewno jest tu w okolicy jakaś miła oberża.

Tenenti nie raczył odpowiedzieć, ani nawet się poruszyć. Stał i wpatrywał się prosto w drzwi.

- Wkurzasz mnie, Sergio! - nie dawałem za wygraną. - Nie będziemy tak stać do południa. Wynośmy się stąd. Tu jest tak ponuro.

Mój towarzysz puścił te słowa mimo uszu. Zawsze sądziłem, że to Lola była najbardziej oporną istotą na mądre rady. Widać się myliłem.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom, Tenenti zastukał w bramę po raz drugi. Jego twarz nie zdradziła żadnej emocji, kiedy otworzył się judasz, ukazując ciemne oczy. Przez mały otwór rozległ się grobowy głos.

- Nasz klasztor nie jest otwarty dla zwiedzających. Proszę wracać tam, skąd przybyliście.

Judasz zamknął się z głuchym trzaskiem. Nie ma co, chłopcy umieli zadbać o efekty specjalne.

Tenenti ponownie posłużył się kołatką. Tym razem nie musieliśmy długo czekać. Oczy portiera pojawiły się natychmiast.

- Powiedziałem panom, że...

- Przyjechaliśmy zobaczyć się z kardynałem Lantaną.

- To niemożliwe. Bracia uczestniczyli wczoraj w czuwaniu. Jego Eminencja modlił się z nimi do późna w nocy. Nie jest w stanie przyjmować wizyt.

- Proszę mu powiedzieć, że przychodzimy w sprawie zamachu z 15 maja 1978 roku. Być może Jego Eminencja zgodzi się wysłuchać, co mamy mu do powiedzenia?

Wartownik zastanowił się i szybko zrozumiał, że Tenenti nie ruszy się stąd, dopóki nie dopnie swego.

- Proszę chwilę zaczekać.

Usłyszeliśmy odgłos jego kroków na żwirze. Kilka minut później, brama otworzyła się w końcu. Wpuścił nas portier opatulony w ciemną pelerynę owiniętą wokół wełnianego habitu.

- Nasz przeor, ojciec Gaiazzo, oczekuje panów w swoim biurze. Proszę iść za mną.

Droga do głównego budynku prowadziła przez dziedziniec. Wewnątrz klasztor nie wyglądał bardziej przyjemnie niż na zewnątrz. Widocznie mnisi nic nie wiedzieli o współczesnych wygodach. Kilka żarówek wiszących u sufitu, słabo oświetlało płataninę korytarzy, które przemierzaliśmy. Mimo że była wiosna, panowały tu niskie temperatury.

- Nigdy tu nie grzejecie? - zapytałem naszego przewodnika.

- Nie jesteśmy tu po to, by korzystać z próżnych przyjemności życia. Znoszenie zimna jest niczym w porównaniu z cierpieniami,

jakie zaznał nasz Pan. Jesteśmy całkowicie zadowoleni z naszych warunków życia.

Po tych słowach znów zamilkł i szedł dalej. W końcu zatrzymał się przed otwartymi drzwiami.

- To tutaj. Proszę wejść.

W pomieszczeniu czekał na nas drugi mnich. Miał około sześćdziesiątki, a na jego twarzy gościła surowa mina rozpogadzająca się tylko raz do roku, kiedy, po tygodniach postu, mnich pozwala sobie wreszcie na łyk piwa bezalkoholowego.

Nie wstał na nasze powitanie, ograniczając się do wskazania nam krzeseł ustawionych na wprost jego biurka.

- Jestem ojciec Gaiazzo. Mam zaszczyt kierować życiem tego klasztoru. Z jakiego powodu chcą panowie spotkać się z kardynałem Lantaną?

- Prowadzimy śledztwo dotyczące zamachu, który kosztował życie matkę mojego towarzysza - odparł Tenenti, nie tracąc spokoju mimo wyraźnej wrogości gospodarza. - Wychodziła właśnie ze spotkania z Jego Eminencją, kiedy wybuchła bomba. Chcielibyśmy wiedzieć, o czym rozmawiali.

- Kiedy zamach miał miejsce?

- W 1978 roku, na kilka miesięcy przed jego przejściem na emeryturę.

- Rozumiem... Wątpię, czy godzi się zakłócać spokój Jego Eminencji tak dawnymi sprawami. Jest już bardzo stary. Kiedy przybył do nas, zostawił za sobą wszelkie wspomnienia związane z wykonywanymi zajęciami. Kardynał Lantana jest teraz zwykłym mnichem pośród swoich braci. Możecie więc zrozumieć, iż należy zostawić go w spokoju.

Mimo słabej znajomości retoryki kościelnej, domyśliłem się, że ojciec Gaiazzo wyraził ostateczną odmowę. Żałowałem, że nie wziąłem ze sobą jednego z tych magazynów, które nazywały mnie mordercą. Być może ten pełen arogancji święty człowiek wykazałby się wobec nas większym zrozumieniem, gdyby rozpoznał we mnie prawdziwego psychopatę.

Chociaż bardzo pragnąłem pokazać, że krążące o mnie opinie, nie były przesadzone, Tenenti nie dał mi okazji, bym popisał się swoimi nowymi talentami. Jak zwykle opanowany, odezwał się, zanim zdążyłem zareagować.

- Muszę stwierdzić, że wasz klasztor jest azylem, o który zabiega wiele osób. Nie tylko kardynał Lantana znalazł tu schronienie. Wydawało mi się, że rozpoznałem w mnichu, który nas przyprowadził, znaną niegdyś twarz. Wasz portier nie był przypadkiem najemnikiem, zanim przeobraził się w dominikanina? Zresztą, jeśli mnie pamięć nie myli, zanim grasował w Afryce, był poszukiwany we Włoszech za morderstwo popełnione podczas włamania, prawda? Kiedy to było? W połowie lat osiemdziesiątych, prawda?

Zarozumiała mina ojca Gaiazza znikła natychmiast.

- Myli się pan... - wybełkotał. - Pomylił go pan z kimś innym...

- Na szczęście, od czasu do czasu życie szykuje nam szczęśliwe przypadki. Byłem w Angoli w 1988 roku, kiedy spotkałem tego człowieka. Poprosił mnie, żebym zrobił mu zdjęcie przed zwłokami dwóch zwolenników prezydenta Agostino Neto, których zatorturował na śmierć. Dowodził wówczas ochroną osobistą buntownika Jonasa Savimbi. Nie wiedziałem, że nawrócił się w tak piękny sposób. Mogę odnaleźć zdjęcie, jeśli ojciec sobie życzy, albo prześlę je odpowiednim władzom.

Tenenti przybrał naturalną minę i patrzył mnichowi prosto w oczy. Kiwnął lekko głową, jakby nagle przyszła mu do głowy jakaś myśl.

- No właśnie, czy przełożeni wiedzą, że ojciec ukrywa przestępcę? No tak, pewnie mają to gdzieś. Facet musiał oddać cholernie wielkie przysługi, że zasłużył na takie schronienie. Myślę, że raczej poinformuję o moim spotkaniu kilku przyjaciół dziennikarzy.

- Dobrze - powiedział mnich. - Wystarczy tego. Spotkacie się z kardynałem Lantaną. Zresztą i tak do niczego się wam nie przyda.

- Co chce ojciec przez to powiedzieć?

- Czas zrobił swoje, tak jak czyni to z każdym z nas. Jego Eminencja jest bardzo osłabiony. Stracił władzę w nogach i ledwie co porusza rękami. Poza tym, jego władze umysłowe również ucierpiały. Ma duże trudności z wysławianiem się i nie rozumie, co się do niego mówi. Być może nie zauważy nawet waszej obecności. No, ale uprzedziłem panów...

Ojciec Gaiazza podniósł się, szeleszcząc swoim strojem. Tak jak portier, miał na sobie prosty, czarno-biały habit, sięgający prawie do ziemi. Zaprowadził nas do celi znajdującej się na pierwszym piętrze klasztoru, tuż nad klauzurą.

Nie okłamał nas co do stanu kardynała. Lantana, siedząc na wózku inwalidzkim ustawionym przy oknie, obserwował spod pół-przymkniętych oczu horyzont. Nie można było powiedzieć, czy patrzył na coś konkretnego, czy też jego wzrok błąkał się w oddali bez żadnego celu.

- Wasza Ekscelecja ma gości - oznajmił ojciec Gaiazzo.

Kardynał nie zareagował. Jego ciało przeszył słaby dreszcz, ledwie zauważalny spod pledu, który okrywał go od ramion do stóp.

- Ci panowie mają do Waszej Ekscelecji parę pytań. Sam ich tu przyprowadziłem.

Kardynał sprawiał wrażenie, jakby niczego nie usłyszał. Nie zareagował nawet wtedy, gdy para kruków przeleciała parę metrów od niego po drugiej stronie okna.

Ojciec Gaiazzo wskazał palcem na wychudłą postać dawnego zarządcy Stolicy Apostolskiej.

- Mogą panowie stwierdzić, że nie kłamałem, mówiąc o stanie, w jakim znajduje się Jego Eminencja. Nie mogę zrobić dla panów nic więcej.

- Jest ojciec pewien, że on żyje?

Ojciec Gaiazzo skwitował mój głupi kawał wzruszeniem ramion. Opuścił pomieszczenie, zamykając za sobą drzwi. Podszedłem do okna i przykucnąłem przy fotelu.

- Wasza Ekscelecjo... Księżę kardynale...

Starzec nie odpowiadał. Jedynie regularny ruch jego piersi przy każdym oddechu świadczył o tym, że jeszcze żyje.

Czasy, gdy ten człowiek kierował silną ręką administracją watykańską, już dawno minęły. Kardynał Lantana był już tylko opuszczonym i nikomu nie potrzebnym ludzkim wrakiem.

Położyłem rękę na jego ramieniu i potrząsnąłem nim lekko.

- Wasza Ekscelecjo, proszę się obudzić.

Dostojnik chrząknął. Odwrócił w moją stronę wychudłą twarz otoczoną długimi, siwymi włosami i spojrzął na mnie pustym wzrokiem.

- Wasza Ekscelecjo... - powtórzyłem. - Nazywam się Aleks Cantor. Wasza Ekscelecja spotkał się z moją matką w 1978 roku, tuż przed jej śmiercią. Próbuję zrozumieć, dlaczego ją zamordowano. Słyszysz mnie Wasza Ekscelecjo?

Starzec patrzył na mnie w milczeniu.

- Proszę sobie przypomnieć. To było 15 maja 1978 roku. Moja matka miała na imię Francesca. Francesca Pozzi. Zginęła w zamachu. Działała w organizacji Lotta Rossa.

Ta ostatnia nazwa zdała się poruszyć coś w Lantanie. W jego oczach pojawił się przeblysłk świadomości.

- Lotta Rossa - powtórzyłem. - Wasza Ekscelencja przyjął tego dnia moją matkę. Chciałbym dowiedzieć się, o czym rozmawialiście.

Lantana czynił widoczne wysiłki, by coś powiedzieć. Jego usta otwierały się i zamykały, nie wydając jednak żadnego zrozumiałego słowa.

- Proszę się postarać. Już się prawie udało...

Wykrzywione palce starca uniosły się na wysokość mojej twarzy. Przesunęły się po moim policzku, a następnie zacisnęły na kołnierzu mojej koszuli.

W maleńkiej celi rozległ się wreszcie drżący i ledwie słyszalny głos.

- Parki... - powiedział z trudnością. - To z ich winy...

Wyczytałem z jego źrenic, że tracił już przytomność umysłu.

Podjąłem ostatnią próbę, by nie pozwolić mu popaść ponownie w letarg.

- Proszę sobie przypomnieć. Co stało się tamtego dnia?

Kardynał Lantana już mnie nie słyszał. Jego dłoń wypuściła koszulę i opadła wzdłuż ciała, a jego pierś znów zaczęła powoli wznosić się i opadać.

- Nie rozumiem - nie dawałem za wygraną. - Co Parki mają z tym wspólnego?

- Aleks, zostaw go w spokoju - powiedział Tenenti. - Widzisz, że już nic nie można od niego wyciągnąć. Alzheimer wyjadł mu mózg.

Pomógł mi wstać i zaprowadził mnie do drzwi. Szedłem za nim odruchowo po labiryncie zimnych korytarzy. Dotarliśmy do samochodu, nie spotykając po drodze żywej duszy. Nawet portier o czarnych oczach porzucił swoje stanowisko.

Przez całą powrotną drogę rozmyślałem o absurdalności tej sytuacji. Przebyłem tę całą drogę tylko po to, aby usłyszeć zgrzybiałego starca mówiącego o mitologii greckiej.

Na myśl, że byłem tak blisko prawdy, uwięzionej w kilku zanikających połączeniach nerwowych, miałem ochotę wrzeszczeć.

Wczesnym popołudniem mieliśmy spotkanie u antykwariusza. Tenenti zaparkował samochód przed sklepikiem i wszedł ze mną do środka. Właściciel, tęgi mężczyzna niskiego wzrostu, prowadził właśnie ożywioną dyskusję z parą japońskich turystów zainteresowanych emaliowanym relikwiarzem wielkości pudełka na buty.

Przerwał swoją argumentację handlową, żeby nas przywitać.

- Wejdźcie moi drodzy! Usiądźcie na tych krzesłach, zaraz skończę i będę do waszej dyspozycji.

Powrócił do swoich klientów i kontynuował prezentację szkatułki. Zadbał o to, by znalazła się niedaleko figurki Madonny, która dzień wcześniej wywarła na mnie tak wielkie wrażenie. Efekt odpychający działał znakomicie: Japończycy starali się ze wszystkich sił nie patrzeć w stronę statuetki, woląc skupić swoją uwagę na relikwiarzu.

Dobito targu w kilka minut. Japończycy wyszli z butiku z uśmiechem na ustach, szczęśliwi, że udało się im zainwestować swoje oszczędności w tak wspaniałą pamiątkę z wakacji.

- Tylko mi nie mów, że relikwiarz był autentyczny? – zapytał go Tenenti. - Stałoby się to po raz pierwszy.

Antykwariusz wzruszył ramionami.

- Ech... Promienieli radością, kiedy wychodzili, nie? Tylko to się liczy. Relikwiarz nie pochodził być może z XIII wieku. Być może nie należał również do weneckiego doży, tak jak im powiedziałem. Ale w najgorszym wypadku jest to bardzo dobra kopia wykonana w ubiegłym miesiącu przez rzemieślnika, który ma warsztat dwie ulice dalej. Postawią ją sobie na kominku, a sąsiedzi będą nią olśnieni. A zresztą, za trzy tysiące dolarów trudno oczekiwać czegoś lepszego.

Moje zajęcie właściciela galerii wydało mi się zaraz mniej wstrętne. Przynajmniej sprzedawałem oryginalne dzieła. Ohydne, drogie i co tylko zechcecie, ale autentyczne.



- Dowiedział się pan czegoś na temat mojego obrazu? - zapytałem. - On też jest fałszywy?

- Bynajmniej. To obraz niejakiego Orazia Borgianniego, artysty, który pracował w Rzymie około 1648 roku. Nie jakaś miernota, ale przeciętny malarz bez polotu. Wykonywał masowo dla lokalnej arystokracji portrety takie jak ten. Na szczęście, po jego śmierci szybko o nim zapomniano. Według specjalistów, z którymi się konsultowałem, ten obraz jest prawdopodobnie jego najlepszym dziełem spośród niezliczonych bohomazów, które pozostawił dla potomności.

- Mówiąc krótko, Francesca zdobyła jedyne przyzwoite dzieło malarza drugiej kategorii? - wtrącił Tenenti.

- To dosyć słuszne spojrzenie na tę smutną rzeczywistość. Sam w sobie obraz nie posiada żadnej znaczącej wartości artystycznej czy handlowej. Natomiast, i to z pewnością zadecydowało o jej zainteresowaniu obrazem, płótno należało niegdyś do publicznej kolekcji. Na prześwietleniu widać wyraźnie, że zamalowano numer inwentarzowy, dość dobrze zresztą. Nic nie widać gołym okiem.

- I w ten sposób obraz znów był czysty - skwitował Tenenti. - Nieźle...

- Klasyczna technika fałszerska. Kiedy obraz jest skradziony, usuwa się ślad jego pochodzenia i sprzedaje go jako dzieło pochodzące z prywatnej kolekcji. Wystarczy powiedzieć, że właściciel pragnie zachować anonimowość ze względu na podatki czy po prostu z uzasadnionej troski o dyskrecję. Jeśli obraz został dobrze odnowiony, tak jak w tym przypadku, nie widać żadnego śladu. Ten zabieg funkcjonuje oczywiście jedynie z dziełami raczej nieznanymi. To znakomicie się do tego nadawało. Nikt nie zadałby sobie trudu, żeby przeprowadzić długie i kosztowne badania dzieła o tak niskiej wartości. Nie da się natomiast postępować w taki sposób z dziełami sławnych malarzy, bowiem wszystkie prace, nawet te drugorzędne, są skatalogowane. Wybór Orazia Borgianniego jest doskonały: jest mało znany, a obraz raczej dobry, choć nie wyjątkowy. Można na nim nieźle zarobić, bez większego ryzyka. To właśnie ten rodzaj płótna, jakie sam wybrał.

Antykwariusz wykazywał się taką znajomością tematu, że o mało co nie zapytałem go, czy wszystkie obrazy wystawione w jego sklepiku,

były przedmiotem podobnych manipulacji. Ostatecznie ograniczyłem się do pytania technicznego.

- Czy jest jakiś sposób, żeby dowiedzieć, czy obraz został skradziony?

- Żaden, chyba, że się ma niesamowite szczęście.

- Wspaniale... - jęknąłem, przekonany, że straciłem ostatni ślad.

- Muszę jednak coś wam wyznać - powiedział antykwariusz - zawsze miałem nieprzyzwoitego farta. Dlatego wiem, skąd pochodzi ten obraz.

To podwójne wyznanie wprawiło mnie i Tenentiego w osłupienie. Sam gospodarz miał radosną minę.

- Natknąłem się na to - powiedział, wskazując na starą książkę. - Spójrzcie na tę stronę.

Otworzył dzieło mniej więcej pośrodku i położył je przed nami. Nie było żadnych wątpliwości. Mieliśmy przed sobą reprodukcję obrazu matki, opatrzoną podpisem „Orazio Borgianni, *Autoportret*”.

- Cholera... - powiedział Tenenti z typową dla siebie lakonicznością. Gdzie to znalazłeś?

- To spis kolekcji watykańskich sporządzony w 1825 roku. Kustosz wpadł na dobry pomysł, żeby zebrać ryciny wszystkich dzieł, które uznał za ważne, pewnie na własny użytek. Książka wałała się od lat w moim sklepie. Kiedy pokazaliście mi wczoraj ten obraz, miałem wrażenie, że go już gdzieś widziałem, zajrzałem więc do niej przypadkiem i dobrze trafiłem.

Gdyby nie miał lśniącej od potu twarzy, chętnie bym go ucałował, żeby wyrazić swoją radość. Musiał zadowolić się mniej ostentacyjną formą wdzięczności, to znaczy szerokim uśmiechem połączonym z pełnym uznaniem skinieniem głowy.

- Obraz pochodzi więc z Watykanu. Ale co robił u mojej matki?

- Tak, jak powiedziałem, obraz nie ma wielkiej wartości artystycznej czy handlowej. Jeden element nadaje mu jednak szczególnej pikanterii. Kiedy zrozumiałem, że pochodzi on ze zbiorów watykańskich, poszedłem poszperać po archiwach muzeum. Płótno nie jest nigdzie uwzględnione, ani pośród dzieł wystawionych czy znajdujących się w magazynach, ani pośród tych, które zostały

sprzedane. Wiedząc o staranności, z jaką administracja Stolicy Apostolskiej wszystko spisuje, można słusznie zastanawiać się nad takim brakiem. Wnioskuje stąd, że ktoś specjalnie usunął ślad istnienia tego obrazu. Zresztą mógł to zrobić tylko ktoś z wewnątrz. Trzeba było usunąć pliki z systemu komputerowego i zniszczyć wszystkie ślady pisane.

- Jak sądzisz, dlaczego to zrobiono? - przerwał mu Tenenti.

- Po co zadawać sobie tyle trudu, jeśli nie po to, żeby go sprzedać? Oczywiście nie chodzi o oficjalną sprzedaż. Przy tego typu rzeczach wszystko odbywa się w największej tajemnicy. Nabywca domyśla się, że płótno zostało skradzione. W zamian płaci za nie połowę ceny i nie zadaje żadnych pytań. Każdy ma z tego korzyść.

Antykwariusz zapalił papierosa i posłużył się etruskim naczyniem na pomady jako popielniczką. Straciłem resztki złudzeń co do autentyczności wystawionych w sklepie przedmiotów.

Było coś bardzo zabawnego w fakcie, że jedynym dziełem, które nie zostało wykonane w ciągu ostatniego roku, była neogotycka zielono-żółta Madonna.

- To nie wszystko - mówił dalej antykwariusz. - Widząc to, sporządziłem listę innych dzieł tego typu spisanych w moim katalogu: niedocenionych artystów, płótna zapomniane gdzieś w kącie od wieku czy dwóch, słowem wszystkie obrazy, które łatwo sprzedać... Z dwudziestu, które spisałem, sześć podzieliło los autoportretu Borgianniego i ślad po nich zaginął.

- Nie jest to więc odosobniony przypadek - stwierdził Tenenti. - Coś takiego wymaga potężnej infrastruktury. Trzeba wynieść obraz z muzeum, zanieść go do zaufanego konserwatora i usunąć ślady w archiwach.

- Nie to jest najbardziej skomplikowane. Największa trudność tkwi w znalezieniu klienta. Kolekcjoner zadowolony się przemalowanym płótnem, jeśli mu się ono podoba i jeśli zaproponują mu rozsądną cenę. Jednak jeśli jest rozsądny, nie będzie więcej ryzykował i nie kupi innych obrazów. Aby przeprowadzać takie operacje na wielką skalę, należy dysponować długą listą potencjalnych klientów. Nie muszę wam chyba mówić, że nie szuka się ich przez drobne ogłoszenia...

Antykwariusz zamilkł na chwilę. Widząc brak reakcji z naszej strony, wrócił do swoich objaśnień.

- Nie mógł wymyślić tego zwykły pracownik muzeum. - Mamy do czynienia z organizacją, która działała bezkarnie przez miesiące, a nawet lata. Trudno mi sobie wyobrazić, że kustosz niczego nie zauważył. Chyba że umyślnie przymknął na to oko.

- Sądzi pan, że sporo na tym zarobili? - zapytałem.

Podrapał się po łysiejącej głowie, a następnie zgasił niedopalek w etruskim pojemniku.

- Zbiory watykańskie są bardzo bogate. Nawet jeśli sprzedali nieznaczną ilość dzieł znajdujących się w magazynach, łączna suma może wynosić setki tysięcy, a nawet miliony euro. Nie zrobiono lepszego interesu na oszustwach od czasu sprzedaży odpustów kościelnych.

- Co zrobiono z tymi pieniędzmi?

Antykwariusz uniósł wzrok ku górze, jakby chciał powiedzieć, że drogi Pana są niezbadane, zwłaszcza w kwestii finansów.

- Przypomnij sobie, co powiedział nam Dorian - odezwał się Tenenti. - W tamtym czasie, najbardziej konserwatywni członkowie Kościoła byli zaniepokojeni rozpowszechnieniem marksizmu w Europie. Uczestniczyli w opracowywaniu strategii terroru, finansując takich nadętych typów, jak Dorian i jego zbiry. Na to potrzeba było pieniędzy, i to sporo. A przede wszystkim nikt nie mógł wiedzieć, skąd one pochodziły. Fałszywe rachunki, sprzeniewierzenie niewielkich sum pieniędzy tu i ówdzie, nie wystarczały na finansowanie tej walki. Wyteżyli więc szare komórki i wymyślili ów handel dziełami sztuki. Od kiedy wszedł w to Lantana, pranie brudnych pieniędzy było ułatwione. A kto powiedział, że to nie on sam wymyślił ten system?

W tej chwili przypomniałem sobie słowa ojca sprzed kilku dni.

- Chwileczkę Sergio... Ojciec powiedział mi, że w archiwum muzeum pracował Mario Monti. Pamiętasz to?

Tenenti przytaknął.

- Zajmował się tym przez kilka lat. Ciągłe narzekał. Nie cierpiał siedzieć całymi godzinami w zamkniętym pomieszczeniu i porządkować stare dokumenty.

- Gadasz... Musiał być bardzo zajęty usuwaniem śladów obrazów sprzedanych po kryjomu. Tajne służby miały go w garści. Zmusiły go do współpracy z kierującymi handlem. Moja matka niczego

się nie domyślała. Na pewno poprosiła go o wewnętrzne śledztwo, nie myśląc ani przez chwilę, że może ją zdradzić.

- Dlaczego w takim razie chciała się spotkać z Lantaną?

- Być może nie zdawała sobie sprawy z rozmiarów tego proceduru. Pomyślała pewnie, że chodziło o zwykłe malwersacje, że kustosz czy archiwista wymyślił ten system, żeby dorobić sobie do pensji. Musiała przejść obowiązkowo przez Lantanę, będącego sekretarzem Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej. To on wydawał pozwolenia konieczne do prowadzenia bardziej zaawansowanych poszukiwań. Musiała powiedzieć mu, że wiedziała o pewnych machlojkach, które działy się w muzeum i zagrozić, że je ujawni, jeśli nie pozwoli jej na kontynuowanie śledztwa.

- Zapominasz o jednym, Aleks... Jeśli Lantana znajdował się na górze organizacji, a Monti na samym jej dole, musiał być na pewno jakiś pośredni szczebel. Monti składał sprawozdania przed kimś z muzeum. On nie miał prawa wnosić obrazów z magazynów. Był zwykłym wykonawcą rozkazów.

Antykwariusz przerwał swoje milczenie.

- Regulamin muzeum jest bardzo surowy. Magazyny są zamknięte na dwa spusty. Trudno jest wynieść jakiś obraz nie zwracając na siebie uwagi, chyba że przekupi się dużą liczbę strażników. Jedynie główny kustosz muzeum może zezwolić na zabranie obrazu z magazynu.

- Kto pełnił tę funkcję w 1978 roku? - zapytałem go. - Zna pan jego nazwisko?

Mężczyzna skinął głową.

- Oczywiście. Głośno o nim ostatnio na ulicach Rzymu. W tamtym czasie był tylko prawą ręką Lantany i jego wyznaczonym następcą. Od tamtej pory bardzo awansował. „Kennedy Watykanu” - mówi to coś panu?

Tommaso D'Isola, główny akcjonariusz Banco Romano, nie nawidził nieprzewidzianych sytuacji. Był zresztą przekonany, że ta właśnie cecha charakteru pozwalała mu odnosić sukcesy finansowe. Planowanie było jego drugą naturą. Z tygodnia na tydzień jego rozkład dnia nie podlegał najmniejszej nawet zmianie.

Każdego ranka szofer przyjeżdżał po niego punktualnie o siódmej, by zawieźć go służbowym bentleyem continental do baru hotelu Excelsior. Siedząc przy stoliku w głębi sali restauracyjnej, D'Isola rozkoszował się mieszankami chińskich herbat przygotowanymi specjalnie dla niego przez Mariage Frères, po czym poświęcał pół godziny na lekturę codziennej prasy, pilnując, by nie obdarzyć nikogo żadnym słowem ani spojrzeniem.

O siódmej czterdzieści był w drodze do banku, gdzie docierał w zależności od ruchu ulicznego między siódmą pięćdziesiąt trzy a siódmą pięćdziesiąt siedem. Punktualnie o ósmej jego osobista sekretarka wręczała mu plan dnia z grzecznym uśmiechem, na który nigdy nie odpowiadał.

Po tym zaczynał się wyczerpujący korowód udziałowców, wspólników, klientów, natrętnych petentów i innych intruzów. W południe przynoszono mu na tacy obiad z małej restauracji sąsiadującej z bankiem.

O osiemnastej trzydzieści sekretarka przychodziła do swojego *Commendatore* po raz ostatni, by pożyczyć mu miłego wieczoru, po czym zostawiała go samego w biurze, które opuszczał o dwudziestej, żeby udać się ponownie do baru Excelsiora. Wypijał jeden lub dwa koktajle w towarzystwie kilku starych przyjaciół, tak jak on multimilionerów, a następnie udawał się do hotelowego apartamentu zarezerwowanego na cały rok, by wziąć prysznic i zmienić ubranie.

Raz w tygodniu, w czwartkowy wieczór, litewska call-girl o scenicznym pseudonimie Marilyn, będąca wierną kopia dwudziestoletniej Giny Lollobrigidy, przychodziła dzielić z nim chwilę płatnej czułości.

Oprócz Marilyn, D'Isola nie spotykał się z żadną inną kobietą. Nie interesowały go ani agencje towarzyskie, ani orgie seksualne, spektakle erotyczne czy nieletnie prostytutki. Prawdę mówiąc, stopień jego perwersji wydawał się wręcz śmiesznie niski w porównaniu ze wszystkimi fantazjami, które mógłby zrealizować dzięki swojej fortunie.

Po dwóch dniach obserwacji Sara Novac poznała dokładnie osobowość podejrzanego: Tommaso D'Isola był nudny jak tylko potrafią być nudni starzy bankierzy, zblazowani adwokaci specjalizujący się w sprawach handlowych i profesorowie łaciny u końca kariery.

Mogła śledzić go przez całe lato, a bankier nie zmieniałby najmniejszego szczegółu w swoim planie dnia.

Czas, by ona przejęła inicjatywę.

Jak wszystkie stare pałace, rezydencja rodu D'Isola stanowiła prawdziwy koszmar dla instalatorów systemów bezpieczeństwa. Wysokość ogrodzenia otaczającego park wokół posesji wynosiła zaledwie dwa metry pięćdziesiąt, co nie działało zbyt odstrasząco na intruzów.

Jedynym sposobem na naprawę owej wady strukturalnej było rozmieszczenie w całym parku wykrywaczy ruchu. Tommaso D'Isola zainstalował ich dwadzieścia, ale szybko je wyłączył ze względu na trudności w dopasowaniu pracy urządzenia do nocnych przechadzek licznych kotów z sąsiedztwa.

Sara wspięła się po ogrodzeniu zakończonym stępienymi szpicami i znalazła się po jego drugiej stronie. Pobieгла szybko do wejścia dla służby, uważając, by pozostać pod osłoną krzewów rosnących na skraju parku.

Tak jak się spodziewała, drzwi służbowe były otwarte. Weszła do środka i ukryła się w ściennej szafie przy wejściu.

Gospodyni, jedyna osoba obecna w pałacu w ciągu dnia, wyszła tuż po dziewiętnastej. Włączyła alarm i zamknęła za sobą drzwi. Sara opuściła swoją kryjówkę i zaczęła przeszukiwać rezydencję bankiera.

W ciągu godziny przejrzała parter i dwa piętra domu, nie znajdując jednak nic interesującego. Pozostała jej jeszcze jedna szansa na to, by nie odejść stąd z niczym. W trakcie przeszukiwania rezydencji, Sara odkryła małą przybudówkę do głównej części budynku, wychodzącą na bibliotekę, zapewne prywatną kaplicę, do której dostępu broniły zamknięte drzwi.

W chwili gdy Sara wstępowała do policji kryminalnej, zamiast prezentu powitalnego otrzymała od komisarza Lopeza kilka dobrych rad. Pierwsza z nich mówiła, by nie dawać się zdręzczać swoim zwierzchnikom, i od tamtej pory ściśle jej przestrzegała, najczęściej kosztem swojego bezpośredniego przełożonego.

Druga rada dotyczyła postawy wobec prawa. Lopez zalecał, aby nie traktować go jak żony, której trzeba być wiernym przez całe życie, ale raczej jak starą kochankę, która nie poczuje się urażona, jeśli się ją czasem zdradzi. Krótko mówiąc, Sara była tu, żeby przestrzegano prawa, ale niekoniecznie po to, by stosować je we wszystkich okolicznościach.

Umocniona tym przekonaniem, otworzyła wytrychem stary, zarzewiały zamek i zatrzymała się na progu kaplicy.

Nigdy nie widziała czegoś podobnego. W kaplicy nie było nic oprócz skórzanego fotela i ogromnego plazmowego ekranu ustawionego na ołtarzu. Między nimi stała na podłodze kamera cyfrowa podłączona do monitora. Sara usiadła w fotelu i nacisnęła na przycisk odtwarzania. Na ekranie pojawiły się kobiece biodra.

Kamera przesuwiała się irytująco powoli wzdłuż nagich ud, zatrzymała się na jej organie, w końcu dotarła do jej nadgarstków przykutych do łóżka kajdankami. Obraz zatrzymał się na nieruchomej twarzy kobiety.

Natalia Veut miała szeroko otwarte oczy. Już nie oddychała.

Sara przewinęła kasetę nerwowym gestem na sam początek. Film zaczynał się w chwili, gdy Natalia weszła do swojego apartamentu pod rękę z Louistem Fargue'em. Miała nieprzytomny wzrok i zataczała się, mimo iż Fargue ją podtrzymywał.

Adwokat zaciągnął ją za ramię do sypialni. Rzucił ją na łóżko, rozebrał i odbył z nią stosunek. Natalia, półprzytomna, nie reagowała. Krzyknęła cicho, kiedy Fargue miał orgazm i powróciła do stanu otępienia, podczas gdy адвокат wstał i ubierał się w rogu ekranu.



Fargue posłał nerwowy znak swojemu współnikowi i zniknął z zasięgu kamery. Kilka sekund później głucho trzaśnięcie drzwi wejściowych oznajmiało, że opuścił mieszkanie. Autor nagrania ustawił wtedy kamerę na statywie stojącym na wprost łóżka i podszedł do Natalii. Sara rozpoznała natychmiast Tommasa D'Isola. Bankier zbliżył się do leżącego na łóżku ciała i uderzył kobietę w twarz, żeby ją ocucić.

Natalia jęknęła lekko. D'Isola zwrócił się do niej nienaganną francuszczyzną, z ledwie słyszalnym obcym akcentem.

- Gdzie jest obraz?

Natalia wyglądała, jakby nie rozumiała pytania. Jej oczy spojrzwały przez krótką chwilę na mężczyznę, ale zaraz zaczęły błądzić po suficie.

D'Isola znów ją spoliczkował, tym razem trochę mocniej. Natalia jęknęła raz jeszcze. D'Isola złapał ją za włosy i zmusił, by spojrziała na niego.

- Chcę wiedzieć, gdzie jest ten obraz.

- Jaki... obraz?

- Autoportret Orazia Borgianniego. Ten z fotografii. Zniknął mi z oczu dwadzieścia pięć lat temu i nagle zobaczyłem go na okładce magazynu o modzie. A ty stałaś przed nim. Gdzie on jest? W tym mieszkaniu?

- Nie... Nie tutaj...

- Więc gdzie?

- Aleks... Galeria... - wyjąkała Natalia.

D'Isola puścił włosy kobiety, a jej głowa opadła ciężko na poduszkę.

- Doskonale, moja droga. Jesteś bardzo rozsądna. W nagrodę sprawię ci odlot, jakiego nigdy jeszcze nie miałaś. Tylko że pod koniec lotu, skończysz w płomieniach. Będzie ci się bardzo podobało, zobaczysz... A ja będę obserwował twoją podróż - powiedział, wskazując na kamerę.

D'Isola wyciągnął z kieszeni strzykawkę. Zaciśnął na ramieniu Natalii gumową opaskę i wstrzyknął jej zawartość strzykawki po wewnętrznej stronie łokcia. Następnie podszedł do kamery, zdjął ją ze statywu i ustawił się nad swoją ofiarą.

Zrobił zbliżenie twarzy Natalii. Jej rysy wygięły się w szeroki uśmiech, kiedy kokaina zaczęła krążyć w jej krwiobiegu. Zamknęła

oczy i pozwoliła ogarnąć się kojącej rozkoszy narkotyku. Jej usta rozchyliły się i wyrwał się z nich chrapliwy jęk.

Jej oddech nagle przyspieszył. Uśmiech zamienił się w grymas cierpienia, kiedy zaczęła się dusić. Szarpała się przez parę chwil i próbowała ze wszystkich sił uwolnić nadgarstki z kajdanek. Najstraszniejsze było to, że wydawała się już nie być pod wpływem znieczulającego działania GHB i była całkowicie świadoma tego, co się z nią działo.

Po dwudziestu sekundach jej ruchy zaczęły słabnąć. Skóra nabrała siniego koloru. Wtedy Natalia Velit znieruchomiała w takiej pozycji, w jakiej zastał ją następnego dnia rano Thomas Kemp.

Obraz zamazał się, a następnie zniknął. Na plazmowym ekranie, na miejsce nieruchomej twarzy Natalii Velit, pojawiła się dziwna mgła pikseli. Siedząca w fotelu Sara nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Czowała się splamiona tym, co właśnie zobaczyła. Nie chciała nawet wierzyć w prawdziwość tego odrażającego nagrania. Po jej policzkach płynęły łzy, ale nie wykonała żadnego gestu, żeby je otrzeć.

- Z tego co widzę, podobało się pani moje nagranie.

Głos dochodził z tyłu, z progu kaplicy.

- Jeśli ma pani ochotę, uwieczniłem również śmierć pani przyjaciela Coplera. Kapitan Novac, prawda?

Sara obróciła się powoli. Tommaso D'Isola stał w drzwiach z rewolwerem w ręku.

- Copler mówił mi o pani przed śmiercią. Ostrzegał mnie, że będzie pani ścigać mnie aż tutaj. Czekałem na panią. Moi ludzie rozpoznali panią od chwili wyjścia z samolotu i nie odstępowali na krok, kiedy mnie pani śledziła. Z tego co widać, działali bardziej dyskretnie niż pani. Cóż za ironia, nieprawda?

Sara zarzucała sobie, że dała się złapać jak niedoświadczony policjant. Bankier wydawał się rozbawiony jej frustracją.

- Jest pan prawdziwym draniem. Zamordował pan Natalię i Coplera...

- I Fargue'a też, oczywiście, jak się pani domyśla. Co się tyczy tego ostatniego, to niestety musiałem działać szybko i nie mogłem sfilmować jego egzekucji. Proszę mi wierzyć, jest mi bardzo przykro z tego powodu, ale była pani o dwa kroki od odkrycia jego udziału.

Gdyby go pani zatrzymała, ten kretyń podałby natychmiast moje nazwisko, żeby zmniejszyć swoją odpowiedzialność. Nie mogłem na to pozwolić. Musiałem improwizować. Jestem zresztą dość dumny ze swojego rezultatu. Gdyby widziała pani jego minę, gdy przyłożyłem mu pistolet do skroni! Jaka szkoda, że tego nie nagrałem!

D'Isola wyrażał się z łatwością, nie szukając nigdy słów, ani nie zastanawiając się nad nimi.

- Jak już jesteśmy przy wyliczaniu moich ofiar, może dodać pani do tej listy Francescę Pozzi, kobietę Luigiego Cantora. To ja wymyśliłem, by rzucić na nią odpowiedzialność za zamach, w którym zginęła. Jeśli to panią interesuje, to zachowałem gdzieś parę zdjęć z eksplozji.

D'Isola przestał celować do Sary z broni. Jego rewolwer był teraz skierowany w podłogę o metr przed nim. Sara miała wystarczająco dużo czasu, żeby wyciągnąć swoją .38 Special i posłać mu kulkę w środek czoła, zanim wykona jakiś ruch.

Wyciągnęła prawą rękę w stronę kabury, którą miała przy pasie. Była niemile zaskoczona, że tam, gdzie powinna znajdować się broń, zastała tylko niepokojąco puste miejsce. Sara przypomniała sobie wtedy, że status turystki wykluczał możliwość noszenia przy sobie broni służbowej. Była na siebie wściekła, że zostawiła broń na nocnym stoliku w swoim apartamencie.

Jej jedyną szansą było zyskać na czasie i poznać zamiary D'Isoli.

- Mimo wszystko nie zabił pan tych ludzi dla samej przyjemności filmowania ich agonii? - zapytała bankiera. Musi być jakiś powód tej zawziętości?

D'Isola przykucnął przy fotelu. Przyłożył lufę broni do czoła policjantki.

- Odkąd to trzeba mieć powód do zabijania, co? Większość naszych bliźnich wie, że taki nędzny żywot. Skrócenie go graniczy niemal z litością. Pani też należy do tego typu ludzi, kapitanie Novac?

- Jest pan kompletnie stuknięty.

- Ależ nie, skądże... Wracając jednak do moich ostatnich ofiar, dostałem polecenie, żeby ich zabić. Nie miałem innego wyboru,

inaczej sam znalazłbym się w wyścielanej trumnie. Miałem dawny dług. Dał o sobie znać nagle, gdy nasza droga Natalia wpadła na pechowy pomysł, by pozować przed obrazem, który powinienem był zniszczyć dwadzieścia pięć lat temu. Nie muszę pani mówić, że mój ówczesny zleceniodawca był bardzo zły, kiedy dowiedział się, że go okłamałem. Trzeba było obiecać mu, że dokończę robotę.

Sara poczuła zimne muśnięcie rewolweru, który przesuwał się ku jej skroni. Lufa pokonała jeszcze parę centymetrów zanim zatrzymała się na jej policzku.

- Nie udało mi się jeszcze zdobyć tego obrazu - powiedział bankier - ale jestem pełen nadziei, że moje wysiłki zostaną w najbliższym czasie ukoronowane sukcesem. A pani mi w tym pomoże, kapitanie Novac. Czy to nie wspaniale?

Byłem w Rzymie już od trzech dni i wciąż nie miałem żadnych wieści o ojcu. Tenenti spędził cały poprzedni wieczór, wydzwaniając w różne miejsca, nie udało mu się jednak ustalić, gdzie mogli go więzić. Jego przyjacielowi, komisarzowi policji, też się nie powiodło. Informacja o szpitalu wojskowym również okazała się fałszywa.

Wyglądało na to, że ojciec zapadł się pod ziemię. Nikt nie wiedział, gdzie się znajduje, ani nawet, czy czuje się dobrze. Odkąd samolot wycarterowany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wylądował na włoskiej ziemi, ślad po ojcu zaginął. Można się było zastanawiać, czy ktokolwiek wiedział, gdzie go uwięziono.

By nie zadrećcać się tymi myślami w pokoju hotelowym, skupiłem się na sprawach zawodowych. Udałem się na lotnisko, aby odebrać skrzynie z totemem Sama.

Choć raz Lola dość dobrze się spisała. Na lotnisku czekała na mnie ciężarówka do przeprowadzek wraz z odpowiednim personelem - pięcioma kolosami, z których najmniejszy mierzył dwa metry i ważył sto trzydzieści kilo.

Poszczególne części totemu zostały umieszczone w trzech skrzyniach prawie mojej wielkości. Po niecałej godzinie, pięciu młodszych braci Conana załadowało je w końcu do ciężarówki, nie powstrzymując się od przykrych komentarzy na temat mojej matki, matki mojej matki i wszystkich kobiet z mojej rodziny od zarania dziejów. Owe nadużycia słowne położyłem na karb burzowej pogody i starałem się nie mówić niczego, co mogłoby ich jeszcze bardziej zdenerwować.

Dotarliśmy pod adres wskazany na dowodzie dostawy tuż przed porą obiadową. Moi nowi kumple zaparkowali ciężarówkę przed budynkiem, wylądowali skrzynie na oczach zdumionych strażników i wsiedli do pojazdu, nim zdążyłem ich zatrzymać.

Wy tłumaczenie ochroniarzom powodu obecności w holu rozebranego na części totemu ważącego półtorej tony, było niemal równie skomplikowane co wykonanie potrójnego salta z pełną śrubą bez rozpedu. Po piętnastu minutach pertraktacji, zgodzili się w końcu powiadomić swojego szefa o moim przybyciu.

Niedługo po tym otworzyły się drzwi windy. Klient rzucił się w moją stronę. Przy okazji zganiał strażników i zagroził, że jeśli jeszcze raz potraktują źle jednego z jego gości, wyśle ich do pasienia kóz na sam koniec Apulii.

Wykorzystałem ten moment, by przeczytać nazwisko wypisane na wizytówce, którą zostawił mi podczas pierwszego spotkania.

- Proszę wybaczyć brak oglądy moich pracowników. Na ich usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko, że nie spodziewaliśmy się pana tak wcześnie. To nie lada wyczyn przybyć z dwugodzinnym wyprzedzeniem, jeśli zna się utrudnienia w ruchu ulicznym w naszym starym, pięknym mieście. Jak minęła panu podróż?

- Bardzo dobrze. Dziękuję. Jest mi bardzo miło znów pana ujrzeć. Wszystko znajduje się tutaj - powiedziałem, wskazując na skrzynie z totemem. Chce pan, bym je gdzieś ustawił?

Moje pytanie było oczywiście czysto retoryczne. Nawet gdybym przez rok szprycował się sterydami, nie zdołałbym nigdy podnieść najlżejszej ze skrzyń.

Ku mojej ogromnej uldze, Tommaso D'Isola chwycił mnie za ramię i zaprowadził do windy.

- Skrzynie mogą zostać tutaj. Moi ludzie zajmą się nimi później. Zapraszam do mojego gabinetu. Mam parę rzeczy, które chciałbym panu pokazać. Liczę na pana fachową opinię. Mam nadzieję, że może pan poświęcić mi trochę czasu?

- Oczywiście. Nie mogę się doczekać, by ujrzeć pana kolekcję - skłamałem.

- Doskonale. Wejź Aleks. Pozwoli pan, że będę zwracał się do pana po imieniu, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, nacisnął na przycisk ostatniego piętra. Winda wzniosła się powoli w górę budynku.

- Zgromadziłem najpiękniejsze dzieła w swoim gabinecie. Tam są bezpieczniejsze niż u mnie w domu. Mój pałac, tak jak wszystkie zabytkowe rezydencje, niemal stoi otworem dla wszystkich.

Drzwi windy otworzyły się. D'Isola wskazał mi pomieszczenie znajdujące się w końcu korytarza.

- Tędy proszę. Cały personel wyszedł na obiad. Nikt nie będzie nam przeszkadzał. Proszę wejść.

Wszedłem do jego gabinetu i natychmiast stanąłem jak wryty. Na wprost mnie wisiał obraz Rothko, o którym mówiła mi Lola. Była to wspaniała kompozycja godna Metropolitan Muzeum. Na bocznej ścianie, dwie sceny biblijne Chagalla tworzyły z Rothko całość, za którą kustosz wielu słynnych instytucji wydaliby swój roczny budżet przeznaczony na zakup dzieł. Na dodatek, na przeciwległej ścianie wisiało płótno Picassa z okresu niebieskiego, wspaniały portret kobiety Balthusa i kilka dzieł impresjonistów na papierze.

Również rzeźby, które się tam znajdowały, świadczyły o wyrobionym guście ich właściciela i nieograniczonym budżecie. Gipsowa figura o pięknej fakturze, wykonana przez Camille Claudel, stała na takim samym cokole, co obowiązkowy Rodin, bez którego nie mogła się obyć żadna renomowana kolekcja. Wielki brąz Germaine Richier, umieszczony w przeciwległym kącie, potwierdzał, że Tommaso D'Isola lubił mieszać różne style.

- I co o tym sądzisz, Aleks?

Poczułem na karku lodowaty dreszcz - pierwszy symptom zaawansowanego stadium syndromu Stendhala.

- Nigdy nie widziałem tyle arcydzieł w prywatnej kolekcji. Ma pan jeszcze inne takie dzieła?

D'Isola skinął głową.

- Tutaj są tylko te, które mogę podziwiać bez końca. Pozostałe znajdują się w podziemnych sejfach. Przyznam, że jestem bardzo dumny z mojej małej kolekcji. Poświęciłem jej sporo energii. I pieniędzy, oczywiście.

D'Isola usiadł przed Rothko i zaprosił mnie, bym usiadł na wprost niego.

- Porozmawiajmy poważnie, Aleks. Przemysłałeś moją propozycję co do twojego obrazu? Jestem gotów wyłożyć nawet sto tysięcy euro, żeby go od ciebie odkupić.

- Mogę jedynie potwierdzić swoją odmowę - odpowiedziałem. - Ten obraz nie opuścił mnie od śmierci matki. Bardzo wiele dla mnie znaczy. Nie mam ochoty się z nim rozstawać.

- Jest mi bardzo przykro z tego powodu. Gdybyś zmienił kiedyś zdanie, skontaktuj się ze mną.

Zgodziłem się w milczeniu. Krępowała mnie jego natarczywość. Wiedziałem od wczoraj, że autoportret Orazia Borgianniego nie był wart takiej sumy. Za tę cenę D'Isola mógł kupić sobie niemal wszystkie prace tego artysty.

Aby ukryć swoje zakłopotanie, wstałem i podszedłem do rzeźby Claudel. Nie zauważyłem z daleka, że gipsowa figura przedstawiała starą kobietę przecinającą nić. Nie mogłem się oprzeć się pokusie, aby dotknąć jej opuszkami palców.

- Interesujące, nieprawdaż? - odezwał się D'Isola. To nietypowy motyw w twórczości Claudel. Jedna z trzech Park, przecinająca nić życia. Wyrzeźbiła ją na kilka dni przed tym, jak zerwała z Rodinem. Z pewnością był to jakiś rodzaj przecucia...

Podskoczyłem na dźwięk słowa Parki.

- Parki są centralnym elementem mojego herbu rodowego - mówił dalej D'Isola. My, bankierzy, tak jak i one, trzymamy w swoich rękach los naszych bliźnich. Zgadza się, że ta symbolika nie jest może zbyt wyszukana.

Mój wewnętrzny alarm zaczął bić z całą mocą. W tej samej chwili zrozumiałem, dlaczego D'Isola tak bardzo zależało na odkupieniu ode mnie autoportretu Orazia Borgianniego.

Kto posiadał lepszą kartotekę potencjalnych nabywców skradzionych obrazów, jak nie bankier, którego klienci wywodzili się z najbogatszych rzymskich rodów? Tommaso D'Isola był naszym brakującym ogniwem.

Rewolwer, który wycelował w moją stronę, potwierdził moje przypuszczenia.

- Nie próbuj robić niczego nierozsądnego, Aleks. W ubiegłym tygodniu byłem świadkiem twoich popisów z Mario Montim. Gdyby nie twoja współpracownica, nie byłoby cię teraz pośród żywych. Nie umiałbyś się obronić nawet przed schorowaną zakonnicą. I nie masz po co wolać o pomoc. Oczekując na twoją wizytę, odesłałem cały personel.

Mimo ochoty, by się na niego rzucić, byłem świadomy swoich ograniczeń w dziedzinie walki wręcz. Poza tym wiedziałem, że kula porusza się szybciej od pięści, nie wykonałem więc żadnego ruchu.



- Chyba nie zabije mnie pan tutaj? - zapytałem, starając się opanować drżenie mojego głosu.

- Trudno by mi było wytłumaczyć mojej sekretarce obecność kałuży krwi na wykładzinie. Wolałbym więc cię nie zabijać. Chcę tylko z tobą porozmawiać.

- Do tego nie potrzeba broni. Jestem miłym chłopcem. Mogliśmy nawet porozmawiać przez telefon.

- Aleks, możesz przestać żartować? Niestety, nie mam czasu na rozmowę z tobą. Muszę mieć ten obraz. I to szybko. Nie mam ochoty umrzeć i ty też nie. Więc zrobimy tak: odzyskasz obraz i zaczekasz grzecznie w swoim hotelowym pokoju, aż się z tobą skontaktuję. I radzę ci nie zwierzać się pocziwemu Tenentiemu. Nie chcę, by deptał nam po piętach, kiedy będziemy dokonywać wymiany.

- Jakiej wymiany? Nie ma pan nic, co by mnie interesowało.

- Na pana miejscu nie zaprzeczałbym tak kategorycznie. Zna pan kapitan Novac, prawda? No więc przebywa w Rzymie od trzech dni. Wczoraj nawet zakradła się do mojego domu. Prawdę mówiąc, trochę jej w tym pomogłem.

- I co z tego?

- Lubisz szczury, Aleks? Wątpię... Ona też ich nie lubi. Ale tam, gdzie ją zamknąłem jest ich pełno. W ścianach i pod podłogą. Dziesiątki wygłodniałych szczurów. Spędziła całą noc na odganianiu ich od swojego delikatnego ciała. Jednak nie będzie mogła czuwać przez cały czas. Jak tylko zaśnie, jeden czy drugi z moich protegowanych nadgryzie jej ucho. Przy odrobinie szczęścia wytrzyma bez snu do tego wieczoru.

- Mam gdzieś tę policjantkę. Podejrzewa mnie o zabójstwo Natalii. Niech ją zeżrą te pieprzone gryzonie.

Tak naprawdę Sara Novac nie była mi wcale obojętna, zwłaszcza kiedy miała na sobie te obcisłe skórzane spodnie.

- Ile pięknych kobiet z twojego otoczenia muszę poświęcić, żebyś zechciał ze mną współpracować? - zapytał mnie D'Isola. - Zabiłem Natalię, zabiję również Sarę Novac, jeśli zajdzie taka potrzeba, a następnie przyjdzie kolej na twoją uroczą współniczkę. Chcę mieć ten obraz, Aleks. Zrobię wszystko, żeby go zdobyć. Czyż nie lepiej przerwać ten morderczy ciąg?

W tej chwili przypomniałem sobie, że pobierałem nauki w szalenie drogiej szkole handlowej. W zakres moich kompetencji

wchodziła negocjacja z opcją „zacięta dyskusja z najgorszym krety-  
nem”. Miałem właśnie świetną okazję, żeby przećwiczyć ją w prak-  
tyce.

Staralem się przybrać obojętną minę.

- Nic mi po tej policjantce. Proszę zaproponować mi coś inne-  
go.

- Czego pan chce?

- Wieści o moim ojcu. I dowodu na to, że nie jestem winny za-  
bójstwa Natalii.

D'Isola wybuchnął śmiechem. Przez moment pomyślałem, że  
strzeli do mnie, żeby sprawdzić, czy nadęte bufony flaczeją, kiedy  
się je przebije.

- Nie dostarczę ci przecież dowodów własnej winy? Jesteś głupi  
czy co?

- Tego wieczoru nie był pan w apartamencie sam. Natalia nie  
otworzyłaby panu drzwi. Kto pana wpuścił?

- Fargue, adwokat Kempa. Świetnie nadawałby się na winnego,  
ale jego też musiałem zlikwidować.

- To jeszcze lepiej. Nie będzie mógł się bronić. A jak pan sprzą-  
nie tę policjantkę, nikt nie będzie zawracał panu głowy tymi histo-  
riami. Proszę oczyścić mnie z zarzutów, dając mi coś na oskarżenie  
Fargue'a, a ja przekażę panu obraz.

- I pozwolił mi bez sprzeciwu zabić Sarę Novac?

Przytaknąłem, patrząc mu prosto w oczy. To nie była od-  
powiednia chwila, żeby puściły mi nerwy. Myślałem mocno o Ta-  
keshi Kitano. Jego wykrzywiony uśmiech zawładnął prawym kąci-  
kiem moich ust. Stałem się prawdziwym draniem. Mogłem poko-  
nać tego pieprzonego bankiera na jego własnym terenie.

- Już panu powiedziałem. Nic mi po niej. Jej zniknięcie będzie  
mi nawet na rękę. Ale muszę się z nią rozprawić. Spędziłem z jej  
powodu niemiły wieczór. Chcę ją dostać, zanim się jej pan pozbę-  
dzie. Pańskie szczury zjedzą ją, nawet jeśli będzie miała trochę po-  
lamane kości, prawda?

Zbliżyłem się na sam skraj przepaści. Nie mogłem zrobić kroku  
dalej. W głębi duszy nie sądziłem, że D'Isola posunie się tak daleko.

Zrobił to jednak bardzo chętnie. Naprawdę, głupota ludzka nie  
ma granic. I jak tu nie być oszustem?

- Dobrze - zgodził się. - Przywiozę ją ze sobą. I powiem ci również, gdzie znajduje się twój ojciec.

- Doskonale. O której godzinie?

- Koło północy. O dokładnym miejscu spotkania poinformuję cię przez telefon.

- Bardzo dobrze... Widzi pan, wszystko da się załatwić przy odrobinie dobrej woli.

Nie dając mojemu gospodarzowi czasu na odpowiedź, wyszedłem z gabinetu i udałem się prosto do windy. Duch Kitano opuścił mnie dopiero, gdy postawiłem nogę na chodniku. Miałem nadzieję, że nie odszedł zbyt daleko. Będę go bardzo potrzebował, kiedy przyjdzie czas porachunku z tym gnojem.

- Wreszcie zdecydowałeś się zachowywać jak prawdziwy samiec! Tak trzymać! Strasznie mnie to podnieca!

Nigdy dotąd Lola nie mówiła do mnie z takim drzeniem w głosie. Widać bardzo podobała się jej moja nowa osobowość.

To niekoniecznie była dobra wiadomość. Jeśli nawet zaczynała mnie szanować, cóż to by był za świat?

- Nie jestem pewien czy D'Isola dał się nabrać - wyznałem jej, choć gorąco pragnąłem znaleźć się jeszcze za życia w Panteonie. - Być może szykuje na mnie jakąś zasadzkę, coś w rodzaju strzału w plecy.

- Nie martw się, kochanie. Jestem pewna, że sobie poradzisz z tym gnojkiem.

Następny etap moich dwunastu prac Herkulesa: uspokoić Lolę, inaczej będzie trudno z nią wytrzymać po moim powrocie. Nie miałem wcale ochoty ujść cało z rąk Tommasa D'Isoli, żeby skonać z wyczerpania seksualnego w objęciach mojej współniczki.

- Gdzie załatwisz sobie spluwę? - zapytała.

- O czym mówisz?

- O broni. Chyba nie masz zamiaru stawić czoła temu typowi z gołymi rękami. Przypominam ci, że zamordował już trzy osoby. To chory gość, Aleks. Musisz mieć spluwę. I to dużą. Szkoda, że gliny nie oddały nam magnum. A poza tym, nie możesz iść na to spotkanie bez planu działania. Co zrobisz, jak będziesz już na miejscu?

Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem, ale nie było mowy, by przyznać się do tego Loli. W razie gdyby sprawy przybrały zły obrót, chciałem, żeby pamiętała mnie jako pewnego swojej siły superbohatera.

- Wszystko przewidziałem - odezwałem się. - Muszę kończyć. Trochę się spieszę. Opowiem ci wszystko jutro.

*Jeśli będę jeszcze żywy...*

- Obiecujesz?
- Przysięgam.
- Do jutra przystojniaku.
- Cześć.

Odłożyłem słuchawkę, lekko przygnębiony rozmową z Lolą. Moja współniczka posiadała wrodzony dar niszczenia moich mechanizmów obronnych. Nawet mając najlepsze intencje, potrafiła w dwóch zdaniach pozbawić mnie pewności siebie.

Lola nie myliła się. Pobiec na spotkanie z Tommaso D'Isola bez broni ani planu działania, było samobójstwem. Lepiej natychmiast odebrać sobie życie, wypijając mieszankę wódki z fantą.

Po tym, jak straciłem matkę w piątym roku życia, a w trzydziestym zostałem porzucony przez najpiękniejszą kobietę świata i oskarżony o jej zamordowanie, pędziłem na złamanie karku na spotkanie z mordercą recydywistą. Albo jakiś zły duch miał mi za złe, że się urodziłem, albo posiadałem niewiarygodny talent do partaczenia sobie życia.

Mimo obietnicy, że nie będę w to mieszał Tenentiego, zadzwoniłem do niego późnym popołudniem, by powiadomić go o mojej rychłej śmierci. Zasepił się, kiedy opowiedziałem mu o spotkaniu z bankierem.

- Aleks, nie można cię zostawić ani na chwilę, żebyś nie zrobił jakiegoś głupstwa.

*No dalej, Sergio, chłuszcz mnie jeszcze mocniej. Uwielbiam to.*

- Nie wiedziałem, że to on jest mordercą. Za późno to zrozumiałem.

- Trzeba było grać na zwłokę. Nie obiecywać mu w żadnym wypadku spotkania dziś wieczór.

- Łatwo powiedzieć, jak masz spluwę na czole. Musiałem improwizować. W takich okolicznościach moje szare komórki pracują dużo wolniej. Chciałbym cię widzieć na moim miejscu.

Po nadmiernym entuzjazmie Loli, komentarze Tenentiego wyczerpały moje ostatnie rezerwy wiary w siebie. Byłem na skraju załamania nerwowego, a on nie miał nic lepszego do roboty niż rozwódzić się nad moimi błędami. Bez wątplenia otaczała mnie ekipa wnikliwych psychologów...

Tenenti zrozumiał w końcu, że nie ma co przypierać mnie do muru.

- Już dobrze... Kłopot w tym, że nie znamy miejsca, w którym D'Isola chce dokonać wymiany. Gdybyśmy to wiedzieli, moglibyśmy przygotować mu małą niespodziankę. Jak zamierzasz uwolnić zakładnika?

- Sądziłem, że ty podsuniesz mi jakiś pomysł. Moje doświadczenie w tym zakresie ogranicza się do hollywoodzkich blockbusterów. Takie gnoje zawsze popełniają w końcu jakiś głupi błąd. Jednak jeśli w grę wchodzi moje życie, nie chciałbym liczyć na tę hipotezę. W razie gdyby D'Isola nie okazał się skończonym idiotą, wolałbym mieć jakieś zapasowe rozwiązanie. A propos, mógłbyś pożyczyć mi broń?

- Aleks... - westchnął Tenenti. - Jestem fotografem, nie najemnikiem. Chyba nie masz zamiaru rzucić mu w twarz pudełkiem po Leice?

- To co robimy?

- Pozwól, że załatwię dwie lub trzy sprawy. Nie ruszaj się z pokoju, przyjadę do ciebie. A przede wszystkim niczego nie pij.

Tenenti pojawił się w hotelu wczesnym wieczorem, w chwili gdy byłem już gotów opróżnić minibar. Po głębokim namyśle doszliśmy do wniosku, że nawet jeśli D'Isola posiadał nad nami przewagę miejsca i broni, to my mieliśmy nad nim przewagę liczebną. Dobre i to.

Zresztą, jeśli zamierzaliśmy wydać go sądowi, należało go ująć żywego. Martwy nie był nam do niczego potrzebny. Bez jego zeznań nigdy nie uda nam się skazać Mariniego za zabójstwo mojej matki.

D'Isola zadzwonił tuż po dwudziestej trzeciej. Wyzначzył mi spotkanie w podziemiach prywatnej kliniki, której był udziałowcem. Przypomni mi, że postąpiłbym bardzo nierozsądnie, powiadając policję. Potwierdziłem, że zamierzałem przyjść sam z obrazem i odłożyłem słuchawkę.

- Jaki mamy program? - zapytałem Tenentiego.

- Mamy jakieś wyjście? Idziemy tam, spróbujemy dowiedzieć się, gdzie jest twój ojciec, wymieniamy kobietę za obraz i postaramy się opuścić klinikę żywi.

- A dowody przeciwko Mariniemu? Jeśli zostawimy mu obraz, nie będziemy mieli już niczego. Wszystko się skończy. Tym dra-  
niom ujdzie to na sucho.

- To nie jest teraz najważniejsze. Najpierw trzeba uratować Lu-  
giego i twoją przyjaciółkę. Jak ich odnajdziemy i wyjdziemy z tego  
wszyscy razem, zastanowimy się spokojnie, co dalej robić. Na pew-  
no jest jakiś sposób, by udowodnić, że Marini i D'Isola są zamie-  
szani w te morderstwa.

Od ciągłego wygłaszania kłamstw na temat dzieł wystawianych  
w mojej galerii, umiałem rozpoznać brak przekonania w głosie mo-  
ich rozmówców. Nie wiedziałem jednak, czego dotyczyły wątpliwo-  
ści Sergia: czy tego, że uda nam się ich przyskrzynić bez obrazu, czy  
tego, że wyjdziemy z kliniki cało?

Wolałem dłużej się nad tym nie zastanawiać. Wziąłem kurtkę,  
rozejrzałem się ostatni raz po pokoju, aby upewnić się, czy ktoś nie  
zostawił tu przypadkiem jakiegoś M16 czy pancernicy rakiето-  
wej i wyszedłem naprzeciw swojemu przeznaczeniu.

Klinika, w której czekał na nas D'Isola, znajdowała się w rezy-  
dencjalnej dzielnicy na przedmieściach Rzymu. Aby zadbać o efekt  
zaskoczenia, Tenenti oddał mi kierownicę dwie ulice przed końcem  
trasy, a resztę drogi pokonał na piechotę. Zaparkowałem na pry-  
watnym parkingu kliniki i wysiadłem z samochodu. Przyciskałem  
do siebie autoportret Orazia Borgianniego, zwinięty starannie w  
ochronnej tubie.

Wskazówki udzielone mi wcześniej przez Tommasa D'Isolę były  
proste: musiałem otworzyć drzwi wejściowe kliniki za pomocą ko-  
du, który mi podał i udać się do podziemi budynku, do jednej z sal  
operacyjnych kliniki. Tam dokonamy wymiany dokumentów, a  
następnie odda mi Sarę Novac, bym mógł się na niej zemścić.

Zostawiłem otwarte drzwi, żeby Tenenti mógł za mną wejść.  
Wszystkie światła były włączone, więc nie miałem żadnych trudno-  
ści ze znalezieniem schodów prowadzących do podziemi.

Kiedy znalazłem się na dole, usłyszałem głos bankiera do-  
chodzący z oddali.

- Idź prosto przed siebie, Aleks. Do sali na końcu korytarza.

Zbliżałem się powoli w jego stronę. D'Isola czekał na mnie, sie-  
dząc na taborecie z założonymi rękami. Nie widziałem jego rewolweru,

ale domyśliłem się po wypukłości jego kiszeni, że nierozsądnie będzie ujawniać zbyt szybko moje zamiary. Na próżno wmawiałem sobie, że Tenenti był o kilka kroków stąd, gotów interweniować w każdej chwili – i tak nie czułem się zbyt pewnie.

Sara Novac leżała na podłodze w głębi sali. Jej ręce były przykute kajdankami do kaloryfera przytwierdzonego do ściany, a usta zakneblowane szeroką taśmą. Wyglądała na wyczerpaną.

Widząc jej przerażoną minę, kiedy mnie zauważyła, byłem gotów się założyć, że jej podejrzzenia zamieniły się właśnie w pewność. Byłem dla niej winny śmierci Natalii, a D'Isola moim współnikiem.

Nie zrobiłem niczego, żeby ją uspokoić. Chciałem zemścić się na niej za tę koszmarną noc, którą zgotowała mi po śmierci Montiego w galerii.

- Aleks, poznajesz kapitan Novac?

- Oczywiście. Miło mi znów panią widzieć. Można by rzec, że ma pani mniej cwaniacką minę niż podczas naszego ostatniego spotkania...

Sara Novac próbowała coś powiedzieć mimo zakneblowanych ust. Usłyszałem coś w rodzaju „ty skurwysynie”. Jeszcze bardziej mnie przez to pociągała.

- To bardzo nierozsądne znieważać psychopatę. Nigdy nie wiadomo, jak zareaguje. Może mi odbić w każdej chwili. Sama mi to pani powiedziała podczas naszego pierwszego spotkania, kiedy dowiedziałem się o śmierci Natalii. Zabawimy się zatem troszeczkę, zanim wróci pani dotrzymać towarzystwa gryzoniom naszego gospodarza. Co sądzi pan o moim programie, panie D'Isola?

- Uroczy. Moja kamera jest gotowa. Nie przegapię żadnego krzyku kapitan Novac. Nie zapomniał pan o obrazie?

Pokazałem mu kartonową tubę.

- Oddam go, jak mi pan powie, gdzie przetrzymują ojca. Obraz za informację. Taka była umowa.

D'Isola podniósł się z taboretu, zrobił kilka kroków w moją stronę i stanął przede mną.

- Nie sądziłeś chyba, że dam się nabrać na tę komedię. Nie wyglądasz na prawdziwego przestępcę, Aleks. Nie pozwoliłbyś mi zabić



tej kobiety. Jest najlepszym dowodem na twoją niewinność.

Sara Novac zrozumiała w tej chwili, że byłem po jej stronie. Zauważyłem jej nerwowe spojrzenie. Byłem marnym wybawcą, a ona dobrze o tym wiedziała.

Zaczęła ciągnąć z całych sił za kajdanki, ale kaloryfer nie drgnął nawet o milimetr.

D'Isola zerknął na nią.

- Proszę zachować swoje siły na szczury, kapitanie Novac. Przydadzą się pani za niedługo. A ty, Aleks, daj mi ten obraz.

Nie zareagowałem na jego rozkaz. Tommaso D'Isola wyjął broń ze znużoną miną.

- W tej sali nie ma wykładziny, Aleks. A z płytek bardzo łatwo zetrzeć krew. Mogę więc posłać ci kulę w serce, nie ryzykując, że ktoś to zauważy. I wierz mi, zrobię to, jeśli natychmiast nie oddasz mi obrazu.

Stałem nadal nieruchomo, czekając na interwencję Tenentiego. Usłyszałem kroki na korytarzu i odwróciłem się. Tenenti zbliżał się w moją stronę, ale nie był sam. Szedł za nim inny facet, trzymając pistolet na jego karku.

Potrzebowałem kilku sekund, żeby rozpoznać towarzyszącego mu mężczyznę, chociaż widziałem go dzień wcześniej w telewizji - zapewne dlatego, że był w cywilnym ubraniu.

Kardynał Marini pchnął Tenentiego w moją stronę, sam zaś stanął przy bankierze. Zamiast tradycyjnej anielskiej miny, na jego twarzy widniał pogardliwy uśmiech. Człowiek, który znajdował się przede mną, nie był kandydatem na tron papieski, ale zleceniodawcą zabójstwa mojej matki.

W takich okolicznościach trudno było mówić o jego uroku. W każdym razie jedno było pewne: zważywszy na sposób, w jaki manipulował tłumem, miałem przed sobą mistrza świata we wszystkich kategoriach hipokryzji. Gdyby nie odkrył już swojego powołania, byłby świetnym aktorem.

- Przychodzę w porę, prawda? - powiedział po włosku. - Znalazłem włóczęgę, który kręcił się wokół kliniki, więc zaprosiłem go na zabawę.

- Przykro mi, Aleks... - westchnął Tenenti.

- Nie ma sprawy. Powinniśmy się byli domyślić, że ten gnój nie przyjdzie tu sam. Ale któż by pomyślał, że towarzyszył mu będzie osobiście jego szef... Cóż za zaszczyt, księżę kardynale. Wasza Eminencja posyła zazwyczaj swoich morderców, by wykonali za niego brudną robotę.

- Tym razem zależało mi, aby upewnić się osobiście o waszej śmierci. Uważam, że jesteście zbyt zarozumiali, sądząc, że uda wam się tak łatwo schwytać nas w pułapkę. Ale spójrzcie tylko na siebie! Zgrzybiały goszysta i lekkomyślna sierota! Widział ktoś kiedyś bardziej udaną bandę przegranych? Zwłaszcza ty, Aleks. Przypominasz swoich rodziców. Zabiła ich głupota, a twoja pozwoli ci wkrótce do nich dołączyć.

- Jak to? Co zrobiliście z moim ojcem?

- Ekstradycja była tylko zabawą. Pretekstem, żebyś przyjechał do nas z obrazem. Był zbyt niebezpieczny, żeby zostawić go przy życiu. Postanowiliśmy więc przyspieszyć jego śmierć o kilka tygodni. Wydał ostatnie tchnienie, zanim samolot zdążył wystartować z Roissy. Przykry wypadek, ale konieczny. Władze wydadzą zgodnie z przepisami akt zgonu, jak tylko wszystko przycichnie. D'Isola, pokaż mu to.

Bankier wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki zdjęcie wykonane polaroidem i podał mi je. Widać było na nim nagie ciało ojca, leżące w szufladzie kostnicy.

Wypuściłem odbitkę na ziemię i rzuciłem się bez zastanowienia na Mariniego.

- Ty draniu! - wrzasnąłem, przygotowując się do prawego sierpowego.

Dostojnik wycelował we mnie broń. Moja pięść zawisła w powietrzu.

- No dalej, Aleks, zrób jeszcze jeden krok. Jeszcze jeden krok i wreszcie będę mógł cię zabić. Od dawna marzę, żeby skończyć raz na zawsze z rodziną Cantorów. Wasz podły ród wygaśnie z twoją śmiercią. Ale najpierw chcę się upewnić, że przyniosłeś obraz. Sprawdź - rozkazał bankierowi.

Tommaso D'Isola wyrwał mi z rąk futerał i rozwinął płótno na stole.

- To ten - potwierdził.

- Doskonale. Trzymaj ich na muszce.

Marini schował broń do kieszeni i podszedł do autoportretu Orazia Borgianniego. Przyglądał mu się przez kilka chwil, a następnie wyjął z kieszeni buteleczkę i wylał jej zawartość na płótno. W sali pojawiła się smuzka białego dymu, kiedy kwas zaatakował lakier, a później niszczył kolejne warstwy pigmentu.

Marini spojrzał wreszcie w naszą stronę.

- Wydaje się, że gra skończona. Nie wiem jeszcze, w jaki sposób twoja matka zdobyła ten obraz, ale nie ma to już żadnego znaczenia. Za kilka miesięcy będę papieżem. Już nic nie przeszkodzi mojej elekcji. I nic nie przeszkodzi również w tym, żebyście opuścili ten świat. Gdzie dokonamy egzekucji, drogi przyjacielu?

D'Isola wskazał końcem lufy na korytarz.

- Tam jest mały magazyn. Właśnie prosiłem, by odnowić posadzki w tym tygodniu. Dół jest już wykopany, pozostaje tylko zalać go cementem. Mam wszystko, co potrzeba.

- Doskonale. Idźcie przodem, ja będę zamykał pochód. Aleks, rozkuj kapitan Novac. Obiecałem ją D'Isoli, ale przyda nam się do zapełnienia waszego grobu. Mogę nacisnąć na spust, ale używanie łopaty wykracza poza moje kompetencje.

Kardynał rzucił mi kluczyk do kajdanek. Uwolniłem Sarę Novac i pomogłem się jej podnieść. Gwałtownym ruchem zerwała taśmę, która krępowała jej usta.

- Przykro mi, że w to panią wciągnąłem... - wyszeptalem.

Potrząsnęła głową.

- Ten drań sfilmował śmierć Natalii! - krzyknęła, wskazując na bankiera w chwili, gdy przekraczał próg sali. - Widziałam, co jej zrobił. Nie może im to ująć na sucho.

- Na to potrzeba cudu.

- Na to potrzeba przede wszystkim sploty.

Jakby na przekór jej słowom, bankier uniósł się powoli pod sufit niczym widmo. Jego angielskie buty wykonane na miarę śmignęły cicho w powietrzu.

Ogromna ręka chwyciła go za szyję, skrzyła ją, aż chrupnęły głucho kręgi szyjne i martwe ciało Tommasa D'Isoli opadło z powrotem na podłogę.

Pojawiło się przed nami zwierzęce oblicze, które rozpoznałbym wśród tysięcy innych. Byłem ciekaw, w jaki sposób znalazł się tu Bronco.

- Schylcie się - wrzasnął.

Rzuciliśmy się na podłogę jednym ruchem. Po tym nastąpiła strzelanina, która wydawała się nie mieć końca. Odłamki posadzki latały we wszystkich kierunkach. Po sali rozniósł się gipsowy pył, ciężki i duszący. Gdyby pewnego dnia miał nadejść koniec świata, na pewno wyglądałoby to podobnie.

Kiedy w pomieszczeniu zapanowała wreszcie cisza, nad naszymi głowami rozległ się szyderyczy głos Doriana Gucciego.

- Mówiłem wam przecież, jak brakuje mi bezpośrednich walk. Przestańcie tarzać się jak prosiaki. Już po wszystkim. Możecie się podnieść.

Wstałem, rozglądając się ostrożnie dokoła. Sara Novac i Tenenti robili to samo kilka centymetrów ode mnie. Ku mojemu zdziwieniu, nikt z nas nie został ranny. Byliśmy pokryci odłamkami gipsu, ale cali i zdrowi.

- Cholera... - odezwała się Sara Novac.

- Dobrze się pani czuje? - zapytałem.

Potwierdziła głową i wstała. Stojący przed nami Bronco, trzymał się za ramię. Kula dużego kalibru przeszła je na wskroś. Na przedzie skórzanej kurtki widać było dużą szkarłatną plamę. Skin skrzywił się z bólu i osunął na ziemię.

W głębi duszy nie mogłem powstrzymać się od myśli, że nie stało się nic złego. Następnym razem zastanowi się dwa razy, zanim uniesie rękę w nazistowskim powitaniu. Mimo to ukląknę przy nim. W końcu ocalił mi życie. W dniu sądu ostatecznego, można będzie położyć to na szalę dobrych uczynków.

- Wszystko w porządku, Terminatorze?

- Nie twoja sprawa cioto... - Zdanie zakończył jękiem.

- Chyba nie zemdlejesz?

Moje pytanie świadczyło o pewnej złośliwości, ale kilka dni temu ten kretyn o mało co nie zgniółł mi krtani. Trudno mi było mu współczuć, zwłaszcza kiedy patrzyłem na swastykę wytatuowaną na jego głowie.

- Spadaj... - wycedził przez zęby.

Nawet ranny, Bronco potrafił podtrzymywać intelektualną rozmowę. Jego przypadek nie był aż tak beznadziejny.

Ciało Tommasa D'Isoli leżało u jego stóp. Nie widziałem natomiast zwłok kardynała.

- A Marini? - zapytałem Doriana.

Pokazał mi drzwi na drugim końcu sali operacyjnej.

- Nie wiedziałem, że jest tu drugie wyjście. Skurwysyn uciekł.

W ciemności rozległ się ryk silnika samochodowego.

- Złapmy go! - zaproponowałem. Dorian pokręcił głową.

- Nie warto. Będzie na terenie Watykanu, zanim wyjdziemy z kliniki.

Obecność faszystowskiego dandysa i jego wytatuowanego goryla nadal pozostawała dla mnie tajemnicą.

- Dlaczego tu jesteście? Sądziłem, że nie angażujecie się w tę walkę.

- Sergio wezwał mnie na pomoc dziś po południu. Przekonały mnie jego argumenty.

- Długo zwlekałeś, Dorian - wypomniał mu Tenenti. - Mogłeś zainterweniować trochę szybciej.

Jego głos złagodniał na koniec.

- Ale mimo to dziękuję.

- Te sukinsyny zakpiły ze mnie - powiedział Dorian. - Wykorzystali mnie do brudnej roboty i potraktowali jak psa. Byłem im to winny.

Grzbietem dłoni otrzepał z kurzu swój surdut, a następnie zdjął cylinder i strząsnął warstwę gipsu pokrywającą jego brzegi.

Byłem najwyraźniej jedyną osobą, którą poruszyła ucieczka inspiratora całego zdarzenia.

- A co zrobimy z Marinim? Teraz, jak zniszczył obraz, nie mamy przeciwko niemu żadnych dowodów.

- Musisz się z tym pogodzić - odparł mi Tenenti. - Nie można wygrać każdej bitwy. Tam, gdzie się znajduje, nie może go już dosięgnąć ludzka sprawiedliwość...

Skrecało mnie w żołądku na myśl, że Marini był bezpieczny. Dlatego nie mogłem zrozumieć, dlaczego Tenenti i Dorian mieli tak pogodne miny.

Kardynał Marini przestał ścisnąć w dłoni kolbę rewolweru dopiero wtedy, gdy zamknął za sobą drzwi gabinetu. Schował broń w szufladzie, chwycił za słuchawkę telefonu i zamówił u majordomusa kawę. Następnie usiadł wygodnie w fotelu i wreszcie się odprężył.

Bał się jak nigdy w życiu, ale dość dobrze sobie poradził. Obraz poszedł z dymem. Aleks Cantor i jego godni pożałowania figuranci nigdy nie będą mogli niczego mu udowodnić.

Kilka pięter wyżej, w swoim pokoju, umierał papież. Marini umiał przekonać lekarzy odpowiednimi argumentami, by konsultowali z nim każdą decyzję. Ci czekali już tylko na polecenie odłączenia aparatów, które utrzymywały sztucznie Ojca Świętego przy życiu.

Wreszcie mógł patrzeć ze spokojem w przyszłość.

Kiedy w gazetach ukazało się zdjęcie Natalii Velit z obrazem na drugim planie, kilku jego przeciwników odzyskało nagle pamięć. Wszyscy zajmowali wysokie stanowiska we Włoszech lat ołowiu. Wiedzieli dokładnie o metodach działania sekretarza Administracji Dóbr Stolicy Apostolskiej i jego zastępcy.

Pozbyli się już Lantany, wysyłając go do odciętego od świata klasztoru, żeby tam zgnił. Tylko Marini stał jeszcze na przeszkodzie ich ambicjom. Dla jego wrogów ten obraz był prezentem zesłanym z nieba. Ich ostatnią nadzieją, by uniemożliwić wybranie go na tron świętego Piotra.

Marini nie posiadał się ze zdziwienia, gdy poznał ich podłe zamiary. Sądził, że od ćwierć wieku nikt już nie pamiętał o tej historii.

Prędko zrozumiał, że ponowne pojawienie się obrazu stanowiło poważne zagrożenie dla jego elekcji i zareagował z zadziwiającą szybkością. Wystarczyło mu kilka godzin, aby opracować strategię

ofensywną i wysłać Montiego do Paryża. Następnego dnia przydzielili mu do pomocy Tommasa D'Isolę.

Jego przeciwnicy również nie tracili czasu. Naprowadzili na trop tego dziennikarza i dostarczyli mu wystarczająco dużo elementów, by dotarł do Banco Romano. Dla tego, kto potrafił je odczytać, wskazówki prowadziły prosto do biura kardynała Mariniego.

D'Isola okazał się jednak diabelnie skuteczny. Przystąpił do bezwzględnej eliminacji wrogów. Wrócił do Rzymu, przysięgając, że zatarł za sobą wszelkie ślady. Pomylił się i słono zapłacił za swój błąd. Jego śmierć była zresztą dobrą wiadomością. Ten kretyński bankier był zbyt pewnym siebie nieudacznikiem.

Majordomus zapukał do drzwi gabinetu i wszedł do środka. Postawił filiżankę na stole i opuścił pokój, nie odzywając się ani słowem.

Marini wypił kawę jednym haustem. Kiedy gęsty płyn przechodził mu przez gardło, wstrząsnął nim ostatni dreszcz adrenaliny.

Ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, aby zrezygnować z tronu papieskiego z powodu błędu popełnionego w przeszłości, o której już nikt nie chciał pamiętać. Najzabawniejsze było to, że w tamtym czasie nie podzielał zupełnie obaw Lantany. Nie widział, w jaki sposób wzrost popularności ideologii marksistowskich może zagrażać Kościołowi. W każdym razie nie rozumiał konieczności zwalczania ich siłą, kiedy dużo prościej byłoby kupić milczenie mediów.

Marini był człowiekiem komunikacji medialnej. Wiedział doskonale, że bez prasy, telewizji i radia nie mogła rozwinąć się żadna idea, nawet idee głoszone przez Kościół. Jego pontyfikat będzie pontyfikatem obrazu i krzewienia wiary. Słowo Boże będzie głoszone drogą radiową i satelitarną, przez telewizję kablową i Internet, wszędzie tam, gdzie pozwolą mu dotrzeć współczesne środki masowego przekazu.

Po raz pierwszy w swej historii, apostołski i rzymskokatolicki Kościół będzie mógł naprawdę uważać się za powszechny.

Kardynał Marini zrozumiał, że nigdy nie zostanie papieżem, kiedy nieznośny ból przeszył jego system nerwowy. Trucizna przeniknęła w jednej chwili do jego krwi i jego serce przestało bić niemal natychmiast.

Dostojnik umarł, przeklinając zarówno swoich wrogów, jak i własną głupotę. Popełnił niewybaczalny błąd, sądząc, że będzie bezpieczny w swoim gabinecie. Już dawno zapomniał, jak bardzo Watykan był odległy od świata zwyczajnych ludzi i jak różne rządziły tu prawa.

Jego ostatnie spojrzenie padło na stojącą przed nim filiżankę. Na jej spodzie znajdowało się kilka kropel kawy.

Czarnej i mocnej.

Takiej jak śmierć.



Rzym, 15 maja 1978 r.

*Eksplodzja przenosi Francesce w sam środek piekła.*

*Autobus unosi się nad ziemię i opada w ogłuszającym huku poskręcane go metalu. Szyby ranią pasażerów tysiącami odłamków szkła, niczym ostrymi strzałkami.*

*Francesca nie od razu czuje ból. Siła wybuchu łamie w jednej chwili jej prawe ramię. Drugi cios, zadany w splot, zapiera gwałtownie dech w piersiach. Otwiera odruchowo usta, ale udaje się jej nabrać jedynie kilka tyków wrzącego tlenu. Nie mogąc wykonać żadnego ruchu, opada na ziemię.*

*Wokół niej rozlega się parę krzyków. Jest ich niewiele, bowiem prawie wszyscy jej współpasażerowie nie żyją lub są nieprzytomni. Widok zniszczonego autobusu wydaje się tak nierealny, iż Francesca nie może się powstrzymać od patrzenia na niego z pewną obojętnością. Porozrywane kawałki kończyn zmieszane ze szczątkami pojazdu tworzą ze stosem rozprutej blachy jedną całość, jakby dziwną rzeźbę umazaną krwią. Gdyby nie ten przeszywający ból w ramieniu i brzuchu, pomyślałaby, że jest w kinie na jednym z tych filmów katastroficznych skierowanych do młodzieży spragnionej dreszczyku emocji.*

*Jedynie metalowa belka tkwiąca w jej piersi świadczy o obecności w pobliżu epicentrum eksplozji. Stalowy pal wbity w podłogę autobusu przesywa na wskroś jej brzuch. Z rany wydobywa się gęsta, ciemnoczerwona struga. Wkrótce ten sam płyn zaczyna wypływać z kącików jej warg. Na powierzchni jej ust pojawia się kilka pęcherzyków powietrza, by natychmiast zniknąć.*

*Tuż przed śmiercią Francesca zrozumiała, jak wielkie straty spowodowała jej niewiedza. Młody człowiek o śmiejących oczach leży blisko niej. Wybuch wyrwał mu nogi. Na jego twarzy widać*

*zaskoczenie i brak zrozumienia wobec tego, co się stało. Wygląda jednak jakby spał, tak jak żołnierz z tego starego francuskiego wiersza, który czytała w młodości.*

*Francesca chciałaby cofnąć się o parę dni, kiedy zima jeszcze się nie poddała i kiedy wszyscy ci ludzie mieli jeszcze przed sobą przyszłość.*

*Ale było już za późno, aby naprawić swój błąd.*

## *Podziękowania*

Pragnę wyrazić swoją wdzięczność Agathe, pierwszej nie-ocenionej czytelniczce, której wnikliwe spojrzenie i bezkompromisowość znów dokonały cudów, oraz Silvii Genzano i Valéry'emu Danty. Ich zawsze trafne i słuszne uwagi miały duży wkład w tę powieść.

Dziękuję również wszystkim, którzy mnie wspierali i dodawali odwagi, w szczególności Erikowi Biville, Céline i Jean-Luc Bizien, Maxime Chattam, Alain Jessua, Martine Mairal, Nadine Satiat i Sarah Vajda.